



LIAN HEARN

PO SŁOWICZEJ PODŁODZE

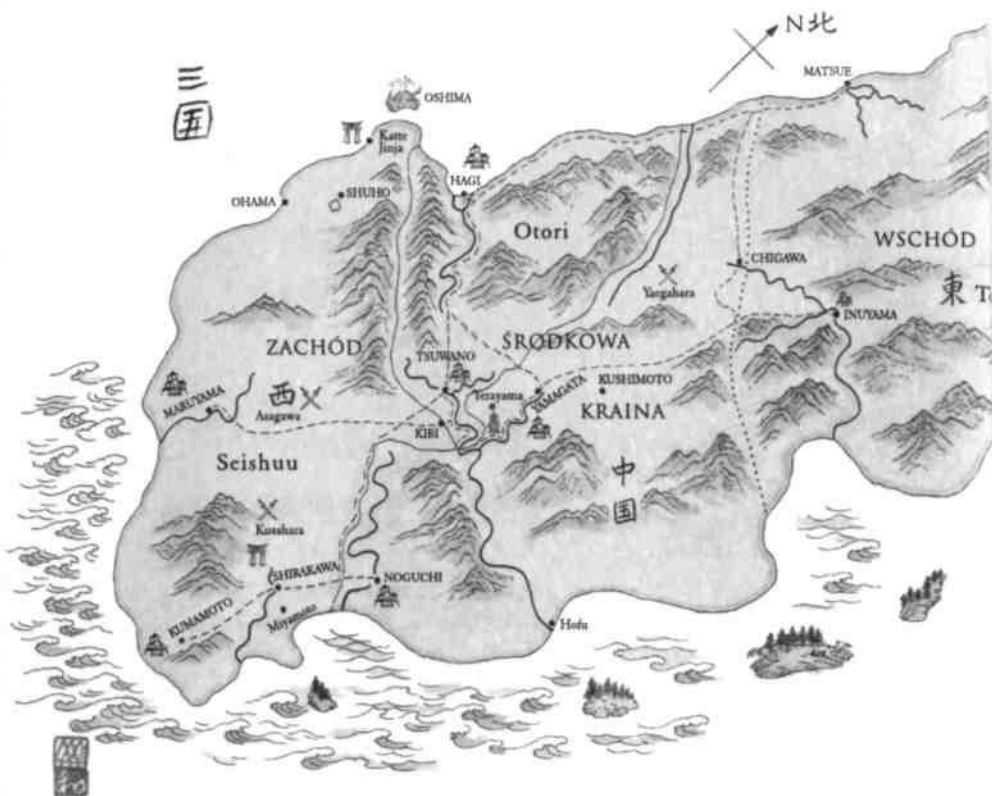
TYTUŁ ORYGINAŁU: ACROSS THE NIGHTINGALE FLOOR

CYKL: OPOWIESCI RODU OTORI TOM 1

PRZEŁOŻYŁA BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

Dla E.

TRZY KRAINY



pole bitwy



warownia



święte miejsce



świątynia



granica lenna



*granica lenna
przed Yaegaharą*

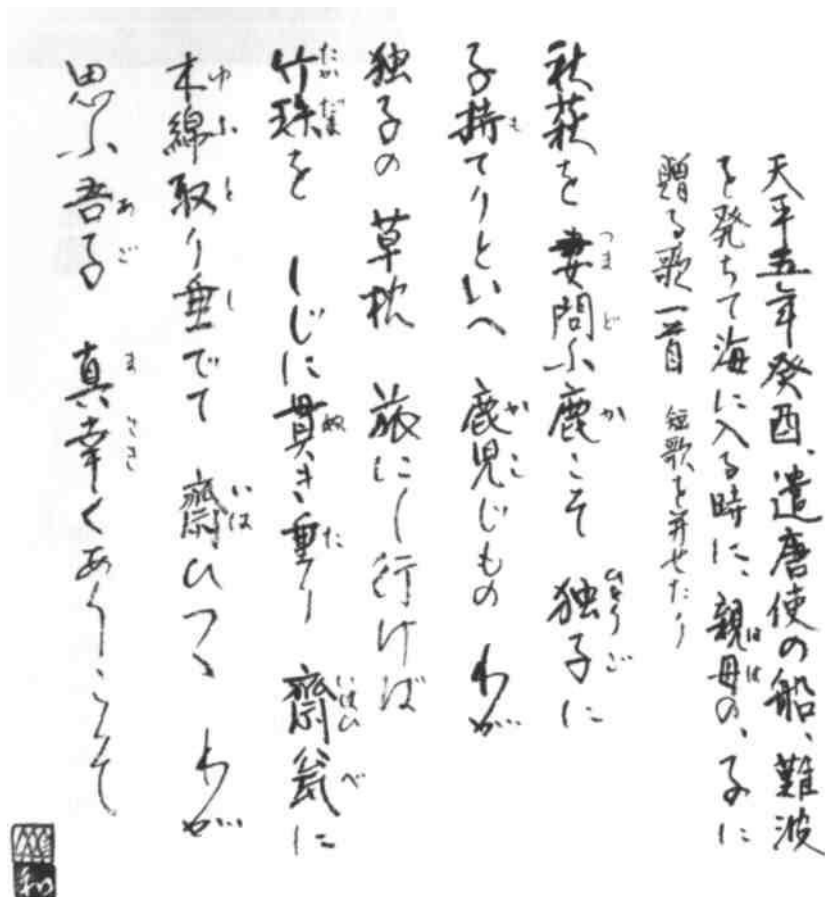


gościniec

Akcja trzech książek, składających się na *Opowieści rodu Otori*, rozgrywa się w epoce feudalizmu w zmyślonym kraju. Nie miałam zamiaru opisywać rzeczywistych miejsc i zdarzeń, jednak Czytelnik napotka w mej opowieści ślady japońskich zwyczajów i tradycji, a także rozpozna typowe dla Japonii krajobrazy i pory roku. Słowicze podłogi (*uguisu-bari*), którymi otaczano świątynie, domy mieszkalne i pałacowe komnaty, istnieją naprawdę - najsłynniejsze znajdują się w zamku Nijo i świątyni Chion'in w Kioto. Użyte przeze mnie japońskie nazwy miejscowości nie odnoszą się do miejsc realnie istniejących, jedynie Hagi i Matsue położone są mniej więcej tak, jak w książce. Co się tyczy postaci, wszystkie powstały w mojej wyobraźni z wyjątkiem malarza Sesshu, albowiem niepodobna wymyślić kogoś takiego jak on.

Mam nadzieję, że puryści wybaczą mi swobodne potraktowanie tematu. Usprawiedliwia mnie wyłącznie fakt, że niniejsza książka jest tworem fantazji.

Lian Hearn



Jesienią - mówią -
 sarna, co z lespedezą gody odprawia,
 jedno powije dziecię... Syn mój jedyny
 jak rączkę dziecię sarny w podróż wyrusza,
 gdzie trawy mu poduszką.

Ze Zbioru dziesięciu tysięcy liści (Manyōshū),
 księga IX, pieśń 1790,
 przełożyła Agnieszka Żuławska-Umeda



RÔD
OTORI



RÔD
MARUYAMA



RÔD
SEISHUU



RÔD
SHIRAKAWA



RÔD
TOHAN



Rozdział pierwszy

Matka odgrażała się, że rozedrze mnie na osiem części, jeśli będę przewracał wiadro z wodą albo udawał, że nie słyszę jej wołania o zmroku, kiedy wzmagał się zgrzytliwy śpiew cykad. Jej głos, schrypnięty i zawzięty, odbijał się echem w naszej samotnej dolinie:

- Gdzie się podziewa ten nieszczęsny chłopak? Niech no tylko wróci, a rozszarpie go na strzępy!

Lecz kiedy wracałem, ubłocony po zjechaniu na tyłku ze zbocza, posiniaczony w bójce, a raz nawet z nosem zakrwawionym od ciosu kamieniem (nadal mam srebrzystą bliznę w kształcie paznokcia), witał mnie ogień, zapach zupy i mocne ramiona matki, która bynajmniej nie chciała mnie rozszarpać, tylko przytrzymać, otrzeć mi twarz i przygładzić włosy, podczas gdy ja wiłem się jak piskorz, aby się wyrwać z jej objęć. Dzięki pracy od świtu do nocy była silna, a także niestara - w dniu moich narodzin nie skończyła jeszcze siedemnastu lat. Kiedy mnie przytulała, widziałem, że nasza skóra jest takiej samej barwy, choć pod innymi względami nie byliśmy zbyt podobni do siebie; ona miała twarz szeroką i spokojną, mnie zaś mówiono (gdyż w Mino, jak nazywała się nasza zapadła wioska, nie było luster), że rysy mam subtelniejsze, bardziej jastrzębie. Nasze zmagania zazwyczaj kończyły się zwycięstwem matki, a nagrodą był jej uścisk, z którego nie mogłem umknąć. Szeptala mi do ucha błogosławieństwo Ukrytych, ojczym zrzędził półgłosem, że mnie rozpieszcza, a przyrodnie siostrzyczki skakały wokół nas, domagając się swojej porcji czułości.

Sądziłem zatem, że słowa matki to tylko przenośnia. Wioska Mino leżała na uboczu, tak daleko, że omijały ją zaciekle walki między klanami. Nie umiałem sobie nawet wyobrazić, że ktoś rozdziera kobietę lub mężczyznę na osiem części, wyrывая im ze stawów silne kończyny barwy miodu i rzuca je na pożarcie czekającym psom. Wychowałem się wśród Ukrytych, otulony ich łagodnością, toteż nie wiedziałem, że ludzie mogą sobie robić takie rzeczy.

Kiedy skończyłem piętnaście lat, matka powoli zaczęła przegrywać nasze zapasy. Przez rok przybyło mi sześć cali, a w wieku lat szesnastu prześcignąłem wzrostem ojczyma. Coraz częściej zrzędził, że powinienem skończyć z wałęsaniem się po górach niczym dzika małpa, że trzeba wreszcie się usatkwować i wżenić w jedną z wioskowych rodzin. Nie miałem nic przeciwko temu, aby poślubić jedną z dziewcząt, między którymi dorastałem, ponadto tamtego lata więcej pomagałem ojczymowi, chcąc zająć należne mi miejsce w gronie dorosłych mężczyzn. Jednakże wciąż słyszałem nieodparty zew gór, więc pod koniec dnia często wymykałem się do bambusowego gaju; w ukośnych promieniach zielonego światła wspinałem się

stromą ścieżką wśród wysokich, gładkich łodyg do kapliczki górskiego boga, gdzie mieszkańcy wioski składali ofiary z prosa i pomarańczy, po czym zanurzałem się w gęstym, bukowo-cedrowym lesie, skąd wabił mnie śpiew słowika i wzywało kukanie kukułki, gdzie widywałem lisy i jelenie, a z wysoka dobiegało melancholijne wołanie krążących po niebie kań.

Tego wieczora poszedłem aż na drugą stronę góry, do miejsca, w którym rosły najlepsze grzyby - białe, cienkie i nitkowate, oraz ciemnopomarańczowe, o kapeluszach niczym wachlarze. Zebrałem ich pełne zawiniątko; w myślach widziałem już, jak matka się cieszy, jak na widok grzybów ojczym przestaje gderać, niemal czułem ich smak na języku.

Kiedy biegłem przez bambusowy las i przez ryżowe pola, gdzie rozkwitwały czerwone jesienne lilie, miałem wrażenie, że wiatr niesie woń smażonych potraw.

Wszystkie psy we wsi szczekały, co czasem zdarzało się pod koniec dnia. Zapach smażenia stał się bardziej intensywny i gorzki. Nie czułem lęku, wtedy jeszcze nie, lecz jakieś przeczucie sprawiło, że serce zabiło mi szybciej. Chyba coś się paliło. W wiosce często wybuchały pożary, gdyż prawie wszystko, co posiadaliśmy, wykonane było z drewna lub słomy. Ale tym razem nie słyszałem krzyków ani stuku wiader podawanych z rąk do rąk, ani zwykłych wrzasków oraz przekleństw.

Tylko cykady grały przenikliwie jak zawsze, a na polach ryżowych nawoływały się żaby. Gdzieś daleko w górach przetoczył się głuchy werbel grzmotu. Było wilgotno i duszno.

Pociłem się, lecz pot na moim czole był chłodny. Minałem ostatnie poletko ryżu i za terasą przeskoczyłem przez rów. Spojrzałem w dół, w miejsce, gdzie znajdował się nasz dom. Domu nie było.

Zszedłem niżej. Po zwęglonych belkach wciąż pełzały płomienie. Nie dostrzegłem ani śladu matki i sióstr. Próbowiałem zawołać, ale język nagle urósł mi w ustach, a dławiący dym wycisnął łzy z oczu. Cała wioska stała w ogniu, lecz co się stało z ludźmi?

I wtedy buchnął krzyk.

Dobiegał od strony świątyni, wokół której zbudowano większość domów, i przypominał odgłosy, jakie wydaje wyjący z bólu pies - jednak ten pies znał ludzkie słowa i wykrzykiwał je w udręce. Włosy zjeżyły mi się na karku - rozpoznałem fragmenty modlitwy Ukrytych. Pobiegłem w kierunku dźwięku, przemykając się między płonącymi domami niby duch.

Wioska była pusta, nie miałem pojęcia, gdzie się wszyscy podziali. Powtarzałem sobie, że uciekli, że matka zabrała siostry i schroniła się bezpiecznie w lesie; powtarzałem sobie, że z pewnością je odnajdę, kiedy tylko sprawdzę, kto tak krzyczy. Ale gdy wyszedłem zza węgła na główną drogę, ujrzałem, że na ziemi leży dwóch mężczyzn. Lekko mżyło i leżący wyglądali na zdziwionych, jakby nie rozumieli, po co tak moczą odzież na wieczornym deszczu. Ja jednak widziałem, że nigdy już nie wstaną i że stan ich ubrań nie ma najmniejszego znaczenia. Jednym z nich był mój ojczym.

W owej chwili świat się dla mnie odmienił. Oczy zasnuła mi mgła, a gdy

opadła, nic już nie wyglądało na rzeczywiste. Miałem wrażenie, że znalazłem się w innym świecie, który istnieje równolegle z naszym i który odwiedzamy tylko w snach. Ojczym włożył najlepsze ubranie, lecz teraz tkanina barwy indygo pociemniała od deszczu i krwi. Zrobiło mi się przykro, że splamił szatę, z której był tak dumny. Ominąłem ciała i wszedłem w bramę świątyni. Deszcz chłodził mi twarz. Krzyk raptownie się urwał.

Po dziedzińcu krzatali się nieznajomi mężczyźni. Wyglądali, jakby odprawiali jakiś świąteczny rytuał - głowy mieli obwiązane chustami, zdjęli kurty, a ich obnażone ramiona lśniły od potu i wilgoci. Dyszeli, stękali i szczyrzyli białe zęby - najwyraźniej zabijanie było pracą równie ciężką, jak żniwa.

Ze zbiornika, z którego zazwyczaj czerpaliśmy wodę, by obmyć sobie dłonie i wypłukać usta przed wejściem do świątyni, sączył się cienki strumyczek. Wcześniej, gdy świat był jeszcze normalny, ktoś musiał zapalić kadzidło w wielkim kotle i resztki jego woni unosiły się nad dziedzińcem, tłumiąc gorzki odór krwi i śmierci.

Na mokrych kamieniach leżał człowiek rozdarty na strzępy. Ledwie rozpoznałem odciętą głowę: był to Isao, przywódca Ukrytych. Jego otwarte usta nadal wykrzykiwał skurcz bólu. Zabójcy złożyli kurty na schludny stos pod jedną z kolumn. Rzuciło mi się w oczy lśniące godło, potrójny liść dębu - miałem przed sobą ludzi Tohan ze stolicy klanu, Inuyamy. Wtedy przypomniałem sobie podróżnego, który przejeżdżał przez wioskę pod koniec siódmego miesiąca i zatrzymał się u nas na noc.

- Nie wiesz, że Tohan nienawidzą Ukrytych i chcą wyruszyć przeciwko nam?
- wyszeptał przerażony, kiedy matka przed posiłkiem zaczęła się modlić. - Pan Iida poprzysiągł, że zetrze nas z powierzchni ziemi.

Następnego dnia rodzice poszli ostrzec Isao, lecz nie dano im wiary - przecież mieszkaliśmy z dala od stolicy i walka klanów o władzę nas nie dotyczyła. W naszej wiosce Ukryci żyli w zgodzie z innymi, wyglądali tak samo, zachowywali się tak samo pod każdym względem, z wyjątkiem modlitwy. Po co ktoś miałby nas krzywdzić? To nie mieściło się w głowie.

Nadal nie mogłem tego pojąć. Stałem skamieniały przy zbiorniku, z którego nieustannie kapłała woda. Chciałem nabrać tej wody, zmyć krew z twarzy Isao i delikatnie zamknąć mu rozwarte usta, lecz nie mogłem się ruszyć. Wiedziałem, że lada chwila Tohańczycy zobaczą mnie i rozedrą na kawałki, bez litości ani miłosierdzia - wszak zabili człowieka w obrębie świątyni i już zostali skażeni śmiercią.

Z oddali niezwykle wyraźnie dobiegł mnie tętent zbliżającego się konia. Słyszając uderzenia kopyt, doznałem jakby wizji przyszłości, co zdarza się czasem w snach - przeczułem, kim będzie człowiek, którego ujrzę pod łukiem świątynnej bramy. Nigdy przedtem go nie widziałem, jednak matka, chcąc wymusić na nas posłuszeństwo, straszyła nas nim jak upiorem: „Nie włóczcie się po górach, nie bawcie się nad rzeką, bo porwie was Iida!”. Toteż od razu poznałem jeźdźcę - miałem przed sobą pana Iidę Sadamu, władcę klanu Tohan.

Jego koń, spłoszony zapachem krwi, zarżał i stanął dęba, lecz Iida tkwił

niewzruszony w siodle niczym posąg odlany z żelaza. Od stóp do głów okrywała go czarna zbroja, masywny hełm wieńczyły rogi. Okrutne usta okalała krótka czarna broda, a oczy błyszczały jak u łowcy jeleni.

Gdy owe błyszczące oczy napotkały mój wzrok, od razu pojąłem dwie rzeczy - że ten człowiek nie boi się niczego na niebie i ziemi oraz że kocha zabijać dla samego zabijania. Zobaczył mnie, a zatem nie było już nadziei.

W ręce lidy błysnął miecz. Od natychmiastowej śmierci ocalił mnie tylko jego wierzchowiec, który zatańczył na tylnych nogach, opierając się przed wejściem w bramę. Lida krzyknął. Ludzie na dziedzińcu świątyni wreszcie się obejrzel i na mój widok podnieśli wrzask w swoim szorstkim narzeczu. Chwyciłem resztki kadzidła i nie bacząc, że parzy mi dłoń, rzuciłem się pędem ku wyjściu. Koń skoczył ku mnie, lecz pchnąłem go w bok płonącymi pałeczkami, aż ponownie stanął dęba tuż nad moją głową. Poczułem na twarzy muśnięcie kopyta; dobiegł mnie syk tnącego powietrze miecza, a wokół zaroilo się od Tohańczyków. Wydawało mi się, że niepodobna, bym uniknął ich ciosów, lecz wtém doznałem wrażenia, jakbym się rozdawał. Widziałem, jak opada na mnie miecz lidy, a równocześnie pozostałem nietknięty. Jeszcze raz dźgnąłem kadzidłem konia, który parsknął z bólu i wściekle wierzgnął. Lida, utraciwszy równowagę po chybionym cięciu, osunął się na kark wierzchowca, po czym ciężko upadł na ziemię.

Ogarnęło mnie przerażenie, a w ślad za nim panika. Oto zrzuciłem z siodła wodza klanu Tohan! Gdyby przyszło mi ponieść karę za ten czyn, mękom i torturom nie byłoby końca. Powinienem paść na ziemię i błagać o śmierć. Ale pojąłem, że nie chcę umierać. Krew we mnie zagrała; coś powiedziało mi, że nie zgine przed lida, że najpierw sam ujrzę go martwym.

Nie wiedziałem nic o wojnie klanów, o ich sztywnych zasadach i waśniach. Całe życie spędziłem wśród Ukrytych, którym nie wolno zabijać i którzy nauczeni są przebaczać sobie nawzajem. Lecz w owej chwili Zemsta przyjęła mnie na ucznia, ja zaś natychmiast ją rozpoznałem i od razu pojąłem jej nauki. Była tym, czego pragnąłem - tylko ona mogła ocalić mnie przed uczuciem, że oto stałem się żywym trupem. W owym ułamku sekundy, gdy przyjmowałem ją do serca, kopnąłem najbliższego napastnika celnie między nogi, zatopiłem zęby w dłoni, trzymającej mnie za nadgarstek, wyrwałem się i popędziłem do lasu.

Trzech ludzi ruszyło za mną w pościg. Byli wyżsi i szybsi, ale ja znałem teren, a poza tym zapadał zmrok. Deszcz kropił coraz gęściej, górskie ścieżki zrobiły się śliskie i zdradliwe.

Dwaj prześladowcy wciąż wołali za mną, z rozkoszą odgrażając się, co mi zrobią, kiedy mnie dopadną, oraz przeklinając wyrazami, których znaczenia mogłem się tylko domyślać. Trzeci ścigał mnie w milczeniu i jego bałem się najbardziej. Wiedziałem, że dwaj pierwsi po jakimś czasie zawrócą do swojej żytniej wódki lub innego paskudnego trunku, którym zwykli się upijać Tohańczycy, że będą twierdzić, iż zgubili w górach mój trop, lecz ten ostatni nigdy się nie podda - nie spocznie, póki mnie nie zgładzi.

Na stromym szlaku pod wodospadem obaj gadatliwi zostali nieco w tyle,

jednak trzeci człowiek jeszcze przyspieszył, jak czynią biegnące pod górę zwierzęta. Minęliśmy kapliczkę, gdzie jakiś ptak, dziobiący proso, zerwał się do lotu, błyskając biało-zielonymi skrzydłami. Ścieżka przede mną zakręcała wokół ogromnego cedru. Kiedy ze szlochem, chwytając powietrze ostatkiem sił, skoczyłem za drzewo, ktoś wyłonił się z ciemności i zagroził mi drogę.

Wpadłem wprost na niego; stęknął, jakby uszedł z niego dech, lecz natychmiast mnie pochwycił. Gdy spojrzał mi w twarz, w jego oczach dostrzegłem błysk zdumienia, a może rozpoznania. Cokolwiek nim powodowało, sprawiło, że przytrzymał mnie jeszcze mocniej. Tym razem ucieczka była niemożliwa.

Usłyszałem, że biegnący za mną Tohańczyk się zatrzymuje, a po chwili zza jego pleców dobiegły ciężkie kroki dwóch pozostałych.

- Przepraszam, panie - powiedział pewnym głosem ten, którego się bałem. - Zatrzymałeś przestępcę, którego ścigamy. Dziękujemy.

Nieznajomy obrócił mnie twarzą ku prześladowcom. Chciałem doń zawołać, błagać go i prosić, ale wiedziałem, że to na nic. Czułem miękkość tkaniny, z której uszyto jego strój, gładkość jego rąk. Nie ulegało wątpliwości, że miałem do czynienia z wielkim panem, takim jak Iida. Wszyscy oni są spod jednej sztancy, pomyślałem, a ten z pewnością nie zrobi nic, by mi pomóc. Milczałem, wspominając modlitwy, których uczyła mnie matka, pomyślałem też przelotnie o ptaku.

- Co takiego zrobił ten przestępca? - zapytał nieznajomy. Stojący przede mną Tohańczyk miał długą, wilczą twarz.

- Przepraszam - powtórzył, już mniej uprzejmie. - To nie pańska sprawa. To dotyczy wyłącznie pana lidy Sadamu i klanu Tohan.

- Hmmf! - fuknął szlachcic. - Czyżby? A kimże ty jesteś, żeby mi mówić, co jest a co nie jest moją sprawą?

- Po prostu go puść! - warknął człowiek-wilk bez śladu uprzejmości, zbliżając się o krok.

Nagle pojąłem, że ten, który mnie chwycił, nie ma najmniejszego zamiaru mnie oddać. Jednym zręcznym ruchem zwolnił uścisk i stanął przede mną. Po raz drugi w życiu usłyszałem syk obudzonego miecza. Człowiek-wilk dobył noża, pozostali unieśli kije. Nieznajomy oburącz uniósł ostrze, przemknął pod uniesionym kijem, mimochodem skrócił jego właściciela o głowę, po czym obrócił się w stronę czło-wieka-wilka i odciął mu prawą rękę, nadal trzymającą nóż.

Stało się to w jednej chwili, ale trwało całą wieczność. Stało się to w gasnącym świetle, w padającym deszczu, jednak gdy przymykam oczy, nadal widzę każdy szczegół.

Broczące krwią bezgłowe ciało z głuchym stukiem upadło na ziemię, głowa potoczyła się po zboczu. Trzeci mężczyzna upuścił kij i wycofał się tyłem, głośno wzywając pomocy. Człowiek-wilk na klęczkach usiłował zatamować krwawienie z kikuta obciętego w łokciu ramienia. Nie jęczał i nie odezwał się ani słowem.

Mój wybawca otarł miecz i wsunął go do pochwy u pasa.

- Chodź - zwrócił się do mnie.

Stałem, drżąc na całym ciele, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu.

Ten człowiek pojawił się znikąd i na moich oczach zabił, by ocalić mi życie. Padłem przed nim na ziemię, próbując znaleźć słowa podzięk.

- Wstawaj - powtórzył. - Za chwilę dogonią nas pozostali.

- Nie mogę odejść! - wykrztusiłem. - Muszę odszukać matkę!

- Nie teraz! Musimy uciekać!

Szarpnięciem poderwał mnie na nogi i pchnął pod górę.

- Co się stało?

- Spalili wioskę i zabili... - Powróciło do mnie wspomnienie ojczyzny. Nie mogłem mówić dalej.

- Ukrytych?

- Tak - wyszeptalem.

- Tak się dzieje w całym lennie. Iida wszędzie wznieca do nich nienawiść. Pewnie i ty jesteś jednym z nich?

- Tak.

Dygotałem. Nadal trwało późne lato, deszcz był ciepły, lecz nigdy przedtem nie czułem takiego zimna.

- Ale nie tylko dlatego mnie gonili - bąknąłem. - Przeze mnie pan Iida spadł z konia.

Ku memu zaskoczeniu nieznajomy parsknął śmiechem.

- To musiał być widok godny obejrzenia! Niestety, z tego powodu jesteś w dwójnasób zagrożony, Iida z pewnością będzie chciał pomścić obelgę! Na szczęście na razie pozostajesz pod moją opieką. Nie pozwolę, by mi cię odebrał.

- Uratowałeś mi życie, panie - powiedziałem. - Od dziś należy do ciebie.

Z jakiegoś powodu na te słowa znów się roześmiał.

- Przed nami długa droga o pustym żołądku, w mokrej odzieży - powiedział. - Musimy przejść na drugą stronę gór, zanim wstanie dzień. Potem zaczną nas ścigać.

Ruszył przed siebie z wielką szybkością. Pobiegnę za nim, z trudem powstrzymując drżenie nóg i starając się nie szczerzyć zębami. Nie znałem nawet jego imienia, ale pragnąłem, aby był ze mnie dumny, aby nigdy nie pożałował, że mnie ocalił.

- Jestem Otori Shigeru - rzekł, gdy maszerowaliśmy ku przełęczy. - Z klanu Otori, z Hagi. Ale w drodze nie używam tego imienia, więc i ty go nie używaj.

Hagi wydawało mi się równie odległe jak księżyc; o Otori słyszałem, lecz nic o nich nie wiedziałem oprócz tego, że dziesięć lat wcześniej zostali pokonani przez klan Tohan w wielkiej bitwie na równinie Yaegahary.

- Jak się nazywasz, chłopcze?

- Tomasu.

- To pospolite imię wśród Ukrytych. Lepiej się go pozbyć. - Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym powiedział: - Możesz się nazywać Takeo.

I tak oto, między wodospadem i szczytem góry, utraciłem imię i stałem się kimś innym, wiążąc swój los z losem Otori.

Świt zastał nas zziębniętych i głodnych w wiosce Hinode, znanej z gorących źródeł. Jeszcze nigdy nie znajdowałem się tak daleko od domu. Hinode znałem tylko

z opowiadań chłopców z mojej wsi, twierdzących, że tutejsi mężczyźni to oszuści, a ich kobiety są równie gorące jak źródła i pójdą z mężczyzną za kubek wina. Nie miałem okazji sprawdzić żadnej z tych opinii; nikt nie ośmieliłby się oszukać pana Otori, jedyną zaś kobietą, jaką spotkałem, była żona właściciela zajazdu, która podawała nam posiłki.

Wstydziłem się swego starego ubrania, łatanego tak często, że nie dało się określić jego pierwotnej barwy, teraz dodatkowo ubrudzonego i poplamionego krwią. Nie mogłem uwierzyć, że pan Otori oczekuje, iż zatrzymam się w zajeździe razem z nim, sądziłem, że pójdę spać do stajni. Jednak najwyraźniej nie chciał na zbyt długo stracić mnie z oczu; kazał gospodyni wyprać moją odzież, po czym wysłał mnie do gorącego źródła, bym się wyszorował. Kiedy wróciłem, niemal zasypiając na stojąco, oszołomiony ciepłą kąpielą po nieprzespanej nocy, w pokoju czekał na mnie poranny posiłek, a pan Otori, który zaczął już jeść, gestem nakazał, bym się doń przyłączył. Ukląknę i zacząłem odmawiać modlitwę, od której w domu zawsze rozpoczynaliśmy pierwszy posiłek dnia.

- Nie wolno ci się modlić - rzekł pan Otori z ustami pełnymi ryżu i kiszonych warzyw. - Nawet kiedy będziesz sam. Jeśli chcesz przeżyć, musisz na zawsze zapomnieć o tej części swego życia. - Przełknął i nabrał kolejną porcję. - Lepiej umrzeć za coś ważniejszego.

Prawdziwy wyznawca zapewne uparłby się przy modlitwie. Ciekaw byłem, czy tak postąpiliby zabici ludzie z mojej wioski. Przypomniałem sobie ich oczy, niewidzące i zdumione jednocześnie. Znieruchomiałem. Apetyt mnie opuścił.

- Jedz - powiedział pan Otori tonem niepozbawionym życzliwości. - Nie chcę cię dźwigać przez całą drogę do Hagi.

Zmusiłem się do przełknięcia kilku kęsów, żeby nie zaczął mną gardzić, a następnie poszedłem do gospodyni z poleceniem, by rozłożyła dla nas pośłania. Czułem się nieswojo, wydając jej rozkazy; obawiałem się, że mnie wyśmiej i zapyta, czy utraciłem władzę w rękach, a poza tym coś stało się z moim głosem - miałem wrażenie, że zanika i odpływa, jakby słowa były za słabe, by wyrazić to, co widziały moje oczy. W każdym razie, kiedy kobieta w końcu pojęła, o co chodzi, ukloniła mi się prawie tak nisko, jak panu Otori, po czym pośpiesznie spełniła moją prośbę.

Pan Otori położył się i zamknął oczy. Wydawało mi się, że natychmiast zapadł w sen.

Sądziłem, że ja także zasnę od razu, lecz mój umysł, wstrząśnięty i wyczerpany, nie mógł się uspokoić. Poparzona ręka bolała, ponadto z jakąś niesłychaną, nieco przerażającą jasnością zacząłem słyszeć wszystkie okoliczne odgłosy - każde wypowiedziane w kuchni słowo, każdy dobiegający ze wsi dźwięk. Wciąż i wciąż wracałem myślami do matki i dwóch siostrzyczek. Powtarzałem sobie, że przecież nie widziałem ich ciał, że zapewne uciekły i są bezpieczne. Wszyscy w naszej wiosce lubili moją matkę. Nie poszłaby na śmierć dobrowolnie - choć urodziła się wśród Ukrytych, nie należała do fanatyków, paliła kadzidełka w świątyni i składała ofiary bogu gór. Nie, moja matka, ze swoją okrągłą twarzą, szorstkimi dłońmi i skórą barwy miodu nie mogła umrzeć! To niemożliwe, aby leżała na wznak

gdzieś obok swych córek, patrząc w niebo pustym, zdumionym wzrokiem!

Ale moje własne oczy nie były puste - o hańbo, były pełne łez. Ukryłem twarz w pośłaniu, próbując siłą woli powstrzymać płacz, nie zdołałem jednak opanować drżenia ramion i gwałtownego łkania, które wyrывało się ze mnie z każdym oddechem.

Po chwili poczułem dotknięcie na ramieniu.

- Śmierć przychodzi nagle, a życie jest kruche i krótkie - przemówił pan Otori.
- Nie odmienia tego żadne modlitwy ani zaklęcia. Dzieci płaczą z tej przyczyny, ale dorośli mężczyźni i kobiety nie mogą pozwolić sobie na płacz. Muszą wytrwać.

Głos mego pana załamał się na ostatnim słowie; przejęła go żałość równie wielka jak moja, twarz miał ściągniętą, z oczu pociekły mu łzy. I choć wiedziałem, po kim płaczę ja sam, jego nie ośmieliłem się o nic zapytać.

Potem musiałem zasnąć, gdyż przyśniło mi się, że jestem w domu i jem zupę z miski znajomej jak własna ręka. W zupie siedział czarny krab, który nagle wyskoczył i uciekł do lasu. Pobiegłem za nim, lecz po chwili nie wiedziałem już, gdzie jestem. Próbowałem zawołać: „Zabłądziłem”, ale krab odebrał mi głos.

Zbudziło mnie szarpanie za ramię.

- Wstawaj! - wołał pan Otori.

Słuch powiedział mi, że przestało padać, a wzrok, że jest środek dnia. Pokój wydawał się duszny i lepki, powietrze nieruchome i ciężkie. Słomiana mata lekko cuchnęła kwasem.

- Nie chcę, by Iida dopędził mnie w stu zbrojnych tylko dlatego, że jakiś chłopak zrzucił go z konia - gderał dobrodusznie pan Otori. - Musimy szybko iść dalej.

Nic nie powiedziałem. Moje ubranie, uprane i wysuszone, leżało na podłodze. Włożyłem je w milczeniu.

- Dziwi mnie, w jaki sposób zdołałeś stawić czoło Sadamu, skoro teraz boisz się odezwać nawet słowem...

Właściwie nie bałem się go, raczej przejmował mnie nadprzyrodzoną grozą, jakby nagle zaopiekował się mną jakiś anioł, duch lasu lub starożytny bohater. Nie umiałbym nawet powiedzieć, jak wyglądał - nie wtedy, gdyż nie miałem śmiałości spojrzeć na niego wprost. Kiedy zerkąłem nań z ukosa, jego twarz w spoczynku wydawała się spokojna, nie surowa, ale pozbawiona wyrazu. Nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo przeobraża się pod wpływem uśmiechu. Niespełna trzydziestoletni, dość wysoki, miał szerokie ramiona i jasne, kształtne dłonie o długich i niespokojnych palcach, jakby stworzonych, by układać się na rękojeści miecza.

Co też uczyniły teraz, podnosząc miecz z miejsca, gdzie spoczywał na macie. Jego widok przejął mnie dreszczem. Wyobraziłem sobie, że posiadał intymną wiedzę o żywym ciele i serdecznej krwi wielu ludzi, że słyszał ich przedśmiertne krzyki. Przerzątał mnie i fascynował zarazem.

- To jest Jato - rzekł pan Otori, zauważywszy moje spojrzenie. Zaśmiał się i pogładził wyświechtaną czarną pochwę. - W stroju podróznym, tak jak i ja! W domu

obaj ubieramy się bardziej wytwornie!

- Jato - powtórzyłem bezgłośnie. Miecz-wąż, który ocalił mi życie, odbierając życie komuś innemu.

Opuściliśmy zajazd i ruszyliśmy pod kolejną górę obok woniejących siarką gorących źródeł Hinode. Pola ryżowe ustąpiły miejsca bambusowym gajom, takim samym jak w okolicach mojej wioski, a nieco wyżej zaczęły się kasztany, klony i cedry. Las parował w gorących promieniach słońca, tak gęsty, że do nas, na dole, przenikało bardzo niewiele światła. Dwukrotnie węże umykały nam spod nóg, raz mała czarna żmija, drugi raz większy osobnik herbacianej barwy, który przetoczył się, zwinięty w kółko, po czym dał susa w poszycie, jakby przeczuwając, iż Jato mógłby pozbawić go głowy. Przenikliwie śpiewały cykady, ptak min-min zawodził z monotonią, od której pękała głowa.

Pomimo upału szliśmy w szybkim tempie. Niekiedy pan Otori znacznie mnie wyprzedzał; zostawałem na ścieżce zupełnie sam, słysząc z przodu jedynie jego kroki, a gdy po mozolnej wspinaczce docierałem na przełęcz, zastawałem go wpatzonego w kolejne pasma górskie, jak okiem sięgnąć pokryte nieprzebytym lasem.

Najwyraźniej znał tę dziką krainę. Wędrowaliśmy we dnie, w nocy śpiąc zaledwie po kilka godzin, czasem w samotnym wiejskim domu, kiedy indziej w opuszczonej górskiej chacie. Poza miejscami postojów spotykaliśmy niewielu ludzi - drwala, zbierające grzyby dziewczęta, które uciekły na nasz widok, mnicha zmierzającego do odległej świątyni.

Po kilku dniach przekroczyliśmy grzbiet dzielący kraj na pół i choć nadal czasem wspinaliśmy się na strome wzgórza, to znacznie częściej schodziliśmy w dół. W oddali dostrzegałem niekiedy morze, z początku jako daleki błysk, potem w postaci rozległego jedwabistego przestworu, upstrzonego wyspami, podobnymi do zatopionych gór. Nigdy przedtem nie widziałem morza i nie mogłem oderwać od niego wzroku; zdawało mi się wręcz, że to wysoka ściana, która lada moment runie na ląd.

Oparzenie na mojej prawej dłoni powoli się goiło, zostawiając po sobie srebrzystą bliznę.

Wioski, które napotykalismy, były coraz większe, aż w końcu zatrzymaliśmy się na noc w osadzie, którą należało już nazwać miastem. Położona przy głównym trakcie łączącym Inuyamę z wybrzeżem, szczyciła się mnóstwem zajazdów i gospód. Wciąż znajdowaliśmy się na terytorium Tohan i wszechobecne godło potrójnego liścia dębu zniechęcało nas do wyjścia na ulicę, jednak odniosłem niejasne wrażenie, że ludzie w zajeździe rozpoznają pana Otori. Szacunek, jakim go zazwyczaj darzono, zabarwiony był tutaj czymś głębszym, dawną lojalnością, którą obecnie trzeba było ukrywać. Mnie również potraktowano serdecznie, choć w ogóle się nie odzywałem. Od wielu dni nie powiedziałem ani słowa, nawet do mego pana.

Najwyraźniej niezbyt mu to przeszkadzało; sam był człowiekiem miłkliwym i zamyślonym, ale przyglądając mu się ukradkiem, zauważyłem, że od czasu do czasu patrzy na mnie z litością. Czasem miałem wrażenie, że lada chwila przemówi, lecz

zazwyczaj tylko Chrząkał pod nosem:

- No, trudno, nic się na to nie poradzi.

Z przyjemnością przysłuchiwałem się rozmowom służących w zajeździe, który wręcz pękał od plotek. Ogromną ciekawość wzbudzała zwłaszcza kobieta, przybyła poprzedniego wieczora i zamierzająca zostać do jutra. Mówiono, że udaje się do Inuyamy, podobno na spotkanie z samym panem Iidą, i że podróżuje samotnie, ze służbą, rzecz jasna, lecz bez męża, brata czy ojca. Ogólnie uznano, że jest bardzo piękna, choć całkiem stara, co najmniej trzydziestoletnia, tak, tak, bardzo miła, dobra i uprzejma dla wszystkich, a jednak - podróżuje sama! Jakież to tajemnicze! Kucharka oznajmiła, że dama owa niedawno owdowiała i zamierza w stolicy dołączyć do syna, lecz główna pokojowa zaprzeczyła, twierdząc, że to bzdury, podróżna jest bezdzietna i nigdy nie była zameężna. Na te słowa chłopak stajenny oświadczył z pełnymi ustami, że słyszał od lektykarzy, jakoby pani Maruyama miała dwoje dzieci, syna, który zmarł, oraz córkę, przetrzymywaną w Inuyamie jako zakładniczkę.

Wśród pokojówek dały się słyszeć westchnienia i szepty, że nawet bogactwo i szlachetne urodzenie nie chronią przed złym losem, a stajenny dodał:

- Dobrze, że przynajmniej dziewczynka żyje; jest potomkinią z rodu Maruyama, gdzie dziedziczy się w linii żeńskiej.

Ta wiadomość wzbudziła zdumienie i poruszenie, ponownie rozniecając zainteresowanie osobą podróżnej, która mogła samodzielnie posiadać ziemię, jedyne dobro, przekazywane córkom, a nie synom.

- Nic dziwnego, że ośmiela się podróżować samotnie - rzekła kucharka.

Zachęcony sukcesem chłopiec stajenny rozgadał się:

- Jednak pan Iida uważa, że to oburzające. Powiadają, że pragnie przejąć jej włości, albo siłą, albo przez małżeństwo.

Kucharka trzepnęła go w ucho.

- Uważaj, co mówisz! Nigdy nie wiadomo, kto słucha!

- Byliśmy Otori i znowu będziemy - mruknął chłopak. Widząc, że stoję w drzwiach, główna pokojowa gestem zaprosiła mnie do środka.

- Dokąd wędrujecie? Pewnie przyszliście z daleka!

Pokręciłem głową z uśmiechem. Jedna z dziewcząt, biegnąc na wezwanie gościa, klepnęła mnie w przelocie po ramieniu i zawołała:

- On nie mówi. Szkoda, prawda?

- Co ci się stało? - zapytała kucharka. - Ktoś sychnął ci ziemią w pysk, jak psu Ainu?

Pokpiwali ze mnie dobrodusznie, dopóki służąca nie wróciła, prowadząc mężczyznę w kurtce z godłem, przedstawiającym górę wpisaną w okrąg. Człowiek ten, który, jak się zorientowałem, należał do świty pani Maruyama, ku memu zaskoczeniu zwrócił się do mnie:

- Moja pani życzy sobie porozmawiać z tobą - powiedział uprzejmie.

Zawahałem się, czy powinienem z nim iść, lecz miał uczciwą twarz, a poza

tym ja również zapragnąłem obejrzeć ową tajemniczą kobietę. Poszedłem za nim na drugą stronę dziedzińca, gdzie mój przewodnik zatrzymał się przy drzwiach pokoju otwartego na werandę, po czym klęknął i szybko coś powiedziawszy, gestem kazał mi wejść.

Za progiem pośpiesznie padłem na kolana i dotknąłem czołem podłogi, ledwie odważając się spojrzeć na siedzącą naprzeciw kobietę. Byłem pewien, że znajduję się przed obliczem księżniczki. Czarne, jedwabiste pasma jej włosów sięgały ziemi, skóra była biała jak śnieg. Miała na sobie szaty w rozmaitych odcieniach kości słoniowej, kremowe i gołę-bioszare, haftowane w różowe i czerwone piwonie. Płynął od niej ogromny spokój, który najpierw przywiódł mi na myśl głębokie górskie stawy, a potem nagle hartowaną stal Jato, miecza-węża.

- Słyszałam, że nie mówisz - rzekła głosem cichym i czystym niczym woda.

Poczułem na sobie jej pełne współczucia spojrzenie i krew nabiegła mi do twarzy.

- Do mnie możesz się odezwać.

Sięgnęła po moją dłoń i nakreśliła na niej palcem znak Ukrytych. Doznałem wstrząsu, jak oparzony pokrzywą. Mimowolnie cofnąłem rękę.

- Powiedz mi, co widziałeś - zażądała głosem łagodnym, ale natarczywym.

Nie odpowiadałem, więc zapytała szeptem:

- To był Iida Sadamu, prawda?

Uniosłem odruchowo głowę. Uśmiechała się, lecz w jej uśmiechu nie było radości.

- A ty należysz do Ukrytych - orzekła.

Mój pan ostrzegał mnie, bym się nie zdradził, sądziłem też, że wraz z imieniem Tomasu pochowałem swoje stare „ja”, ale wobec tej kobiety byłem bezradny. Już miałem zamiar skinąć potakująco głową, gdy usłyszałem na dziedzińcu stąpanie pana Otori. Uświadomiłem sobie, że bez trudu rozpoznaję jego krok, usłyszałem także, że podąża za nim jakaś kobieta oraz człowiek, który mnie tu przyprowadził. Zdumiony, nagle zdałem sobie sprawę, że gdybym się skupił, byłbym w stanie rozróżnić wszystkie odgłosy w zajeździe. Słyszałem, jak chłopiec stajenny wstaje i wychodzi z kuchni, słyszałem plotki pokojówek i rozpoznałem głos każdej z nich. Słuch, którego ostrość powoli wzrastała od chwili, gdy przestałem mówić, zalał mnie teraz powodzią dźwięków. Doznanie to było wręcz nieznośne, jakbym miał wysoką gorączkę. Przyszło mi na myśl, że siedząca przede mną kobieta jest wiedźmą, która rzuciła na mnie urok. Nie miałem śmiałości skłamać, ale nie mogłem się do niej odezwać.

Ocaliło mnie wejście służącej, która uklękła przed panią Maruyama i powiedziała cicho:

- Jego dostojność szuka chłopca.

- Poproś go tutaj - odparła dama. - Aha, Sachie, bądź uprzejma przynieść przybory do parzenia herbaty.

Do pokoju wszedł pan Otori i wymienił z panią Maruyama głęboki, pełen szacunku ukłon. Mówili do siebie z grzecznością nieznajomych - ani razu nie użyła

jego imienia - a jednak odniosłem wrażenie, że dobrze się znają. Wyczułem między nimi napięcie, którego przyczynę zrozumiałem dopiero później, które jednak przyprawiło mnie o jeszcze większy niepokój.

- Służące powiedziały mi, że podróżujesz z jakimś chłopcem - rzekła dama. - Chciałam go poznać osobiście.

- Owszem, zabieram go do Hagi - odparł pan Otori. - On jedyny ocalał z masakry. Nie chciałem go zostawiać na pastwę Sadamu.

Najwyraźniej nie miał ochoty niczego wyjaśniać, jednak po chwili dodał:

- Nadałem mu imię Takeo.

Na te słowa na ustach pani Maruyama wykwitł prawdziwy, radosny uśmiech.

- Cieszę się - oznajmiła. - W jego wyglądzie jest coś takiego...

- Tak uważasz, pani? Ja również tak sędzę.

Służąca wróciła, niosąc tacę, czajnik i miseczkę. Widziałem wyraźnie owe naczynia, gdyż postawiła je na macie, na poziomie moich oczu; w ich polewie utrwalała się zieleń lasu i błękit nieba.

- Pewnego dnia przyjedziesz do Maruyamy, do pawilonu herbacianego mojej babki - powiedziała dama. - Wtedy wykonamy tę ceremonię tak, jak powinno się ją wykonywać. Ale na razie musimy sobie radzić, jak możemy.

Gdy nalała gorącej wody, pokój wypełnił gorzkosłodki zapach.

- Usiądź prosto, Takeo - poprosiła.

Ubiła herbatę na zieloną pianę i podała miseczkę panu Otori. Ujął ją oburącz, trzykrotnie obrócił, a wypiwszy, otarł kciukiem krawędź, po czym z ukłonem zwrócił miseczkę. Pani Maruyama napełniła ją ponownie i podała mnie. Starannie naśladując czynności mego pana, uniosłem naczynie do ust i pociągnąłem łyk pianistego napoju. Miał gorzki smak, ale działał oczyszczająco na umysł. Poczułem, że trochę się uspokajam. W Mino nigdy nie piłem nic takiego - naszą herbatę przyrządzaliśmy z gałązek i górskich ziół.

Otarłem miejsce, którego dotknąłem wargami, i oddałem miseczkę, kłaniając się niezdarnie pani Maruyama. Bałem się, że pan Otori to zauważy, że będzie mu za mnie wstyd, lecz gdy nań zerknąłem, jego wzrok był wbity w damę.

Kiedy i ona wypiła, w pokoju zapadło milczenie. Miałem wrażenie, że wszyscy troje uczestniczyliśmy w świętym obrzędzie, jakbym właśnie wziął udział w rytualnym posiłku Ukrytych. Zalała mnie fala tęsknoty za domem, za rodziną, za starym życiem, lecz chociaż oczy mnie zapiekły, nie pozwoliłem sobie na płacz. Musiałem się nauczyć wytrwałości.

We wnętrzu dłoni wciąż czułem dotyk palców pani Maruyama.

Zajazd był o wiele większy i wygodniejszy niż miejsca, w których nocowaliśmy podczas pośpiesznej wędrówki przez góry, a jedzenie nie przypominało nic, czego dotąd zdarzyło mi się próbować. Podano węgorza w korzennym sosie, słodkie ryby z tutejszych strumieni oraz wiele porcji ryżu o barwie bielszej niż cokolwiek w Mino, gdzie jadłem ryż trzy razy do roku, jeśli miałem szczęście. Po raz pierwszy w życiu piłem też wino ryżowe. Pan Otori był w znakomitym nastroju - „wzlatywał”, jak mawiała moja matka - jego milkliwość i żal

gdzieś przysły, a i ja odczułem na sobie skutki pogodnej magii trunku.

Po posiłku kazał mi iść do łóżka, mówiąc, że chce się przejść, aby przewietrzyć głowę. Kiedy służące przygotowały dla nas pokój, położyłem się i wsłuchałem w odgłosy nocy. Węgorz, a może wino nie dawały mi jednak spokoju, sprawiając, że słyszałem za dużo; nawet odległe dźwięki wybijały mnie ze snu. Co jakiś czas wyraźnie dobiegało mnie szczekanie psów w mieście - kiedy jeden zaczynał, reszta przyłączała się do niego, a ja wkrótce zacząłem odróżniać poszczególne głosy. Jałem rozmyślać o psach, o tym, jak śpią, strzygąc uszami, niepokojone tylko przez niektóre dźwięki. Zrozumiałem, że będę musiał się do nich upodobnić, inaczej już nigdy nie zasnę.

Gdy o północy po raz kolejny usłyszałem dźwięk świątynnych dzwonów, wstałem i poszedłem do ustępu. Odgłos własnego sikania wydał mi się donośny niczym szum wodospadu. Opłukałem ręce przy zbiorniku na dziedzińcu, po czym przystanąłem, zasłuchany.

Noc była cicha i ciepła; zbliżała się pełnia ósmego miesiąca. W zajeździe panowała cisza - wszyscy już dawno spali. Na polach ryżowych nad rzeką skrzeczały żaby, raz czy dwa rozległo się pohukiwanie sowy. Wchodząc na werandę, wyraźnie usłyszałem głos pana Otori. Przez chwilę sądziłem, że wrócił do naszego pokoju i o coś mnie prosi, lecz wtem odpowiedział mu głos kobiecy. Należał do pani Maruyama.

Wiedziałem, że nie powinienem słuchać tej rozmowy. Mówili szeptem i z wyjątkiem mnie nikt nie mógł ich dosłyszeć. Zamknąłem za sobą drzwi pokoju, po czym położyłem się na macie, usiłując się zmusić do zaśnięcia, jednak moje uszy nieodparcie tęskniły za dźwiękami i mimowolnie łowiły każde słowo.

Rozmawiali o miłości, którą czuli do siebie, o swoich rzadkich spotkaniach oraz planach na przyszłość. Ponieważ mówili ostrożnie i zwięźle, nie pojmowałem wielu rzeczy, przynajmniej wówczas. Dowiedziałem się, że pani Maruyama zmierza do stolicy zobaczyć się z córką, a ponadto obawia się, że Iida będzie nalegał na małżeństwo - jego żona chorowała i spodziewano się, że nie pożyje długo, a jedyny syn, którego mu powiła, także chorowity, stał się dlań wielkim rozczarowaniem.

- Nie wyjdiesz za nikogo oprócz mnie - szepnął on, ona zaś odparła: - Tylko tego pragnę. Wiesz o tym.

Wtedy pan Otori przysiągł, że nigdy nie pojmie za żonę innej kobiety ani nie legnie w łóżnicy z nikim oprócz pani Maruyama, po czym wyznał, że ma pewien plan, ale go nie wyjawiał. Usłyszałem swoje imię, z czego wywnioskowałem, że plan ów w jakiś sposób dotyczy także i mnie. Zrozumiałem również, że między moim panem a Iidą Sadamu tli się zadawniona wrogość, sięgająca bitwy pod Yaegaharą.

- Umrzemy tego samego dnia - powiedział do pani Maruyama. - Nie mogę żyć w świecie, w którym nie ma ciebie.

Potem miejsce szeptów zajęły inne szmery, jakie towarzyszą namietności między mężczyzną i kobietą. Zatkąłem uszy palcami. Wiedziałem, co to pożądanie, zaspokajałem je w towarzystwie innych chłopców z wioski albo u dziewcząt w burdelu, ale o miłości nie wiedziałem nic. Cokolwiek słyszałem, przysięgałem sobie

nigdy o tym nie mówić. Zamierzałem dochować tego sekretu tak ściśle, jak Ukryci strzegą swych tajemnic. Byłem wdzięczny, że opuścił mnie głos.

Nie ujrzałem już pani Maruyama - następnego ranka wyruszyliśmy wcześniej, godzinę po wschodzie słońca. Mimo rannej pory było ciepło; mnisi spryskiwali wodą krużganki świątyni, a powietrze pachniało kurzem. Przed odjazdem służące przyniosły nam herbatę, ryż i zupe. Stawiając przede mną nakrycie, jedna z nich z trudem stłumiła ziewnięcie, po czym przeprosiła mnie ze śmiechem. Była to ta sama dziewczyna, która wczoraj poklepała mnie po ramieniu

- Powodzenia, młody panie! Szczęśliwej podróży! Nie zapominaj o nas! - zawołała, gdy odjeżdżaliśmy.

Żałowałem, że nie zostajemy tu dłużej. Pan Otori, rozbawiony, zaczął kpić, że w Hagi będzie musiał mnie bronić przed dziewczętami. Mimo prawie nieprzespanej nocy, miał znakomity humor i maszerował gościńcem jeszcze raźniej niż zazwyczaj.

Sądziłem, że pójdziemy traktem pocztowym do Yamagaty, lecz zamiast tego ruszyliśmy w poprzek miasta, podążając brzegiem strumyka mniejszego od szerokiej rzeki, która płynęła wzdłuż głównego gościńca. W miejscu, gdzie spieniony strumień się zwęzał, przeszliśmy po kamieniach na drugą stronę i raz jeszcze zaczęliśmy piąć się po zboczu.

Dobrze się stało, że wzięliśmy z zajazdu całodzienny zapas jedzenia, gdyż minawszy wioski położone nad potokiem, nie spotkaliśmy już żywego ducha. Pod górę wiodła odludna, wąska i stroma ścieżka, a gdy po mozolnej wspinaczce zatrzymaliśmy się na grani na posiłek, było już późno i niskie popołudniowe słońce rzucało długie cienie na leżącą pod nami równinę. Za nią, na wschodzie, ciągnęły się łańcuchy górskie, z wolna nabierające stalowosinej barwy indygo.

- Tam jest stolica - powiedział pan Otori, podążając za moim wzrokiem.

Myślałem, że ma na myśli Inuyamę, i zdziwiłem się. Widząc moje zaskoczenie, wyjaśnił:

- Nie, mówię o prawdziwej stolicy kraju, gdzie mieszka cesarz, daleko za najdalszym łańcuchem gór. Inuyama leży na południowym wschodzie - wskazał kierunek, z którego przyszliśmy. - Stolica znajduje się daleko, a cesarz jest słaby, dlatego watażkowie tacy jak Iida mogą robić, co im się podoba. - Znów popadł w ponury nastrój. - A przed nami rozciąga się Yaegahara, pole największej kłęski klanu Otori, gdzie poległ mój ojciec. Tutaj Otori zostali zdradzeni przez klan Noguchi, którzy przeszli na stronę wroga i przyłączyli się do Iidy. Zginęło ponad dziesięć tysięcy ludzi. - Spojrzał na mnie i dodał: - Wiem, jak to jest, kiedy ogląda się rzeź najbliższych. Nie byłem wówczas wiele starszy niż ty obecnie.

Spojrzałem na pustą równinę. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wygląda bitwa. Pomyślałem o krwi dziesięciu tysięcy osób, wsiąkającej w ziemię Yaegahary. Słońce tonęło w czerwonej, przedwieczornej mgle, jakby wyssanej z krwawego piachu. Pod nami, smętnie nawołując, wirowały kanie.

- Nie chciałem iść przez Yamagatę - rzekł pan Otori, gdy zaczęliśmy schodzić - częściowo dlatego, że zbyt dobrze mnie tam znają, a częściowo z innych powodów, które ci kiedyś wyjaśnię. Ale to oznacza, że dziś zanocujemy na dworze i trawa

będzie nam posłaniem, gdyż nie ma w pobliżu miasta, gdzie moglibyśmy się zatrzymać. Bezpieczni będziemy dopiero, gdy tajemnym przejściem przekroczymy granicę lenna, bo wtedy znajdziemy się na terytorium Otori, poza zasięgiem władzy Sadamu.

Nie chciałem spędzić nocy na tym pustym polu. Bałem się dziesięciu tysięcy duchów, przerażały mnie upiory i widma, zamieszkujące okoliczny las. Pomruk strumienia brzmiał w moich uszach jak głos wodnika, szczekanie lisa czy pohukiwanie sowy sprawiało, że budziłem się z łomoczącym sercem. W pewnej chwili zadrżała ziemia; od lekkiego wstrząsu zaszeleściły drzewa, gdzieś w oddali osunęły się kamienie. Wydawało mi się, że słyszę głosy umarłych, domagających się zemsty, próbowałem się modlić, lecz czułem w sobie jedynie ogromną pustkę. Tajemny bóg, którego czczą Ukryci, zginął wraz z moją rodziną. Osierocony przez nich, także z nim utraciłem łączność.

Pan Otori spał spokojnie obok mnie, niczym w gościnnym pokoju w zajeździe, wiedziałem jednak, że lepiej niż ja uświadamia sobie żądania umarłych. Z obawą pomyślałem o świecie, do którego wchodziłem - świecie zupełnie mi nieznanym, świecie klanów o surowych zasadach i bezwzględnych regułach. Wchodziłem doń dzięki kaprysowi tego oto pana, który na moich oczach ściął człowiekowi głowę i właściwie wziął mnie w posiadanie. Wilgotne nocne powietrze sprawiło, że zadrżałem.

Wstaliśmy przed świtem i gdy niebo zaczęło szarzeć, przeprawiliśmy się przez rzekę, wyznaczając granicę ziem Otori.

Po bitwie pod Yaegaharą klan Otori, uprzednio władający całą Środkową Krainą, został zepchnięty przez klan Tohan na wąski pas wybrzeża pomiędzy ostatnim pasmem gór i morzem północnym. Posterunków na głównym gościńcu strzegli ludzie lidy, lecz w dzikim, niezaludnionym wnętrzu kraju istniało wiele miejsc, gdzie można było prześliznąć się przez granicę. Znała je większość chłopów i pasterzy, którzy wciąż uważali się za Otori i bynajmniej nie kochali Tohan.

Pan Otori opowiedział mi to wszystko owego dnia naszej wędrówki, kiedy przez cały czas szliśmy, mając po prawej ręce morze. Opowiadał mi o tutejszym życiu, o sposobach uprawiania ziemi, o tamach i kanałach irygacyjnych, o sieciach, które wiążą rybacy, i o tym, jak wydobywają z morza sól. Wszystko go ciekawiło i na wszystkim się znał.

Nasza ścieżka stopniowo zamieniała się w ruchliwą drogę. Coraz częściej spotykaliśmy rolników, idących do następnej wsi na targ z ładunkiem batatów i zielonych warzyw, jaj i suszonych grzybów, pędów lotosu i bambusa. I my zatrzymaliśmy się na jednym z takich targów, żeby kupić nowe słomiane sandały, gdyż nasze całkiem się rozpadły.

Pod wieczór dotarliśmy do zajazdu, gdzie powitano pana Otori okrzykami radości. Wszyscy obecni wybiegli na podwórze i padli przed nami plackiem na ziemię. Przygotowano najlepsze pokoje, podczas posiłku smakowite dania pojawiały się jedno po drugim. On sam zdawał się przeobrażać na moich oczach. Oczywiście, wiedziałem, że jest wysoko urodzony i pochodzi z kasty rycerskiej, ale wciąż nie

miałem pojęcia, jaką rolę odgrywa w hierarchii swego klanu. Zaczynałem jednak pojmować, że musi być osobą niezwykle znaczącą, a jego towarzystwo coraz bardziej mnie onieśmiewało. Czułem, że wszyscy przyglądali mi się z ukosa, ciekawi, co właściwie tu robię, i marząc o tym, by posłać mnie precz, wymierzając przedtem szturchańca pod żebra.

Następnego ranka mój pan włożył strój stosowny do jego prawdziwej pozycji, ponadto czekały na nas konie oraz kilku służących. Ci, widząc, że nie mam pojęcia o koniach, wymienili między sobą ironiczne uśmiechy; nie posiadali się ze zdumienia, gdy pan Otori kazał jednemu z nich wziąć mnie na siodło, ale żaden nie odważył się na komentarz. W drodze usiłowali nawet podjąć ze mną rozmowę, dopytywali się, skąd pochodzę i jak mi na imię, lecz gdy odkryli, że jestem niemową, uznali, że jestem głupi, a w dodatku głuchy, gdyż od tej chwili mówili do mnie bardzo głośno, używając prostych wyrazów i gestów.

Trzęsienie się na końskim zadzie nie przypadło mi do gustu - jedynym koniem, którego dotychczas bliżej poznałem, był wierzchowiec lidy, i nie miałem pewności, czy wszystkie konie nie żywią do mnie urazy za ból, jaki mu sprawiłem. Przede wszystkim jednak zastanawiałem się, co mnie czeka po przybyciu do Hagi. Wyobrażałem sobie, że zostanę czymś w rodzaju służącego w ogrodzie lub w stajni, jednak pan Otori miał wobec mnie inne plany.

Trzeciego dnia od noclegu na skraju równiny Yaegahara po południu dotarliśmy do miasta Hagi, gdzie znajdował się zamek klanu Otori. Miasto zbudowano na wyspie odciętej od stałego lądu dwoma rzekami i morzem. Prowadził do niego najdłuższy kamienny most, jaki w życiu widziałem, zbudowany z doskonale dopasowanych głazów; miał cztery łukowate przęsła, pod którymi z rykiem pędziły wody odpływu. Uznałem, że konstrukcja ta jest dziełem czarów i kiedy nasze konie na nią wkroczyły, mimowolnie zamknąłem oczy. Ryk wody rozbrzmiał grzmotem w moich uszach, lecz w jego tle usłyszałem inny dźwięk - jakby ciche zawrozczenie, które przeszło mnie dreszczem.

Na środku mostu pan Otori przystanął. Zsunąłem się z konia i podszedłem do niego. Wskazał mi ogromny głaz, wmurowany w balustradę, na którym wykuto jakieś znaki.

- Umiesz czytać, Takeo?

Pokręciłem przecząco głową.

- To masz pecha, będziesz musiał się nauczyć! - Roześmiał się. - Myślę, że nauczyciel zada ci wiele cierpień. Jeszcze pożałujesz, że porzuciłeś życie w dzikich górach.

Przeczytał głośno napis:

- „Klan Otori wita sprawiedliwych i lojalnych, lecz niegodni i zdrańcy niech się strzegą”.

Pod znakami widniało godło, przedstawiające czapkę. Pieszko dotarliśmy do końca mostu.

- Pod tym kamieniem pochowano żywcem kamieniarza - zauważył pan Otori mimochodem - aby już nigdy nie zbudował równie pięknego mostu i aby strzegł go

po kres czasu. Nocami słysząc, jak jego duch rozmawia z rzeką.

Nie tylko nocami - myśl o smutnym duchu, uwięzionym w swoim cudownym dziele, przeszła mnie chłodem. Ale już wchodziliśmy do miasta i dźwięki, wydawane przez żywych, stłumiły głos umarłych.

Hagi, pierwsze naprawdę duże miasto, które odwiedziłem, wydało mi się ogromne i przytłaczające. W głowie dzwoniło mi od zgiełku - nawoływań sprzedawców ulicznych, stukotu krosien, dobiegającego z wąskich domostw, dźwięcznych uderzeń młotków kamieniarzy, warkliwych pił oraz wielu innych odgłosów, których nigdy nie słyszałem i nie umiałem określić. Na jednej z ulic mieszkali sami garncarze i w nozdrza uderzył mnie zapach gliny; nigdy przedtem nie widziałem garncarskiego koła i nie słyszałem huku rozpalonego pieca. A w tle tych wszystkich dźwięków rozbrzmiewały nieustanne rozmowy, okrzyki, przekleństwa i śmiechy istot ludzkich, podobnie jak w tle wszystkich innych zapachów dawał się wyczuć odór ich odchodów.

Ponad domami wznosił się zamek, zbudowany tyłem do morza. Przez chwilę sądziłem, że tam właśnie zmierzamy, i poczułem ciężar na sercu, tak ponury i odstraszący był to widok, lecz niebawem skręciliśmy na wschód, podążając wzdłuż rzeki Nishigawa, aż do jej zbiegu z rzeką Higashigawa. Z lewej strony rozciągała się tutaj dzielnica krętych zaułków i kanałów, gdzie kryte dachówką mury otaczały duże domostwa, ledwie widoczne pomiędzy drzewami.

Słońce schowało się za ciemne chmury; w powietrzu pachniało deszczem. Konie przyspieszyły kroku, jakby wiedząc, że dom blisko. Na końcu uliczki stała otworem szeroka brama. Z wartowni obok niej wybiegli strażnicy, którzy padli na kolana, pochylając głowy, kiedyśmy ich mijali.

Koń pana Otori także opuścił łeb i trącił mnie w ramię. Ze stajni rozległo się rżenie innego konia. Przytrzymałem wodze. Mój pan zsiadł, a służący zabrali wierzchowca, by go odprowadzić.

Pan Otori ruszył przez ogród. Przystanąłem na chwilę, niepewny, czy mam z nim iść, czy też odejść z jego ludźmi, lecz odwrócił się i zawołał mnie po imieniu.

W ogrodzie rośło mnóstwo krzewów i drzew, jednak nie w zwartym gąszczu, jak dzikie górskie rośliny, lecz każde na swoim miejscu, dostojne i dobrze wychowane. Niemniej tu i ówdzie dostrzegałem znajomą roślinność, jakby schwytyany i przeniesiony w miniaturze fragment góry.

Ogród był pełen dźwięków - szumu wody płynącej po kamieniach, kropli śpiewających w rurach. Gdy zatrzymaliśmy się przy zbiorniku, aby opłukać ręce, woda popłynęła zeń dźwięcznie niczym dzwonek, jakby ktoś ją zaczarował.

Służący czekali już na werandzie. Zaskoczyło mnie, że jest ich tak niewielu, lecz dowiedziałem się później, że pan Otori żyje bardzo prosto. Dostrzegłem trzy młode dziewczyny, starszą kobietę oraz mężczyznę lat mniej więcej pięćdziesięciu. Złożywszy ukłony, dziewczęta oddaliły się, lecz dwoje starszych wpatrywało się we mnie z niekłamanym zdumieniem.

- Taki podobny...! - szepnęła kobieta.

- Niesamowite! - przytaknął mężczyzna, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Pan Otori z uśmiechem zdjął sandały.

- Spotkałem go w ciemnościach! - rzekł, wchodząc do domu. - Do następnego ranka nie miałem o tym pojęcia. To podobieństwo przejściowe.

- Nie, znacznie więcej - zaprzeczyła kobieta, prowadząc mnie do środka. - To wykapywany on.

Mężczyzna ruszył za nami, patrząc na mnie z zaciśniętymi ustami, jakby właśnie zjadł marynowaną śliwkę - jakby przewidywał, iż moje pojawienie się w tym domu spowoduje wyłącznie kłopoty.

- W każdym razie dałem mu na imię Takeo - rzucił przez ramię pan Otori. - Przygotujcie mu kąpiel i znajdźcie jakieś ubranie.

Starszy pan chrząknął, zdziwiony.

- Takeo! - wykrzyknęła kobieta. - A jak się nazywasz naprawdę?

Widząc, że nie odpowiadam, lecz tylko wzruszam ramionami, mężczyzna sarknął ze złością:

- Ależ to półgłówek!

- Nie, mówi zupełnie dobrze - odparł pan Otori, zniecierpliwiony. - Sam słyszałem. Ale widział straszne rzeczy, które kazały mu zamilknąć. Przemówi, gdy minie szok.

- Oczywiście - przytaknęła starsza pani, po czym uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową: - Chodź z Chiyo, chłopcze. Ja się tobą zajmę.

- Proszę wybaczyć, panie Shigeru - upierał się starszy pan (odgadłem, że tych dwoje zna mego pana od dzieciństwa, że zapewne go wychowali) - ale co zamierzasz zrobić z tym chłopcem? Czy mamy znaleźć mu zajęcie w kuchni albo w ogrodzie? Oddać w termin? Co on umie?

- Zamierzam go zaadoptować, Ichiro - odrzekł pan Otori. - Jutro możesz wszcząć odpowiednie kroki.

Zapadło długie milczenie. Ichiro robił wrażenie oszołomionego, choć z pewnością nie mógł być wstrząśnięty bardziej ode mnie. Chiyo z trudem powstrzymywała uśmiech. Oboje zaczęli mówić naraz, lecz po chwili kobieta przeprosiła i ustąpiła pierwszeństwa mężczyźnie.

- To wielka niespodzianka - rzekł Ichiro, posapując.

- Wyjechałeś w podróż z tym zamiarem?

- Nie, wszystko stało się przypadkiem. Wiesz, jak cierpiałem po śmierci brata. Szukałem ulgi w podróżach, lecz odkąd znalazłem tego chłopca, ból stał się jakby bardziej znośny.

Chiyo klasnęła w dłonie.

- Los ci go zesłał! Gdy tylko cię ujrzałam, pomyślałam, że jesteś odmieniony, w przedziwny sposób uleczony. Oczywiście, nikt nigdy nie zastąpi pana Takeshi...

Takeshi! A więc pan Otori nadał mi imię podobne do imienia zmarłego brata! I chciał mnie przyjąć do rodziny! Ukryci mówią o ponownych narodzinach dzięki wodzie - ja narodziłem się ponownie dzięki mieczowi.

- Shigeru, robisz straszny błąd - oświadczył Ichiro bez ogródek. - Ten chłopak jest nikim, to jakiś prostak... Co pomyśli reszta klanu? Twój stryjowie nigdy się na to

nie zgodzą. Sama prośba o adopcję byłaby obelgą.

- Spójrzcie na niego - odrzekł pan Otori. - Kimkolwiek byli jego rodzice, wśród jego przodków istniał ktoś, kto nie pochodził z gminu. Tak czy inaczej, uratowałem go przed ludźmi Tohan, gdyż Iida chciał, żeby zginął. Skoro więc ocaliłem mu życie, należy do mnie i muszę go adoptować. Klan powinien go wziąć pod opiekę i chronić przed Tohańczykami. Zabiłem dla niego człowieka, a może i dwóch.

- Wysoka cena. Miejmy nadzieję, że już nie wzrośnie - uciał Ichiro. - A cóż takiego zrobił, żeby zwrócić na siebie uwagę Iidy?

- Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, ot i wszystko. Nie ma potrzeby wgłębiać się w jego historię. Możesz go przedstawić jako dalekiego krewnego mojej matki. Na pewno coś wymyślisz.

- Tohan prześladowa Ukrytych - powiedział domyślnie Ichiro. - Chcesz mi wmówić, że on do nich nie należy?

- Nawet jeśli tak, to już przeszłość - oznajmił pan Otori. - Dalszy spór nie ma sensu, Ichiro. Dałem słowo, że będę chronił tego chłopca, i nic nie odmieni mego postanowienia. A poza tym bardzo go polubiłem.

- Nic dobrego z tego nie wyniknie - stęknął Ichiro.

Obaj mężczyźni, starszy i młodszy, przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie pan Otori machnął ręką ze zniecierpliwieniem, na co Ichiro spuścił wzrok i uklonił się niechętnie. Pomyślałem, że to wielka wygoda być wielkim panem i wiedzieć, że w końcu zawsze dopnie się swego.

Gwałtowny powiew wiatru poruszył okiennicami. Ich skrzypienie sprawiło, że świat wokół mnie znów stał się nierzeczywisty, zupełnie jakby w mojej głowie przemówił głos: tym właśnie się staniesz. Rozpaczliwie zapragnąłem cofnąć czas do dnia, kiedy poszedłem zbierać grzyby na drugą stronę góry, powrócić do starego życia z matką i moim ludem. Wiedziałem jednak, że mam już to za sobą, że dzieciństwo skończyło się bezpowrotnie. Musiałem stać się mężczyzną i mężnie znosić to, co zostanie mi zesłane.

Pełen temu podobnych szlachetnych myśli podążyłem za Chiyo do łaźni. Jednak służąca najwyraźniej nie miała pojęcia, do jak doniosłych wniosków doszedłem, gdyż potraktowała mnie jak dziecko - kazała mi się rozebrać, gruntownie wyszorowała mi plecy, po czym zostawiła, bym się wymoczył w gorącej wodzie.

Niebawem wróciła, niosąc lekką bawełnianą szatę, którą kazała mi włożyć. Cóż było robić, posłuchałem. Potem wytarła mi włosy ręcznikiem i zaczesła do tyłu, wiążąc je w węzeł na czubku głowy.

- Musimy to obciąć - mruknęła i przeciągnęła dłonią po mojej twarzy. - Zarost nadal masz niewielki. Ciekawe, ile lat sobie liczysz? Szesnaście?

Przytaknąłem. Pokręciła głową.

- Pan Shigeru życzy sobie, żebyś z nim jadł. - Westchnęła, po czym dodała cicho: - Mam nadzieję, że nie przysporzysz mu smutku.

Odgadłem, że Ichiro podzielił się z nią wątpliwościami.

Wróciłem z nią do domu, starając się po drodze zapamiętać wszystkie szczegóły. Zapadał zmrok i lampy w żelaznych uchwytach mżyły słabym światłem,

pograżając kąty pokoi w pomarańczowym cieniu. Chiyo powiodła mnie ku schodkom w narożniku głównej sali. Nigdy czegoś takiego nie widziałem - w Mino mieliśmy drabiny, nie porządne stopnie, takie jak te. Wykonano je z ciemnego drewna, bardzo błyszczącego - dębowego, jak sądziłem - a każda deska przy stąpieniu wydawała swój własny, cichutki dźwięk. Znowu przyszło mi na myśl, że to czarodziejski twór, i że słyszę w tych schodach głos ich budowniczego.

Pomieszczenie było puste, a zasłony wychodzących na ogród okien - szeroko rozsunęte. Padał drobny deszcz. Chiyo skłoniła mi się - niezbyt głęboko, jak zauważyłem - i zeszła z powrotem na dół. Słuchałem jej oddalających się kroków i po chwili dobiegła mnie jej rozmowa ze służącymi w kuchni.

Znajdowałem się w najpiękniejszym pokoju, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się ujrzeć. Od tamtej pory poznałem niemało zamków, pałaców, rezydencji szlacheckich, lecz żadna z tych budowli nie może się równać z salą na piętrze domu pana Otori owego wieczora pod koniec ósmego miesiąca, kiedy deszcz padał miękko na ogród za oknem. Przede mną wyrastał z podłogi potężny słup, pień pojedynczego cedru, wypolerowany, aby podkreślić sęki i słoje drewna. Zgaszona brązowawa czerwień belek stropu - także cedrowych - delikatnie odcinała się od kremowobiałych ścian.

Maty na podłodze, wypłowiałe do barwy bladego złota, połączono szerokimi taśmami koloru indygo pokrytymi wzorem, przedstawiającym sylwetkę białej czapli rodu Otori.

W bocznej alkowie wisiał na ścianie zwój z wizerunkiem małego ptaka, podobnego do zielono-białoskrzydłej mucho-łóWKi z mojego lasu. Był tak rzeczywisty, że niemal oczekiwałem, iż zaraz odleci i zdumiałem się, że jakiś wielki malarz tak dobrze znał niepozorne górskie ptaszki.

Z dołu dał się słyszeć odgłos kroków. Usiadłem pośpiesznie i starannie podwinałem stopy. Przez otwarte okno dostrzegłem, że w ogrodowym stawie stoi wielka, białosiwa czapla; nagle zanurzyła dziób w wodzie, po czym wyjęła go, trzymając jakieś niewielkie wijące się stworzenie. Po chwili elegancko wzbiła się do lotu i zniknęła za murem.

Do pokoju wszedł pan Otori, a za nim dwie dziewczyny, niosące tace z jedzeniem. Skinał mi głowę, ja zaś przypadłem do podłogi. Przez głowę przemknęła mi myśl, że on, Otori Shigeru, jest czapłą, a ja owym małym, wijącym się stworzeniem, które złowił, spadając z gór do mojego świata, aby mnie unieść ze sobą.

Deszcz padał coraz gęściej. W domu i ogrodzie rozdzwoniła się woda. Płynęła przepełnionymi rynkami, ciekła po bruku, wpadała do strumienia, biegnącego od stawu do stawu, a każdy mały wodosпад wydawał inny dźwięk. Dom śpiewał dla mnie swoją pieśń, a ja natychmiast się w nim zakochałem. Chciałem doń należeć, zrobiłbym dla niego wszystko - wszystko, czego zażądałby ode mnie jego właściciel.

Kiedy po posiłku zabrano tace, zasiedliśmy przy oknie, patrząc, jak nadchodzi noc. W gasnącym świetle dnia pan Otori wskazał palcem na koniec ogrodu. Płynący kaskadami strumień wlewał się tam do niskiego otworu w krytym dachówką murze, po czym wpadał do rzeki toczącej poniżej swe fale. Słyszałem jej głuchy, jednostajny

ryk; zielonoszare wody wypełniały prześwit niczym malowany parawan.

- Dobrze jest wrócić do domu - rzekł cicho pan Otori. - Lecz rzeka wciąż płynie za progiem, a świat czeka na zewnątrz. To świat, w którym musimy żyć.



Rozdział drugi

W tym samym roku, gdy Otori Shigeru uratował chłopca, który później stał się znany jako Otori Takeo z Mino, daleko na południu zaszły pewne wypadki. Zdarzyły się na zamku, który pan Iida Sadamu podarował panu Noguchi Masayoshiemu na znak wdzięczności za wsparcie w bitwie na równinie Yaegahary.

Pokonawszy klan Otori, odwiecznych wrogów klanu Tohan, i wymusiwszy na nich korzystne warunki kapitulacji, Iida zwrócił swoją uwagę na klan Seishuu, trzeci wielki ród Trzech Krain, którego lenno obejmowało większość terenów na południu i zachodzie. Seishuu woleli utrzymywać pokój za pomocą sojuszków, a nie wojen, toteż na ogół pieczętowali porozumienia, biorąc zakładników, zarówno z wielkich klanów, na przykład Maruyama, jak i mniejszych rodów. Jednym z tych ostatnich był spokrewniony z Seishuu ród Shirakawa.

Najstarsza córka pana Shirakawy, Kaede, przybyła do zamku Noguchi jako zakładniczka tuż po ceremonii zamiany pasa dziecięcego na dziewczęcy. Spędziła w zamku pół życia - dostatecznie długo, by stwierdzić, iż nienawidzi go z co najmniej tysiąca powodów. Nocami, kiedy nie mogła spać ze zmęczenia, lecz nie śmiała się wiercić ani przewracać w obawie, że któraś ze starszych dziewcząt się zbudzi i wymierzy jej klapsa, układała w myślach całe ich spisy. Na szczęście nikt nie mógł sięgnąć do jej głowy i dać klapsa myślom, choć niejedna osoba o tym marzyła. Może dlatego właśnie tak często bito ją po twarzy i całym ciele.

Z uporczywą zawziętością dziecka Kaede lgnęła do blaknących wspomnień z domu, który opuściła, mając zaledwie siedem lat. Nie widziała matki ani młodszej siostry od chwili, gdy pod eskortą ojca zjawiała się w zamku.

Ojciec powracał trzykrotnie, lecz jedynie po to, by stwierdzić, że umieszczono ją ze służbą, a nie z dziećmi Noguchi, jak przystało na córkę rycerskiego rodu. Miara jego upokorzenia się dopełniła; nie mógł nawet zaprotestować, choć ona, nadzwyczaj na swój wiek spostrzegawcza, widziała szok i wściekłość, malujące się w jego oczach. Podczas pierwszych dwóch wizyt umożliwiono im krótkie rozmowy na osobności, z których Kaede najlepiej zapamiętała, jak ojciec, chwyciwszy ją za ramiona, powtarzał z naciskiem: „Gdybyś tylko urodziła się chłopcem!”. Za trzecim razem pozwolono mu jedynie na nią popatrzeć. Nie przyjechał więcej i Kaede nie otrzymała już żadnych wieści z domu.

Doskonale rozumiała jego pobudki. Dzięki otwartym oczom i uszom, a także umiejętności nawiązywania pozornie niewinnych rozmów z nielicznymi osobami, które były jej życzliwe, w wieku lat dwunastu wiedziała już, że jest zakładniczką, pionkiem w zmaganiach klanów. Jej życie nie miało wartości dla możnowładców, traktujących ją niemal jak swoją własność, chyba że wzmacniało ich pozycję

przetargową. Matka Kaede była spokrewniona z rodem Maruyama; ojciec władał strategicznie ważnymi włościami Shirakawa i nie mając własnych synów, byłby w przyszłości zmuszony adoptować ewentualnego męża córki. Trzymając dziewczynkę w niewoli, Noguchi tym samym zapewniali sobie lojalność, wsparcie i dziedzictwo jej rodu.

Przestała już nawet myśleć o wielkich uczuciach - lęku, tęsknocie za domem, samotności - lecz świadomość, że Noguchi nie cenią jej nawet jako zakładniczki, nadal figurowała na pierwszym miejscu wśród rzeczy znienawidzonych. Nienawidziła także wielu innych rzeczy: drwin dziewcząt z tego, że jest leworęczna i niezdarna, zaduchu wartowni przy bramie, stromych schodów, na które tak ciężko się wchodziło, zwłaszcza dźwigając ciężary... Albowiem bez przerwy nosiła jakieś ciężary: miski z zimną wodą, czajniki z wrzątkiem, jedzenie, które wiecznie zgłodniaли mężczyźni wpychali pośpiesznie do ust, oraz inne przedmioty, o których zapomnieli lub po które nie chciało im się chodzić. Nienawidziła samego zamku, od potężnych gładów jego fundamentów do ponurego mroku górnych pomieszczeń, gdzie spalone belki stropu zdawały się odzwierciedlać jej uczucia, jakby chciały się wyrwać ze zniekształconej formy i wrócić do lasu, skąd kiedyś przybyły.

No i mężczyźni. Och, jakże ich nienawidziła! Im była starsza, tym bardziej ją napastowali. Służące w jej wieku rywalizowały o ich uwagę, schlebiali im i nadskakiwały, mówiły sztucznie dziecinnymi głosikami, udając delikatne, a nawet nierozgarnięte, aby tylko znaleźć opiekuna. Kaede nie winiła ich za to - od dawna żywiła przekonanie, że w walce, którą jest życie, kobiety powinny korzystać z wszelkich dostępnych środków obrony - ale sama nie potrafiła się tak dalece poniżyć. Nie mogła nawet o tym myśleć. Jediną szansą, jedyną drogą ucieczki z zamku było dla niej małżeństwo z kimś z własnej klasy. Gdyby zaprzepaściła tę możliwość, równie dobrze mogłaby umrzeć.

Wiedziała, że nie powinna znosić zaczepek, że powinna pójść do kogoś na skargę. Oczywiście, zbliżenie się do pana Noguchi było nie do pomyślenia, ale może zdołałaby porozmawiać z jego żoną. Jednak po zastanowieniu uznała, że nie zostanie do niej dopuszczona - że właściwie nie ma się do kogo zwrócić. Musiała bronić się sama. A przecież mężczyźni byli tacy silni! Uchodziła za wysoką - zbyt wysoką, jak na dziewczynę, twierdziły złośliwie koleżanki - dzięki ustawicznej pracy była też dość sprawna fizycznie, ale gdy raz czy drugi jakiś mężczyzna dla żartu ją złapał, nie umiała się wyrwać, chociaż trzymał ją jedną ręką. Samo wspomnienie o tym przyprawiało ją o dreszcz strachu.

A unikanie zalotów z każdym miesiącem stawało się coraz trudniejsze.

Pod koniec ósmego miesiąca w piętnastym roku życia Kaede tajfun przyniósł z zachodu całonocne ulewy. Nie znosiła deszczu, który sprawiał, że wszystko zaczynało cuchnąć wilgocią i stęchlizną, nienawidziła, kiedy mokra cienka suknia przylegała jej do ciała, ukazując zarysy krągłych pośladków i ud, co powodowało, że mężczyźni tym częściej ją zaczepiali.

- Hej, Kaede, siostrzyczko! - krzyknął do niej wartownik, kiedy biegła w deszczu do kuchni obok drugiej baszty bramnej. - Nie tak prędko! Mam dla ciebie

połączenie! Powiedz kapitanowi Arai, żeby tu przyszedł, dobrze? Jego dostojność chce wypróbować nowego konia.

Deszczówka lała się strumieniem z blanek, dachówek, rynien, rzygaczy i koryt w kształcie delfinów, wieńczących dachy jako ochrona przed ogniem. Cały zamek tryskał wodą. W ciągu kilku sekund Kaede przemokła do nitki, ślizgając się i potykając na brukowanych stopniach w nasiąkniętych deszczówką sandałach. Jednak wykonała polecenie bez zbytej goryczy, gdyż ze wszystkich mieszkańców zamku Arai był jedynym, który nie wzbudzał w niej nienawiści. Zawsze uprzejmie się do niej zwracał, nie dokuczał jej ani nie napastował, poza tym jego majątek przylegał do ziem jej ojca, toteż mówił z takim samym lekkim akcentem Zachodu.

- Hej, Kaede! - zarechotał strażnik przy wejściu do głównej wieży. - Wciąż gdzieś biegasz! Zaczekaj, pogadamy!

Ruszyła na górę po schodach, nie zwracając na niego uwagi.

- Powiadają, że tak naprawdę jesteś chłopcem! - krzyknął za nią. - Chodź tu i pokaż, że nie jesteś chłopcem!

- Głupiec! - mruknęła, na obolałych nogach pokonując kolejne piętro.

Strażnicy na samej górze grali w jakąś hazardową grę z użyciem noża. Na widok Kaede Arai, duży mężczyzna o imponującej prezencji i inteligentnym spojrzeniu, podniósł się z miejsca i powitał ją pełnym tytułem:

- Pani Shirakawa.

Przekazała mu wiadomość. Podziękował, przez chwilę sprawiając wrażenie, że chce jej powiedzieć coś jeszcze, ale zmienił zdanie i pośpiesznie zszedł po schodach.

Ociągając się, wyrzała przez okno. Wpadał przez nie wiatr od gór, ostry i mokry. Chmury prawie całkowicie zasłaniały horyzont, ale w dole rozciągała się rezydencja Noguchi, gdzie - myślała wrogo - miała prawo mieszkać, gdzie nie musiałaby biegać po deszczu wszystkim na posyłki.

- Jeśli pani Shirakawa nie ma nic do roboty, niech tu przyjdzie i siądzie z nami - powiedział jeden ze strażników, zachodząc ją z tyłu i klepiąc po siedzeniu.

- Precz z rękami! - zawołała gniewnie.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. W tym nastroju wzbudzali w niej obawę; byli znudzeni, lecz napięci, znużeni deszczem, nieustannym czuwaniem, czekaniem, bezczynnością.

- Patrzcie, kapitan zapomniał zabrać nóż - zauważył któryś z nich. - Goń za nim, Kaede.

Wzięła nóż do lewej ręki, czując, jaki jest ciężki i wyważony.

- Ależ mała groźnie wygląda! - zakpili strażnicy. - Nie zatnij się, siostrzyczko!

Zbiegła po schodach, lecz Arai wyszedł już z wieży. Z dziedzińca dobiegł ją jego głos; chciała doń zawołać, ale zanim zdążyła wybiec na dwór, z wartowni wyłonił się strażnik, który już wcześniej ją zaczepiał. Stała jak wryta, ukrywając nóż za plecami. Zagradzał jej drogę, stał blisko, tuż przed nią, a jego sylwetka zasłaniała bure światło, padające z zewnątrz.

- No, Kaede, pokaż mi, że nie jesteś chłopcem!

Złapał ją za prawą dłoń i przyciągnął do siebie, równocześnie wypychając jej nogę między uda. Poczowała twardą wypukłość jego seksu i lewą ręką, niemal bezwiednie, wbiła mu nóż w szyję.

Wrzasnął i natychmiast ją puścił, wlepiając w nią zdumiony wzrok. Rana nie była groźna, lecz obficie krwawiła. Kaede nie mogła uwierzyć, że zrobiła coś podobnego. Już jestem martwa - pomyślała. Strażnik krzyknął, wzywając pomocy, ale w tej chwili w drzwiach ukazał się wracający Arai. Jednym rzutem oka ocenił sytuację, wyrwał Kaede nóż i bez wahania podciął gardło mężczyźnie, który, charcząc, padł na ziemię.

Arai pociągnął Kaede na zewnątrz, w oczyszczające potoki ulewy.

- Próbował cię zgwałcić - szepnął. - Wróciłem i zabiłem go. Powiesz cokolwiek innego, a umrzemy oboje.

Skinęła głową. On zostawił broń, ona zraniła strażnika - oba wykroczenia były niewybaczalne. Arai, reagując natychmiast, usunął jedyne świadka. Sądziła, że będzie wstrząśnięta śmiercią człowieka, własnym udziałem w całym wydarzeniu, lecz odkryła, że czuje wyłącznie zadowolenie. Niechaj umrą wszyscy - myślała. Noguchi, Tohan, cały klan.

- Porozmawiam o tobie z jego dostojnością, pani Shirakawa - rzekł Arai.

Kaede drgnęła zaskoczona.

- Nie powinien zostawiać cię bez opieki - dodał i wyszeptał niemal do siebie: - Człowiek honoru tak nie postępuje.

Krzyknął donośnie w studnię klatki schodowej, wzywając strażników, po czym ponownie zwrócił się do Kaede:

- Pamiętaj, że ocaliłem ci życie. Więcej niż życie!

Spojrzała mu w oczy.

- Pamiętaj, że to był twój nóż - odparła. Uśmiechnął się cierpko z mimowolnym szacunkiem.

- A zatem nawzajem trzymamy się w garści.

- A oni? - zapytała, słysząc na schodach łomot nóg. - Wiedzą, że wzięłam nóż.

- Nie zdradzą mnie - zapewnił. - Można im ufać.

- Nie ufam nikomu - szepnęła.

- Mnie musisz zaufać.

Nieco później tego samego dnia Kaede otrzymała polecenie przeniesienia się do rezydencji rodu Noguchi. Zawijając skąpy dobytek w płachtę podróżną, pogładziła wyblakły wzór - białą rzekę, godło swego rodu, oraz zachodzące słońce Seishuu. Myśl, że posiada tak mało, napawała ją goryczą i wstydem. Wciąż przeżywała wydarzenia poranka - ciężar noża w zakazanej lewej dłoni, uścisk mężczyzny, jego żądze, sposób, w jaki zginął. I słowa Araiego: Człowiek honoru tak nie postępuje. Nie powinien był oceniać w ten sposób swego pana. I nie ośmieliłby się tego uczynić, nawet zwracając się do niej, gdyby w jego umyśle już przedtem nie zagościł bunt. Dlaczego tak dobrze się do niej odnosił, nie tylko w owej przełomowej chwili, ale i poprzednio? Czyżby on także szukał sojuszników? Był na zamku człowiekiem wpływowym i lubianym; teraz zrozumiała, że jego ambicje mogą sięgać

dalej. Potrafił szybko działać i korzystać z niespodziewanych okazji.

Przemyślała uważnie wszystkie te sprawy, pojmując, że znajomość choćby najdrobniejszej z nich zwiększa jej stan posiadania w walucie władzy.

Przez cały dzień pozostałe dziewczęta unikały jej i szeptały ze sobą w małych grupkach, milknąc, kiedy je mijała. Dwie miały zaczerwienione oczy - być może zmarły był ich przyjacielem lub kochankiem - i żadna nie okazała jej ani krzty współczucia. Owa niechęć sprawiła, że zaczęła jeszcze bardziej ich nienawidzić. Przeważnie pochodziły z miasta lub okolicznych wiosek, miały rodziców i krewnych, do których mogły się zwrócić. Nie były zakładniczkami. On zaś, ten zabity strażnik, pochwycił ją i próbował wziąć siłą. Tylko skończona idiotka mogła kochać takiego człowieka.

Przysłano po nią nieznaną służącą, która ukloniła się z szacunkiem i zwróciła się do niej „pani Shirakawa”. Poprowadziła Kaede w dół po brukowanych stopniach, wiodących z zamku do rezydencji, przekroczyła wraz z nią ogromną bramę w murze fortecznym, gdzie strażnicy w wartowni gniewnie odwrócili twarze, i powiodła ją przez ogrody, otaczające dom pana Noguchi.

Kaede często spoglądała na te ogrody z okien zamku, lecz dziś po raz pierwszy od siódmego roku życia postawiła w nich stopę. Tylnymi drzwiami weszła do pałacu.

- Zaczekaj tu chwilę, pani - rzekła służąca, wprowadzając ją do niewielkiego pokoju.

Po jej odejściu Kaede uklękła na podłodze. Pokój, choć mały, był przyjemny i wychodził na małe ogródki. Deszcz ustał; słońce kapryśnie wyglądało zza chmur, przeobrażając ociekający wodą ogród w migotliwą masę światła. Kaede patrzyła na kamienną latarnię, na niską powykreślaną sosnę, na zbiornik pełen czystej wody. W gałęziach grały świerszcze, urywanie zaskrzeczała ropucha. Spokój i cisza rozpuściły coś w sercu dziewczyny, która nagle poczuła, że jest bliska łez.

Zwalczyła chęć płaczu i wsunawszy dłonie w rękawy, pomacała sińce na ramionach. Skupiła się na swej nienawiści do Noguchi, nienawidziła ich tym bardziej, że mieszkali w takim pięknym domu, podczas gdy ona, potomkini rodu Shirakawa, musiała się gnieździć ze służbą.

Wewnętrzne drzwi za jej plecami odsunęły się i dobiegł ją kobiecy głos:

- Pan Noguchi życzy sobie z tobą mówić.

- Więc pomóż mi się przygotować - odpowiedziała.

Za nic nie pokazałaby mu się w takim stanie, z potarganymi włosami, w zniszczonym, brudnym ubraniu.

Kobieta weszła do pokoju; Kaede odwróciła się, by się jej przyjrzeć. Była stara i choć twarz miała gładką, a włosy wciąż czarne, jej pomarszczone i zniekształcone dłonie przypominały małpie łapki. Patrzyła na Kaede, nie ukrywając zdziwienia. Następnie bez słowa rozwinęła jej węzełek, wyjmując czystą szatę, grzebień i spinki.

- Gdzie są inne stroje waszej dostojności?

- Miałam siedem lat, gdy tu przybyłam! - odrzekła gniewnie Kaede. - Nie uważasz, że od tamtej pory trochę urosłam? Dostawałam od matki lepsze rzeczy, ale

nie pozwolono mi ich zatrzymać.

Służąca cmoknęła zafrasowana.

- Całe szczęście, że uroda waszej dostojności nie potrzebuje ozdoby.

- O czym ty mówisz? - zapytała Kaede, która nie miała pojęcia, jak wygląda.

- Upnę ci włosy i znajdę jakieś czyste obuwie. Jestem Junko. Pani Noguchi przysłała mnie, bym ci usługiwała. Później pomówię z nią o ubraniu.

Junko opuściła pokój, lecz niebawem wróciła w towarzystwie dwóch dziewcząt, niosących miskę wody, czyste skarpetki i rzeźbioną szkatułkę. Umyła twarz, ręce i stopy Kaede, po czym rozczesała jej długie, czarne włosy. Podręczne zaczęły mamrotać, jakby zaskoczone.

- Co się dzieje? O co im chodzi? - zapytała Kaede nerwowo.

Junko wyjęła ze szkatułki okrągłe lustro, pięknie cyzelowane w kwiaty i ptaki, po czym uniosła je, ukazując dziewczynie jej odbicie. Kaede po raz pierwszy w życiu patrzyła w lustro. Widok własnej twarzy kazał jej zamilknąć.

Podziw i troskliwość kobiet dodały jej nieco pewności siebie, która jednak szybko się ulotniła, gdy wraz z Junko dotarła do głównej części domu. Od czasu ostatniej wizyty ojca widywała pana Noguchi wyłącznie z daleka. Nigdy go nie lubiła, a teraz uświadomiła sobie, że boi się z nim spotkać.

Przy wejściu do sali audiencyjnej Junko padła na kolana, odsunęła drzwi i uderzyła czołem o podłogę. Kaede uczyniła to samo. Mata pod jej głową była chłodna i pachniała letnią trawą.

Pan Noguchi z kimś rozmawiał, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Mowa była o należnych mu daninach ryżu i o tym, że chłopci spóźniają się z ich przekazaniem. Zbliżała się pora kolejnych zbiorów, a nadal byli mu winni część zeszłorocznych plonów. Co jakiś czas człowiek, do którego mówił, pokornie wtrącał pojednawczą uwagę - na temat niesprzyjającej pogody, zbliżającej się pory tajfunów, oddania, jakim chłopci darzą władcę, lojalności służby - co słysząc, Noguchi stękał, milkł na ponad minutę, po czym zaczynał narzekać od nowa.

W końcu zamilkł na dobre. Sekretarz zakaszlał kilka razy. Pan Noguchi warknął rozkazująco i urzędnik na klęczkach wycofał się do drzwi.

Przeszedł obok Kaede, która jednak nie odważyła się podnieść głowy.

- I wezwij Araiego! - zawołał pan Noguchi, jakby dopiero teraz wpadł na ten pomysł.

Teraz przemówi do mnie, pomyślała Kaede, lecz władca nic nie powiedział, więc nadal trwała w bezruchu.

Mijały minuty. Wreszcie usłyszała męskie kroki, po czym ujrzała, że Arai klęka obok, kornie chyląc kark w ukłonie.

Pan Noguchi z nim także się nie przywitał; zamiast tego klasnął i do sali szybkim krokiem weszło kilku ludzi. Kaede, która przyjrzała im się z ukosa, gdy mijali ją jeden po drugim, dostrzegła, że należą do starszyny. Niektórzy mieli na szatach godło Noguchi, inni zaś potrójny liść dębu klanu Tohan. Wiedziała, że chętnie by ją rozdeptali niczym karalucha, lecz obiecała sobie, że nigdy nie pozwoli Noguchi ani Tohan się zmiażdżyć.

Dworacy rozsiedli się ciężko na matach.

- Pani Shirakawa - odezwał się do niej w końcu pan Noguchi. - Proszę, usiądź prosto.

Prostując się, poczuła na sobie spojrzenia obecnych. Zapanowało niepojęte dla niej napięcie.

- Kuzynko - powiedział Noguchi z nutą zaskoczenia w głosie. - Mam nadzieję, że jesteś zdrowa.

- Tak, panie, dzięki twej opiece. - Użyła grzecznościowej formuły, choć owe słowa paliły ją w język jak trucizna. Czuła, jak straszliwie jest bezbronna - jedyna kobieta, dziecko prawie, wśród tych potężnych i brutalnych mężczyzn. Obrzuciła pana Noguchi ukradkowym spojrzeniem spod rzęs. Jego twarz wydała się jej odęta, pozbawiona siły i inteligencji, skrzywiona złośliwością, której Kaede zdążyła już doświadczyć.

- Dziś rano doszło do niefortunnego wypadku - rzekł władca, a cisza w pomieszczeniu jakby się pogłębiła. - Arai opowiedział mi, co się stało. Chciałbym usłyszeć, co ty masz do powiedzenia.

Kaede dotknęła czołem podłogi; na zewnątrz zachowywała spokój, lecz w głowie czuła zamęt. W tej chwili miała Araiego w swojej mocy. I pan Noguchi nie nazwał go kapitanem, jak powinien był uczynić, nie wymienił jego rangi, nie okazał mu uprzejmości. Czyżby powziął wobec niego jakieś podejrzenia? Czyżby poznał już prawdziwą wersję zdarzeń? Czyżby któryś strażnik zdążył zdradzić Araiego? Co będzie, jeżeli ona go obroni i wpadnie w pułapkę, zastawioną na nich oboje?

Ale Arai był jedynym człowiekiem w zamku, który dobrze ją traktował. Nie zamierzała teraz go zawieść. Wyprostowała się i choć oczy miała spuszczone, jej głos brzmiał pewnie:

- Posłałam do górnej wartowni, aby przekazać wiadomość panu Arai, którego wzywano do stajni. Potem zeszłam za nim po schodach. Strażnik przy bramie zatrzymał mnie pod jakimś pretekstem, a kiedy się doń zbliżyłam, złapał mnie za rękę - tu pozwoliła, by rękaw zsunął się z jej ramienia, ukazując wyraźne już sińce, sinoczerwone ślady męskich palców na bladej skórze. - Krzyknęłam. Pan Arai usłyszał i przybiegł mi na ratunek. - Znow się skłoniła, świadoma swojego wdzięku. - Jestem winna wdzięczność jemu i waszej dostojności za wzięcie mnie w obronę.

Zamarła z twarzą przy podłodze.

- Hmmm - odchrząknął pan Noguchi.

Zapadło długie milczenie. W popołudniowym upale brzęczały owady. Na czołach znieruchomiałych mężczyzn zaśniły krople potu. Kaede dobiegł ich ostry, zwierzęcy odór, czuła, jak strużka potu spływa jej między piersiami. W pełni zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa - jeśli któryś strażnik wspomniał o pozostawionym nożu, o dziewczynie, która zeszła po schodach, trzymając go w ręce... siłą woli odpędziła te myśli w obawie, że jeden z mężczyzn, którzy tak uważnie się jej przyglądali, zdoła bez trudu je odczytać.

W końcu pan Noguchi przemówił swobodnie, wręcz przyjaźnie:

- Jak tam koń, kapitanie Arai?

Arai podniósł głowę do odpowiedzi. Jego głos był całkowicie spokojny.

- Bardzo młody, lecz bardzo piękny. Świetnej krwi, łatwo go będzie ujeździć.

Rozległ się szmer rozbawienia. Kaede poczuła, że jest przedmiotem kpin, i krew napłynęła jej do twarzy.

- Ma pan wiele talentów, kapitanie - rzekł Noguchi. - Z przykrością z nich rezygnuję, jednak jestem zdania, że twoje włości, żona oraz syn potrzebują twojej obecności przez jakiś czas, może rok albo dwa...

- Panie Noguchi - ukłonił się Arai z twarzą pozbawioną wyrazu.

Co za głupiec z tego Noguchi - pomyślała Kaede. - Ja zrobiłabym wszystko, by Arai nigdzie się nie ruszył, chciałabym mieć go na oku. Odesłany, otwarcie się zbuntuje, nim minie rok.

Arai wycofał się, ani razu nie spojrzawszy na Kaede. Noguchi każe go zamordować w drodze - przewidywała ponuro dziewczyna. - Już nigdy go nie zobaczę.

Po odejściu Araiego nastrój odrobinę zelżał. Pan Noguchi zakaszał i odchrząknął. Rycerze zmienili pozycje, prostując nogi i grzbiety. Kaede nadal czuła na sobie ich wzrok - since na jej rękach i śmierć strażnika wyraźnie ich podnieciły. Niczym się od niego nie różnili.

Drzwi za jej plecami otwały się, po czym służąca, która przyprowadziła ją z zamku, wniosła miseczki z herbatą. Obsłużyła mężczyzn i miała już zamiar się oddalić, gdy pan Noguchi powstrzymał ją warknięciem. Speszona skłoniła się, stawiając miseczkę przed Kaede.

Kaede usiadła prosto, lecz gdy spróbowała się napić, poczuła w ustach taką suchość, że nie mogła przełknąć ani kropli. Arai został ukarany wygnaniem - jaką karę przewidziano dla niej?

- Pani Shirakawa, mieszkasz z nami od wielu lat. Stałaś się jednym z domowników.

- Uczyniłeś mi ten zaszczyt, panie - odparła.

- Myślę jednak, że nie możemy dłużej cieszyć się twoim towarzystwem. Straciłem przez ciebie dwóch ludzi; nie jestem pewien, czy stać mnie, by zatrzymać cię dłużej! - Zachichotał, a siedzący w sali mężczyźni posłusznie odpowiedzieli śmiechem.

Odeśle mnie do domu! - zatrzepotała w jej sercu fałszywa nadzieja.

- Najwyraźniej dorostaś do zamążpójścia. Moim zdaniem, im szybciej nastąpi, tym lepiej. Zaaranżujemy ci małżeństwo z kimś odpowiednim. Napiszę do twoich rodziców, kiedy ci kogoś wybiorę. Do dnia ślubu będziesz mieszkać z moją żoną.

Kaede znów się skłoniła, lecz zdążyła jeszcze dostrzec spojrzenie, jakie Noguchi wymienił z jednym ze starszych mężczyzn. To pewnie ten, pomyślała, lub ktoś mu podobny, stary, zepsuty i brutalny. Sam pomysł małżeństwa napawał ją odrazą. Nie pocieszyła jej nawet myśl o tym, że zamieszkując z rodziną Noguchi, zapewne będzie lepiej traktowana.

Junko odprowadziła ją do pokoju. Zapadł już wieczór i Kaede, półprzytomna ze zmęczenia, marzyła już tylko o łaźni. Służąca pomogła jej się opłukać, po czym

natarła jej plecy, ręce i nogi otrębam.

-Jutro umyję ci włosy - obiecała. - Są zbyt długie i gęste, by teraz je moczyć. Mogłyby nie wyschnąć przed nocą i przeziębienie gotowe.

- Może bym od tego umarła - mruknęła Kaede. - Tak byłoby najlepiej.

- Nie mów tak, pani! - skarciła ją Junko, pomagając jej wejść do wanny z gorącą wodą. - Czeka cię wspaniałe życie! Jesteś taka piękna! Wyjdiesz za mąż i urodzisz wiele dzieci!

Po czym zbliżyła się i wyszeptwała wprost do ucha Kaede:

- Kapitan dziękuje ci, że dochowałaś wiary. Mam o ciebie dbać w jego imieniu.

Cóż mogą kobiety w tym świecie, rządzone przez mężczyzn - myślała Kaede. - Kto nas obroni? Czy ktokolwiek się mną zaopiekuje?

Lecz wtedy przypomniała sobie własną twarz w lustrze i zapragnęła znów na nią spojrzeć.



Rozdział trzeci

Czapla przylatywała do ogrodu codziennie po południu; unosiła się ponad murem niczym szary duch i zginając się nieprawdopodobnie, lądowała w wodzie. Zanurzona do połowy nóg stawała nieruchomo jak posąg Jizo; potrafiła trwać w jednej pozycji przez długie minuty. Czerwone i złote karpie, których karmienie sprawiało taką przyjemność panu Otori, były dla niej za duże, ale w końcu jakieś nieszczęsne wodne stworzenie zapominało o jej obecności i ośmielało się poruszyć. Wtedy zadawała cios, za którym wzrok nie nadążał, chwytając dziobem wijące się żyjątko, a następnie zrywała się do lotu. Pierwsze uderzenia jej skrzydeł były głośne niczym nagłe kłaśnięcia wachlarza, lecz potem oddalała się równie bezszelestnie, jak przybyła.

We dnie nadal panował upał, rozleniwiające ciepło jesieni, której odejścia się pragnie, ale którą jednocześnie chce się zatrzymać, wiedząc, że jej okrutne, wręcz nieznosne gorąco jest także ostatnią ciepłą porą roku.

Już od miesiąca przebywałem w domu pana Otori. W Hagi zakończono zbiory ryżu i wszędzie na polach oraz przydomowych rusztowaniach suszyła się słoma. Wiedły czerwone jesienne lilie, na drzewach persymonów złościły się owoce, liście robiły się kruche, a po ścieżkach i w alejkach walały się kolczaste łupiny kasztanów, wciąż roniące swą błyszczącą zawartość. Jesienna pełnia księżyca przyszła i odeszła. Chiyo złożyła w ogrodowej kapliczce ofiarę z kasztanów, mandarynek i ciasteczek ryżowych, ja zaś zastanawiałem się, czy ktoś to uczyni w mojej wiosce.

Służące zbierały ostatnie kwiaty jesieni, lespedezę, dzikie goździki oraz dziurawiec, po czym stawiały je w wiadrach przed kuchnią i wygodką, aby ich woń stłumiła odory jedzenia i odchodów, nieustannych cykli życia człowieka.

Stan mego pólstnienia, bezmowy, trwał nadal. Teraz sędzę, że w ten sposób przeżywałem żałobę. W żałobie pogrążony był także dom pana Otori, gdyż opłakiwano nie tylko jego brata, lecz także matkę, zmarłą latem wskutek zarazy. W wolnych chwilach Chiyo zapoznała mnie z historią rodu. Pan Shigeru, jako najstarszy syn, brał wraz ze swym ojcem udział w bitwie na równinie Yaegahara. Ponieważ stanowczo odmówił podporządkowania się Tohańczykom, w akcie kapitulacji zakazano mu objęcia przywództwa klanu po śmierci ojca, a władzę nad Otori przejęli mianowani przez Iidę stryjowie Shigeru, Shoichi i Masahiro.

- Iida Sadamu nienawidzi Shigeru najbardziej na świecie - mówiła Chiyo. - Zazdrości mu i bardzo się go boi.

Shigeru oficjalnie wycofał się z areny politycznej, poświęcając się rolnictwu i eksperymentom nad nowymi metodami upraw, jednak jako prawowity dziedzic wciąż był stryjom solą w oku. Ożenił się młodo, ale jego żona zmarła podczas

porodu dwa lata po ślubie, zabierając ze sobą dziecko.

Choć jego życie wydało mi się pełne nieszczęść, nie dawał niczego po sobie poznać i gdybym dzięki Chiyo nie usłyszał jego historii, pewnie niczego bym się nie domyślił. Przez większość czasu przebywałem przy jego boku, chodziłem za nim jak pies, nieustannie kręciłem się pod ręką.

Lecz przede wszystkim pobierałem nauki u Ichiro.

To był czas oczekiwania. Ichiro usiłował nauczyć mnie czytać i pisać, ale mój brak ogólnej wiedzy i uzdolnień doprowadzały go do furii. Równocześnie niechętnie krzątał się wokół sprawy adopcji. Klan był temu przeciwny - uważano, że pan Shigeru powinien znów się ożenić, wszak był jeszcze młody, poza tym po śmierci matki było zbyt wcześnie na adopcję. Obiekcje zdawały się mnożyć bez końca. Nie mogłem się oprzeć uczuciu, że Ichiro podziela większość z nich, ja zresztą także sądziłem, że są uzasadnione. Ze wszystkich sił przykładałem się do lekcji, gdyż nie chciałem sprawić zawodu memu panu, lecz w głębi serca nie wierzyłem ani w siebie, ani w swoją przyszłość w jego domu.

Zazwyczaj pan Otori posyłał po mnie późnym popołudniem. Siadaliśmy przy oknie i patrzyliśmy na ogród. Niewiele mówił, ale często przyglądał mi się uważnie, zwłaszcza gdy sądził, że tego nie widzę. Wyczuwałem, że na coś czeka - żebym przemówił, dał jakiś znak, nie bardzo wiedziałem jaki. Czułem się nieswojo, co jeszcze bardziej mnie upewniało, że mój pan jest mną rozczarowany, i czyniło naukę jeszcze trudniejszą.

Pewnego razu Ichiro przyszedł na górę, aby po raz kolejny się na mnie poskarżyć; wcześniej tego dnia stracił cierpliwość do tego stopnia, że mnie zbił. Urażony, siedziałem w kącie, lecząc sińce, i kreśliłem na macie kształty poznanych znaków z rozpaczliwą nadzieją, że w ten sposób je zapamiętam.

- Popeliłeś błąd - rzekł Ichiro do pana Shigeru. - Nikt nie będzie miał ci za złe, jeśli się do niego przyznasz. Okoliczności śmierci twego brata wszystko tłumaczą. Odeślij chłopca tam, skąd pochodzi, i zajmij się swoim życiem.

Miałem uczucie, że chce przez to powiedzieć: I daj mi zająć się moim. Nigdy nie pozwolił mi zapomnieć, jak bardzo się poświęca, udzielając mi nauk.

- Nie stworzysz drugiego Takeshi - dodał łagodniejszym tonem. - On był wytworem lat nauki i treningu, poza tym miał świetne pochodzenie.

Bąłem się, że Ichiro postawi na swoim, albowiem więzy, łączące pana Shigeru z Ichiro i Chiyo, były równie silne jak zobowiązania tamtych dwojga wobec niego. Sądziłem, że pan włada swoim domem niepodzielnie, lecz w gruncie rzeczy Ichiro także posiadał władzę, którą umiał się zręcznie posługiwać. Z drugiej strony pan Shigeru podlegał presji stryjów, chcących wymusić na nim posłuszeństwo dla poleceń klanu. Nie istnieje żaden powód, by miał mnie zatrzymać przy sobie, myślałem. Nigdy nie zdoła mnie adoptować.

- Przyjrzyj się czapli, Ichiro - odparł pan Shigeru. - Spójrz, jaka jest cierpliwa, jak długo potrafi stać bez ruchu, aby osiągnąć swój cel. Moja cierpliwość jest równie wielka i jeszcze daleko do jej wyczerpania.

Wargi Ichiro zacisnęły się, przybierając jego ulubiony wyraz, jakby zjadł

kwaśną śliwkę. Czapla dźgnęła wodę dziobem i odleciała, trzepocąc skrzydłami.

Rozległy się piski, zwiastujące wieczorne przybycie nietoperzy. Uniosłem głowę i ujrzałem, jak dwa z nich kołują nad ogrodem. Ichiro nadal narzekał, a pan Otori odpowiadał mu zwięźle, nie tracąc panowania nad sobą, lecz ja pograżyłem się w odgłosach zapadającej nocy. Mój słuch co dzień stawał się ostrzejszy. Zacząłem się do tego przyzwyczajać; odsiewałem to, co niepotrzebne, nie dając po sobie poznać, że słyszę wszystko, co się dzieje wokół mnie. Nikt z domowników nie wiedział, że znam ich tajemnice.

Teraz również dobiegł mnie syk gorącej wody szykowanej na kąpiel, szczęk naczyń z kuchni, przeciągłe westchnienie noża kucharki, miękkie kroki dziewczyny w skarpetkach na deskach werandy, stukot kopyt i rżenie konia w stajni, miauczenie nieustannie głodnej kotki, karmiącej czworo kociąt, szczekanie psa dwie ulice dalej, klekot chodaków na drewnianych mostach nad kanałami, dziecięcy śpiew, odgłos dzwonów w świątyniach Tokoji i Daishoin. Znałem dzienną i nocną pieśń domu, jego głos w słońcu i w deszczu. Tego wieczoru zdałem sobie jednak sprawę, że nasłuchuję czegoś jeszcze, że na coś czekam. Na co? Co noc przed zaśnięciem mój umysł odtwarzał scenę na górskim zboczu, obraz odciętej głowy oraz człowieka-wilka, trzymającego się za kikut ręki. Znowu widziałem Iidę Sadamu, spadającego z konia, leżące na ziemi trupy mego ojczyma oraz Isao. Czyżbym czekał, aż Iida i człowiek-wilk mnie odnajdą? A może czekałem na szansę, by się zemścić?

Od czasu do czasu próbowałem się modlić sposobem Ukrytych; owej nocy także poprosiłem, by ukazała mi się droga, którą powinienem iść. Nie mogłem spać. Powietrze było duszne i nieruchome, księżyc w trzeciej kwadrze skrywały ławice obłoków. Nocne owady brzęczały niespokojnie; słyszałem klaśnięcie stóp gekona, który wyszedł na sufit, aby na nie zapolować. Ichiro i pan Shigeru mocno spali, Ichiro chrapał. Nie chciałem opuszczać domu, który pokochałem tak mocno, ale najwyraźniej wniosłem doń tylko kłopoty. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym po prostu przepadł w mroku nocy?

Bez konkretnego planu: - co bym robił? z czego bym żył? - jałem rozważać, czy zdołałem się wymknąć, nie niepokojąc psów i nie budząc straży. Nagle ocknąłem się całkowicie. Zazwyczaj szczekanie psów rozlegało się z przerwami przez całą noc, ja zaś nauczyłem się je odróżniać i na ogół nie zwracałem na nie uwagi - tym razem nic nie słyszałem, mimo że nadstawiałem uszu. Jałem nasłuchiwać straży - odgłosu stóp na kamieniu, brzęku broni, prowadzonej szeptem rozmowy. Nic. Ze znajomej nocnej muzyki zniknęły dźwięki, które powinny w niej rozbrzmiewać.

Na dobre rozbudzony wyteżyłem słuch. Cicho szemrała woda, poziom strumienia i rzeki znacznie się obniżył, od nowiu nie padało.

Najcichszy z odgłosów, zaledwie drgnienie, dobiegł mnie spomiędzy ogrodu i okna.

Przez chwilę myślałem, że to ziemia drży, co zdarzało się często w Środkowej Krainie. Lecz nastąpił kolejny maleńki wstrząs, a po nim jeszcze następny.

Ktoś wspinał się po ścianie domu.

Wiedziony pierwszym odruchem chciałem wrzasnąć, jednak przebiegłość

zwyciężyła. Krzyk obudziłby domowników, ale również spłoszyłby intruza. Podniosłem się z maty, po czym cicho podkradłem się do posłania pana Shigeru. Moje stopy znały podłogę, wiedziały o każdym skrzypnięciu, jakie mógł wydać stary dom. Przyklęknąłem i wyszeptałem, jakbym nigdy nie stracił zdolności mówienia:

- Panie Otori, ktoś jest na zewnątrz.

Obudził się natychmiast, przez chwilę patrzył na mnie, po czym sięgnął po leżące obok miecz i nóż. Skinąłem w stronę okna. Znów dał się odczuć słaby wstrząs, leciutka zmiana nacisku na belki budynku.

Pan Shigeru podał mi nóż, po czym przywarł do ściany, z uśmiechem zajmując miejsce po drugiej stronie okna. Zastawiliśmy na zabójcę pułapkę.

Krok po kroku, ukradkowo, lecz niespiesznie, intruz wspinał się ku górze, jakby miał mnóstwo czasu, pewien, że niczym się nie zdradził. My czekaliśmy nań z równą cierpliwością jak chłopcy bawiący się w podchody w stodole.

Jednakże zakończenie gry nie było już zabawą. Przybysz stanął na parapecie i wyjął garotę, którą zamierzał się posłużyć. Wskoczył do środka, lecz w tej samej chwili pan Shigeru

chwycił go z tyłu za gardło. Rzuciłem się na napastnika, który wyginał się i wił jak piskorz; jednak zanim zdążyłem użyć noża, ba, choćby pomyśleć słowo „nóż”, wszyscy trzej runęliśmy do ogrodu niczym kłęb szczepionych ze sobą walczących kotów.

Obcy upadł pierwszy, w poprzek strumienia, uderzając głową o kamień. Pan Shigeru zeskoczył na równe nogi, mój upadek złagodził jakiś krzak. Ogłuszony, upuściłem nóż. Próbowałem go odnaleźć po omacku, lecz okazał się niepotrzebny. Intruz stęknął i chciał się podnieść, ale ponownie osunął się do wody. Strumień, przegrodzony jego ciałem niczym tamą, spiętrzył się, po czym z nagłym bulgotem zalał mu twarz. Pan Shigeru jednym susem znalazł się przy nim, wyciągnął go i wymierzając mu policzek, zawołał:

- Kto? Kto ci zapłacił? Skąd jesteś?

Słychać było jedynie oddech mężczyzny, nierówny, głośny i chrapliwy.

- Przynieś światło - rozkazał pan Shigeru.

Sądziłem, że cały dom od dawna jest na nogach, lecz wszystko odbyło się tak szybko i cicho, że domownicy wciąż spali. Przemoczony, oblepiony mokrymi liśćmi wpadłem do izby służących.

- Chiyo! - krzyknąłem. - Przynieś światło, obudź ludzi!

- Kto to? - wymamrotała sennie, słysząc mój głos, dotąd nieznany.

- To ja, Takeo! Wstawaj! Ktoś chciał zabić pana Shigeru! Chwyciłem świecę, która paliła się jeszcze w jednym z uchwytych, i biegiem wróciłem do ogrodu.

Pan Shigeru patrzył z góry na mężczyznę, który stracił Przytomność. Oświebliłem go -w czarnym stroju bez żadnych znaków ani godeł, średniego wzrostu oraz budowy, krótko ostrzyżony, nie miał żadnych znaków szczególnych.

Z tyłu, z rozbudzonego domu, dobiegł nas rosnący zgiełk oraz krzyki, towarzyszące odkryciu dwóch zgarotowanych strażników i trzech otrutych psów.

Pojawił się Ichiro, blady i roztrzęsiony.

- Kto śmiał to zrobić? - dopytywał się. - W twoim własnym domostwie, w sercu Hagi? To obelga dla całego klanu!

- Chyba że klan to zlecił - odparł spokojnie pan Shigeru.

- Zapewne Iida - rzekł Ichiro.

Zabrał mi nóż, który wciąż trzymałem, i rozcinając do pasa czarny strój napastnika, obnażył mu plecy. Na obojczyku widniała ohydna blizna po starym cięciu mieczem, a kręgosłup wytatuowano w delikatny wzór, który migotał w świetle pochodni niby wąż.

- Wynajęty zabójca - powiedział pan Shigeru. - Z Plemienia. Każdy mógł go opłacić.

- To z pewnością Iida! Wie, że chłopiec jest u ciebie! Czy teraz się go pozbędziesz?

- Gdyby nie chłopiec, zabójca zrobiłby swoje - odparł mój pan. - To on obudził mnie w porę... przemówił do mnie! - zawołał, nagle uświadamiając sobie, co się stało.

- Przemówił i to mnie obudziło!

Ichiro nie wyglądał na szczególnie przejętego.

- Nie przyszło ci do głowy, że to on, a nie ty, był celem zamachu?

- Panie Otori - odezwałem się głosem schrypniętym i stłumionym po tygodniach milczenia. - Tylko narażam cię na niebezpieczeństwo. Pozwól mi odejść. Proszę, odeślij mnie.

Wszelako już mówiąc te słowa, wiedziałem, że się nie zgodzi. Właśnie ocaliłem mu życie, podobnie jak on ocalił moje. Więź między nami stała się jeszcze mocniejsza.

Ichiro przytaknął z aprobatą, lecz wtedy przemówiła Chiyo:

- Proszę o wybaczenie, panie Shigeru, wiem, że to nie moja sprawa. Jestem tylko starą głupią kobietą, ale sądzę, że to nieprawda, iż Takeo sprawia ci tylko kłopoty. Zanim go tu przywiodłeś, byłeś na pół oszalały z żalości. Teraz jesteś zdrow. Oprócz zmartwień Takeo dał ci także radość i nadzieję. Któż zaś śmiałby cieszyć się jednym, unikając drugiego?

- Jakże ja, spośród wszystkich ludzi, mógłbym o tym nie wiedzieć? - odparł pan Shigeru. - Przeznaczenie złączyło życie Takeo z moim. Nie mogę walczyć z losem, Ichiro.

- Miejmy nadzieję, że razem z mową powrócił mu rozum - rzekł drwiąco Ichiro.

Zabójca zmarł, nie odzyskując przytomności. Okazało się, że w ustach miał kapsułkę z trucizną, którą zmiażdżył przy upadku. Nikt nie wiedział, kim był, choć krążyło na ten temat mnóstwo pogłosek. Zabici strażnicy zostali uroczyście pochowani i opłakani, opłakano także psy - przynajmniej ja po nich płakałem. Zastanawiałem się, jaki układ zawarły, jaką złożyły przysięgę, że wpłatały się w spory ludzi i przypłaciły je życiem. Nie rozgłaszałem swoich myśli; na świecie było wiele psów. Nabyto nowe i wyszkolono je, aby przyjmowały jedzenie tylko od jednej osoby, aby nikt nie mógł ich otruć. Prawdę mówiąc, ludzi na świecie także było mnóstwo; pan Shigeru żył skromnie i utrzymywał niewielką straż, lecz wielu

mężczyzn z klanu Otori pragnęło u niego służyć, a gdyby zechciał, mógłby sformować całą armię.

Zamach nie zaniepokoił go ani nie wprowadził w przygnębienie. Odwrotnie, wręcz go pobudził, jakby dzięki otarciu się o śmierć radość, którą czerpał z życia, stała się bardziej odczuwalna. Wydawał się wzlatywać, tak jak po spotkaniu z panią Manyamą; z zachwytem przyjął odzyskanie przeze mnie mowy oraz mój ostry słuch.

Być może Ichiro trafnie ocenił możliwości mego umysłu, w każdym razie zaczął traktować mnie życzliwiej. Bez względu na przyczynę, od próby zamachu nauka istotnie łatwiej mi przychodziła. Powoli oporne znaki jeły ujawniać zakłete w nich znaczenia i znalazły sobie miejsce w moim mózgu. Ich dziwne kształty, płynne niczym woda albo skulone i krzaczaste jak czarne wrony w zimie, zaczęły mi się nawet podobać. Nie chciałem przyznać się przed Ichiro, lecz samo ich kreślenie sprawiało mi ogromną przyjemność.

Ichiro uchodził za mistrza, szeroko znanego z pięknego pisma i głębokiej wiedzy; w gruncie rzeczy, marnował się jako mój nauczyciel. I choć nie zostałem stworzony do nauki, wkrótce obaj odkryliśmy, że jestem zręcznym naśladowcą. Udatnie wszedłem w rolę ucznia, podobnie jak przy malowaniu doskonale naśladowałem wyprowadzanie ruchu z ramienia, nie z nadgarstka, śmiało i w skupieniu.

Wiedziałem, że tylko przedrzeźniam Ichiro, ale rezultat był zadowalający.

Tak samo było, gdy pan Shigeru zaczął mnie uczyć posługiwania się mieczem. Niewykluczone, że odznaczałem się większą siłą i zręcznością niż przeciętny chłopiec mego wzrostu, lecz zabrakło mi lat treningu w dzieciństwie, w okresie, gdy synowie rycerzy nieustannie ćwiczą szermierkę, strzelanie z łuku oraz jazdę konną. Mimo zdolności naśladowczych wiedziałem, że nigdy nie nadrobię tych braków.

Jednakże jazda konna przyszła mi bez trudu. Przyglądając się panu Shigeru i jego ludziom, zdałem sobie sprawę, że jest to przede wszystkim kwestia równowagi. Zacząłem imitować ich ruchy, a koń, o dziwo, odpowiednio na to reagował. Zrozumiałem także, że zwierzę jest bardziej zdenerwowane i przestraszone niż ja - że muszę grać wobec niego rolę pana, dla jego dobra skrywać uczucia oraz udawać, że doskonale wiem, co robię. Wtedy koń podę mną uspokajał się i widać było, że czuje się zadowolony.

Dostałem siwego wierzchowca imieniem Raku o ciemnym ogonie i grzywie, z którym dobrze się rozumiałem. Strzelanie z łuku szło mi fatalnie, ale w szermierce zrobiłem spore postępy dzięki kopiowaniu techniki pana Shigeru. Dano mi długi miecz, który wzorem rycerskich synów nosiłem za pasem swego nowego stroju, niemniej wiedziałem, że pomimo broni i stroju jestem tylko imitacją rycerza.

Mijały tygodnie. Domownicy w końcu przyjęli do wiadomości fakt, że pan Otori postanowił mnie adoptować, i stopniowo zmienili swój stosunek do mnie - teraz w równym stopniu kpili ze mnie, co rozpieszczali mnie oraz karcili. Pochłonięty nauką i treningami, miałem niewiele wolnego czasu, poza tym uprzedzano mnie, że nie powinienem sam wychodzić, zachowałem jednak upodobanie do niespokojnej włóczędzy, więc wymykałem się z domu, kiedy tylko

mogłem, aby zwiedzać miasto Hagi. Lubiłem schodzić do portu, gdzie zamek od zachodu i krater starego wulkanu od wschodu niczym dłonie obejmowały kielich zatoki. Wpatrzony w morze rozmyślałem o bajecznych krainach za horyzontem, zazdroszcząc wolności rybakom i marynarzom.

Wypatrywałem zwłaszcza jednej łodzi, na której pracował chłopiec mniej więcej w moim wieku. Dowiedziałem się, że nazywa się Terada Fumio, jego ojciec zaś pochodzi z rodu wojowników niskiej rangi, którzy nie chcąc przymierać głodem, zajęli się handlem i rybołówstwem. Wiadomości tych udzieliła mi Chiyo, doskonale znająca ich wszystkich. Ogromnie podziwiałem Fumia. Żeglował wszędzie, także na główny ląd, i wiedział mnóstwo o rozmaitych nastrojach morza oraz rzek, gdy tymczasem ja wówczas nie umiałem nawet pływać. Z początku tylko pozdrawialiśmy się z daleka, lecz z czasem zawiązała się między nami przyjaźń. Siadywaliśmy razem na pokładzie, jedliśmy persymony, pluliśmy pestkami do wody i bez końca gadaliśmy o tym, o czym zwykle rozmawiają chłopcy. Ale prędzej czy później zawsze zaczynaliśmy mówić o stryjach Shigeru - panach Otori, znienawidzonych przez ród Terada za pychę i chciwość, za nieustanne podnoszenie podatków i nakładanie ograniczeń, wskutek których cierpieli wszyscy kupcy. Rozmowy te prowadziliśmy szeptem, siedząc na burcie od strony morza, gdyż powiadano, że szpiegdy zamku kręcą się wszędzie.

Pewnego popołudnia śpieszyłem do domu po jednej z takich wypraw. Ichiro został wcześniej zawezwany, by uregulować rachunki z dostawcą, ja zaś, doszedłszy po dziesięciu minutach do wniosku, że już nie wróci, skorzystałem z okazji, by uciec na wagary. Dziesiąty miesiąc miał się już ku końcowi; chłodne powietrze przesyciła woń palącej się słomy ryżowej, dym wisiał nad polami między górami a rzeką, malując krajobraz srebrem i złotem. Pobierałem od Fumia lekcję pływania, toteż wciąż miałem mokre włosy, co przyprawiało mnie o lekkie dreszcze. Rozmyślałem o gorącej wodzie, o tym, czy przed wieczornym posiłkiem dostanę od Chiyo coś do zjedzenia, czy Ichiro będzie zły i spuści mi lanie, a równocześnie jak zawsze nasłuchiwałem chwili, gdy z ulicy dosłyszę wyraźną pieśń domu.

Wtem wydało mi się, że słyszę coś jeszcze, co kazało mi przystanąć i ponownie spojrzeć na załom muru przed naszą bramą. Początkowo sądziłem, że nikogo tam nie ma, lecz niemal w tej samej chwili zobaczyłem człowieka - mężczyznę, przykucniętego w cieniu dachówek.

Znajdowałem się zaledwie kilka metrów od niego, po drugiej stronie ulicy. Wiedziałem, że on również mnie dostrzegł. Wstał powoli, jakby oczekując, że doń podejść.

Był najpospolitszym człowiekiem, jakiego widziałem w życiu: średniego wzrostu i tuszy, o siwiejących włosach i twarzy raczej bladej niż śniadej, nierzucającej się w oczy - takiej, co do której nigdy nie jesteśmy pewni, czy ją ponownie rozpoznamy. Kiedy wpatrywałem się w niego, usiłując dociec, kto to taki, jego rysy pod moim spojrzeniem zdawały się wręcz rozplýwać. A jednak ów pozornie zwyczajny wygląd krył w sobie coś niezwykłego, coś szybkiego i zwinnego, co wszakże zniknęło, gdy próbowałem to uchwycić.

Miał na sobie wypłowiałe niebieskie ubranie i chyba nie nosił broni. Nie wyglądał na robotnika, kupca ani rycerza. Nie umiałem go umiejscowić, mimo to jakiś szósty zmysł ostrzegł mnie, że jest bardzo niebezpieczny.

Równocześnie coś w nim zafascynowało mnie do tego stopnia, że nie potrafiłem go minąć bez pozdrowienia. Pozostałem jednak po swojej stronie ulicy i jałem oceniać odległość do bramy, strażników oraz psów.

Odpowiedział mi uśmiechem i skinął głową niemal z aprobatą.

- Dzień dobry, młody panie! - zawołał tonem ledwie kryjącym kpinę. - Masz słuszość, że mi nie ufasz. Słyszałem, że jesteś sprytny pod tym względem. Ale nie zrobię ci krzywdy, przyrzekam.

Jego mowa wydała mi się równie śliska jak wygląd, a obietnica niewiele warta.

- Chciałbym z tobą pomówić - powiedział. - I z Shigeru także.

Zdumiałem się, słysząc, że mówi o moim panu w tak poufały sposób.

- Co masz mi do powiedzenia?

- Nie mogę stąd krzyczeć - odparł ze śmiechem. - Podejdźmy do bramy, to ci powiem.

- Idź drugą stroną, ja pójdę tędy - odrzekłem, patrząc mu na ręce. - Porozmawiam z panem Otori. Niech on zdecyduje, czy chce się z tobą widzieć, czy nie.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami. Równocześnie ruszyliśmy ku bramie, on spokojnie, jakby wyszedł na wieczorną przechadzkę, ja nerwowo, niczym kot przed burzą. Kiedy jednak strażnicy powitali nas przy wejściu, nieznajomy jakby zmalął i wyblakł, przybierając wygląd tak nieszkodliwy, że niemal zawstydyłem się braku zaufania do starszego pana.

- Takeo, masz poważne kłopoty - powiedział strażnik. - Pan Ichiro od godziny cię szuka!

- Hej, dziadku! - zawołał drugi strażnik do mego towarzysza. - Czego tu szukasz? Może miski klusek?

Rzeczywiście, staruszek wyglądał, jakby mógł mu się przydać porządny posiłek. Nic nie mówił i czekał pokornie, skulony na progu bramy.

- Skąd go wzięłeś, Takeo? Masz zbyt miękkie serce, ot co! Odpraw go!

- Obiecałem powiadomić pana Otori, że przyszedł, i zamierzam dotrzymać słowa - odpowiedziałem. - Ale obserwujcie każdy jego ruch, a przede wszystkim nie dajcie mu wejść do ogrodu!

- Zaczekaj tu - rzekłem, zwracając się do przybysza, wtedy jednak ujrzałem w nim przeblask czegoś dziwnego. Owszem, był niebezpieczny, ale miałem prawie pewność, że pozwolił mi dostrzec tę stronę swej natury, którą ukrył przed strażnikami. Zawahałem się, czy mogę ich zostawić w jego towarzystwie. Z drugiej strony, dwaj uzbrojeni po zęby mężczyźni powinni sobie poradzić z jednym starym człowiekiem!

Pędem przebiegłem przez ogród, zrzuciłem sandały i kilka susami pokonałem schody. Pan Shigeru siedział w pokoju na górze.

- Wiesz, Takeo - powiedział, patrząc w zamyśleniu przez okno - pawilon herbaciany nad strumieniem to znakomity pomysł.

- Panie... - zacząłem, lecz nagle zamarłem.

W ogrodzie coś się poruszyło. Początkowo sądziłem, że szara, nieruchoma sylwetka to czapla, ale po chwili pojąłem, że mam przed sobą mężczyznę, którego zostawiłem przy bramie.

- Co? - zawołał pan Shigeru, widząc wyraz mojej twarzy. Przeraziłem się, że próba zamachu zostanie powtórzona.

- Na dole jest obcy! - krzyknąłem. - Uważaj!

Ogarnął mnie nowy lęk, tym razem o strażników. Zbiegłem z powrotem po schodach, wypadłem z domu i z walącym sercem rzuciłem się ku bramie. Psy, całe i zdrowe, żywo zamachały ogonami na mój widok. Krzyknąłem.

- Co się stało, Takeo? - Z bramy wybiegli zaskoczeni wartownicy.

- Wpuściliście go! - wrzasnąłem wściekły. - Ten starzec jest w ogrodzie!

- Skądże, jest na ulicy, tam, gdzie go zostawiłeś.

Podążyłem wzrokiem za ręką strażnika i przez chwilę również uległem złudzeniu. Rzeczywiście go widziałem, siedzącego w cieniu zadaszzonego muru, pokornego, cierpliwego, nieszkodliwego. Jednak zaraz odzyskałem jasność widzenia. Ulica była pusta.

- Głupcy! - zawołałem. - Nie mówiłem, że jest niebezpieczny? Nie mówiłem, żebyście pod żadnym pozorem go nie wpuszczali? I tacy bezużyteczni idioci nazywają się ludźmi klanu Otori? Wracajcie na swoją wieś, pilnować kur, niech je wszystkie lis pożre!

Stali, gapiąc się na mnie. Nie sądzę, by któryś z domowników kiedykolwiek słyszał, bym wymówił tyle słów naraz. Mój gniew był tym większy, że czułem się za nich odpowiedzialny. Ale musieli mnie słuchać - mogłem ich chronić tylko wtedy, kiedy byli mi posłuszni.

- Macie szczęście, że żyjecie - rzuciłem, dobywając miecza i biegnąc z powrotem, by odnaleźć intruza.

Nie znalazłem go w ogrodzie i właśnie zacząłem się zastanawiać, czy sam nie uległem iluzji, gdy z pokoju na górze dobiegły mnie głosy. Pan Shigeru mówił o mnie po imieniu. Nie odniosłem wrażenia, że jest w niebezpieczeństwie, wręcz przeciwnie, chyba się śmiał. Gdy zdyszany wbiegłem do pokoju i padłem na twarz, siedział obok przybysza niby stary znajomy i obaj chichotali w najlepsze. Gość nie wyglądał już na zgrzybiałego; dostrzegłem, że jest niewiele starszy od pana Shigeru, a jego twarz ma otwarty i ciepły wyraz.

- I nie chciał iść po tej samej stronie ulicy, tak? - dopytywał się mój pan.

- Właśnie, a potem kazał mi usiąść na zewnątrz i zaczekać. - Ryknęli śmiechem i jęli klepać matę z uciechy. - Ale poważnie, Shigeru, powinienesz lepiej wyszkolić strażę. Takeo miał rację, że się rozgniewał.

- Przez cały czas miał rację - powiedział pan Otori, a w jego głosie zadźwięczała duma.

- To jeden na tysiąc - tacy się rodzą, nie można ich wychować. Powtarzam, on

pochodzi z Plemienia. Wyprostuj się, Takeo, niech ci się przyjrzę.

Podniosłem się i usiadłem na piętach. Twarz mi płonęła; miałem uczucie, że obcy wystrychnął mnie na dudka. Teraz przypatrywał mi się w milczeniu.

- To jest Muto Kenji, mój stary znajomy - przedstawił go pan Shigeru.

- Witam, panie Muto - odparłem uprzejmie, lecz chłodno, starając się za wszelką cenę nie okazywać uczuć.

- Nie musisz nazywać mnie panem - rzekł Kenji. - Nie należę do panów, choć z wieloma się przyjaźnię. Pokaż ręce - poprosił, pochylając się ku mnie.

Obejrzał po kolei moje dłonie z wierzchu i pod spodem.

- Jesteśmy zdania, że przypomina Takeshiego - odezwał się pan Shigeru.

- Uuum. Rzeczywiście, ma w sobie coś z Otori. - Kenji powrócił do poprzedniej pozycji i zapatrzył się w ogród, z którego wyciekły resztki kolorów, jedynie klony wciąż lśniły czerwienią.

- Wieść o twojej stracie bardzo mnie zasmuciła - powiedział półgłosem.

- Nie miałem już chęci żyć - odparł pan Shigeru. - Lecz oto minęło kilka tygodni i okazuje się, że jest inaczej. Nie zostałem stworzony do rozpacz.

- Nie, w rzeczy samej - rzekł Kenji serdecznie.

Obaj spojrzeli przez otwarte okno. Jesienne powietrze przejmowało chłodem; powiew wiatru zakotłosał klonami, strącając do strumienia kilka rudych liści, które pociemniały w wodzie, po czym spłynęły do rzeki.

Tęsknie pomyślałem o gorącej kąpieli i zadrzałem.

Milczenie przerwał Kenji.

- Powiedz mi, Shigeru, dlaczego ten chłopiec, tak podobny do Takeshiego, lecz najwyraźniej pochodzący z Plemienia, mieszka w twoim domu?

- Przybyłeś z tak daleka, by mnie o to zapytać? - rzucił z uśmiechem zagadnięty.

- Chętnie ci powiem. Doszły mnie wieści, że komuś udało się usłyszeć, jakoby do twojego domu chciał się dostać skrytobójca. W rezultacie zginął jeden z najgroźniejszych ludzi Trzech Krain.

- Pragnęliśmy utrzymać to w tajemnicy - zasepił się pan Shigeru.

- Naszą sprawą jest poznawanie tajemnic. Czego Shintaro tu szukał?

- Przypuszczalnie przyszedł mnie zabić - odrzekł pan Shigeru. - A więc to był Shintaro... Coś podejrzewałem, ale nie miałem dowodów.

Po chwili dodał:

- Ktoś naprawdę pragnie mojej śmierci. Czy wynajął go Iida?

- Shintaro od dłuższego czasu pracował dla Tohańczyków. Ale nie sądzę, by Iida kazał ci zgładzić potajemnie. Przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że miałby wielką ochotę przyglądać się, jak umierasz. Kto jeszcze życzy sobie, żebyś zginął?

- Przychodzi mi na myśl kilka osób.

- Nie dawaliśmy wiary, że Shintaro poniósł klęskę - ciągnął Kenji. - Musieliśmy się dowiedzieć, kim jest ten chłopiec. Gdzie go znalazłeś?

- A co niesie wieść gminna? - odparował pan Shigeru, nadal się uśmiechając.

- Rzecz jasna, oficjalna wersja głosi, że to daleki krewny twojej matki;

przesądni mówią, żeś postradał zmysły i uwierzyłeś, iż w jego osobie powrócił twój brat; cynicy sądzą, że to twój syn, spłodzony z jakąś kobietą ze Wschodu.

Pan Shigeru zaśmiał się.

- Nie jestem nawet dwukrotnie starszy od niego; musiałbym go począć w wieku lat dwunastu! Nie, Takeo nie jest moim synem.

- Oczywiście, że nie! Ponadto, mimo jego wyglądu, nie wierzę, że to twój krewny albo czyjeś wcielenie. On musi pochodzić z Plemienia. Skąd go wzięłeś?

Służąca, Haruka, weszła, aby zapalić lampy, i do pokoju natychmiast wpadła duża niebieskozielona ćma, usiłując zbliżyć się do płomienia. Wstałem i chwyciłem ją w dłoń, czując, jak trzepocą oproszone pyłkiem skrzydełka, po czym wypuściłem ją w nocne niebo. Zanim ponownie usiadłem, zasunąłem okno.

Pan Shigeru nie udzielił Kenjiemu odpowiedzi. Ponownie zjawiała się Haruka, tym razem wnosząc herbatę. Kenji nie robił wrażenia złego czy zniecierpliwionego. Podziwiał miseczki, proste naczynia z miejscowej różowej glinki, i pił spokojnie, nic nie mówiąc, chociaż bez przerwy mi się przyglądał.

W końcu zwrócił się do mnie wprost:

- Powiedz, Takeo, czy jako dziecko zdzieraleś muszle z żywych ślimaków i wyrywałeś krabom szczypce?

Nie zrozumiałem pytania.

- Może - odparłem, udając, że piję z pustej miseczki.

- Robiłeś to?

- Nie.

- Czemu nie?

- Bo matka mówiła, że to okrutne.

- Tak myślałem - w jego głosie zabrzmiała nuta smutku, jakby mi współczuł. - Nic dziwnego, Shigeru, że chciałeś mnie zbyć. Wyczułem w chłopcu miękkość, odrazę do okrucieństwa. On się wychował wśród Ukrytych.

- To aż tak rzuca się w oczy? - zapytał pan Shigeru.

- Tylko ja to widzę. - Kenji skrzyżował nogi, zmrużył oczy i wsparł łokieć na kolanie. - Chyba wiem, kim on jest.

Pan Shigeru westchnął, a jego twarz znieruchomiała, nabierając czujnego wyrazu.

- No, to powiedz nam, co widzisz.

- Wszystko wskazuje na to, że to Kikuta: długie palce, prosta linia w poprzek dłoni, niezwykle ostry słuch. Ta zdolność przychodzi nagle, w okresie dojrzewania, czasem towarzyszy jej utrata mowy, zazwyczaj tymczasowa, niekiedy trwała...

- Zmyślasz! - wykrzyknąłem, nie będąc w stanie dłużej milczeć.

Prawdę mówiąc, czułem, że ogarnia mnie zabobonny lęk; nie wiedziałem nic o Plemieniu z wyjątkiem tego, że należał doń zabójca, ale miałem wrażenie, jakby Muto Kenji otwierał przede mną ciemne drzwi, w które bałem się wejść.

Pan Shigeru pokręcił głową.

- Niech mówi. To rzecz wielkiej wagi.

Kenji pochylił się ku mnie.

- Zamierzam ci opowiedzieć o twoim ojcu.
- Lepiej zacznij od Plemienia - rzekł sucho pan Shigeru.
- Takeo nie wie, co masz na myśli, kiedy mówisz o Kikutach.

- Czyżby? - Kenji uniósł brew. - Cóż, właściwie mnie to nie dziwi, skoro wychował się wśród Ukrytych. Zacznę zatem od początku. Pięć rodów Plemienia istniało zawsze, jeszcze przed pojawieniem się klanów i możnowładców. Nasza historia sięga czasów, gdy czary miały większą siłę niż oręż, a po ziemi chodzili bogowie. Kiedy powstały klany i ludzie zaczęli zawierać sojusze uzależnione od władzy, Plemię nie przyłączyło się do żadnego z nich. Aby ocalić swój dar, jego członkowie ruszyli w drogę jako wędrowni kuglarze, akrobaci, aktorzy, handlarze i magicy.

- Może tak było na początku - wtrącił pan Shigeru.

- Jednak wielu zostało kupcami, zyskując wielkie bogactwa oraz wpływy. - I dodał, zwracając się do mnie:

- Sam Kenji z powodzeniem handluje ziarnem sojowym, a także pożycza pieniądze na procent.

- Czasy są coraz gorsze - rzekł Kenji. - Jak mówią nasi kapłani, dni prawa dobiegają końca. Moja opowieść dotyczy wcześniejszej epoki; teraz w istocie zajmujemy się interesami. Od czasu do czasu służymy któremuś z klanów, przyjmując jego godło, lub pracujemy dla osób, które się z nami przyjaźnią, jak pan Otori Shigeru. Lecz kimkolwiek się stajemy, staramy się pielęgnować talenty z przeszłości, które niegdyś posiadali wszyscy ludzie, a które obecnie zostały zapomniane.

- Znajdowałeś się w dwóch miejscach naraz - powiedziałem. - Strażnicy widzieli cię na zewnątrz, a ja dostrzegłem cię w ogrodzie.

Kenji skłonił się przede mną ironicznie.

- Umiemy się dzielić, zostawiając gdzie indziej drugą jaźń. Umiemy stawać się niewidzialni i poruszać się tak szybko, że oko za nami nie nadąża. Inne nasze cechy to ostrość wzroku i słuchu. Plemię zachowało te umiejętności dzięki poświęceniu oraz ciężkiej pracy. W naszym rozdartym wojną kraju są to umiejętności bardzo przydatne, za które pewni ludzie gotowi są wiele zapłacić. Niemal każdy członek Plemienia w jakimś momencie życia zostaje szpiegiem albo zabójcą.

Skupiłem wszystkie siły, by nie zadrzeć. Miałem wrażenie, że uszła ze mnie krew. Przypominałem sobie, jak wydało mi się, że pod mieczem lidy rozdzieliłem się na dwoje. I te dźwięki domu, ogrodu i miasta, coraz intensywniej rozbrzmiewające w moich uszach...

- Kikuta Isamu, który, jak sądzę, był twoim ojcem, nie stanowił wyjątku. Jego rodzice byli stryjecznym rodzeństwem, toteż połączył w sobie najdoskonalsze cechy rodu Kikutów. Gdy ukończył trzydzieści lat, uchodził już za niedoścignionego zabójcę. Nie wiadomo, ilu ludzi zabił; większość zgonów uznano za naturalne i nigdy mu ich nie przypisywano. Nawet jak na Kikutę był wyjątkowo skryty; posiadał ogromną wiedzę na temat trucizn, zwłaszcza pewnych górskich roślin, które zabijają bez śladu.

Kiedys, gdy w poszukiwaniu nowych ziół wędrował po górach Wschodu - domyślasz się chyba, o jakich terenach mówię - zatrzymał się na nocleg w wiosce Ukrytych. Chyba wtedy usłyszał o tajemnym bogu, o zakazie zabijania i sądzie, który każdego czeka po śmierci; zresztą, sam najlepiej wiesz, o czym mówię. Tam, w dalekich górach, z dala od klanowych waśni, Isamu podsumował swoje życie. Może poczuł skrucę, może zawołali go umarli? W każdym razie porzucił życie w Plemieniu i zamieszkał wśród Ukrytych.

- I dlatego wykonano na nim wyrok - dobiegł z mroku głos pana Shigeru.

- Cóż, złamał podstawową zasadę Plemienia. Nie lubimy, gdy się nas porzuca w taki sposób, zwłaszcza gdy czyni to ktoś o tak wielkich talentach. Takie umiejętności stanowią rzadkość w dzisiejszych czasach. Ale prawdę mówiąc, nie wiem, co dokładnie się z nim stało. Nie wiedziałem nawet, że miał dziecko. Takeo, jakiegokolwiek imię rzeczywiście nosi, musiał się urodzić już po śmierci ojca.

- Kto go zabił? - wyszeptałem spierzchniętymi wargami.

- Kto to wie? Wielu chciało to zrobić i pewnie komuś się udało. Oczywiście, nikt nie zdołałby nawet zbliżyć się do niego, gdyby nie złożył przysięgi, że nigdy więcej nie stanie się przyczyną niczyjej śmierci.

Zapadło długie milczenie. W pokoju było ciemno, tylko lampa rzucała niewielki krąg światła. Nie rozróżniałem twarzy rozmówców, choć z pewnością Kenji dobrze mnie widział.

- Matka nigdy ci o tym nie mówiła? - zapytał w końcu. Pokręciłem głową. Ukryci nie mówią sobie wielu rzeczy, wiele spraw trzymają w tajemnicy, nawet przed sobą nawzajem. Czego nie wiemy, tego nie możemy wyjawiać na torturach. Nie zdradzimy brata swego, nie znając jego sekretów. Kenji roześmiał się.

- Przyznaj, Shigeru, nie miałeś pojęcia, kogo bierzesz pod swój dach. Nawet Plemię nie zdawało sobie sprawy z jego istnienia. Chłopiec o ukrytych talentach Kikutów!

Pan Shigeru nie odpowiedział, lecz gdy pochylił się ku światłu, ujrzałem jego uśmiech, pogodny i szczerzy. Uderzył mnie kontrast między tymi dwoma - moim panem z jego otwartym usposobieniem a podstępny, chytrym Kenjim.

- Muszę wiedzieć, co się wydarzyło. Nie rzucam słów na wiatr, Shigeru. Naprawdę, muszę to wiedzieć - nalegał Kenji.

Usłyszałem, że Chiyo krząta się na schodach.

- Powinniśmy się wykąpać i coś zjeść - rzekł pan Shigeru. - Porozmawiamy po posiłku.

Nie ścierpi mnie w swoim domu, nie teraz, kiedy się dowiedział, że jestem synem zabójcy. Taka myśl przede wszystkim przyszła mi do głowy, kiedy siedziałem w gorącej wodzie po kąpieli obu mężczyzn. Z góry dobiegały mnie ich głosy - pili wino i leniwie wspominali przeszłość. Potem pomyślałem o ojcu, którego nigdy nie znałem, i poczułem głęboki smutek, że nie udało mu się umknąć przed piętnem pochodzenia. Chciał zaniechać zabijania, zabijanie jednak z niego nie zrezygnowało, dosięgło go długim ramieniem, odnalazło w dalekim Mino, podobnie jak po latach Iida odnalazł tam Ukrytych. Spojrzałem na swoje długie palce. Do czego zostały

stworzone? Do zadawania śmierci?

Cokolwiek po nim odziedziczyłem, byłem także dzieckiem swojej matki. Splatały się we mnie dwa skrajnie różne nurty, oba wołały w mojej krwi, mięśniach i kościach. Wspomniałem wściekłość, z jaką potraktowałem strażników - zachowałem się, jakbym był ich panem. Czy to miał być trzeci nurt w moim życiu, czy też pan Shigeru, dowiedziawszy się, kim jestem, zechce mnie odesłać?

Rozważania te stały się zbyt bolesne, zbyt trudno było je rozwikłać, a poza tym Chiyo wzywała mnie na posiłek. Woda w końcu mnie rozgrzała; byłem głodny.

Przyniesiono już tace, a do pana Shigeru i Muto dołączył Ichiro. Kiedy wszedłem, mężczyźni omawiali banalne sprawy - pogodę, rozplanowanie ogrodu, moje niewielkie zdolności oraz, ogólnie, moje złe zachowanie. Ichiro wciąż się gniewał za to, że zniknąłem po południu. Ja jednak miałem wrażenie, że minęły całe tygodnie, odkąd pływałem z Fumiem w lodowatej rzece.

Jedzenie było nawet lepsze niż zazwyczaj, lecz tylko Ichiro je docenił. Kenji jadł szybko, mój pan ledwie tknął potraw, ja czułem na przemian głód i mdłości, wyczekując, a zarazem bojąc się końca kolacji. Ichiro posilał się tak obficie i powoli, iż zwątpiłem, czy w ogóle wyjdzie. Dwukrotnie niemal już kończyliśmy, kiedy sięgał po „jeszcze jeden mały kęs”, klepał się po brzuchu i cicho bekał, wznowiając rozmowę o ogrodnictwie. W końcu jednak pan Shigeru chyba dał mu jakiś znak, gdyż oddalił się, najpierw wygłosiwszy do Kenjiego kilka uwag i żartów na mój temat. Haruka i Chiyo zabrały nakrycia, a gdy ich kroki i głosy ucichły w głębi kuchni, Kenji pochylił się w stronę mego pana i wyciągając ku niemu otwartą dłoń, zapytał:

- A więc?

Żałowałem, że nie mogę pójść w ślady kobiet. Nie chciałem tu siedzieć, gdy obcy ludzie decydowali o moim losie. Albowiem byłem pewien, że do tego sprowadzi się ich rozmowa; Kenji przybył, aby w jakiś sposób odzyskać mnie dla Plemienia, natomiast pan Shigeru teraz na pewno z radością się mnie pozbędzie.

- Nie wiem, Kenji, dlaczego to dla ciebie takie ważne - rzekł pan Shigeru - i nie mogę uwierzyć, że nic o tym nie słyszałeś. Powiem ci prawdę, lecz ufam, że nie przekażesz jej dalej; nawet w tym domu tylko Ichiro i Chiyo ją znają.

Miałeś rację, mówiąc, że nie wiedziałem, kogo sprowadzam do domu. Wszystko stało się przypadkiem. Było późne popołudnie, trochę zboczyłem z drogi i miałem nadzieję, że znajdę nocleg we wsi, która, jak się później dowiedziałem, nazywała się Mino. Po śmierci Takeshiego podróżowałem samotnie przez wiele tygodni.

- Szukałeś zemsty? - zapytał cicho Kenji.

- Wiesz, jak się mają sprawy między lida i mną, przynajmniej od czasu Yaegahary. Ale przecież nie przypuszczałem, że go spotkam w tej odludnej okolicy! To doprawdy przedziwny zbieg okoliczności, że my, najzawziętsi w świecie wrogowie, znaleźliśmy się tam tego samego dnia. Oczywiście, gdybym napotkał lida, z pewnością zechciałbym go zabić. A tymczasem na ścieżce wpadł na mnie ten chłopiec.

Opowiedział pokrótce o masakrze we wsi, o upadku lidy z konia i o ścigających mnie mężczyznach.

- Postąpiłem odruchowo. Ci ludzie mi grozili. Byli uzbrojeni. Bronilem się.

- Wiedzieli, kim jesteś?

- Chyba nie. Miałem na sobie strój podróżny bez żadnych znaków, padało, robiło się ciemno.

- Ale ty poznałeś, że są z klanu Tohan?

- Powiedzieli, że lida ściga chłopca. To wystarczyło, bym postanowił wziąć go pod opiekę.

Kenji odezwał się, jakby zmieniając temat:

- Słyszałem, że lida chce zawrzeć z Otori oficjalny układ.

- To prawda. Stryjowie sprzyjają temu pomysłowi, chociaż w klanie nastąpił rozłam.

- Gdyby lida dowiedział się, że chłopiec jest u ciebie, układ nigdy nie doszedłby do skutku.

- Nie musisz mi tego mówić, sam wiem - sarknął mój pan, po raz pierwszy okazując gniew.

- Tak, panie Otori - odparł Kenji ironicznie i skłonił się. Przez chwilę panowało milczenie, po czym Kenji westchnął:

- Cóż, o naszym życiu decyduje los, bez względu na to, jak nam się wydaje. Nieważne, kto nasłał na ciebie Shintaro, skutek jest taki sam; Plemię w ciągu tygodnia dowiedziało się o istnieniu Takeo. Zapewniam cię, że nie przestaniemy się nim interesować.

- Pan Otori ocalił mi życie i nie zamierzam go opuścić - wtrąciłem, choć mój głos zabrzmiał piskliwie nawet w mych własnych uszach.

Mój pan poklepał mnie ojcowskim gestem po ramieniu.

- Nie oddam Takeo - oznajmił.

- Przede wszystkim chcemy zachować go przy życiu - odrzekł Kenji. - Może tu zostać, dopóki jest bezpieczny. Ale jest inny kłopot. Przypuszczalnie zabiłeś ludzi Tohan, którzy zaatakowali cię na górze.

- Co najmniej jednego - odpowiedział pan Shigeru - a być może dwóch.

- Jednego - poprawił go Kenji.

Pan Shigeru uniósł brwi.

- Najwyraźniej znasz wszystkie odpowiedzi. Po co zatem pytasz?

- Chcę uzupełnić luki i dowiedzieć się, ile ty wiesz.

- Jeden czy dwóch, jakie to ma znaczenie?

- Człowiek, który stracił rękę, przeżył. Nazywa się Ando i od dawna należy do zaufanych ludzi lidy.

Przypomniałem sobie podobnego do wilka mężczyznę, który ścigał mnie na ścieżce, i nie zdołałem powstrzymać drżenia.

- Wtedy nie wiedział jeszcze, kim jesteś; nadal nie wie, gdzie szukać Takeo. Ale poluje na was obu. Za zgodą lidy całkowicie poświęcił się zemście.

- Z przyjemnością spotkam się z nim - odparł pan Shigeru.

Kenji wstał i zaczął chodzić po pokoju. Kiedy ponownie usiadł, twarz miał pogodną i uśmiechniętą, jakbyśmy przez cały wieczór jedynie opowiadali dowcipy oraz gawędzili o ogrodach.

- No, dobrze - powiedział. - Teraz, kiedy wiem dokładnie, co grozi Takeo, mogę zająć się jego ochroną, a także nauczyć go, jak ma się bronić sam.

Po czym uczynił coś, co mnie zdumiało - pokłonił się nisko przede mną i oznajmił uroczyście:

- Póki żyję, jesteś bezpieczny. Przysięgam ci.

Sądziłem, że to ironia, lecz z jego twarzy opadła zasłona, na chwilę ukazując mi prawdziwego człowieka. Poczułem się tak, jakby na moich oczach ożył Jato. Potem zasłona wróciła na miejsce i Kenji znów zaczął żartować.

- Pamiętaj, musisz robić dokładnie, co ci każę. - Uśmiechnął się do mnie szeroko. - Podobno Ichiro nie daje sobie z tobą rady. Człowiek w jego wieku nie powinien męczyć się ze szczeniętami. Ja zajmę się twoją edukacją i będę twoim nauczycielem.

Pedantycznym ruchem owinał się szatą i ściągnął usta, w okamgnieniu przeobrażając się w bezbronnego staruszkę, którego zostawiłem za bramą.

- To znaczy, jeżeli pan Otori łaskawie zezwoli.

- Najwyraźniej nie mam wyboru - rzekł pan Shigeru, dolewając nam wina ze swoim szczerym uśmiechem.

Zerkałem to na jednego, to na drugiego, i ponownie uderzyła mnie różnica między nimi. Wydało mi się, że dostrzegam w twarzy Kenjiego może nie pogardę, ale coś do niej zbliżonego. Teraz, gdy blisko poznałem zwyczaje Plemienia, wiem, że największą słabością jego członków jest arogancja; zapatrzeni we własne zdumiewające talenty nie doceniają możliwości przeciwników. Ale wówczas mina gościa po prostu mnie rozgniewała.

Wkrótce potem przyszły służące, aby przygotować posłania oraz zabrać lampy. Długo leżałem bezsenne, nasłuchując odgłosów nocy. Rewelacje wieczoru przesuwwały mi się wolno w pamięci, rozpraszały, układały i znów podejmowały marsz. Moje życie już do mnie nie należało. Gdyby nie pan Shigeru, byłbym teraz martwy. Gdyby, jak powiadał, przypadkowo nie zderzył się ze mną na górskiej ścieżce...

Ale... czy był to rzeczywiście przypadek? Wszyscy, łącznie z Kenjim, zaakceptowali jego wersję wydarzeń, jakoby wszystko stało się pod wpływem chwili - biegnący chłopiec, groźni napastnicy, walka...

Jeszcze raz przeżyłem w myślach całe zajście i wydało mi się, że przypominam sobie moment, gdy ścieżka przede mną była pusta. Rosło na niej ogromne drzewo, cedr, zza którego ktoś się wyłonił i pochwycił mnie - nie przypadkowo, lecz całkiem świadomie. Pomyślałem o panu Shigeru, o tym, jak mało właściwie o nim wiem. Wszyscy przyjmowali go takim, jakim z pozoru się wydawał - impulsywny, życzliwy, szczodry. Wierzyłem, że posiada wszystkie te zalety, lecz nie mogłem oprzeć się pytaniu, czy za nimi nie kryje się coś jeszcze. Nie oddam Takeo - powiedział. Ale po co miałby adoptować członka Plemienia, syna

skrytobójcy? Wspomniałem czaplę i jej cierpliwe wyczekiwanie, żeby zadać cios.

Niebo już jaśniało i piał koguty, kiedy wreszcie zasnąłem.

Muto Kenji zamieszkał z nami jako mój mistrz, co dostarczyło strażnikom świetnej zabawy moim kosztem.

- Uważaj na tego staruszka, Takeo! To bardzo niebezpieczny osobnik! Mógłby cię zadźgać pędzelkiem!

Zdawało się, że drwiny nigdy im się nie znudzą. Nauczyłem się nie reagować; lepiej, żeby uważali mnie za idiotę, niż by mieli poznać i rozgłosić prawdziwą tożsamość owego „staruszka”. Lekcję tę pojąłem jako jedną z pierwszych - im niżej cenią nas ludzie, tym więcej ujawniają w naszej obecności. Jałem się zastanawiać, ilu pozornie tępych, głupich, ale godnych zaufania służących oraz pracowników w istocie wywodzi się z Plemienia i sieje wokół intrygi, podstępny i nagłą śmierć.

Kenji wprowadzał mnie w tajemne kunszty, lecz nadal pobierałem u Ichiro lekcje o klanach i ich zwyczajach. Klasa rycerska stanowiła całkowite przeciwieństwo Plemienia. Jej członkowie wielce sobie cenili podziw oraz szacunek świata, swoją w nim pozycję i opinię. Musiałem się zapoznać z ich historią i etykietą, manierami i językiem. Studiowałem archiwa Otori, sięgające setki lat wstecz do na połę mitycznych początków rodu wywodzącego się od Cesarza, aż kręciło mi się w głowie od genealogii oraz imion.

Dni stawały się coraz krótsze, noce chłodniejsze, ogród oszroniły pierwsze przymrozki. Oczekiwano, że wkrótce śnieg zamknie górskie przełęcze, a zimowe sztormy unieruchomią port, aż do wiosny odcinając Hagi od reszty kraju. Dom śpiewał teraz inną pieśń, stłumioną, miękką i senną.

Z jakiegoś powodu obudził się we mnie ogromny apetyt na naukę. Kenji twierdził, że po wielu latach zaniedbań ujawniła się we mnie natura członka Plemienia. Głód ów dotyczył wszystkiego, od najbardziej skomplikowanych ideogramów po tajniki walki na miecze. Wiedzę w owych dziedzinach chłonałem całym sercem, ale mój stosunek do lekcji z Kenjim był nieco bardziej dwuznaczny. Nie sprawiały mi trudności - wszystko przychodziło mi wręcz zbyt naturalnie - lecz coś w nich mnie odpychało, jakaś część mojej istoty opierała się temu, w co nauczyciel chciał mnie zamienić.

- To gra - powtarzał mi wielokrotnie. - Uważaj to za grę.

Ale końcem tej gry była śmierć. Kenji właściwie odczytał mój charakter - wpojono mi odrazę do morderstwa i głęboką niechęć do odbierania życia. Przyglądał mi się uważnie; ta moja cecha sprawiała, że czułem się nieswojo. Często rozmawiał z panem Shigeru, w jaki sposób uczynić mnie twardszym, bardziej odpornym.

- Ma wszystkie talenty z wyjątkiem tego jednego - oznajmił zniechęcony pewnego wieczoru. - I przez ten brak inne jego zdolności stają się dlań zagrożeniem.

- Nigdy nie wiadomo - odparł pan Shigeru. - Aż dziw, jak w konkretnej sytuacji miecz wchodzi do ręki, zupełnie jakby kierował się własną wolą.

- Ty się taki urodziłeś, Shigeru, a trening tylko to utrwalił. Ale w moim przekonaniu Takeo w decydującej chwili się zawaha.

- Hmm - mruknął pan, przysuwając się do kociołka z węglem i ciałniej

otulając się płaszczem. Tego dnia cały dzień padał śnieg, który spiętrzył w ogrodzie ogromne zasy i ubrał drzewa oraz latarnie w grube, białe okrycia. Jednak pod wieczór niebo się wypogodziło; śnieżna biel połyskiwała od mrozu, a nasze oddechy unosiły się obłoczkami w zimnym powietrzu.

Poza nami trzema wszyscy spali. Skuleni wokół ognia grzaliśmy dłonie na kubkach gorącego wina. Ośmielony trunkiem zapytałem:

- Pan Otori zapewne zabił wielu ludzi?

- Nie wiem, nie rachowałem - odparł Shigeru. - Ale chyba niezbyt wielu, nie licząc Yaegahary. Nigdy nie zabiłem bezbronnego, nie zabijałem też dla przyjemności, co niektórzy czynią w swym zepsuciu. Lepiej, żebyś pozostał taki, jak teraz, niż abys miał upaść tak nisko.

Chciałem zapytać: Czy skorzystałbyś z usług skrytobójcy, by się zemścić? - ale nie śmiałem. Rzeczywiście, nie lubiłem okrucieństwa i wzdrygałem się na samą myśl o zabijaniu. Lecz z dnia na dzień coraz lepiej poznawałem żądzę zemsty Shigeru; wydawało mi się wręcz, że owo uczucie przenika z niego we mnie, karmiąc moje własne pragnienia. Tej nocy nad ranem otworzyłem okno i spojrzałem na ogród. Księżyc w nowiu i pojedyncza gwiazda zawisły obok siebie tuż nad widnokręgiem, nisko, jakby podśluchiwały śpiące miasto. Powietrze było zimne jak nóż.

Potrafiłbym zabić - pomyślałem. - Potrafiłbym zabić Iidę. A potem: Zabiję go. Nauczę się, jak to się robi.

Kilka dni później udało mi się zaskoczyć Kenjiego i samego siebie. Wciąż jeszcze dawałem się zwieść jego zdolności przebywania w dwóch miejscach naraz - widziałem starca w splowiałej szacie, który przyglądał się, jak ćwiczę zręczność dłoni albo przewrót do tyłu, a tymczasem z zewnątrz budynku nagle dobiegało mnie jego wołanie. Jednak tym razem wyczułem lub usłyszałem jego oddech i zanim zdążyłem pomyśleć: Gdzie on jest? - skoczyłem, chwyciłem go za gardło i powaliłem na ziemię.

Ku memu zdumieniu moje ręce samodzielnie powędrowały do punktu na tętnicy szyjnej, którego uciśnięcie powoduje śmierć.

Trzymałem go tylko przez moment i natychmiast puściłem. Spojrzeliśmy na siebie przeciągle.

- No - powiedział - już lepiej!

Popatrzyłem na swoje zwinne, długopalce dłonie, jakby należały do kogoś obcego.

Okazało się, że umiem robić także inne rzeczy, z których nie zdawałem sobie sprawy. Podczas ćwiczeń z kaligrafii pod okiem Ichiro moja prawa ręka nagle szkicowała kilka kresek i na papierze pojawiał się górski ptaszek, gotów do odlotu, albo ludzka twarz, którą zapamiętałem, nic o tym nie wiedząc. Ichiro targał mnie z tego powodu za uszy, widziałem jednak, że w gruncie rzeczy rysunki mu się podobają. W końcu pokazał je Shigeru.

Mój pan był zachwycony, Kenji także.

- To cecha Kikuta - jał się pysznić dumny, jakby wymyślił ją osobiście. - Bardzo użyteczna. Świetne przebranie dla Takeo, wręcz doskonałe. Artysta może szkicować w różnych miejscach, nie wzbudzając podejrzeń, że podśluchuje.

Podejście pana Shigeru okazało się równie praktyczne.

- Narysuj jednorękiego - zażądał.

Wilcza twarz, zda się, sama spłynęła mi z pędzla. Pan Shigeru wpatrzył się w nią.

- Poznam go, kiedy go zobaczę - mruknął. Zatrudniono nauczyciela rysunku i przez całą zimę kształtowano moje nowe oblicze. Kiedy nadeszła pora topnienia śniegów, Tomasu, półdziki chłopiec, który włóczył się po górach, który potrafił jedynie rozpoznać rośliny oraz zwierzęta, przepadł na zawsze. Pojawił się Takeo, cichy, pozornie łagodny artysta, trochę mól książkowy, kryjący pod tą postacią wzrok i słuch, którym nic nie mogło umknąć, oraz serce, gorliwie pobierające nauki zemsty. Nie wiedziałem tylko, czy ów Takeo jest prawdziwy, czy też stanowi jedynie sztuczny twór, powołany do życia, aby służyć celom Plemienia i klanu Otori.



Rozdział czwarty

Zbierały brzegi bambusowych trzciny, a klony przywdziały brokatowe szaty. Junko przyniosła dla Kaede stare suknie pani Noguchi, które następnie starannie popruła i uszyła na nowo, nicując wypłowiałe fragmenty. Co dzień robiło się chłodniej i dziewczyna dziękowała losowi, że nie mieszka już na zamku, gdzie musiałaby biegać po schodach i podwórcach w śniegu, padającym bez końca na zamrożony świat. Jej zajęcia stały się niespieszne; dni spędzała z kobietami Noguchi na szyciu i pracach gospodarskich, słuchała i wymyślała rozmaite historie, uczyła się kobiecego pisma. Nie była jednak szczęśliwa.

Pani Noguchi miała jej za złe dosłownie wszystko. Leworęczność Kaede wzbudzała w niej odrazę, bez przerwy snuła niekorzystne porównania z własnymi córkami, nie znośiła jej wysokiego wzrostu i smukłej sylwetki. Twierdziła, że jest wstrząśnięta brakiem wykształcenia dziewczyny w każdej niemal dziedzinie, lecz nigdy nie przyznała, że sama ponosi za to winę.

Junko na osobności wychwalała jasną skórę podopiecznej, jej delikatne ręce i nogi oraz gęste włosy, toteż Kaede, która korzystała z każdej okazji, aby przejrzeć się w lustrze, przyznała w końcu, że być może naprawdę jest piękna. Nawet tutaj, w pańskiej rezydencji, dostrzegała pożądliwe spojrzenia mężczyzn, jednak wszyscy mężczyźni napawali ją lękiem. Od czasu napaści strażnika ich bliskość przyprawiała ją o dreszcze. Myśl o małżeństwie przerażała ją; za każdym razem, gdy przybywał gość, obawiała się, że to jej przyszły mąż. Kiedy miała pojawić się w czasie jego wizyty z herbatą lub winem, serce jej łomotało, ręce drżały, aż wreszcie pani Noguchi uznała, że jest zbyt niezdarna, by obsługiwać gościom, i zabroniła jej opuszczać pomieszczenia kobiet.

Dręczyły ją niepokój i nuda. Kłóciła się z córkami pani Noguchi, karmiła służące z powodu drobiazgów, nawet wobec Junko odczuwała rozdrażnienie.

- Trzeba tę dziewczynę wydać za mąż - orzekła pani Noguchi i ku zgrozie Kaede pośpiesznie zaaranżowała jej małżeństwo z członkiem świty pana Noguchi. Podczas wymiany podarków narzeczeńskich Kaede rozpoznała mężczyznę, obecnego na pamiętnej audiencji. Wstrząsnął nią nie tylko jego wiek - był trzy razy od niej starszy, dwukrotnie żonaty i w dodatku odpychający fizycznie - lecz świadomość, że owo małżeństwo stanowi obelgę dla niej i jej rodziny. Znała swoją wartość, a rzucano ją na zmarowanie. Całymi nocami płakała, nie mogąc zasnąć.

Na tydzień przed planowanym ślubem w nocy przybyli posłańcy, podrywając na nogi cały dom. Pani Noguchi wezwała Kaede.

- Masz wielkiego pecha, pani Shirakawa - oznajmiła z furją. - Chyba jesteś przeklęta. Twój narzeczoną nie żyje.

Przyszły małżonek, świętując z przyjaciółmi koniec wdowieństwa, nagle dostał udaru i padł martwy pośród kielichów pełnych wina.

Kaede nieomal zemdląca z ulgi, jednakże otoczenie uznało, że ponosi winę również i za tę śmierć. Już dwóch ludzi zmarło z jej powodu; zaczęły krążyć plotki, że umrze każdy, kto jej pożąda.

Miała nadzieję, że to przekonanie zniechęci kandydatów do jej ręki, jednak pewnego wieczoru pod koniec trzeciego miesiąca, kiedy drzewa wypuszczały jaskrawe młode listeczki, Junko szepnęła do niej:

- Klan Otori proponował męża dla waszej dostojności.

Pochłonięta haftowaniem Kaede nagle zgubiła rozkołysany rytm, wbijając sobie igłę głęboko w palec. Junko pośpiesznie zabrała jej jedwab, aby go nie zakrwawiła.

- Kto to jest? - zapytała dziewczyna, przyciskając palec do ust i smakując słoną krew.

- Nie wiem dokładnie. Ale pan Iida osobiście mu sprzyja, gdyż klan Tohan usilnie dąży do przypieczętowania układu z Otori. Zyskałby wtedy władzę nad całą Środkową Krainą.

Kaede zmusiła się, by zapytać:

- Ile on ma lat?

- Nie wiadomo, panienko. Ale wiek męża jest nieważny.

Kaede podjęła pracę nad ślubną szatą z haftem w białe czaple i niebieskie żółwie na różowym tle. - Jakżebym chciała nigdy tego nie skończyć!

- Ciesz się, panienko Kaede. Wyjedziesz stąd. Otori mieszkają w Hagi, nad morzem. To związek godny ciebie.

- Boję się małżeństwa.

- Każdy boi się tego, czego nie zna! Ale z czasem kobiety zaczynają je lubić, sama zobaczysz. - Junko zaśmiała się do siebie.

Kaede przypomniała sobie ręce strażnika, jego siłę i żądzę. Poczula, że wzbiera w niej odraza. Jej dłonie, zazwyczaj zręczne i zwinne, zwolniły, aż Junko skarciła ją życzliwie, a przez resztę dnia traktowała nader łagodnie.

Kilka dni później zawezwano ją przed oblicze pana Noguchi. Już przedtem słyszała tętent końskich kopyt oraz obce męskie głosy, oznaczające przybycie gości, ale starała się schodzić im z drogi. Kiedy jednak z drżeniem serca przekraczała próg sali audiencyjnej, ku swemu zdumieniu i radości ujrzała, że na honorowym miejscu u boku pana Noguchi zasiada jej ojciec.

Chyląc się w pokłonie ku ziemi, dostrzegła zachwyt, malujący się na jego twarzy, i poczuła dumę, że ojciec ogląda ją w stosowniejszym dla jej pozycji położeniu. Poprzysięgła sobie, że nigdy nie zrobi nic, co mogłoby go zhańbić lub zasmucić.

Kiedy w końcu pozwolono jej usiąść, dyskretnie mu się przyjrzała. Jego włosy przerzedziły się i posiwiały, twarz pokryła sieć zmarszczek. Kaede, tęskniąca za wieściami od

matki i sióstr, miała nadzieję, że dadzą im trochę czasu sam na sam.

- Pani Shirakawa - rzekł pan Noguchi. - Otrzymaliśmy dla ciebie korzystną propozycję zamążpójścia, a twój ojciec przybył, aby udzielić nam swej zgody.

Kaede skłoniła się nisko i odparła półgłosem:

- Tak, panie Noguchi.

- To dla ciebie wielki zaszczyt. W ten sposób układ Tohan z Otori zostanie przypieczętowany i nasze trzy starożytne rody nareszcie się zjednoczą. Na twoim ślubie będzie obecny sam pan Iida; w rzeczy samej, zgodnie z jego życzeniem uroczystość odbędzie się w Inuyamie. Ponieważ twoja matka jest niezdrowa, do Tsuwano udasz się pod eskortą waszej krewniaczki, pani Maruyama. Tam spotka się z wami twój przyszły mąż, Otori Shigeru, bratanek panów Otori, ze swoją świtą. Nie sądzę, by konieczne były jakieś dodatkowe przygotowania. Wszystko doskonale się układa.

Słyszając, że matka źle się czuje, Kaede ośmieliła się rzucić okiem na ojca i prawie nie słuchała następnych słów pana Noguchi. Dopiero później zdała sobie sprawę, że wszystko zaaranżował w taki sposób, aby ponieść jak najmniej kosztów i niedogodności - musiał tylko zapewnić jej szaty na podróż i ślub oraz, być może, pokojówkę do towarzystwa. Doprawdy, doskonale wyszedł na całym interesie.

Gdy pan Noguchi zaczął żartować na temat zmarłego strażnika, Kaede oblała się rumieńcem, a jej ojciec spuścił oczy.

Cieszę się, że przeze mnie stracił jednego ze swych ludzi - pomyślała zawzięcie. - Oby stracił jeszcze stu.

Ojciec Kaede miał nazajutrz wracać do domu, gdyż choroba żony uniemożliwiała mu dalszy pobyt, więc gospodarz w przypływie wielkoduszności pozwolił mu spędzić parę chwil z córką. Dziewczyna zaprowadziła ojca do wychodzącego na ogród pokoiku. Było ciepło, w powietrzu unosiły się odurzające wiosenne wonie, w gałęziach sosny śpiewała leśna gajówka. Junko podała im herbatę, ojciec zaś, widząc jej uprzejmość i troskliwość, rozchmurzył się nieco.

- Cieszę się, że masz tu choć jedną przyjazną osobę - mruknął.

- Co słyszać u mamy? - zapytała Kaede z niepokojem.

- Żałuję, że nie mogę przekazać ci lepszych wieści. Obawiam się, że pora deszczowa jeszcze ją osłabi. Ale twoje małżeństwo podniosło ją na duchu. Otori to wielki ród, a pan Shigeru to podobno wspaniały człowiek. Ma doskonałą opinię, cieszy się ogólnym szacunkiem i sympatią. Jest wszystkim, czego spodziewaliśmy się po twoim mężu - a nawet czymś więcej.

- Skoro tak, to i ja jestem szczęśliwa - skłamała Kaede, aby sprawić mu przyjemność.

Spojrzał na kwitnące wiśnie, na drzewa ciężkie od kwiatów, rozmarzone własną urodą.

- Kaede, ten zabity strażnik...

- To nie ja go zabiłam - odparła pośpiesznie. - Zrobił to kapitan Arai, by mnie obronić. Całą winę ponosi zmarły.

Westchnął.

- Powiadają, że jesteś niebezpieczna dla mężczyzn... że pan Otori winien się

ciebie strzec. Nie wolno dopuścić, by cokolwiek przeszkodziło temu małżeństwu. Rozumiesz, Kaede? Jeśli do niego nie dojdzie... równie dobrze moglibyśmy nie żyć.

Kaede skłoniła się z ciężkim sercem. Ojciec wydał się jej kimś obcym.

- Wiem, że to dla ciebie wielkie brzemię - ciągnął ojciec. - Przez tyle lat byłaś odpowiedzialna za bezpieczeństwo naszej rodziny. Matka i siostry tęsknią za tobą. Gdybym znów mógł wybierać, urządziłbym sprawy inaczej... Może wziąłbym udział w bitwie pod Yaegaharą, może od razu opowiedziałbym się po stronie Iidy, zamiast czekać, aż walka wyłoni zwycięzcę... Ale to wszystko minęło i już nie wróci. Na swój sposób pan Noguchi dotrzymał słowa - żyjesz i dobrze wychodzisz za mąż. Jestem pewien, że nas nie zawiedziesz.

- Nie, ojciec - powiedziała, a przez ogród powiał lekki wietrzyk, strącając na ziemię deszcz białoróżowych płatków.

Następnego dnia ojciec Kaede wyjechał. Patrzyła, jak oddala się otoczony orszakiem, ludźmi, którzy związali się z rodem Shirakawa jeszcze przed jej narodzinami. Przypomniła sobie niektóre imiona - Hojiego, najbliższego przyjaciela ojca, a także młodego Amao, niewiele od niej starszego. Kiedy podróżni wyjechali za bramę, miażdżąc końskimi kopytami kwiecie wiśni, ścielące się na brukowanych stopniach, wbiegła pędem na basztę i długo śledziła, jak oddalają się brzegiem rzeki. Wreszcie kurz opadł, miejskie psy ucichły, a jeźdźcy zniknęli jej z oczu.

Następnym razem, myślała, zobacze ojca już jako kobieta zamężna, składająca oficjalną wizytę w rodzinnym domu.

Wróciła do rezydencji, marszcząc brew, aby powstrzymać łzy. Jej nastroju bynajmniej nie poprawił dźwięk obcego głosu - ktoś w najlepsze gawędził z Junko. Był to rodzaj głosu, którego Kaede nienawidziła najbardziej, dziecinno-dziewczyński, wysoki, chichotliwy. Wyobrażała już sobie jego właścicielkę, maleńką osobkę o krągłych policzkach lalki, drobnym, ptasim krocisku oraz nieustannie kiwającej się i kłoniącej główce.

Weszła pośpiesznie do pokoju, zastając Junko oraz nieznaną szyjące i składające jej szaty, przy których dokonywały ostatnich poprawek. W rzeczy samej, Noguchi nie tracili czasu, by się jej pozbyć. Bambusowe kosze i kuferki z drewna paulowni stały w pogotowiu, czekając na zapakowanie. Ich widok jeszcze bardziej rozstroił Kaede.

- Co tu robi ta osoba? - zapytała rozdrażniona. Dziewczyna przywarła do podłogi z przesadną uniżonością, dokładnie tak, jak przewidziała Kaede.

- To jest Shizuka - rzekła Junko. - Pojedzie z waszą dostojnością do Inuyamy.

- Nie chcę jej - odparła Kaede. - Chcę, żebyś ty ze mną pojechała.

- Panienko, niepodobna, żebyśmy stąd odeszła. Pani Noguchi nigdy na to nie pozwoli.

- To jej powiedz, żeby przysłała mi kogoś innego.

Z ust Shizuki, nadal rozpląszczonej na podłodze, wydobyło się jakby łkanie. Jednak Kaede, pewna, że dziewczyna udaje, pozostała niewzruszona.

- Jesteś zdenerwowana, panienko. Wiadomość o zamążpójściu, odjazd ojca... - próbowała ją udobruchać Junko. - Shizuka to dobra dziewczyna, bardzo ładna,

bardzo mądra. Usiądź, Shizuka, niech pani Shirakawa dobrze ci się przyjrzy.

Służąca podniosła się, nie patrząc na Kaede. Z jej spuszczonej oczu ciekły łzy. Kilkakrotnie pociągnęła nosem.

- Proszę, nie odsyłaj mnie, pani - chlipnęła. - Zrobię dla ciebie wszystko. Przysięgam, nikt nie będzie dbał o ciebie tak jak ja. Będę cię nosić w czasie deszczu, a przy zimnej pogodzie pozwolę ci grzać stopy o moje ciało.

Jej łzy już obeschły i znów się uśmiechała.

- Nie uprzedziłaś mnie, że pani Shirakawa jest taka piękna! - zawołała do Junko. - Nic dziwnego, że mężczyźni dla niej umierają!

- Nie mów tak! - krzyknęła Kaede i rozgniewana podeszła do drzwi. Dwaj ogrodnicy zbierali z mchu pojedyncze opadłe liście. - Męczy mnie, kiedy wciąż mi to powtarzają.

- I zawsze będą powtarzać - powiedziała Junko. - To stało się częścią życia waszej dostojności.

- Chciałabym, żeby mężczyźni dla mnie umierali! - zaśmiała się Shizuka. - Ale oni po prostu zakochują się we mnie, a potem odkochują z taką samą łatwością, jak ja w nich!

Kaede nie odwróciła się. Nie wstając z klęczek, Shizuka przysunęła się do kuferków i ponownie ją układać ubrania, nucąc przy tym cichym, czystym, jasnym głosem. Piosenka, którą śpiewała, stara ballada o wiosce w sosnowym lesie, o dziewczynie i jej chłopcu, przypomniła Kaede dzieciństwo, tym dobitniej uświadamiając jej, że czas ten dobiegł końca, że niebawem poślubi obcego człowieka i być może nigdy nie zazna miłości. Wioskowi ludzie mogli pozwolić sobie na zakochanie, ale dla kogoś w jej położeniu była to rzecz nie do pomyślenia.

Dużymi krokami podeszła do Shizuki, klęknięta obok i gwałtownym ruchem wyrwała jej ubranie.

- Skoro masz to robić, rób to porządnie!

- Tak, panienko. - Shizuka znów się rozpląszczyła, gniotąc poskładane szaty. - Dziękuję, panienko, nigdy tego nie pożałujesz! Powiadają - dodała, prostując się - że pan Arai bardzo się interesuje losami pani Shirakawa. Mówią, że bardzo wysoko sobie ceni jej honor.

- Znasz Araiego? - zapytała ostro Kaede.

- Pochodzę z jego miasta, panienko. Z Kumamoto.

Junko uśmiechnęła się szeroko.

- Teraz już wiem, że Shizuka będzie dbać o panienkę, toteż z czystym sumieniem mogę się pożegnać.

W ten sposób Shizuka stała się częścią życia Kaede. W równym stopniu irytowała ją i śmieszyła; uwielbiała plotkować i bez najmniejszych skrupułów rozpowszechniała rozmaite pogłoski, nieustannie przepadała w kuchni, w stajni i na zamku, po czym wracała, wręcz pękając od zasłyszanych nowin. Wszyscy ją lubili, poza tym nie bała się mężczyzn - przeciwnie, o ile Kaede mogła stwierdzić, mężczyźni bali się jej drwin i ciętego języka. Pozornie wydawała się niechlujna, lecz jej troska o Kaede nie pozostawiała nic do życzenia. Masażami odpędzała nękające

dziewczyne bóle złowy, zmiękczała jej kremową skórę maściami z ziół oraz wosku pszczelego, pincetą nadawała jej brwiom łagodniejszy kształt. Kaede przyzwyczaiła się na niej polegać, a w końcu jej zaufała. Mimo woli pozwalała się rozśmieszać - a ponadto Shizuka po raz pierwszy umożliwiła jej kontakt ze światem zewnętrznym, od którego dotychczas była izolowana.

W ten sposób dowiedziała się o chwiejnych stosunkach między klanami, o wzajemnych urazach - gorzkim pokłosiu bitwy pod Yaegaharą - o układzie, który Iida usiłował zawrzeć z klanami Otori i Seishuu, o nieustającej karuzeli stanowisk, a także o walczących o nie mężczyznach, którzy gotowali się do następnej wojny. Po raz pierwszy także usłyszała o Ukrytych, o prześladowaniach, jakim poddawał ich Iida, oraz o jego żądaniu, by sojusznicy postępowali tak samo.

Nigdy dotąd nie słyszała o tych ludziach i początkowo sądziła, że Shizuka zmyśla. Lecz pewnego wieczoru służąca, niezwykle speszona, co było dla niej nietypowe, szepnęła jej, że żołnierze pana Noguchi odkryli małą wioskę, której mieszkańcy, mężczyźni i kobiety, zostali uwięzieni na zamku. Mieli zostać powieszeni na murach w wiklinowych klatkach, dopóki nie umrą z głodu i pragnienia, rozdziobywani żywcem przez wrony.

- Dlaczego? Co takiego zrobili? - dopytywała się Kaede.

- Mówią, że istnieje tajemny bóg, który wszystko widzi. Nie wolno im go obrazić ani się wyprzec. Wolą raczej umrzeć.

Kaede zadrżała.

- Dlaczego pan Iida tak ich nienawidzi?

Choć były same w pokoju, Shizuka obejrzała się za siebie.

- Twierdzą, że tajemny bóg ukarze pana Iidę po jego śmierci.

- Jak to! Iida jest najpotężniejszym władcą w Trzech Krainach. Może robić, co zechce. Nie mają prawa go osądzać.

Pomysł, że zwykli ludzie mieliby oceniać czyny wielkiego władcy, wydał się Kaede groteskowy.

- Ukryci wierzą, że przed ich bogiem wszyscy są równi. Nie istnieją dla niego panowie, tylko ci, którzy weń wierzą, i ci, którzy nie wierzą.

Kaede spochmurniała. Nic dziwnego, że Iida chciał unicestwić ten lud. Pytałaby nadal, ale Shizuka zmieniła temat.

- Lada dzień na zamku spodziewana jest pani Maruyama. Wtedy ruszymy w drogę.

- Dobrze, że porzucimy wreszcie to miejsce śmierci - rzekła Kaede.

- Śmierć jest wszędzie. - Służąca wzięła grzebień i długimi, równymi pociągnięciami jęła rozczesywać włosy swej pani. - Pani Maruyama to bliska krewna panienki. Czy widywałaś ją jako dziecko?

- Być może, ale nie pamiętam tego. Wydaje mi się, że jest kuzynką mojej matki, lecz niewiele o niej wiem. A ty, poznałaś ją?

- Widywałam ją tylko - roześmiała się Shizuka. - Osoby takie jak ja nie mogą naprawdę poznać ludzi takich jak ona!

- Opowiedz mi o niej - poprosiła Kaede.

- Wiadomo, że władza wielkim lennem na południowym zachodzie. Jej mąż i syn nie żyją, córka zaś, która po niej dziedziczy, jest przetrzymywana jako zakładniczka w Inuyamie. Pani Maruyama nie zalicza się do przyjaciół klanu Tohan, mimo że wywodził się z niego jej mąż, pasierbica zaś wyszła za mąż za kuzyna pana lidy. Krążyły nawet słuchy, że po śmierci męża pani Maruyama Tohańcy kazali otruć jej syna. Powiadają, że Iida najpierw zaproponował, by poślubiła jego brata, a teraz podobno sam chce pojąć ją za żonę.

- Przecież on ma już żonę i syna - przerwała Kaede.

- Dotychczas żadne dziecko pani Iida nie dożyło wieku dojrzewania, a ona sama jest słabego zdrowia i może odejść w każdej chwili.

Innymi słowy, on w każdej chwili może ją zamordować - pomyślała Kaede, lecz nie odważyła się powiedzieć tego na głos.

- Tak czy inaczej - ciągnęła Shizuka - powiadają, że pani Maruyama nigdy nie wyjdzie za Iidę i nie pozwoli na to swojej córce.

- Sama decyduje, kogo poślubi? To musi być kobieta o wielkiej władzy.

- Maruyama to ostatni z wielkich rodów, gdzie dziedziczy się w linii żeńskiej - wyjaśniła Shizuka. - Dzięki temu ta pani może więcej niż inne kobiety. A poza tym posiada moce, które zakrawają na czary. Podobno kiedy czegoś chce, rzuca na ludzi urok.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Jak inaczej wyjaśnić to, że udało jej się przeżyć tak długo? Ród jej zmarłego męża, pan Iida i większość klanu Tohan pragnie ją zniszczyć, ona zaś nadal żyje, mimo że zabito jej syna, a córka przebywa w niewoli.

Kaede poczuła, że jej serce ściska się ze współczucia.

- Dlaczego kobiety muszą tak cierpieć? Dlaczego nie mamy wolności, jak mężczyźni?

- Taki jest ten świat - odparła Shizuka. - Mężczyźni są silniejsi i nie powstrzymują ich uczucia czułości ani miłosierdzia. Kobiety ich kochają, ale oni nie odwzajemniają tej miłości.

- Nigdy się nie zakocham - oznajmiła Kaede.

- Tym lepiej - roześmiała się Shizuka, po czym zajęła się przygotowaniem posłań.

Przed zaśnięciem Kaede długo rozmyślała o pani, która posiadała władzę równą męskiej, o kobiecie, która utraciła syna i w gruncie rzeczy utraciła córkę. Pomyślała też o dziewczynce, przetrzymywanej jako zakładniczka w warowni lidy w Inuyamie, i ogarnęła ją litość.

Salę audiencji w apartamentach pani Noguchi urządzono w stylu popularnym na głównym lądzie. Drzwi oraz parawany zdobiły wizerunki gór i sosen, jednak Kaede nie podobały się te obrazy. Uważała, że są ciężkie, przesadnie złoczone i zbyt ostentacyjne; wyjątek stanowił jedynie wizerunek z lewej strony, przedstawiający dwa bażanty, tak realistyczne, że wręcz zdawały się do lotu. Owe ptaki o lśniących oczach i przekrzywionych główkach przysłuchiwały się rozmowom w pomieszczeniu z większym ożywieniem niż niejedna kobieta, której przyszło klękać

przed obliczem pani Noguchi.

Po prawej ręce gospodyni siedział gość - niedawno przybyła pani Maruyama. Na znak pani Noguchi Kaede zbliżyła się i zgięta do podłogi jęła słuchać dwójmowy, rozlegającej się nad jej głową:

- Oczywiście, z żalem żegnamy panienkę Kaede, która jest dla nas jak córka. Wzdragamy się także przed obarczeniem jej osobą pani Maruyama. Ośmielamy się jedynie prosić, byś pani pozwoliła, aby towarzyszyła ci do Tsuwano, dokąd przyjedzie po nią pan Otori.

- Pani Shirakawa ma poślubić kogoś z klanu Otori?

Kaede spodobał się spokojny, niski głos, rozbrzmiewający w jej uszach. Odrobinię uniosła głowę i dostrzegła małe dłonie damy, złożone na kolanach.

- Owszem, pana Otori Shigeru - gruchała pani Noguchi. - To wielki zaszczyt. Oczywiście, mój mąż jest blisko z panem Iidą, który osobiście pragnie tego związku.

Kaede ujrzała, że drobne dłonie zaciskają się i bieleją, jakby uszła z nich wszelka krew. Nastąpiła przerwa, tak długa, że niemal zakrawająca na niegrzeczność, po czym pani Maruyama cicho zapytała:

- Pana Otori Shigeru? Doprawdy, pani Shirakawa ma szczęście.

- Wasza dostojność go zna? Nigdy nie miałam tej przyjemności.

- Znam pana Otori bardzo słabo - odparła pani Maruyama. - Proszę, usiądź prosto, pani Shirakawa. Pozwól mi zobaczyć swoją twarz.

Kaede uniosła głowę.

- Jakaś ty młoda! - wykrzyknęła dama.

- Mam piętnaście lat, wasza dostojność.

- Niewiele więcej od mojej córki - rzekła pani Maruyama słabym, drżącym głosem.

Kaede odważyła się spojrzeć w ciemne oczy o doskonałym kształcie. Źrenice kobiety były rozszerzone, jakby pod wpływem szoku, a twarz bielsza, niż mógłby ją uczynić jakikolwiek puder. Po chwili pani Maruyama nieco odzyskała panowanie nad sobą; na jej wargi wypełzł uśmiech, który jednak nie sięgnął oczu.

Co ja jej zrobiłam? - spieszyła się Kaede. Czuła instynktowną sympatię do nieznajomej. Shizuka miała rację - ta kobieta mogła sprawić, że każdy zrobiłby dla niej wszystko, czego zażądała. Jej uroda nieco już zbladła, lecz cienkie zmarszczki wokół powiek i ust dodawały jej twarzy charakteru i siły. Widoczny teraz na niej wyraz chłodu zranił Kaede do żywego.

Nie lubi mnie - pomyślała dziewczyna z przytłaczającym uczuciem zawodu.



Rozdział piąty

Śniegi stopniały, w domu i ogrodzie znów rozśpiewała się woda. Przebywałem w Hagi już od pół roku. Nauczyłem się czytać, pisać i rysować; nauczyłem się także zabijać na wiele różnych sposobów, choć zastosowanie któregoś z nich miałem dopiero przed sobą. Czułem, że potrafię odczytywać intencje ludzkich serc, posiadałem również inne pożyteczne umiejętności, które Kenji nie tyle mi wpoił, ile wydobył z mojego wnętrza. Wiedziałem, jak znaleźć się w dwóch miejscach naraz, jak wydawać się niewidzialnym, jak uciszać psy spojrzeniem, od którego natychmiast zasypiały. Tę ostatnią sztuczkę odkryłem samodzielnie i zataiłem przed Kenjim, albowiem, oprócz innych rzeczy, udało mu się nauczyć mnie przebiegłości.

Zdolności owe wykorzystywałem, kiedy męczyło mnie przebywanie w czterech ścianach domu, nieubłagany reżim nauki i ćwiczeń, posłuszeństwo wobec dwóch surowych nauczycieli. Łatwo, wręcz zbyt łatwo zwodziłem czujność strażników, usypiałem psy i wymykałem się niepostrzeżenie za bramę; niejedną raz zdarzało się, że włóczyłem się z Fumiem po portowych uliczkach, podczas gdy Ichiro, a nawet Kenji sądzili, że siedzę gdzieś spokojnie z tuszem i pędzelkiem w ręku. Wyzwolony, kąpałem się w rzece, słuchałem żeglarzy i rybaków, a także wdychałem oszałamiającą woń morskiej bryzy, konopnych lin i sieci oraz owoców morza pod każdą postacią - surowych, duszonych, smażonych, przetworzonych na małe pierożki lub pokrzepiające zupy - od których zapachu w żołądkach zaczynało nam burczeć z głodu. Podchwytywałem rozmaite narzecza i akcenty, zachodnie, wyspiarskie, nawet z głównego lądu, oraz słuchałem rozmów, których rzekomo nie dało się podsłuchać, ciągle dowiadując się czegoś nowego o ludzkich sprawach, obawach i pragnieniach.

Czasem wychodziłem sam, przebywając rzekę przy rybackiej tamie albo wpław. Zapuszczałem się daleko w góry na drugim brzegu, gdzie znajdowały się sekretne chłopskie poletka, ukryte wśród drzew, niewidziane, a więc nieopodatkowane. Patrzyłem, jak w młodniakach rozwijają się zielone listeczki, słuchałem, jak zagajniki kasztanów ożywają od brzęczenia owadów, szukających pyłku w złocistych baziach. Chłopi także brzęczeli niczym owady; wciąż byłem świadkiem ich nieustannych narzekań na panów Otori i na rosnące obciążenie podatkowe. Raz po raz dobiegało mnie imię pana Shigeru, rozgoryczone głosy niemal całej ludności ubolewającej, że na zamku rządzi nie on, lecz jego stryjowie.

Poglądy takie stanowiły zdradę stanu i głoszone je tylko późną nocą w leśnych ostępach, gdzie nikt oprócz mnie nie mógł ich usłyszeć - ja zaś nic nikomu nie mówiłem.

Gwałtownie wybuchła wiosna, powietrze pocieplało, krajobraz ożył.

Przepełniał mnie niezrozumiały niepokój, szukałem czegoś, nie mając pojęcia, co to jest. Kenji zabrał mnie do dzielnicy rozkoszy, gdzie przespałem się z kilkoma dziewczętami, nie mówiąc mu, że odwiedzałem już owe przybytki w towarzystwie Fumia, lecz znalazłem w nich jedynie krótkotrwałą ulgę od tęsknoty. Oprócz żądz przepełniała mnie litość dla pracujących tam dziewczyn - przypominały mi rówieśnice z Mino, wśród których się wychowałem. Zapewne pochodziły z takich samych rodzin i zostały sprzedane jako prostytutki przez głodujących rodziców. Niektóre były niemal dziećmi, więc bacznie przyglądałem się ich twarzom, doszukując się w nich rysów moich sióstr. Często podczas tych wypraw dręczył mnie wstyd, mimo to ich nie zaniechałem.

Nadeszły wiosenne święta, świątynie i ulice kipiały od ludzi. Co noc krzyczały bębny; twarze i ramiona bębnistów, w opętaniu przekraczających granice wyczerpania, lśniły od potu w świetle lampionów. I ja nie oparłem się gorączce świętowania, szaleńczej ekstazie tłumów. Pewnej nocy uczestniczyłem z Fumiem w pochodzie ku czci boga, którego złocisty posąg unosiła na ramionach ciżba podnieconych, przepychających się mężczyzn. Ledwie zdążyłem się pożegnać z przyjacielem, gdy ktoś pchnął mnie w plecy tak mocno, że omal nie rozdeptałem idącego przede mną człowieka. Ten odwrócił się ku mnie, po czym krzyknął zaskoczony. Natychmiast go poznałem - był to ten sam handlarz, który zatrzymał się w naszym domu w Mino, by nas ostrzec przed prześladowaniami lidy, niski, krępy mężczyzna o brzydkiej, rozumnej twarzy, przekupień, jakim niekiedy zdarzało się zbłądzić do naszej wioski. Zanim zdążyłem ukryć się w tłumie, ujrzałem w jego oczach błysk rozpoznania, pomieszany z czymś na kształt litości.

- Tomasu! - zawołał, usiłując przekrzyknąć gwar. Pokręciłem przecząco głową, przybierając obojętny wyraz twarzy, lecz on nieustępliwie zaciągnął mnie do pobliskiego zaułka.

- To ty, Tomasu, prawda? Chłopiec z Mino?

- Mylisz się - odparłem stanowczo. - Nie znam nikogo imieniem Tomasu.

- Wszyscy myśleli, że nie żyjesz!

- Nie wiem, o czym mówisz.

Roześmiałem się, jakbym usłyszał świetny dowcip, jednocześnie usiłując ponownie dać nura w tłum, jednak rozmówca pochwycił mnie za rękę. Wiedziałem, co powie, już w momencie, gdy otwierał usta:

- Twoja matka nie żyje! Zabili ją! Zabili wszystkich! Zostałeś tylko ty! Jak ci się udało uciec?

Przybliżył twarz do mojej. Poczulem woń jego oddechu i potu.

- Stary, chyba jesteś pijany! - zawołałem. - Moja matka żyje, mieszka w Hofu i ma się bardzo dobrze, o ile mi wiadomo! Ja natomiast pochodzę z klanu Otori - wycodziłem, odpychając go i dobywając noża, pozwalając, by gniew zajął w moim głosie miejsce rozbawienia.

Odskoczył jak oparzony.

- Wybacz, panie - wybełkotał. - To pomyłka, teraz widzę, że nie jesteś tym, za kogo cię wziąłem.

Był trochę pijany, lecz pod wpływem strachu szybko trzeźwiał.

W głowie kłębiło mi się od sprzecznych myśli, a górowała nad nimi obawa, że teraz będę musiał zabić tego człowieka, nieszkodliwego handlarza, który kiedyś chciał ostrzec moją rodzinę. Wyraźnie wyobraziłem sobie, jak tego dokonam; zwabie go głębiej w zaułek, zbije z nóg, jednym pociągnięciem noża rozetnę mu tętnicę szyjną, po czym pozwolę upaść niczym pijakowi, aby wykrwawił się na śmierć. Nawet gdyby ktoś to zobaczył, nie odważyłby się mnie powstrzymać.

Obok nas przelewała się ciżba ludzka, w mojej ręce lśnił nóż. Mężczyzna padł na ziemię, bijąc czołem w piach i bełkotliwie żębrząc o życie.

Nie mogę go zabić - pomyślałem, a potem: Nie ma takiej potrzeby. Uznał, że nie jestem Tomasu, a jeśli nawet ma wątpliwości, to nigdy nie ośmieli się ich ujawnić. W końcu należy do Ukrytych.

Wycofałem się, pozwalając, by tłum poniosł mnie ku bramie świątyni, po czym przedarłem się na nadrzeczną ścieżkę. Było tu pusto i ciemno; w oddali rozbrzmiewały okrzyki podnieconej gawiedzi, śpiewy mnichów i głuchoe bicie świątynnego dzwonu. Rzeka z sykiem rozbijała się o burty łodzi, chlupotała i pluskała przy nabrzeżu i w trzcinach. Wspomniałem swoją pierwszą noc w domu pana Shigeru. Rzeka wciąż płynie za progiem, a świat zawsze czeka na zewnątrz. I jest to świat, w którym musimy żyć.

Kiedy wracałem do domu, potulne i rozespane psy odprowadziły mnie wzrokiem, jednak strażnicy nie zwrócili na mnie uwagi. Czasem przy takich okazjach zakradałem się do wartowni i zaskakiwałem ich znienacka, lecz dzisiaj nie miałem ochoty na dowcipy - goryczą napawała mnie świadomość, że są tak powolni i niespostrzegawczy, iż każdy członek Plemienia mógłby z łatwością dostać się do domu, tak jak uczynił to skrytobójca. Ogarnął mnie niesmak i odraza do owego świata knowań, podstępów oraz intryg, w którym tak umiejętnie się poruszałem. Z całego serca zapragnąłem stać się z powrotem Tomasu, wracającym z gór do matczynego domu.

Czułem pieczenie w kącikach oczu. Ogród przepełniały wonie i odgłosy wiosny, wczesne kwiaty wiśni w świetle księżyca połyskiwały kruchą bielą. Ich czystość przeszła mnie na wskroś. Jak to możliwe, by świat był tak piękny i jednocześnie tak okrutny?

Lampy migotały i filowały w podmuchach ciepłego wiatru. W mroku werandy dostrzegłem Kenjiego, który zawołał pogodnie:

- Pan Shigeru zmył głowę Ichiro za to, że cię zgubił. Powiedziałem mu: „Lisa możesz obłaskawić, ale nigdy nie zmienisz go w domowego pieska!”.

Wszedłem w krąg światła.

- Co się stało? - krzyknął Kenji, ujrzawszy moją twarz.

- Moja matka nie żyje.

Dzieci płaczą. Mężczyźni i kobiety muszą wytrwać. W moim sercu płakał mały chłopiec Tomasu, ale oczy Takeo pozostały suche.

Kenji przyciągnął mnie do siebie.

- Skąd wiesz? - zapytał szeptem.

- W świątyni był ktoś, kogo znałem w Mino.

- Rozpoznał cię?

- Tak mu się wydawało. Przekonałem go, że się myli. Powiedział mi o śmierci matki, kiedy jeszcze sądził, że jestem Tomasu.

- Przykro mi - rzekł zdawkowo Kenji. - Spodziewam się, że go zabiłeś?

Nie odpowiedziałem. Nie musiałem - już zadając mi to pytanie, wiedział, co odpowiem.

- Jesteś głupcem, Takeo. - Zniecierpliwiony trzepnął mnie w plecy, zupełnie jak Ichiro, kiedy zapomniałem postawić kreskę w ideogramie.

- Był nieuzbrojony, nieszkodliwy. Znał moją rodzinę.

- Właśnie tego się obawiałem. Pozwalasz, by litość krępowała ci ręce. Nie wiesz, że człowiek, któremu darowałeś życie, znienawidzi cię na zawsze? Zdołałeś tylko utwierdzić go w mniemaniu, że naprawdę jesteś Tomasu.

- Dlaczego miałby umierać z powodu mego przeznaczenia? Co by nam przyszło z jego śmierci? Nic!

- Bardziej martwią mnie nieszczęścia, które może sprowadzić na nas jego życie i jego żywy język - odparł Kenji, wchodząc do domu, aby zdać sprawę panu Shigeru.

Popadłem w niełaskę i zabroniono mi włóczyć się samopas po mieście. Kenji zaczął ściślej mnie pilnować; wymknięcie się spod jego kontroli stało się niemal niemożliwe. Co oczywiście mnie nie powstrzymało - jak zwykle, wystarczyło, by pojawiła się przede mną przeszkoda, a natychmiast zaczynałem szukać sposobów, by ją pokonać. Ten brak posłuszeństwa doprowadzał Kenjiego do szału, jednak moje talenty stawały się coraz subtelniejsze, ja zaś pokładałem w nich coraz większe zaufanie.

Usłyszawszy od Kenjiego o kłęsce, którą poniosłem jako zabójca, pan Shigeru postanowił porozmawiać ze mną o śmierci matki.

- Płakałeś po niej owej pierwszej nocy, kiedy cię spotkałem. Teraz nie wolno ci okazać cienia żalu. Nigdy nie wiadomo, kto na ciebie patrzy.

Mój żal pozostał zatem niewyrażony, stłumiony w sercu. Nocami cicho powtarzałem modlitwę Ukrytych za dusze matki oraz sióstr, lecz inaczej niż uczyła mnie matka, nie prosiłem o przebaczenie. Nie miałem zamiaru wybaczać wrogom; wręcz przeciwnie, pozwalałem, by żałoba podsycała we mnie żądzę zemsty.

Owa noc była również ostatnią, gdy widziałem się z Fumiem. Kiedy wreszcie udało mi się uciec spod nadzoru Kenjiego i przedostać do portu, łodzie Terada zniknęły. Od innych rybaków dowiedziałem się, że pewnej nocy wypłynęli w morze, wypędzeni z Hagi przez wysokie podatki i niesprawiedliwe prawa. Krążyły pogłoski, że uciekli na Oshimę, do pierwotnej siedziby swojego rodu. Byłem niemal pewien, że prędzej czy później zajmą się piractwem, wykorzystując ową daleką wyspę jako bazę.

Mniej więcej w owym czasie, przed nastaniem śliwkowych deszczów, pan Shigeru bardzo zainteresował się budownictwem i postanowił urzeczywistnić swój plan poszerzenia domu o pawilon herbaciany. Pewnego dnia, gdy szedł wybierać drewno - cedrowe belki na podłogę oraz sufit, cyprysowe deski na ściany - poprosił,

bym mu towarzyszył. Nieoczekiwanie zapach tarcicy przywiódł mi na myśl góry. Również cieśle, przeważnie mrukliwi, wybuchający nagłym śmiechem z powodu niezgłębionych dla otoczenia dowcipów, bardzo przypominali mężczyzn z mojej wioski. Sprawili, że bezwiednie osunąłem się w stare rytmy mowy, wiejskie wyrażenia, nieużywane od wielu miesięcy, a mój dialekt niekiedy nawet ich bawił.

Pan Shigeru interesował się wszystkimi etapami konstrukcji, od ścinki drzew po cięcie desek, a zwłaszcza różnymi metodami kładzenia podłóg, toteż wielokrotnie odwiedzaliśmy tartak. Podczas tych wizyt zawsze zajmował się nami Shiro, mistrz ciesielski, rodzony brat cedru i cyprysu, który sam sprawiał wrażenie, jakby wyciosano go z ukochanego drewna i nieustannie opowiadał nam o wszystkich jego typach, o duchach drzew, a także o tym, co dzięki nim przechodzi z lasu do domu.

- Każde drewno ma własny ton - powiedział kiedyś. - Każdy dom ma swoją pieśń.

Sądziłem dotąd, że tylko ja wiem, iż domy śpiewają. Od wielu miesięcy słuchałem domu pana Shigeru; słyszałem, jak jego pieśń cichnie i zamienia się w zimową muzykę, nasłuchiwałem jego belek oraz krokwi, przyciśniętych do ziemi ciężarem śniegu, marznących, topniejących, rozszerzających się i kurczących. Teraz, na wiosnę, dom znowu rozśpiewał się o wodzie.

Shiro przyglądał mi się, jakby znał moje myśli.

- Doszły mnie słuchy, że pan Iida zamówił podłogę, która śpiewa niczym słowik - rzekł od niechcienia. - Komu potrzebna podłoga, śpiewająca jak ptak, skoro każda podłoga już ma swoją pieśń?

- Po co ją zamówił? - zapytał pan Shigeru, z pozoru niedbale.

- Boi się skrytobójstwa. Ta podłoga ostrzega; nie można po niej przejść, żeby nie zaczęła ćwierkać.

- A jak się ją robi?

Stary cieśla wskazał fragment rozpoczętej podłogi i wyjaśnił nam, w jaki sposób należy rozmieścić legary, by deski skrzypiały.

- Podobno mają takie w stolicy. Większość ludzi chce mieć bezgłośną podłogę, nie przyjełoby takiej, która hałasuje, kazaliby kłaść ją ponownie. Ale Iida nie może spać w nocy - zachichotał. - Obawia się, że ktoś się doń zakradnie, leży bezsennie i drży, że jego podłoga się odezwie!

- Potrafiłbyś zrobić coś podobnego?

Shiro wyszczerzył do mnie zęby.

- Skoro umiem położyć podłogę tak cichą, że nawet Takeo jej nie słyszy, to pewnie potrafiłbym zrobić i taką, która śpiewa.

- Takeo ci pomoże - oznajmił mój pan. - Musi wiedzieć dokładnie, jak jest zbudowana.

Nie śmiałem wówczas pytać, po co mi ta wiedza -w gruncie rzeczy domyślałem się już, ale nie chciałem ubierać swych podejrzeń w słowa.

Pawilon herbaciany został zbudowany; przy tej okazji Shiro skonstruował niewielką śpiewającą podłogę, pomost, który zastąpił werandę wokół domu, ja zaś

bacznie obserwowałem wbijanie każdego kołka, kładzenie każdego legara i deski. Chiyo narzekała, że skrzypienie werandy przyprawia ją o ból głowy i bardziej przypomina pisk myszy aniżeli śpiew ptaka. Pan Shigeru nie wspomniał więcej o swym żądaniu, bym opanował tajniki budowy podłogi, sądząc jednak, że przewidział, jaką ciekawość we mnie wzbudzi. Słuchałem jej jak dzień długi. Rozpoznawałem po krokach, kto po niej idzie, umiałem przewidzieć kolejne tony jej pieśni. Sam usiłowałem stąpać po niej tak, by nie obudzić ptaków, co było trudne - Shiro dobrze wykonał robotę - ale nie niemożliwe, widziałem, jak ją budowano, i rozumiałem, że nie ma w niej nic czarodziejskiego. Pokonanie jej było zaledwie kwestią czasu; z niemal fanatyczną cierpliwością, która, jak już wiedziałem, stanowiła cechę Plemienia, nieustannie ćwiczyłem chodzenie po słowiczej podłodze.

Zaczęły się deszcze. Pewnej gorącej, dusznej nocy nie mogłem zasnąć, wstałem więc, by napić się wody ze zbiornika. Zatrzymałem się w drzwiach i spojrzałem na rozciągającą się przede mną werandę. Pojąłem, że mogę po niej przejść, nikogo nie budząc.

Poruszałem się szybko; moje stopy dokładnie wiedziały, gdzie stanąć i jak mocno nacisnąć. Ptaki milczały. Ogarnęło mnie uczucie, niemające nic wspólnego z uniesieniem - głęboka przyjemność, jaką daje opanowanie kunsztów Plemienia. Wtem zza pleców dobiegł mnie szmer oddechu. Odwróciłem się i ujrzałem pana Shigeru.

- Usłyszałeś mnie - powiedziałem rozczarowany.

- Nie, już nie spałem. Możesz to zrobić jeszcze raz?

Przyczajony, znieruchomiałem na chwilę, zapadając się w siebie na modłę Plemienia, pozwalając, by spłynęły ze mnie wszystkie doznania z wyjątkiem świadomości nocnych odgłosów. Po czym znów przebiegłem po słowiczej podłodze. Ptaki wciąż spały.

Pomyślałem o lidzie, leżącym bezsennie w Inuyamie, nasłuchującym śpiewu słowika. Wyobraziłem sobie, że zakradam się do niego, cichy, bezszelestny, niewykrywalny.

Pan Shigeru, jeżeli nawet myślał o tym samym, nie dał niczego po sobie poznać. Rzekł jedynie:

- Shiro mnie zawiódł. Sądziłem, że jego podłoga cię przechytrzy.

Żaden z nas nie zapytał: A podłoga lidy? Pytanie to wszakże zawisło między nami w dusznym, nocnym powietrzu szóstego miesiąca.

Po ukończeniu pawilonu herbacianego często wieczorami pijaliśmy w nim herbatę; wspominałem wówczas ów pierwszy raz, gdy smakowałem kosztowny zielony napar, przygotowany przez panią Maruyama. Przeczynałem, że pan Shigeru kazał postawić pawilon z myślą o niej, jednak nigdy o tym nie mówił.

Przy wejściu do pawilonu rośla dwupienna kamelia; być może ten symbol miłości między mężem i żoną sprawił, że nagle wszyscy zaczęli rozważać korzyści płynące z małżeństwa. Zwłaszcza Ichiro jał usilnie namawiać mego pana, aby się powtórnie ożenił.

- Dotychczas mogłeś się wykręcać śmiercią Takeshiego oraz matki. Ale już od

dziesięciu lat jesteś bezzenny i bezdzietny! To niesłychane!

Służący wciąż plotkowali, zapominając, że wyraźnie ich słyszę z każdej części domu. Panująca wśród nich opinia była bliska prawdy, aczkolwiek oni sami w nią nie wierzyli - uznali mianowicie, że pan Otori musi być zakochany w jakiejś nieodpowiedniej lub nieosiągalnej kobiecie. Pewnie przysiągł jej wierność, wzdychały dziewczęta, gdyż ku ich żalowi nigdy nie zaprosił żadnej z nich do łożnicy. Starsze kobiety, większe realistki, pokpiwały, że takie rzeczy zdarzają się w pieśniach, lecz nie mają wpływu na codzienne życie klasy rycerskiej.

- Może on woli chłopców - podsunęła najśmielsza z dziewcząt, Haruka, i zanosząc się chichotem, dodała:

- Zapytajcie Takeo!

Na co Chiyo odparła, że upodobanie do chłopców to jedno, a małżeństwo to całkiem co innego. Te rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Pan Shigeru unikał tematu, utrzymując, że bardziej zajmuje go kwestia mojej adopcji. Od miesięcy klan nie wypowiedział się w tej sprawie, twierdząc jedynie, że wciąż ją rozważa. Panowie Otori istotnie mieli pilniejsze troski; Iida rozpoczął letnią kampanię na Wschodzie, niszczył i podbijał jedno lenno po drugim, obawiano się tedy, że niedługo zwróci swoją uwagę na Środkową Krainę. Klan Otori przyzwyczaił się do pokoju, również stryjowie pana Shigeru nie mieli ochoty wchodzić w konflikt z Iidą i wplątywać się w kolejną wojnę, jednakże myśl o podporządkowaniu się Tohańczykom wzbudzała oburzenie większości członków klanu.

Hagi trzęsło się od pogłosek. W mieście panowało napięcie, które udzieliło się nawet Kenjiemu; ja, nękany nieustannym nadzorem, również stałem się drażliwy.

- Co tydzień w mieście przybywa szpiegów Tohan - mówił Kenji do pana Shigeru. - Prędzej czy później ktoś rozpozna Takeo. Pozwól mi go stąd zabrać.

- Kiedy dokonamy prawnej adopcji, zostanie objęty opieką klanu. Iida dwa razy się zastanowi, zanim ośmieli się go tknąć.

- Sądzę, że nie doceniasz Iidy. Ośmieli się na wszystko.

- Może na Wschodzie, ale nie tutaj, w Środkowej Krainie.

Często się spierali. Kenji naciskał na pana Shigeru, by pozwolił mi z nim odejść, ten zaś unikał tematu i nie traktował zagrożenia poważnie, utrzymując, że po adopcji będę bezpieczniejszy w Hagi niż gdziekolwiek indziej.

Udzielił mi się nastrój Kenjiego. Miałem się bez przerwy na baczności, zawsze czujny i gotowy do działania. Tylko ucząc się nowych umiejętności, zaznawalem spokoju, toteż obsesyjnie doskonaliłem swe talenty.

Wreszcie pod koniec siódmego miesiąca przyszła wiadomość: pana Shigeru wzywano wraz ze mną na zamek. Mieli nas przyjąć jego stryjowie, którzy wreszcie podjęli decyzję.

Chiyo wyszorowała mnie, umyła i podcięła mi włosy, po czym podała mi strój, nowy, choć w zgaszonych barwach. Ichiro bez końca powtarzał ze mną zasady etykiety i grzeczności, podpowiadał słowa, których winienem użyć, ćwiczył ze mną głębokie pokłony.

- Nie zawieź nas - syknął, gdy wyjeżdżaliśmy z domu. - Nie wolno ci

rozczarować pana Shigeru po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił.

Kenji nam nie towarzyszył, obiecał jednak, że podaży za nami do bram zamku.

- Miej uszy otwarte - pouczył mnie, zupełnie jakbym mógł postąpić inaczej.

Jechałem na Raku, moim siwku z czarną grzywą i ogonem; przede mną, na karym Kyu, jechał pan Shigeru w otoczeniu sześciuosobowej świty. Mimo to w pobliżu zamku ogarnęła mnie panika - widok potężnej warowni, złowieszczo dominującej nad miastem, całkowicie wytrącił mnie z równowagi. Co ja sobie wyobrażałem, udając, że jestem wielkim panem, wojownikiem? Wystarczy jedno spojrzenie panów Otori, by zobaczyli, czym jestem: synem chłopki, skrytobójcą. Co gorsza, jadąc przez tłoczne ulice, czułem się ohydnie obnażony i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszyscy mi się przyglądają.

Nagle ktoś poruszył się w tłumie; Raku, wytrącony z równowagi moim lękiem, sploszył się i rzucił w bok. Odruchowo zwolniłem oddech, po czym rozluźniłem mięśnie. Koń natychmiast się uspokoił, lecz gdy naprowadzałem go z powrotem na drogę, wśród przechodniów mignęła mi twarz mężczyzny. Widziałem go tylko przez chwilę, ale od razu poznałem pusty rękaw po prawej stronie. To jego podobiznę rysowałem dla pana Shigeru i Kenjiego; to on ścigał mnie po górskiej ścieżce; to jego ramię zostało odcięte przez Jato.

Nie zauważyłem, aby mi się przyglądał, nie wiedziałem zatem, czy mnie rozpoznał. Ściągnąłem wodze i pojechałem dalej. Nie sądzę, bym choć w najmniejszym stopniu dał po sobie poznać, że go spostrzegłem; wszystko trwało nie dłużej niż minutę.

Dziwne, ale to zajście pozwoliło mi się opanować. To się dzieje naprawdę - pomyślałem. To nie zabawa. Owszem, gram kogoś, kim nie jestem, lecz jeśli mi się nie uda, czeka mnie śmierć. Po czym pomyślałem jeszcze: Jestem Kikuta. Pochodzę z Plemienia. Potrafię stawić czoło każdemu. Przekraczając fosę, dostrzegłem w tłumie Kenjiego, starego człowieka w spłowiałej szacie. Wtedy otworzyła się przed nami ciężka brama i wjechaliśmy na pierwszy dziedziniec.

Zsiedliśmy z koni. Eskorta zajęła się wierzchowcami, a na nasze spotkanie wyszedł ochmistrz, starszy mężczyzna, który poprowadził nas do rezydencji.

Był to okazały, wdzięczny budynek położony z południowej strony zamku pod osłoną niedużej baszty. Aż po falochron obejmowała go fosa, w obrębie której mieścił się spory, przepięknie urządzony ogród. Z tyłu wznosiło się wzgórze, porośnięte gęstym lasem, a nad wierzchołkami drzew widniał wygięty dach świątyni.

Na chwilę ukazało się słońce, kamienie zaczęły parować. Poczułem, że z czoła i spod pach spływa mi pot. Usłyszałem, jak na skałach za falochronem rozbija się morze, i nade wszystko zapragnąłem się w nim zanurzyć.

Zdjęliśmy sandały. Pojawiły się służące z chłodną wodą do obmycia stóp, po czym ochmistrz powiódł nas w głąb domu, który zdawał się ciągnąć bez końca; pokój następował za pokojem, a wszystkie były kosztownie i bogato zdobione. Wreszcie dotarliśmy do przedpokoju, gdzie poproszono nas, byśmy chwilę

zaczekali.

Siedzieliśmy na podłodze co najmniej godzinę. Nie posiadałem się z oburzenia, po pierwsze z powodu afrontu, jaki spotykał pana Shigeru, po drugie wskutek niespotykanego przepychu rezydencji, która, jak wiedziałem, została wyposażona kosztem podatków, ściąganych od rolników. Pragnąłem powiedzieć panu Shigeru, że widziałem w Hagi człowieka lidy, jednak nie śmiałem się odezwać. Mój pan sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego wiszącym przy drzwiach obrazem, który przedstawiał szarą czapłę stojącą w ciemnozielonej wodzie, wpatrzoną w różowozłocistą górę.

W końcu przypomniałem sobie radę Kenjiego i postanowiłem poświęcić resztę czasu na słuchanie budynku. Nie śpiewał o rzece, jak dom pana Shigeru - jego ton był głębszy, poważniejszy, podszyty nieustającym szumem przyboju. Naliczyłem pięćdziesiąt trzy rodzaje różnych kroków, wywnioskowałem też, że gdzieś w ogrodzie troje dzieci bawi się z dwójgiem szczeniąt, a w oddali rozmawiają panie, planujące wycieczkę łodzią, jeśli pogoda się utrzyma.

Wtem z głębi domu dobiegł mnie cichy szept dwóch mężczyzn. Wymienili imię Shigeru; domyśliłem się wówczas, że słyszę jego stryjów, pogrążonych w rozmowie przeznaczonej wyłącznie dla ich uszu.

- Najważniejsze, by skłonić Shigeru do zgody na małżeństwo - rzekł pierwszy.

Ten głos brzmi starzej - pomyślałem - jest silniejszy, nie znosi sprzeciwu. Zmarszczyłem czoło, próbując odgadnąć, o czym mówią - wszak przybyliśmy omówić adopcję.

- Dotychczas nie chciał nawet słyszeć o powtórny ożenku - odparł drugi głos, bardziej uniżony, chyba młodszy. - Nie mówiąc już o ożenku w celu umocnienia sojuszu z Tohan, któremu zawsze był przeciwny... A jeśli po prostu sprowokujemy go do jawnego oporu?

- Moment jest nader niebezpieczny - powiedział starszy mężczyzna. - Wczoraj dostaliśmy wieści o sytuacji na Zachodzie. Podobno Seishuu chcą wystąpić przeciwko lidzie. Co więcej, Arai, pan na Kumamoto, uważa, iż Noguchi go znieważyli, i zbiera wojsko, aby zmierzyć się z nimi oraz Tohan przed nastaniem zimy.

- Shigeru porozumiewa się z nim? To może być szansa, na którą czekał...

- Nie musisz mi tego mówić - przerwał mu brat. - Jestem aż nadto świadomy popularności, jaką cieszy się wśród członków klanu. Jeżeli zjednoczy się z Araith, razem są w stanie stawić czoło lidzie.

- Chyba że... powiedzmy... rozbroimy go.

- Małżeństwo świetnie się do tego nadaje. Po pierwsze, w ten sposób będzie musiał udać się do Inuyamy, gdzie przez jakiś czas pozostanie pod okiem lidy. Po drugie, jego narzeczona, Shirakawa Kaede, posiada bardzo użyteczną reputację.

- Nie myślisz chyba...

- Z jej powodu zginęło już dwóch ludzi. Szkoda byłoby, gdyby Shigeru zmarł trzeci, ale to przecież nie nasza wina...

Młodszy mężczyzna zaśmiał się cicho w taki sposób, że zapragnąłem go zabić.

Odetchnąłem głęboko, usiłując powściągnąć wściekłość.

- A jeśli nadal będzie opierał się małżeństwu? - zapytał.

- Będzie ono warunkiem naszej zgody na ten jego kaprys z adopcją. Nie widzę, w jaki sposób mogłaby nam zaszkodzić.

- Próbowałem dowiedzieć się czegoś o tym chłopcu - rzekł młodszy mężczyzna, przybierając pedantyczny ton archiwisty. - Nie wydaje mi się, aby był spokrewniony ze zmarłą matką Shigeru. Nie znalazłem żadnego śladu w genealogii.

- Podejrzewam, że pochodzi z nieprawego łoża - powiedział starszy brat. - Doszły mnie słuchy, że jest podobny do Takeshiego.

- Rzeczywiście, jego wygląd stanowi najlepszy dowód, że płynie w nim krew Otori. Ale gdybyśmy chcieli adoptować wszystkie nasze nieślubne dzieci...

- Owszem, normalnie byłoby to wykluczone, jednak teraz...

- Zgadzam się.

Usłyszałem lekkie skrzypienie podłogi. Wstawali.

- Ostatnia sprawa - odezwał się starszy mężczyzna. - Zapewniałeś mnie, że Shintaro nie zawiedzie. Co się stało?

- Usiłuję to sprawdzić. Podobno ten chłopak go usłyszał i obudził Shigeru. Shintaro zażył truciznę.

- Chłopak zdołał go usłyszeć? Też pochodzi z Plemienia?

- Bardzo możliwe. W zeszłym roku pojawił się u Shigeru niejaki Muto Kenji; oficjalna wersja brzmi, że jest kimś w rodzaju nauczyciela, lecz chyba nauki, jakich udziela, nie należą do zwyczajnych.

Młodszy mężczyzna znowu się zaśmiał, aż ścierpła mi skóra. Poczułem głęboką wzgardę dla obu rozmówców - słyszeli o moim ostrym słuchu, a jednak nie powstało im w głowach, że mógłbym użyć swego daru przeciwko nim w ich własnym domu.

Lekkie wstrząsy ich kroków przemieściły się z wewnętrznego pokoju, gdzie odbywała się tajna narada, do pomieszczenia za malowanymi drzwiami.

Kilka chwil później nasz przewodnik powrócił i delikatnie odsunawszy drzwi, zaprosił nas gestem do sali audiencyjnej. W głębi pomieszczenia, na niskich stołkach, siedzieli ramie w ramie panowie Otori, po bokach klęczały szeregi ludzi. Poszedłem w ślady pana Shigeru i zgiąłem się w głębokim ukłonie, przedtem jednak zdążyłem rzucić okiem na braci, którzy wzbudzili we mnie skrajną niechęć.

Starszy, pan Otori Shoichi, był wysokim, niezbyt umięśnionym osobnikiem o szczupłej, kanciastej twarzy, siwiejących włosach, wąsikach i brodzie. Młodszy, Masahiro, był niższy i bardziej przysadzisty. Trzymał się bardzo prosto, jak to się zdarza niewysokim ludziom, nie nosił brody, a jego włosy, choć rzadkie, zachowały czarny kolor. Ziemistą twarz szpeciło kilka dużych, ciemnych znamion, ponadto zauważyłem, że typowe rysy Otori - wydatne kości policzkowe i haczykowaty nos - zostały w tym przypadku skażone przez defekty charakteru. Obaj bracia sprawiali wrażenie okrutnych, lecz słabych.

- Panie Shigeru, nasz bratanek, ogromnie nam miło cię widzieć - rzekł łaskawie Shoichi.

- Zajmowałeś wiele miejsca w naszych myślach - dodał Masahiro. - Bardzo się o ciebie martwimy. Odejście brata tuż po stracie matki oraz choroba, którą przeszedłeś, musiały być dla ciebie wielkim brzemieniem.

Słowa te brzmiały serdecznie, wiedziałem jednak, że wypowiadał je rozdwojony język.

- Dziękuję wam za troskę, lecz pozwólcie, że wniosę poprawkę w jednej kwestii. Mój brat nie odszedł. Został zamordowany - odparł pan Shigeru beznamietnie, jakby po prostu stwierdzał fakt.

Nikt z obecnych nie zareagował. Zapadło głębokie milczenie.

Przerwał je pan Shoichi, mówiąc ze sztuczną wesołością:

-A twój młody podopieczny? On również jest mile widziany. Jak mu na imię?

- Zwiemy go Takeo.

- Podobno ma bardzo ostry słuch? - Masahiro aż pochylił się do przodu.

- Nic nadzwyczajnego - oświadczył Shigeru. - Wszyscy za młodu mamy ostry słuch.

- Siądź prosto, młody człowieku - zwrócił się do mnie Masahiro.

Posłuchałem, on zaś przez kilka chwil bacznie wpatrywał się w moją twarz.

- Kto jest w ogrodzie? - zapytał znienacka. Zmarszczyłem czoło, udając, że dopiero teraz wpadłem na pomysł policzenia domowników.

- Dwoje dzieci i pies - zaryzykowałem. - Ogrodnik przy murze?

- A jak sądzisz, ilu ludzi przebywa teraz w domu?

Wzruszyłem lekko ramionami, lecz zaraz przekształciłem ten gest w ukłon, jakbym uświadomił sobie, że popełniłem niegrzeczność.

- Więcej niż czterdzieści pięć osób? - zawahałem się. - Proszę wybaczyć, panie Otori, moje zdolności nie są zbyt wielkie.

- Ilu mamy domowników, bracie? - zapytał Shoichi.

- Pięćdziesięciu trzech, jak sądzę - odparł Masahiro.

- Imponujące - pochwalił starszy brat, lecz dosłyszałem, że odetchnął z ulgą.

Ukloniłem się i pozostałem przy podłodze. W tej pozycji czułem się bezpieczniej.

- Shigeru, odwlekaliśmy tak długo decyzję w sprawie adopcji, gdyż nie byliśmy pewni stanu twojego umysłu. Żałoba sprawiła, że stałeś się trochę nieźrównoważony.

- W moim umyśle nie gości niepewność - odrzekł Shigeru. - Nie posiadam potomstwa, a teraz, po śmierci Takeshiego, nie mam również dziedzica. Podjąłem wobec tego chłopca rozmaite zobowiązania - podobnie jak on wobec mnie - więc muszę się z nich wywiązać. Został przyjęty do naszego domu; teraz jest to również jego dom. Proszę o sformalizowanie tej sytuacji, czyli o adoptowanie go przez klan Otori.

- A co na to chłopiec?

- Mów, Takeo - zachęcił mnie pan Shigeru.

Wyprostowałem się i zdjęty nagłym uczuciem przełknąłem ślinę. Przyszedł mi na myśl koń, spłoszony tak, jak spłoszyło się moje serce.

- Zawdzięczam panu Otori życie. Nie jest mi nic winien. Zaszczyt, którym mnie obdarza, jest dla mnie zbyt wielki, ale przyjmuję go całym sercem, jeśli taka będzie jego wola

oraz wola waszych dostojności. Do końca życia będę wiernie służył klanowi Otori.

- Więc niech tak się stanie - powiedział pan Shoichi.

- Dokumenty są gotowe - dodał pan Masahiro. - Podpiszemy je niezwłocznie.

- Stryjowie są bardzo łaskawi i życzliwi - skłonił się Shigeru. - Dziękuję.

- Shigeru, jest jeszcze jedna kwestia, w której oczekujemy twojej współpracy.

Ponownie padłem na podłogę. Serce zawędrowało mi do gardła; pragnąłem jakoś ostrzec mego pana, ale, rzecz jasna, nie mogłem nic powiedzieć.

- Wiesz, że podjęliśmy rokowania z klanem Tohan. W naszym przekonaniu sojusz z nimi jest bardziej pożądany od wojny. Znamy twoje zdanie na ten temat, jednakże jesteś jeszcze młody i przez to pochopny...

- W wieku lat niemal trzydziestu trudno nazwać mnie młodym. - Pan Shigeru znów spokojnie stwierdził fakt, jakby nie podlegał on dyskusji. - Nie pragnę wojny dla niej samej. Nie mam zastrzeżeń do układu, jedynie do obecnej natury i postępowania klanu Tohan.

Stryjowie nie zareagowali na tę wypowiedź, jednak atmosfera w pomieszczeniu wyraźnie się ochłodziła. Umilkł również pan Shigeru. Jasno określił swoje stanowisko - być może aż za jasno na gust stryjów. Pan Masahiro dał znak ochmistrzowi, który cicho klasnął w dłonie i po chwili pojawiła się przed nami herbata, przyniesiona przez służącą, która mogłaby być niewidzialna, tak niewiele uwagi na nią zwracano. Panowie Otori wypili napój, ja wszakże nie zostałem poczęstowany.

- Cóż, układ między naszymi klanami musi dojść do skutku - powiedział w końcu pan Shoichi. - Pan Iida proponował, by przypieczętować go małżeństwem. Jego najbliższy sojusznik, pan Noguchi, ma wychowankę. To pani Shirakawa Kaede.

Shigeru z podziwem obejrzał filiżankę, trzymaną w wyciągniętej dłoni, bardzo ostrożnie umieścił ją na macie przed sobą, po czym usiadł prosto i znieruchomiał.

- Jest naszym życzeniem, abyś poślubił panią Shirakawa.

- Wybacz, stryju, ale nie zamierzam żenić się powtórnie. W ogóle nie myślałem o małżeństwie.

- Na szczęście masz krewnych, którzy myślą za ciebie. Panu Iidzie bardzo zależy na tym związku. Prawdę mówiąc, od niego zależy los sojuszu.

Pan Shigeru skłonił się. Znów zapadło długie milczenie. Dobiegł mnie odgłos zbliżających się kroków, powolne, miarowe stąpanie dwóch ludzi, z których jeden coś niósł. Drzwi za naszymi plecami rozsunęły się; jakiś mężczyzna minął mnie i padł na kolana przed swymi panami. Za nim podążał służący z łąkowym stolikiem do pisania, na którym leżał blok tuszu, pędzelek oraz cynobrowa pasta do pieczęci.

- Aaa, oto dokumenty adopcyjne! - zawołał jowialnie pan Shoichi. - Dajcie je tutaj.

Sekretarz na kolanach przybliżył się do panów Otori, zaczekał, aż stolik

zostanie ustawiony, a następnie odczytał postanowienie. Mimo kwiecistego języka treść dokumentu była prosta - zyskiwałem prawo do nazwiska Otori oraz do wszystkich przywilejów potomka rodu, a gdyby mój pan powtórnie się ożenił i miał dzieci, ich prawa byłyby takie same jak moje. W zamian zgadzałem się postępować jak syn pana Otori, akceptować jego władzę, a ponadto złożyć przysięgę lojalności wobec klanu. Gdyby pan Shigeru zmarł, nie posiadając innych spadkobierców, dziedziczyłem cały jego majątek.

Panowie Otori unieśli pieczęcie.

- Ślub ma się odbyć w dziewiątym miesiącu - rzekł pan Masahiro - po zakończeniu uroczystości Święta Umarłych. Pan Iida życzy sobie, abyś zawarł małżeństwo w Inuyamie. Noguchi zamierzają wysłać panią Shirakawa do Tsuwano, gdzie się z nią spotkasz i odprowadzisz do stolicy.

Pieczęcie, zda się, zawisły w powietrzu, jakby podtrzymywane nadprzyrodzoną siłą. Wciąż jeszcze mogłem zaprotestować, odmówić adopcji na tych warunkach, ostrzec pana Shigeru przed zastawioną na niego pułapką. Jednak nie powiedziałem nic. Wypadki wymknęły się z rąk ludzi. Znaleźliśmy się we władzy przeznaczenia.

- Przybić pieczęcie, Shigeru? - zapytał Masahiro z nieskończoną uprzejmością.

Pan Shigeru nie wahał się ani przez chwilę.

- Proszę, uczynicie to - powiedział. - Wyrażam zgodę na małżeństwo; z radością spełnię wasze życzenie.

Pieczęcie opadły, czyniąc mnie członkiem klanu Otori i adoptowanym synem pana Shigeru; w chwili jednak, kiedy klanowe znaki dotknęły papieru, obaj pojęliśmy, że w ten sposób także jego los został przypieczętowany.

Wieść o adopcji na skrzydłach wiatru dotarła do domu przed nami i przygotowano dla nas stosowną uroczystość. Radość ze zrozumiałych powodów nie mogła być całkowita, jednakże pan Shigeru najwyraźniej postanowił odsunąć na bok wszelkie wątpliwości. Wydawał się naprawdę uradowany, że wreszcie należę do rodziny. Ku memu zaskoczeniu podobnie zareagowali pozostali - przez długie miesiące wspólnego mieszkania niepostrzeżenie stałem się jednym z domowników. Ściskano mnie, głaskano, hołubiono, karmiono czerwonym ryżem i pojono specjalną herbatką szczęścia, którą Chiyo parzyła z solonych śliwek i wodorostów; od uśmiechów rozboleła mnie twarz, a oczy wezbrały mi łzami wzruszenia, nieprzelanymi ongiś z żalości.

Poczułem do pana Shigeru jeszcze większą miłość i oddanie. Zdradzieckie postępowanie stryjów oburzyło mnie, przeraziła intryga, którą uknuli przeciw niemu, wciąż dręczyło mnie także wspomnienie jednorękiego. Przez cały wieczór czułem na sobie wzrok Kenjiego; wiedziałem, że czeka, by usłyszeć, co odkryłem, ja zaś pragnąłem wszystko mu opowiedzieć. Jednak minęła już północ, zanim wreszcie przygotowano posłania i służący się usunęli, ponadto nie miałem ochoty psuć odświętnego nastroju. Prawdę mówiąc, poszedłbym spać bez słowa, gdyby Kenji, jedyny naprawdę trzeźwy spośród biesiadników, nie powstrzymał mnie, gdy gasiłem lampę.

- Najpierw powiesz nam, co widziałeś i słyszałeś.
- Poczekajmy z tym do rana - poprosiłem. Dostrzegłem mrok, gęstniejący w spojrzeniu Shigeru.

Ogarnął mnie bezbrzeżny smutek; natychmiast wytrzeźwiałem.

- Niestety, chyba musimy usłyszeć najgorsze - powiedział mój pan.

- Dlaczego koń się spłoszył? - zapytał Kenji.

- Byłem zdenerwowany - odparłem. - A gdy go uspokajałem, zobaczyłem jednorękiego.

- Ando? Ja też go widziałem. Nie byłem pewien, czy go zauważyłeś. Nie dałeś nic po sobie poznać.

- Rozpoznał Takeo? - zaniepokoił się Shigeru.

- Przyjrzał się wam dokładnie, lecz nie przejawiał zainteresowania. Niemniej sam fakt, że tu się znalazł, dowodzi, iż dotarli do niego jakieś pogłoski - rzekł Kenji, patrząc na mnie. - Pewnie twój handlarz się wygadał!

- Cieszę się, że przynajmniej zalegalizowaliśmy adopcję - rzekł Shigeru. - To ci daje pewną ochronę.

Wiedziałem, że powinienem opowiedzieć mu rozmowę, którą podsłuchałem, lecz nawet drobna wzmianka o podłości stryjów przychodziła mi z wielkim trudem.

- Proszę o wybaczenie, panie Otori - wybąkałem. - Słyszałem, jak twoi stryjowie rozmawiali sam na sam.

- Przypuszczalnie wtedy, gdy liczyłeś domowników tak, aby się ich nie doliczyć? - zauważył sucho pan Shigeru.

- Omawiali małżeństwo?

- Jakie małżeństwo? - zdumiał się Kenji.

- Podobno zawarto w moim imieniu kontrakt małżeński, aby przypieczętować układ z Tohan - odparł pan Shigeru. - Dama, o którą chodzi, jest podopieczną pana Noguchi. Nazywa się Shirakawa.

Kenji uniósł brwi, lecz milczał.

- Stryjowie - ciągnął Shigeru - dali mi wyraźnie do zrozumienia, że adopcja Takeo zależy od mojej zgody na ten związek. - Wpatrzył się w ciemność i powiedział cicho:

- Stałem się więźniem dwóch zobowiązań. Nie mogę wywiązać się z obu naraz i nie mogę żadnego z nich złamać.

- Takeo musi nam powiedzieć, co mówili panowie Otori - upierał się Kenji.

- Małżeństwo to pułapka. - Było mi łatwiej zwracać się do niego. - Chodzi o to, by wywabić pana Otori z Hagi, gdzie jego popularność oraz ogólny sprzeciw wobec układu z Tohan mogłyby doprowadzić do rozłamu w klanie. Niejaki Arai wypowiedział lidzie wojnę na Zachodzie. Gdyby Otori się z nim zjednoczyli, Iida zostałby wzięty w kleszcze. Wasza dostojność wie o tym wszystkim? - zapytałem Shigeru zamierzającym głosem.

- Jestem w kontakcie z Arai - odparł. - Mów dalej.

- Pani Shirakawa ma opinię osoby, która sprowadza na mężczyzn śmierć. Stryjowie zamierzają...

- Zamordować mnie? - dokończył rzeczowym tonem.

- To hańba, że muszę zdawać sprawę z czegoś takiego - wymamrotałem z płonąłą twarzą. - Oni opłacili Shintaro.

Na zewnątrz przeraźliwie zgrzytały cykady. Czułem, że moje czoło okrywa się potem; noc była duszna, nieruchoma i ciemna, bez gwiazd i księżyca. Rzeka cuchnęła zgnilizną i mułem, odwieczną wonią, równie odwieczną jak zdrada.

- Wiedziałem, że nie jestem ich ulubieńcem - zaśmiał się Shigeru - ale żeby nasyłać na mnie Shintaro! Chyba naprawdę uważają mnie za groźnego! Mam Takeo wiele do zawdzięczenia - dodał, klepiąc mnie po ramieniu. - Cieszę się, że pojedziesz ze mną do Inuyamy.

- Chyba żartujesz! - zawołał Kenji. - Nie możesz zabrać Takeo!

- Najwyraźniej muszę tam jechać, a z nim będę się czuł bezpieczniej. Poza tym, jest teraz moim synem. Powinien mi towarzyszyć.

- Tylko spróbujcie mnie zostawić! - wtrąciłem.

- I zamierzasz poślubić Shirakawa Kaede? - zapytał Kenji ciekawie.

- Znasz ją, Kenji?

- Słyszałem o niej. Któż nie słyszał? Ma zaledwie piętnaście lat, ale powiadają, że jest bardzo piękna.

- W takim razie przykro mi, że nie mogę się z nią ożenić - Shigeru mówił lekkim, prawie żartobliwym tonem. - Lecz nie zaszkodzi, jeśli wszyscy będą tak uważać przynajmniej na razie. Zwiedzie to Iidę i da nam kilka tygodni czasu.

- Co właściwie przeszkadza ci w ponownym ożenku? - zagadnął Kenji. - Przed chwilą mówiłeś o dwóch zobowiązaniach, w które jesteś uwikłany. Skoro zgodziłeś się na małżeństwo, aby umożliwić adopcję, wnoszę, że stawiasz Takeo na pierwszym miejscu. O co więc chodzi? Nie jesteś chyba potajemnie żonaty?

- Niemal jestem - przyznał Shigeru po chwili milczenia. - W grę wchodzi ktoś jeszcze.

- Powiesz mi?

- Tak długo utrzymywałem to w sekrecie, że nie bardzo potrafię - uśmiechnął się Shigeru. - Takeo ci powie, jeżeli wie.

Kenji zwrócił się ku mnie. Przełknąłem ślinę i wyszeptałem:

- Pani Maruyama?

- Od jak dawna wiesz o tym? - zapytał Shigeru.

- Od tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy ją w zajeździe w Chigawie.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, Kenji był prawdziwie zaskoczony.

- Kobieta, do której pali się Iida? Ta, którą chce poślubić? Jak długo to trwa?

- Nie uwierzysz - rzekł Shigeru.

- Rok? Dwa?

- Odkąd skończyłem dwudziesty rok życia.

- To przecież prawie dziesięć lat!

Kenji wydawał się równie zdumiony samym związkiem, jak faktem, że nic o nim nie wiedział.

- Kolejny powód, byś znienawidził Iidę - pokręcił głową z niedowierzaniem.

- W grę wchodzi nie tylko uczucie - powiedział cicho Shigeru. - Jesteśmy również sojusznikami. Arai i pani Maruyama we dwoje kontrolują Seishuu i cały południowy zachód. Jeśli klan Otori się do nich przyłączy, wspólnie będziemy w stanie pokonać Iidę. - Po chwili milczenia podjął: - Gdyby Tohańczycy zapanowali nad lennem Otori, tutejsza ludność doświadczyłaby takich samych okrucieństw i prześladowań, od jakich ocalałem Takeo w Mino. Nie mogę stać z boku i patrzeć, jak Iida narzuca jarzmo mojemu ludowi, jak rujnuje kraj, pali wioski. Stryjowie, a także sam Iida, wiedzą, że nigdy mu się nie podporządkuję. Pragną więc usunąć mnie ze sceny; dlatego Iida zaprosił mnie do swego gniazda, gdzie prawie na pewno zechce mnie zgładzić. Ja zamierzam obrócić ten fakt na swoją korzyść. W końcu, czyż istnieje lepszy sposób, by dostać się do Inuyamy?

Kenji wpatrywał się weń, marszcząc brew. W świetle lampy widziałem serdeczny uśmiech Shigeru. Miał w sobie coś, czemu niepodobna było się oprzeć; jego odwaga rozplątała mi serce; pojąłem, czemu ludzie go kochają.

- Te sprawy nie dotyczą Plemienia - rzekł w końcu Kenji.

- Byłem z tobą szczery. Ufam, że nie rozpowszechnisz tego, co usłyszałeś, zwłaszcza że córka pani Maruyama jest zakładniczką Iidy. Ponadto, nawet bardziej niż za milczenie, byłbym ci wdzięczny za pomoc.

- Shigeru, nigdy cię nie zdradzę, ale jak sam powiedziałeś, wszyscy czasem przeżywamy konflikt lojalności. Nie będę przed tobą udawał, że nie jestem z Plemienia. Takeo to Kikuta i prędzej czy później Kikuta upomną się o niego. Nic na to nie poradzę.

- A więc, kiedy przyjdzie pora, Takeo będzie musiał dokonać wyboru.

- Przysięgłem wierność klanowi Otori - powiedziałem. - Nigdy cię nie opuszczę i zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

Albowiem już widziałem siebie w Inuyamie, gdzie za osłoną słowiczej podłogi krył się wielki pan Iida Sadamu.



Rozdział szósty

Kaede opuszczała zamek Noguchi bez żalu i bez wielkich nadziei na przyszłość. Ponieważ jednak w ciągu ośmiu lat, które spędziła jako zakładniczka, prawie nie bywała za murami - i ponieważ miała zaledwie lat piętnaście - nie przestawała dziwić się wszystkiemu, co widziała. Z początku, podobnie jak pani Maruyama, podróżowała w niesionej przez tragarzy lektyce, lecz wkrótce zemdliło ją od kołysania, toteż przy pierwszej okazji zażądała, by pozwolono jej wysiąść i iść dalej pieszo. Była pełnia lata, słońce mocno przygrzewało, więc Shizuka włożyła jej szerokoskrzydły kapelusz oraz rozpięła nad nią parasol.

- Pani Shirakawa nie może ukazać się przyszłemu mężowi bardziej ogorzała niż ja - zachichotała.

W południe zatrzymały się w gospodzie na krótki odpoczynek, po czym znowu podjęły podróż. Od nowych widoków Kaede kręciło się w głowie - oszałamiała ją jaskrawa

zielen pól ryżowych, gładkich i bujnych niczym futro, biel spienionych rzek, pędzących obok drogi, wznoszące się w oddali łańcuchy górskie w letniej zielonej szacie, przetykanej szkarłatem dzikich azalii. A ludzie na drodze, rozmaici, wszelkich zawodów i klas! Wojownicy w pełnym rynsztunku, dosiadający ognistych wierzchowców, rolnicy, niosący rzeczy, których nigdy przedtem nie widziała, wozy zaprzężone w woły, juczne konie, żebracy, handlarze...

Wiedziała, że nie powinna się im przyglądać, oni zaś, mijając orszak, kłaniali się w pas, jak należało, niemniej zerką na nich równie często, jak oni na nią.

Świtą pani Maruyama dowodził człowiek imieniem Sugita, który traktował swą chlebobawczynię z bezpośrednią zażyłością wuja i który natychmiast wzbudził sympatię Kaede.

- W twoim wieku także wolałam chodzić - uśmiechnęła się pani Maruyama podczas wieczornego posiłku. - Nadal to lubię, jeśli mam być szczerą, ale obawiam się słońca - dodała, spoglądając na gładką skórę dziewczyny.

Przez cały dzień była dla niej miła, jednak Kaede nie mogła zapomnieć swego pierwszego wrażenia - że starsza kobieta z jakiegoś powodu czuje do niej niechęć i urazę.

- Jeździsz konno, pani? - zapytała.

Zazdrościła mężczyznom dosiadającym koni; sprawiali wrażenie potężnych i wolnych.

- Czasami - odparła pani Maruyama. - Ale gdy mam uchodzić za biedną, bezbronną niewiastę, samotnie podróżującą przez tereny Tohan, pozwalam, by niesiono mnie w lektyce.

- Słyszałam, że pani Maruyama ma wielką władzę. - Kaede spojrzała na nią pytająco.

- Muszę ukrywać swoją władzę, kiedy przebywam wśród mężczyzn, inaczej nie zawahaliby się mnie zmiażdżyć.

- Nie jeździłam konno od dzieciństwa - przyznała Kaede.

- Ależ wszystkie rycerskie córki uczą się konnej jazdy! - wykrzyknęła pani Maruyama. - Noguchi tego zaniedbali?

- Niczego mnie nie nauczyli - powiedziała Kaede z goryczą.

- A władania mieczem lub nożem? Strzelania z łuku?

- Nie wiedziałam, że kobietom wolno umieć takie rzeczy.

- Na Zachodzie wszystkie to umieją.

Zapadło krótkie milczenie. Kaede, której choć raz dopisywał apetyt, dobrała trochę ryżu.

- Noguchi dobrze cię traktowali? - zapytała towarzyszka.

- Nie od razu. Ale po wypadku ze strażnikiem zostałam przeniesiona do rezydencji.

Kaede była w rozterce; z jednej strony, odczuwała nieufność wobec każdego, kto próbował ją wypytować, z drugiej, dręczyło ją przemożne pragnienie, by zwierzyć się tej kobiecie, pochodzącej przecież z tej samej klasy. Były w pokoju same, nie licząc Shizuki i Sachie, pokojówki pani Maruyama, lecz obie służące siedziały tak nieruchomo, że Kaede przestała zauważać ich obecność.

- A przedtem?

- Mieszkałam ze służbą na zamku.

- Co za hańba! - zawołała z gniewem pani Maruyama. - Jak ci Noguchi śmieli? Jesteś przecież Shirakawa... - I spuściwszy wzrok, dodała: - Ja również lękam się o bezpieczeństwo córki, którą pan Iida przetrzymuje jako zakładniczkę.

- Kiedy byłam mała, nie traktowano mnie tak źle - ciągnęła Kaede. - Służący litowali się nade mną. Ale ostatniej wiosny, kiedy wyrosłam z dzieciństwa i stałam się trochę kobietą, nikt mnie już nie chronił. Musiał zginąć człowiek...

Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że głos jej się załamuje, a nagły przypływ uczuć wyciska z oczu łzy. Zalał ją potok wspomnień - ręce mężczyzny, twardy wzgórek jego seksu, nóż w jej dłoni, krew i śmierć, której była świadkiem.

- Proszę o wybaczenie - wyszeptała.

Pani Maruyama wyciągnęła dłoń i ujęła Kaede za rękę.

- Biedne dziecko - rzekła, głaszcząc palce dziewczyny. - Biedne dzieci, biedne córeczki. Ach, gdybym mogła was wszystkie uwolnić...

Kaede, która nade wszystko pragnęła porządnie się wypłakać, z trudem nad sobą zapanowała.

- Po tym wypadku przenieśli mnie do rezydencji. Dostałam pokojówkę, najpierw Junko, potem Shizukę. Tam było mi trochę lepiej. Co prawda, chcieli wydać mnie za starca, ale on umarł. Ucieszyłam się z tego, lecz potem zaczęto mówić, że znajomość ze mną, pożądanie mojej osoby, spowodowała na mężczyzn śmierć.

Jej rozmówczyni raptownie wciągnęła oddech. Przez chwilę obie milczały.

- Nie chcę być przyczyną niczyjej śmierci - podjęła cicho Kaede. - Boję się małżeństwa. Nie chcę, żeby pan Otori przeze mnie umarł.

Gdy pani Maruyama wreszcie przemówiła, jej głos brzmiał słabo i niepewnie:

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy ani nawet o nich myśleć.

Kaede spojrzała na nią. Na twarzy damy, białej w świetle lampy, malował się głęboki strach.

- Jestem zmęczona - szepnęła towarzyszka. - Wybacz, ale dziś nie mogę z tobą dłużej rozmawiać. W końcu, czeka nas wiele wspólnych dni na drodze.

Zawołała Sachie; tace z jedzeniem zostały usunięte, a maty rozesłane.

Shizuka poszła z Kaede do ustępu, po czym obmyła jej ręce.

- Co ja takiego powiedziałam? - wykrztusiła Kaede. - Nie rozumiem; najpierw zachowuje się przyjaźnie, a zaraz potem patrzy na mnie, jakbym chciała ją otruć.

- Panienska coś sobie wyobraża - odparła beztrosko Shizuka. - Pani Maruyama bardzo cię lubi. Przede wszystkim, jesteś jej najbliższą krewną w linii żeńskiej, oczywiście nie licząc córki.

- Ja? - zdumiała się Kaede. Shizuka potwierdziła z naciskiem.

- Czy to ważne?

- Gdyby coś się stało, to panienska odziedziczy Maruyamę. Nikt ci tego nie mówił, gdyż Tohańczycy wciąż mają nadzieję opanować te ziemie. Dlatego, między innymi, Iida tak nalegał, byś została zakładniczką Noguchi.

Widząc, że Kaede nie reaguje, Shizuka dodała:

- Panienska jest jeszcze ważniejszą osobą, niż sądziła!

- Nie dokuczaj mi! Całkiem pogubiłam się w tym świecie. Mam wrażenie, że nic już nie wiem!

Kaede poszła spać, czując zawrót głowy.

W nocy dobiegły ją niespokojne poruszenia pani Maruyama, a rano piękna twarz towarzyszki wydała się jej ściągnięta i zmęczona. Mimo to dama życzliwie odnosiła się do Kaede, a kiedy wyruszały, kazała dla niej sprowadzić łagodnego kasztanowatego konika. Sugita podsadził ją na grzbiet wierzchowca i polecił jednemu ze swych ludzi go prowadzić, jednak Kaede wkrótce odkryła, że wraz z pamięcią o kucach, dosiadanych w dzieciństwie, wraca jej również umiejętność jazdy. Niebawem Shizuka kazała jej zsiść w obawie, że dziewczynę rozboleć mięśnie i zbytnio się zmęczy, Kaede zdążyła jednak pokochać jazdę w siodle i nie mogła się doczekać, kiedy znów się w nim znajdzie. Rytm końskiego kroku uspokajał i pomagał zebrać myśli, stłumić lęk, jakim napawał ją własny brak wykształcenia oraz nieznajomość świata, do którego wkraczała. Miała świadomość, że jest zaledwie pionkiem w wojennej rozgrywce wielkich panów, ale bardzo pragnęła stać się czymś więcej - chciała zrozumieć reguły tej gry i wziąć w niej udział.

Dwa zdarzenia jeszcze bardziej wytrąciły ją z równowagi. Pewnego popołudnia zatrzymali się o niezwyklej porze na skrzyżowaniu dróg. Po chwili z południowego zachodu nadjechała niewielka grupa konnych, która przyłączyła się do nich, zupełnie jakby spotkanie zostało wcześniej ukartowane. Shizuka swoim zwyczajem podbiegła do jeźdźców, ciekawa, skąd przybywają i jakie przynoszą

nowiny. Obserwując ją kątem oka Kaede dostrzegła, że służąca rozmawia głównie z mężczyzną, który pochylił się w siodle, by coś jej powiedzieć, a następnie skinął poważnie głową i klepnął konia mocno w zad. Wierzchowiec rzucił się nerwowo do przodu, wzbudzając ogólny śmiech przybyłych, a Shizuka cienko zachichotała - jednakże w owej chwili Kaede odniosła wrażenie, iż w dziewczynie, która jej służy, pojawiło się coś nowego, jakaś zagadkowa moc.

Przez resztę dnia Shizuka zachowywała się jak zwykle, głośno zachwycając się pięknem krajobrazu i pozdrawiając wszystkich spotkanych na drodze ludzi. Wszelako owego wieczora, kiedy przybyli do zajazdu, Kaede zastała ją w pokoju na poufnej rozmowie z panią Maruyama. Siedziały blisko, kolano w kolano, i gawędziły jak równa z równą.

Shizuka, stropiona, natychmiast zaczęła paplać o pogodzie i o przygotowaniach na następny dzień, niemniej Kaede poczuła się zdradzona. Przypomniała sobie, że Shizuka powiedziała jej kiedyś: Osoby takie jak ja nie mogą naprawdę poznać ludzi takich jak ona! A jednak między nią a panią Maruyama istniał jakiś związek, o którym ona, Kaede, nie miała pojęcia. Ogarnęło ją zwątpienie oraz lekka zazdrość. Przyzwyczaiła się polegać na Shizuie i nie chciała się nią dzielić z innymi.

Upał rósł; wędrówka stawała się coraz bardziej uciążliwa, pewnego dnia kilka razy zatrzęsała się ziemia, co jeszcze zwiększyło niepokój Kaede. Źle spała, niepokojona w równym stopniu przez własne podejrzenia, jak przez pchły oraz inne nocne owady. Pragnęła, by podróż dobiegła końca, a jednak ze strachem myślała o dotarciu na miejsce. Co dzień postanawiała wypytać Shizukę, lecz co wieczór coś ją powstrzymywało. Pani Maruyama traktowała ją z nieodmienną dobrocią, ale Kaede przestała jej ufać; reagowała ostrożnie, z rezerwą, a potem miała uczucie, że zachowuje się niewdzięcznie i dziecinnie. Znowu straciła apetyt.

Wieczorami, w kąpielni, Shizuka karmiła ją:

- Panienko, sterczą ci wszystkie kości. Musisz jeść! Co sobie pomyśli twój mąż?

- Nie mów mi o mężu! - zaprotestowała gwałtownie Kaede. - Nie obchodzi mnie, co on pomyśli! Może znienawidzi mnie za wygląd i da mi spokój!

Po czym znów zawstydzila się swoich dziecinnych słów.

Aż wreszcie pewnego dnia pokonały ostatnią wąską przełęcz i późnym popołudniem, gdy łańcuchy gór czerniały na tle zachodzącego słońca, dotarły do górskiego miasta Tsuwa-no. Lekki wietrzyk przesunął się nad terasami pól ryżowych niczym fala po wodzie, lotosy wznosiły ku górze ogromne liście nefrytowej barwy, na skrajach pól, w orgii barw, rozkwitały polne kwiaty. Ostatnie promienie słońca malowały białe mury miasta różem i złotem.

Kaede nie mogła powstrzymać okrzyku.

- To chyba szczęśliwe miejsce!

Jadąca z przodu pani Maruyama odwróciła się w siodle.

- Nie znajdujemy się już na ziemiach Tohan - wyjaśniła. - Tutaj zaczyna się lenno Otori i tu zaczekamy na pana Shigeru.

Nazajutrz rano Shizuka, zamiast zwykłych szat, przyniosła Kaede dziwny strój.

- Masz się uczyć sztuki miecza, panienko - oznajmiła, pomagając dziewczynie się ubrać, po czym spojrzała na nią z aprobatą: - Gdyby nie włosy, można by panienkę wziąć za chłopca.

Odgarnęła z twarzy Kaede ciężką zasłonę włosów i związała je rzemieniem na karku.

Kaede przeciągnęła dłońmi po ubraniu. Uszyto je z szorstkiego lnu, ufarbowanego na ciemny kolor; było dość luźne, co zapewniało swobodę ruchów i jednocześnie kryło figurę. Nigdy nie miała na sobie nic podobnego.

- Kto powiedział, że mam się uczyć?

- Pani Maruyama. Zostaniemy tu do przybycia Otori, kilka dni, może nawet tydzień. Pani chce, żebyś się czymś zajęła, zamiast się denerwować.

- Jest dla mnie bardzo dobra - odparła Kaede. - Kto będzie mnie uczył?

Shizuka zachichotała, lecz nie udzieliła odpowiedzi, tylko zaprowadziła Kaede na drugą stronę ulicy, do długiego, niskiego budynku z drewnianą podłogą. Zdjęły sandały, wciągnęły buty z oddzielnym dużym palcem, po czym Shizuka wręczyła podopiecznej maskę osłaniającą twarz i zdjęła ze ściany dwa długie drewniane kije.

- Czy kiedykolwiek uczyłaś się walczyć? - Oczywiście, jako dziecko - odrzekła Kaede. - Kiedy zaczęłam chodzić.

- Więc na pewno pamiętasz, jak to się robi - rzekła Shizuka, wręczając jej broń.

Mocno chwyciła oburącz drugi kij i wykonała nim serię płynnych ruchów, śmigając tak szybko, że wzrok za nią nie nadążał.

- Ale nie tak! - zawołała zdumiona Kaede.

Nigdy by nie przypuściła, że jej służąca potrafi choćby unieść kij, a co dopiero posługiwać się nim z taką mocą i zręcznością.

Shizuka znów zachichotała, na oczach Kaede przeobrażając się ze skupionej wojowniczkii z powrotem w roztrzępaną służkę.

- Panienka zobaczy, że wszystko wróci! Zaczynamy!

Pomimo ciepła letniego poranka Kaede zlodowaciała.

- Ty będziesz moją nauczycielką?

- Och, panienko, wiem bardzo niewiele. Na pewno umiesz tyle samo, co ja. Nie sądzę, bym mogła cię czegokolwiek nauczyć.

Jednak Kaede, z natury zdolna i przewyższająca Shizukę wzrostem, odkryła wkrótce, że choć istotnie pamięta podstawowe ruchy, kunszt przeciwniczki znacznie wykracza ponad to, czego sama potrafi dokonać. Pod koniec ranka, zupełnie wyczerpana, ociekała potem, a ponadto kipiały w niej niewypowiedziane uczucia. Shizuka, która w roli pokojówki robiła wszystko, co w jej mocy, by zadowolić swoją panią, jako nauczycielka była całkowicie bezwzględna. Każdy cios musiał być wykonany idealnie; raz po raz, gdy Kaede sądziła, że już odnalazła rytm, Shizuka przerywała trening i uprzejmie zwracała jej uwagę, że obciąża niewłaściwą stopę lub że się odsłania, ryzykując nagłą śmierć, która niechybnie by jej dosięgła, gdyby walka

odbywała się na prawdziwe miecze. Wreszcie dała znak do zakończenia, odłożyła kije na stojak, pomogła Kaede zdjąć maskę i wytarła jej twarz ręcznikiem.

- Bardzo dobrze - oświadczyła. - Panienska Kaede jest bardzo utalentowana. Szybko nadrobimy stracone lata.

Wysiłek fizyczny, wstrząs, spowodowany ujawnieniem kunsztu Shizuki, poranny upał oraz nieznany strój - wszystko to sprawiło, że Kaede ostatecznie straciła panowanie nad sobą. Porwała ręcznik i zanurzając w nim twarz, wybuchnęła spazmatycznym szlochem.

- Paniensko - wyszeptała Shizuka. - Paniensko, nie płacz. Nie musisz się niczego bać.

- Kim ty naprawdę jesteś? - krzyknęła Kaede. - Dlaczego udajesz kogoś innego? Mówiłaś, że nie znasz pani Maruyama!

- Chciałabym powiedzieć ci wszystko, paniensko, ale jeszcze nie mogę. Moim zadaniem jest cię chronić. Po to Arai mnie przysłał.

- Arai? Jego też znasz? Przedtem mówiłaś tylko, że pochodzicie z tego samego miasta.

- Tak, ale łączy nas coś więcej. Arai darzy cię najgłębszym szacunkiem i ma wobec ciebie dług wdzięczności. Kiedy pan Noguchi go odprawił, wpadł w straszny gniew. Czuł się obrażony brakiem zaufania Noguchi, a także sposobem, w jaki traktowano ciebie. Kiedy się dowiedział, że wysyłają cię do Inuyamy, aby wydać za mąż, postarał się, bym mogła ci towarzyszyć.

- Po co? Czy coś mi zagraża?

- Inuyama to niebezpieczne miejsce, zwłaszcza teraz, kiedy Trzy Krainy są w przededniu wojny. Z chwilą, gdy twoje małżeństwo przypieczętuje układ z Otori, Iida ruszy na Zachód walczyć z Seishuu.

Ukośne promienie słońca wpadały do pustej sali, rozświetlając drobiny kurzu, wzniecone stopami walczących. Zza drewnianych żaluzji dobiegał Kaede szum wody w kanałach, okrzyki ulicznych handlarzy, śmiech dzieci. Jakże prosty i otwarty wydawał się tamten świat w porównaniu z mrocznymi tajemnicami, wśród których się obracała!

- Jestem tylko pionkiem na szachownicy - rzekła z goryczą. - Dla swoich celów poświęciłibyście mnie bez wahania, tak samo jak Tohańscy.

- Nie, paniensko. Arai i ja chcemy ci służyć. Przysiągł, że będzie cię bronił, ja zaś jestem mu posłuszna.

Uśmiechnęła się, a jej twarz zapłonęła od nagłej namiętności.

Są kochankami - pojęła Kaede i ponownie poczuła ukłucie zazdrości na myśl o tym, że musi dzielić z kimś Shizukę. A pani Maruyama? - chciała zapytać. Jaka jest jej rola w tej grze? A człowiek, którego mam poślubić? Ale przestraszyła się odpowiedzi.

- Za gorąco, żeby dalej ćwiczyć - oznajmiła Shizuka, biorąc ręcznik od Kaede i ocierając oczy. - Jutro ci pokażę, jak posługiwać się nożem.

Wstając, dodała:

- Proszę, nie traktuj mnie inaczej niż dotychczas. Jestem twoją służącą, nikim więcej.

- Powinnam cię przeprosić za te wszystkie razy, kiedy źle cię traktowałam - rzekła Kaede z zażenowaniem.

- Nic podobnego! - zaśmiała się Shizuka. - Przeciwnie, byłaś raczej zbyt pobłażliwa. Być może Noguchi nie nauczyli cię niczego pożytecznego, lecz przynajmniej nie wpoili ci okrucieństwa.

- Nauczyłam się u nich haftu - powiedziała Kaede - ale igłą nie można nikogo zabić.

- Można - zaprzeczyła Shizuka beztrąsko. - Kiedyś ci pokażę.

Przez tydzień czekały w górskim mieście na przybycie oddziału Otori. Było coraz goręcej i duszniej; co noc nad szczytami gór gromadziły się burzowe chmury, w oddali przelatywały błyskawice, lecz deszcz wciąż nie padał. Co dzień Kaede uczyła się walczyć na miecze i noże; zaczynała o świcie, przed nastaniem najgorszego upału, i ćwiczyła przez trzy godziny bez przerwy, aż jej twarz i ciało okrywały się potem.

W końcu, pewnego dnia, późnym rankiem, kiedy po treningu obmywała twarz zimną wodą, zwykłe odgłosy ulicy zagłuszył stukot końskich kopyt i szczekanie psów.

- Patr! Jada! Jada Otori! - zawołała Shizuka, wzywając Kaede do okna.

Kaede spojrzała przez żaluzje. Ulicą zbliżała się stępa grupa konnych. Większość z nich nosiła hełmy, lecz z boku jechał chłopiec z gołą głową, niewiele od niej starszy. Dostrzegła zarys policzka i jedwabisty połysk włosów.

- To jest pan Shigeru?

- Nie - roześmiała się Shizuka. - Pan Shigeru jedzie z przodu. To jest pan Takeo.

Z ironią podkreśliła słowo pan, co Kaede miała sobie później przypomnieć, lecz w owej chwili wcale tego nie zauważyła, gdyż chłopiec, jakby słysząc swoje imię, odwrócił głowę i spojrzał w jej stronę.

Miał wrażliwe usta, głębokie, nieodgadnione spojrzenie, a jego rysy wyrażały zarówno energię, jak i smutek. Coś w niej zapłonęło, jakby ciekawość zmieszana z tęsknotą, doznanie, którego nie umiała określić.

Jeźdźcy wolno przejechali ulicą; Kaede, patrząc, jak chłopiec znika jej z oczu, poczuła, że część jej osoby oddala się wraz z nim. Jak lunatyczka podążyła za Shizuką do zajazdu, lecz gdy tam dotarła, drżała już niczym w gorączce.

Shizuka, opacznie rozumiejąc sytuację, usiłowała dodać jej otuchy:

- Pan Otori to dobry człowiek, panienko. Nie masz się czego bać. Nikt cię nie skrzywdzi.

Kaede nie odzywała się - nie śmiała otworzyć ust, gdyż jedynym słowem, jakie chciała wymówić, było jego imię. Takeo.

Shizuka usiłowała ją namówić, aby coś zjadła - najpierw ciepłą zupę na rozgrzewkę, potem zimne kluski dla ochłody - lecz Kaede nie mogła niczego przełknąć. W końcu dała się położyć i okryć kołdrą. Leżała rozdygotana z

błyszczącymi oczami i suchą skórą, mając nieodparte wrażenie, że jej ciało stało się obce i nieprzewidywalne jak wąż.

Nad górami rozległ się trzask pioruna, w powietrzu wisiała wilgoć.

W końcu Shizuka, przestraszona, posłała po panią Maruyama, która przybyła niebawem w towarzystwie starszego mężczyzny.

- Stryju! - wykrzyknęła Shizuka z zachwytem.

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się pani Maruyama, klękając przy Kaede i kładąc dłoń na jej czole. - Jest rozpalona, pewnie się przeziębila.

- Ćwiczyłyśmy - wyjaśniła Shizuka. - Wtedy przyjechali Otori. Najwyraźniej ich widok przyprawił ją o nagłą gorączkę.

- Możesz jej coś dać, Kenji? - zapytała pani Maruyama.

- Lęka się zamążpójścia - powiedziała cicho Shizuka.

- Umiem uleczyć gorączkę, ale nie taką dolegliwość - rzekł starszy pan. - Każę zaparzyć zioła. Herbatka ją uspokoi.

Kaede leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Wyraźnie słyszała głosy, lecz miała wrażenie, że przemawiają do niej z innego świata, z którego została wyrwana w chwili, gdy ujrzała Takeo. Zmusiła się, by wypić herbatę przy pomocy Shizuki, która uniosła jej głowę jak dziecku. Następnie zapadła w płytką drzemkę. Obudziły ją przetaczające się przez dolinę grzmoty; burza w końcu nadeszła i deszcz lał jak z cebra, dzwonił na dachówkach, splukiwał kamienie. Śniło jej się coś barwnego, jednak gdy otworzyła oczy, sen zniknął, pozostawiając po sobie jedynie jasne przekonanie, iż to, co czuje, to miłość.

Ogarnęło ją zdumienie, a następnie uniesienie i zmieszanie. Najpierw przyszło jej do głowy, że umrze, jeżeli go zobaczy, potem, że umrze, jeśli tak się nie stanie. Łajała siebie w duchu; czyżby zakochała się w wychowanku człowieka, którego miała poślubić? Wtem pomyślała: jak to, poślubić? Nie może wyjść za pana Otori. Nie może wyjść za nikogo z wyjątkiem Takeo. Po czym zaczęła się śmiać z własnej głupoty. Dobre sobie, jakby ktokolwiek zawierał małżeństwo z miłości. Przydarzyła mi się katastrofa - uznała w pewnej chwili, a zaraz potem: Jakże to uczucie może być katastrofą?

Kiedy Shizuka wróciła, Kaede oznajmiła, że jest całkiem zdrowa. Istotnie, gorączka spadła, zastąpiona przez żarliwość, od której twarz Kaede promieniała, a oczy błyszczały.

- Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek! - zawołała Shizuka, kąpiąc ją i ubierając w szaty, przygotowane na ceremonię zaręczyn, na pierwsze spotkanie z przyszłym mężem.

Pani Maruyama troskliwie zapytała ją o zdrowie i z ulgą stwierdziła, że podopieczna dobrze się czuje. Niemniej idąc za towarzyszką do najlepszego pokoju w zajeździe, gdzie zamieszkał pan Otori, Kaede wyraźnie wyczuwała jej zdenerwowanie.

Gdy służący odsuwali drzwi, dobiegła ją rozmowa mężczyzn, którzy jednak urwali na jej widok. Świadoma spojrzeń skłoniła się do podłogi, nie ośmielając się podnieść oczu. Czuła, jak serce zaczyna jej łomotać, a krew w żyłach pulsuje

żwawiej.

- Oto pani Shirakawa Kaede - rzekła pani Maruyama. Jej głos jest zimny - pomyślała Kaede i znów zadała sobie pytanie, co takiego uczyniła, by ją do tego stopnia urazić.

- Pani Kaede, przedstawiam cię panu Otori Shigeru - ciągnęła pani Maruyama głosem tak słabym, że ledwie słyszalnym.

Kaede usiadła prosto.

- Panie Otori - powiedziała cicho i uniosła wzrok na człowieka, którego miała poślubić.

- Pani Shirakawa - odparł uprzejmie pan Otori. - Słyszeliśmy, że byłaś niezdrowa. Czy już czujesz się lepiej?

- Dziękuję, czuję się całkiem dobrze.

Kaede spodobała się jego twarz i dobroć, widoczna w spojrzeniu. Zasluguje na swoją reputację - pomyślała. - Lecz jakże mam wyjść za niego? Poczula, że jej policzki zabarwiają się pąsem.

- Te zioła nigdy nie zawodzą - powiedział człowiek siedzący po lewicy pana Otori. Kaede rozpoznała głos starca, który kazał przygotować dla niej napar, człowieka, do którego Shizuka zwracała się „stryju”.

- Pani Shirakawa słynie z wielkiej urody, lecz ta opinia nie oddaje jej sprawiedliwości.

- Pochlebiasz jej, Kenji - wtrąciła pani Maruyama. - Jeśli dziewczyna w ogóle bywa piękna, to właśnie w wieku lat piętnastu.

Kaede zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Przywieźliśmy dla ciebie podarunki - rzekł pan Otori. - Bledną przy twojej urodzie, ale proszę, przyjmij je jako świadectwo najgłębszego szacunku i uznania klanu Otori. Takeo!

Odniosła wrażenie, że wypowiedział te słowa obojętnie, niemal chłodno; wyobraziła sobie, że już zawsze będzie ją traktował w ten sposób.

Chłopiec wstał, podejmując z podłogi tacę z laki, na której leżały paczki, owinięte w blad różowy jedwab z godłem klanu Otori, po czym ukląkł i postawił ją przed Kaede.

Skłoniła się w podziękowaniu.

- Oto pan Otori Takeo, wychowanek i adoptowany syn pana Otori - dobiegły ją słowa pani Maruyama.

Nie śmiała spojrzeć mu w twarz. Zamiast tego pozwoliła sobie przyjrzeć się uważnie jego dłoniom. Miał długie, giętkie palce o pięknym kształcie, skórę o barwie herbaty z miodem oraz różowawe paznokcie. Wyczuła w nim wielką ciszę, jakby czegoś słuchał - jakby wciąż czegoś nasłuchiwał.

- Panie Takeo - wyszeptała.

Nie stał się jeszcze takim mężczyzną, jakich się bała. Liczył sobie tyle lat, co ona, jego włosy i skóra miały ten sam blask młodości. Dojmująca ciekawość, jaką w niej wzbudził, powróciła. Zapragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego. Dlaczego pan Otori go adoptował? Kim był naprawdę?

Co sprawiło, że stał się taki smutny? I dlaczego miała wrażenie, że słyszy jej najserdeczniejsze myśli?

- Pani Shirakawa - rzekł niskim głosem z delikatną nutą Wschodu.

Musiła nań spojrzeć. Podniosła oczy i napotkała jego wzrok. Wpatrywał się w nią, niemal zdziwiony; poczuła, że coś między nimi przeskakuje, jakby się dotknęli mimo dzielącej ich odległości.

Deszcz, który przedtem zelżał, teraz znów się rozpadał, a jego donośne bębnienie zagłuszyło rozmowy. Zerwał się wiatr, zatańczyły ogniki lamp, na ścianach wykwitły wielkie ruchome cienie.

Obym mogła zostać tu na zawsze - pomyślała Kaede.

Dobiegł ją karcący głos pani Maruyama:

- Co prawda już się poznaliście, ale nie zostałeś przedstawiona. Oto Muto Kenji, stary przyjaciel pana Otori oraz nauczyciel pana Takeo. Będzie pomagał Shizuce prowadzić z tobą treningi.

- Panie - skłoniła głowę, zerkając spod rzęs na mężczyznę, który patrzył na nią jawnie zachwycony i kręcił lekko głową, jakby z niedowierzaniem. Miły staruszek, uznała, po czym zmieniła zdanie: Wcale nie jest stary! - albowiem pod jej spojrzeniem jego twarz zdawała się zmieniać i umykać.

Poczuła, że podłoga drży, poruszona słabym wstrząsem. Nikt z obecnych się nie odezwał, ale na zewnątrz rozległy się krzyki zaskoczenia. Potem słyszała już tylko deszcz i wiatr.

Przeszył ją dreszcz. Nie mogła okazać targających nią uczuć. Nic nie było takie, jakie się wydawało.



Rozdział siódmy

Po oficjalnym przyjęciu do klanu zacząłem częściej spotykać się z młodymi ludźmi z rycerskich rodzin. Ichiro był wielce poszukiwanym nauczycielem, a ponieważ i tak już udzielał mi lekcji historii, religii oraz literatury klasycznej, zgodził się przyjąć kolejnych uczniów. Wśród nich znalazł się Miyoshi Gemba, który wraz ze swym starszym bratem Kahei stał się jednym z moich najbliższych przyjaciół i sojuszników. Gemba był ode mnie o rok starszy; Kahei, przeszło dwudziestoletni i za dorosły na pobieranie nauk, pomagał uczyć młodszych chłopców kunsztu wojennego.

Spotykaliśmy się w wielkiej sali naprzeciwko zamku, gdzie ćwiczyłem walkę na kije z mężczyznami z klanu oraz doskonaliłem inne sztuki walki. Na osłoniętej, południowej stronie budynku znajdował się wielki plac, stosowny do jazdy konnej i strzelania z łuku. Moje wyniki w tej ostatniej dyscyplinie były równie marne jak zawsze, lecz z kijem oraz mieczem radziłem sobie wcale nieźle. Codziennie rano, poświęciwszy dwie godziny na naukę kaligrafii z Ichiro, jechałem z eskortą dwóch ludzi przez kręte uliczki podzamcza, aby spędzić cztery lub pięć godzin na morderczym treningu. Późnym popołudniem wracałem wraz z innymi uczniami do Ichiro i z trudem powstrzymując senność, słuchałem, jak usiłuje wyłożyć nam zasady Kung Cy oraz historię Ośmiu Wysp.

Na tych zajęciach upłynęło mi przesilenie letnie oraz Święto Gwiazdy Tkaczki, po czym zaczęła się pora wielkich upałów. Śliwkowe deszcze co prawda minęły, lecz nadal napływało wilgotne powietrze; wokół Hagi nieustannie krążyły potężne burze, a rolnicy ponuro zapowiadali sezon silniejszych niż zwykle tajfunów.

Nocami kontynuowałem lekcje z Kenjim. Trzymał się z dala od pomieszczeń klanu, ostrzegł mnie także przed ujawnianiem zdolności Plemienia.

- Wojownicy sądzą, że to czarodziejskie sztuczki - powiedział. - Będą tobą gardzić.

Podczas naszych licznych nocnych wycieczek nauczyłem się niepostrzeżenie poruszać po śpiącym mieście. Łączył mnie z Kenjim dziwny stosunek. W świetle dnia w ogóle mu nie ufałem; zostałem adoptowany przez Otori, oddałem się im całą duszą i nie chciałem, by mi przypominano, że jestem obcym, wybrykiem natury. Lecz nocą było inaczej. Nic nie mogło się równać z kunsztami Kenjiego, on zaś pragnął się nimi dzielić. Toteż żarłocznie je pochłaniałem - częściowo dla nich samych, odpowiadały bowiem jakiejś zrodzonej we mnie, mrocznej potrzebie, a częściowo dlatego, że wiedziałem, jak wiele muszę się nauczyć, by kiedyś dokonać tego, czego oczekiwał ode mnie pan Shigeru. Chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego miałby

uratować mnie z Mino. Byłem synem zabójcy, członkiem Plemienia, a on uczynił mnie swym adoptowanym synem i chciał zabrać ze sobą do Inuyamy. W jakimże innym celu, jeśli nie po to, aby zabić Iidę?

Większość chłopców zaakceptowała mnie ze względu na Shigeru; zdałem sobie sprawę, jak wysoko cenią go sobie oni oraz ich ojcowie. Ale synowie Masahiro i Shoichiego dawali mi niezłą szkołę, zwłaszcza najstarszy syn Masahiro, Yoshitomi. Znienawidziłem ich niemal równie mocno, jak stryjów, gardziłem nimi za arogancję i ślepotę, jaką przejawiali. Podczas częstych walk na kije pojąłem, że mają wobec mnie mordercze zamiary, a któregoś dnia Yoshitomi zapewne by mnie uśmiercił, gdybym nie zdołał na chwilę rozproszyć jego uwagi, korzystając ze zdolności pojawiania się w dwóch miejscach naraz. Nigdy mi tego nie wybaczył i często szeptał pod moim adresem obelgi: Czarownik. Oszust. Bardziej niż śmierci z jego ręki zacząłem się obawiać, że zabije go w samoobronie. Niewątpliwie dzięki temu znacznie poprawiła się moja zdolność władania mieczem, lecz odetchnąłem z ulgą, kiedy nadeszła pora wyjazdu i obyło się bez rozlewu krwi.

Najgorętsze dni lata niezbyt sprzyjały podróżom, lecz musieliśmy dotrzeć do Inuyamy przed obchodami Święta Umarłych. Nie pojechalismy prosto przez Yamagatę; najpierw mieliśmy udać się na południe do Tsuwano, obecnie granicznej placówki lenna Otori na zachodnim szlaku gdzie oczekiwał nas orszak panny młodej i gdzie miały się odbyć zaręczyny. Stamtąd planowaliśmy wrócić przez terytorium Tohan do Yamagaty, aby podjąć podróż pocztowym gościńcem.

Podróż do Tsuwano, pomimo upału, przebiegła przyjemnie i bez zakłóceń. Wreszcie udało mi się uciec od nauk Ichiro oraz presji związanej z treningiem. Konna wędrowniczka z Shigeru i Kenjim wprowadziła mnie w wakacyjny nastrój, na kilka dni odsuwając obawę przed tym, co nas czeka. Deszcz jakoś nie padał, chociaż nad łańcuchami gór nieustannie przelatywały błyskawice, barwiąc nocne niebo na kolor indygo; letnie listowie lasów otaczało nas morzem zieleni.

Ostatniego dnia wstaliśmy o świcie i do południa pokonaliśmy drogę do Tsuwano. Żałowałem, że podróż się kończy; oznaczało to również koniec niewinnych przyjemności beztroskiego wędrowania, a nie wyobrażałem sobie, co mogłoby je zastąpić. Całe Tsuwano rozbrzmiewało śpiewem wody, pędzącej ulicznymi kanałami, w których roilo się od tłustych karp, czerwonych i złotych. Dojeżdżaliśmy już do zajazdu, gdy wtem na tle szumu wody i gwaru miasta wyraźnie usłyszałem kobiecy głos, wymawiający moje imię. Głos ten dobiegał z niskiego długiego budynku o białych ścianach i zasłoniętych żaluzjami oknach, gdzie zapewne mieściła się sala ćwiczeń. Zorientowałem się, że znajdują się tam dwie niewidoczne kobiety, i przez chwilę zaciekało mnie, co robią, oraz dlaczego jedna z nich o mnie mówi.

Kiedy dotarliśmy do zajazdu, usłyszałem tę samą kobietę, z ożywieniem rozprawiającą na dziedzińcu; najwyraźniej była to pokojówka pani Shirakawa, zaniepokojona, iż jej pani źle się czuje. Kenji poszedł obejrzeć chorą, a po powrocie wyraźnie chciał podzielić się ze mną zachwytem nad jej urodą, jednak wówczas rozpętała się burza, więc pobiegłem do stajni, aby się upewnić, czy konie nie

przestraszyły się piorunów. Prawdę mówiąc, nie miałem ochoty słuchać, jaka jest piękna - jeżeli w ogóle o niej myślałem, to wyłącznie z niechęcią, upatrując w jej osobie przynętę w pułapce, zastawionej na pana Shigeru.

Niebawem Kenji dołączył do mnie w stajni, prowadząc ze sobą pokojówkę. Sprawiała wrażenie ładnej, pogodnej, roztrzepanej dziewczyny, lecz zanim zdążyła obdarzyć mnie uśmiechem - niezbyt uniżonym - i zwrócić się do mnie per „kuzynie”, wiedziałem już, że pochodzi z Plemienia.

Uniosła ręce i przyłożyła do moich.

- Po matce także jestem Kikuta, ale ze strony ojca pochodzę z rodu Muto. Kenji to mój stryj.

Mieliśmy podobne dłonie - długopalce, z taką samą poprzeczną bruzdą.

- To jedyna cecha, jaką po niej odziedziczyłam - rzekła ze smutkiem. - Reszta mojej osoby to czyste Muto.

Podobnie jak Kenji umiała zmieniać wygląd w taki sposób, że nikt nigdy nie miał pewności, czy ją rozpoznaje; nawet ja z początku sądziłem, że jest bardzo młoda, choć w rzeczywistości dobiegała trzydziestki i była matką dwóch synów.

- Panienska Kaede czuje się lepiej - powiadomiła Kenjiego. - Dzięki twojej herbatce przespała się trochę i koniecznie chce wstać z łóżka.

- Za dużo z nią ćwicyłaś - uśmiechnął się Kenji. - Co ty sobie myślisz, w taki upał?

I dodał, zwracając się do mnie:

- Shizuka uczy panią Shirakawa sztuki miecza. Tobie również może udzielić wielu cennych nauk - przez ten deszcz zostaniemy tu kilka dni. Może zdołasz wpoić mu bezwzględność - zwrócił się do Shizuki. - Tylko tego mu brakuje.

- Bezwzględność to cecha, której trudno nauczyć - odparła Shizuka. - Albo człowiek ją posiada, albo nie.

- Shizuka z pewnością ją posiada, więc lepiej nie wchodź jej w drogę! - ostrzegł mnie rozbawiony Kenji.

Nie odpowiedziałem. Czułem się urażony faktem, że od razu przy pierwszym spotkaniu Shizuka została powiadomiona o mojej słabości. Staliśmy pod okapem stajni; deszcz bębnił o bruk dziedzińca, a zza pleców dobiegał nas stukot końskich kopyt.

- Czy te gorączki często się zdarzają? - zapytał Kenji.

- Właściwie nie. To pierwszy raz. Ale pani Shirakawa nie jest silna; prawie nic nie je i źle sypia. Martwi się swoim małżeństwem oraz losem rodziny; jej matka umiera, a ona nie była w domu, odkąd skończyła siedem lat.

- Polubiłaś ją - rzekł Kenji z uśmiechem.

- Owszem, chociaż poszłam do niej na służbę tylko na prośbę Araiego.

- Nigdy nie widziałem piękniejszej dziewczyny.

- Stryju! Naprawdę wpadła ci w oko!

- Chyba się starzeję - przyznał Kenji. - Wzrusza mnie jej położenie; będzie przegrana, bez względu na to, co się stanie.

Nad nami rozległ się ogłuszający grzmot. Konie zarżały i jęły się szarpać na

uwięzi. Pobiegłem je uspokoić, Shizuka wróciła do zajazdu, a Kenji wyruszył na poszukiwanie łaźni. Nie ujrzałem ich aż do wieczora.

Wykąpany i odziany w najlepsze, odświeżone szaty przygotowałem się, by usługiwać panu Shigeru podczas jego pierwszego spotkania z przyszłą żoną. Wypakowałem przywiezione podarunki z kufrów, gdzie spoczywały obok podróżnych naczyń z laki. Nigdy nie uczestniczyłem w żadnej ceremonii zaręczyn, sądziłem jednak, że powinno to być radosne wydarzenie. Lecz tym razem nikt się nie cieszył. Możliwe, że udzielił nam się niepokój narzeczonej, tak czy inaczej napięcie było niemal namacalne i zewsząd docierały złe wróżby.

Pani Maruyama powitała nas jak przelotnych znajomych, ale prawie nie odrywała oczu od twarzy pana Shigeru. Pomyślałem, że od spotkania w Chigawie bardzo się postarzała. Była równie piękna jak dawniej, lecz jej rysy zostały naznaczone cierpieniem, które zostawiło po sobie cienkie zmarszczki. Oboje z Shigeru odnosili się chłodno zarówno do siebie, jak i do reszty obecnych, a zwłaszcza do pani Shirakawa.

Uroda tej ostatniej zamknęła mi usta; pomimo entuzjazmu Kenjiego byłem na nią całkiem nieprzygotowany. Nagle pojąłem przyczynę cierpienia pani Maruyama - z pewnością częściowo powodowała je zazdrość, któryż bowiem mężczyzna oparłby się chęci posiadania takiej piękności? Nikt nie mógłby winić Shigeru, gdyby zgodził się na małżeństwo, co więcej, spełniłby wówczas obowiązek wobec stryjów, domagających się sojuszu. Ów ożenek pozbawiłby panią Maruyama nie tylko mężczyznę, którego od lat kochała, ale i najsilniejszego sojusznika.

Podskórne prądy krążące w pomieszczeniu sprawiły, że poczułem się niezręcznie i nieswojo. Dostrzegłem przykrość, jaką chłód pani Maruyama sprawiał Kaede, ujrzałem rumieniec, okrywający jej policzki i czyniący jej cerę jeszcze piękniejszą. Słyszałem uderzenia jej serca oraz urywany oddech. Siedziała ze spuszczoneymi oczami, nie patrząc na nikogo. Jest bardzo młoda, a także przerażona - pomyślałem. Wtedy podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Poczułem, że mam przed sobą osobę tonącą w rzece; wystarczy, bym wyciągnął rękę, a ją uratuję.

- A więc, Shigeru, musisz zdecydować, kogo wybrać: najpotężniejszą kobietę w Trzech Krainach czy też kobietę najpiękniejszą - śmiał się Kenji później, gdy zdążyliśmy już wypić wiele dzbanów wina. Zanosilo się na to, że deszczowa pogoda zatrzyma nas w Tsuwano przez dobrych kilka dni, nie musieliśmy więc kłaść się wcześniej, aby wstać przed świtem. - Powinienem był urodzić się panem.

- Masz przecież żonę, którą opuściłeś - odciął się pan Shigeru.

- Moja żona świetnie gotuje, ale jest gruba, ma jadowity język i nienawidzi podróży - poskarżył się Kenji.

Nic nie powiedziałem, lecz zachichotałem w duchu; wiedziałem, jak Kenji pod nieobecność żony korzysta z życia w przybytkach rozkoszy.

Kenji nie przestawał żartować, ale odniosłem wrażenie, że ma w tym głębszy cel i pragnie wysondować Shigeru, ten jednak odpowiadał mu w tym samym tonie, jakby istotnie świętował zaręczyny. Kiedy kładłem się spać z umysłem zmaconym przez wino, rozszalała ulewa z hukiem lała się z rynien, waliła o bruk, przepełniała

kanały; zasypiając, usłyszałem jeszcze śpiew spadającej z gór rzeki, który z wolna przeobrażał się w krzyk.

Obudziłem się w środku nocy i natychmiast pojąłem, że pana Shigeru nie ma w pokoju. Zacząłem nasłuchiwać; wreszcie dobiegła mnie jego rozmowa z panią Maruyama, tak cicha, że nikt oprócz mnie z pewnością jej nie słyszał. Rok temu, w innym zajeździe, także byłem świadkiem podobnej rozmowy. Świadomość ryzyka, jakie podejmowali, przejęła mnie zgrozą, lecz zdumiałem się również mocą ich miłości, dodającej im sił mimo rzadkich spotkań.

Nigdy nie poślubi pani Shirakawa Kaede - pomyślałem, nie wiedziałem jednak, czy ta świadomość mnie zachwyca, czy przeraża.

Pełen złych przeczuc leżałem bezsennie do świtu, który wstał mokry i szary, bez najmniejszej nadziei na poprawę pogody. Tajfun dotarł do zachodniej części kraju wcześniej niż zazwyczaj, niosąc ze sobą powódzie, zrywając mosty, zatapiając drogi. Wszystko było wilgotne i cuchnęło pleśnią. Dwa konie miały obrzękłe pęciny, a jeden ze stojących został kopnięty w pierś.

Zamówiłem okłady dla koni, do człowieka wezwałem felczera i właśnie jadłem spóźnione śniadanie, gdy przyszedł Kenji, aby przypomnieć mi o treningu walki na miecze. Była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę.

- Co zamierzasz robić przez cały dzień? - skarcił mnie, gdy zaprotestowałem. - Siedzieć i pić herbatę? Shizuka może wiele cię nauczyć. Skoro już tu utknęliśmy, trzeba to wykorzystać.

Cóż miałem robić? Posłusznie skończyłem jeść śniadanie i w deszczu podążyłem za nauczycielem do sali ćwiczeń, z której dobiegały głucho tupnięcia i uderzenia kijów. W środku ujrzałem dwóch młodych mężczyzn, po chwili wszakże zorientowałem się, że jednym z nich jest Shizuka. Walczyła zręczniejsz niż jej przeciwnik, ten jednak, wyższy i bardziej zapamiętały, dzielnie stawiał jej czoło. Na próżno - po naszym wejściu Shizuka z łatwością pokonała jego obronę. Drugi chłopiec zdjął maskę, ja zaś pojąłem, ze zdumieniem, że mam przed sobą panią Shirakawa.

- Och - rzekła gniewnie Kaede, ocierając rękawem twarz - odwrócili moją uwagę!

- Nic nie powinno odwracać twojej uwagi, panienko - pouczyła Shizuka. - To twoja największa słabość. Brak ci skupienia. Nie powinno istnieć nic oprócz ciebie, wroga i miecza.

Odwróciła się, by nas powitać:

- Dzień dobry, stryju! Dzień dobry, kuzynie!

Od wzajemności powitania, z szacunkiem kłaniając się Kaede. Zapadło milczenie. Czułem się niezręcznie - nigdy przedtem nie widziałem kobiet w sali ćwiczeń, nigdy nie widziałem kobiet w stroju do walki. Wytrąciło mnie to z równowagi, uznałem całą sytuację za odrobinę niestosowną. Nie powinienem znajdować się tutaj z narzeczoną Shigeru.

- Przyjdziemy innym razem - powiedziałem. - Kiedy skończycie zajęcia.

- Nie - zarządził Kenji. - Chcę, żebyś walczył z Shizuką. Pani Shirakawa też

skorzysta, jeśli się wam przyjrzy. I tak nie może sama wracać do zajazdu.

- Panienska skorzysta więcej, jeśli sama stoczy walkę z mężczyzną - zaoponowała Shizuka. - W prawdziwym boju nie będzie mogła wybierać sobie przeciwników.

Zerknąłem na Kaede i dostrzegłem, że jej oczy rozszerzają się ze zdumienia, jednak nie powiedziała nic.

- Cóż, zapewne zdoła pokonać Takeo - rzekł kwaśno Kenji.

Najwyraźniej po wczorajszym wieczorze Kenjiego męczył kac; prawdę mówiąc, ja także czułem się nieświeżo.

Kaede usiadła na podłodze, krzyżując po męsku nogi, po czym rozluźniła rzemienie, podtrzymujące jej włosy. Fala czerni opadła aż do ziemi, okrywając ją niczym płaszcz. Usiłowałem na nią nie patrzeć.

Shizuka podała mi kij i przyjęła pozycję wyjściową.

Przez chwilę poruszaliśmy się ostrożnie, nie chcąc przedwcześnie zdradzać swoich możliwości. Nigdy przedtem nie walczyłem z kobietą, nie chciałem więc używać pełnej siły, żeby przypadkiem nie zrobić jej krzywdy. Wtem jednak, ku memu zaskoczeniu, uprzedziła mnie podczas zwodu, a następnie zadała obrotowy cios od dołu, wytrącając mi kij z rąk. Gdybym miał przed sobą syna Masahiro, już bym nie żył.

- Kuzynie - rzekła z naganą. - Nie obrażaj mnie, proszę. Po tej nauce zacząłem bardziej się starać, ale Shizuka okazała się zręczniejsza i nad podziw silna. Dopiero podczas trzeciego starcia zdobyłem lekką przewagę, być może dlatego, że udzieliła mi kilku wskazówek. Czwarte starcie poddała, wyjaśniając:

- Cały ranek walczyłam z panienką Kaede. Ty, kuzynie, jesteś wypoczęty, a ponadto dwukrotnie młodszy ode mnie.

- Chyba nie całkiem dwukrotnie! - wydyszałem.

Pot łał się ze mnie strumieniami. Wziąłem od Kenjiego ręcznik i zacząłem się wycierać.

- Dlaczego nazywasz pana Takeo kuzynem? - zapytała Kaede Shizukę.

- Nie uwierzysz, ale jesteśmy krewnymi po kądzieli - odparła dziewczyna. - Pan Takeo nie pochodzi z rodu Otori, został adoptowany.

Kaede przyjrzała się nam uważnie.

- Istnieje między wami podobieństwo. Trudno dokładnie określić, na czym ono polega, ale macie w sobie coś tajemniczego, jakby żadne z was nie było tym, kim się wydaje.

- Zważywszy, w jakim świecie żyjemy, przemawia przez ciebie mądrość, panienko - rzekł Kenji, dosyć obłudnie, moim zdaniem.

Prawdopodobnie nie chciał, by Kaede poznała prawdziwy charakter naszego podobieństwa - to, że wszyscy pochodzimy z Plemienia. Ja również nie chciałem, aby się o tym dowiedziała; wołałem w jej oczach uchodzić za Otori.

Shizuka wzięła rzemyki i podwiązała włosy Kaede.

- Teraz ty spróbuj stoczyć walkę z Takeo.

- Nie - zaprotestowałem natychmiast. - Muszę już iść. Muszę dopatrzeć koni.

Muszę sprawdzić, czy pan Otori mnie nie potrzebuje.

Kaede wstała. Dostrzegłem, że lekko drży, i wyraźnie poczułem bijący od niej zapach, woń kwiatów z domieszką potu.

- Jedna runda nie zaszkodzi - nalegał Kenji.

Shizuka podeszła, by nałożyć Kaede maskę, lecz ta ją odprawiała.

- Skoro mam walczyć z mężczyzną - oświadczyła - muszę to uczynić bez maski.

Niechętnie podjąłem kij. Deszcz zgęstniał; w sali zrobiło się ciemniej, światło pozieleniało. Znaleźliśmy się w świetle wewnątrz świata, oddzieleni od rzeczywistości, zaczarowani.

Zaczęliśmy, jak podczas normalnego treningu, usiłując wzajemnie zbić się z nóg. Nie chciałem uderzyć jej w twarz, ona zaś ani na chwilę nie odrywała ode mnie wzroku. Oboje czuliśmy się niepewnie - wyruszyliśmy w nieznane, podejmując grę, której reguł nie zdążyliśmy poznać. Wtem, w momencie, którego nie zdołałem uchwycić, nasza walka niepostrzeżenie zamieniła się w rodzaj tańca - krok, cios, parowanie, krok. Oddech Kaede stał się głośniejszy, echem wtórując mojemu, aż zaczęliśmy oddychać w jednym rytmie; jej oczy się roziskrzyły, twarz poróżowiła, ciosy były coraz mocniejsze, rytm kroków coraz dzikszy. Czasem ja zyskiwałem przewagę, czasem ona, ale żadne z nas nie zdołało jej wykorzystać - a może żadne nie chciało?

W końcu, niemal niechcący, udało mi się przedrzeć przez obronę Kaede. Rzuciłem kij, aby nie trafić jej w głowę. Natychmiast zatrzymała się i powiedziała:

- Poddaję walkę.

- Dobrze się sprawiłaś - pochwaliła Shizuka - ale Takeo mógł bardziej się starać.

Stałem zapałszy w Kaede z ustami otwartymi jak kretyn. Jeśli natychmiast nie wezmę jej w ramiona, to umrę - myślałem.

Kenji wepchnął mi ręcznik w dłoń.

- Takeo... - warknął, szturchając mnie w pierś.

- Co? - wymamrotałem bezmyślnie.

- Tylko nie komplikuj sprawy!

- Panienko Kaede! - ostro krzyknęła Shizuka, jakby ostrzegając przed niebezpieczeństwem.

- Co? - powiedziała Kaede ze wzrokiem wciąż wlepionym w moją twarz.

- Chyba dosyć na dzisiaj - oznajmiła Shizuka. - Wracamy do zajazdu.

Kaede uśmiechnęła się do mnie, nagle nierozważna:

- Panie Takeo.

- Pani Shirakawa - odparłem, kłaniając się do ziemi i daremnie usiłując zachować poważną minę.

- No, to koniec - mruknął zrezygnowany Kenji.

- Czego się spodziewasz! W ich wieku! - zawołała Shizuka. - Niedługo im przejdzie.

Dopiero gdy Shizuka wyprowadziła Kaede z sali, głośno wołając, by czekająca

na zewnątrz służba przyniosła parasole, pojąłem, o czym mówili. Tylko pod jednym względem mieli rację: Kaede i mnie istotnie osmalił płomień pożądania - więcej niż pożądania, miłości - nie sądziłem jednak, by kiedykolwiek „nam przeszło”.

Przez tydzień ulewne deszcze trzymały nas uwięzionych w górskim miasteczku. Nie ćwiczyłem już więcej z Kaede. Żałowałem, że w ogóle do tego doszło. To była chwila szaleństwa - nie chciałem tego, a teraz przeżywałem udrękę. Przez cały dzień nasłuchiwałem; słyszałem jej głos, kroki, jej oddech w nocy, albowiem dzieliło nas tylko cienkie przepierzenie. Umiałem powiedzieć, jak sypia (niespokojnie) i kiedy się budzi (często). Spędzaliśmy razem wiele czasu - zmuszała nas do tego szczupłość miejsca w zajeździe, przynależność do tej samej grupy podróżnych oraz konieczność towarzyszenia panu Shigeru i pani Maruyama - ale nie mieliśmy okazji porozmawiać. Sądzę, że oboje byliśmy przerażeni, że zdradzimy się ze swymi uczuciami. Wręcz nie śmieliśmy na siebie spojrzeć, lecz kiedy nasze oczy przypadkowo się spotykały, między nami przeskakiwała iskra.

Schudłem, a pod oczami miałem sińce z pożądania. Moje samopoczucie pogarszał jeszcze brak snu, gdyż wróciłem do swoich nawyków z Hagi i nocami wypuszczałem się na długie wyprawy. Shigeru nic o nich nie wiedział, wymykałem się bowiem, kiedy przebywał z panią Maruyama; Kenji albo udawał, albo naprawdę nie zauważał moich wyjść. Miałem wrażenie, że staję się bezcielesny niczym duch. W dzień uczyłem się i rysowałem, w nocy podglądałem życie innych ludzi, jak cień przemykając po miasteczku. Często nawiedzała mnie myśl, że nigdy nie będę miał własnego życia i na zawsze pozostanę własnością Otori albo Plemienia.

Podśluchiwałem kupców, liczących straty poniesione wskutek wielkiej wody, patrzyłem, jak mieszkańcy miasta piją i hazardują się w domach gry, po czym pozwalają, by odprowadzały ich prostytutki. Obserwowałem dzieci śpiące między rodzicami, wspinałem się po rynnach i ścianach, biegałem po szczytach dachów i płotów. Pewnego razu przepłynąłem fosę, pokonałem zamkowe mury i bramy, a następnie podszedłem do strażników tak blisko, że poczułem ich zapach, zdumiony, że nie słyszą mnie ani nie widzą. Słuchałem ludzi mówiących na jawie i we śnie, byłem świadkiem ich protestów, przekleństw i modlitw.

Przed świtem, przemoczony do nitki, wracałem do zajazdu, ściągałem mokre ubranie, po czym nagi i drżący wślizgiwałem się pod kołdrę. Zapadałem w drzemkę, słysząc, jak wokół mnie budzi się świat - najpierw piały koguty, potem zaczynały krakać wrony, służący wstawali i szli po wodę, na deskach mostów stukały drewniaki, Raku oraz inne konie rżały w stajni, ja zaś czekałem na dźwięk głosu Kaede.

Deszcz lał przez trzy dni, aż wreszcie zaczął słabnąć. W tym czasie wielu ludzi przychodziło do zajazdu, aby porozmawiać z Shigeru. Słuchałem ich ostrożnych słów, usiłując odgadnąć, który z nich jest wobec niego lojalny, a który aż nazbyt chętnie przyłączy się do zdrajców. Któregoś ranka poszliśmy do zamku wręczyć podarunki panu Kitano; wtedy w świetle dnia ujrzałem mury i bramę, na które wspiąłem się nocą.

Pan Kitano powitał nas uprzejmie, po czym wyraził współczucie z powodu

śmierci Takeshiego. Najwyraźniej ciążyła mu na sumieniu, gdyż kilkakrotnie poruszał ten temat. Jako rówieśnik panów Otori miał synów w wieku Shigeru, ci jednak nie wzięli udziału w spotkaniu - jeden podobno wyjechał, drugi był chory. Pan Kitano przeprosił nas w ich imieniu, ale wiedzieliśmy, że kłamie.

- Mieszkali w Hagi, kiedy byłem chłopcem - powiedział mi później Shigeru. - Ćwiczyliśmy i uczyliśmy się razem. Często bywali w domu moich rodziców, byliśmy zżyci jak bracia. - Zamilkł na chwilę, po czym westchnął: - Cóż, od tamtej pory minęło wiele lat. Czas się zmieniają i my musimy zmieniać się wraz z nimi.

Ja jednak nie mogłem się z tym pogodzić. Obserwowałem z goryczą, że im bardziej zbliżamy się do terytorium Tohan, tym bardziej osamotniony staje się Shigeru.

Zapadał zmrok; właśnie wyszliśmy z kąpieli i czekaliśmy w pokoju na posiłek. Kenji udał się do łaźni publicznej, gdzie, jak twierdził, zwróciła jego uwagę pewna dziewczyna. Deszcz zamienił się w mżawkę, a przez szeroko otwarte okna, wychodzące na niewielki ogród, dochodził nas zapach mokrej ziemi oraz przesiąkniętych wodą liści.

- Przeciera się - powiedział Shigeru. - Jutro stąd wyjedziemy, ale nie sądzę, byśmy zdążyli do Inuyamy przed Świętem Umarłych. Chyba trzeba będzie poczekać w Yamagacie. - Uśmiechnął się niewesoło. - Uczczę śmierć brata w miejscu, gdzie naprawdę umarł. Najgorsze, że nie wolno mi ujawnić żadnych uczuć. Muszę udawać, że porzuciłem wszelką myśl o zemście.

- Po co w ogóle wkraczamy na terytorium Tohan? - zapytałem. - Jeszcze nie jest za późno, by zawrócić. Jeżeli zgodziłeś się na małżeństwo tylko ze względu na mnie, to w każdej chwili mogę wyjechać z Kenjim. On bardzo tego pragnie.

- W żadnym wypadku! - zaprotestował. - Dałem słowo, że dotrzymam układu, przyłożyłem swoją pieczęć! Skoro skoczyłem do rzeki, muszę płynąć, dokąd poniesie mnie prąd. Wolę, by Iida mnie zabił, niż żeby mną gardził. - Rozejrzał się po pokoju, nasłuchując. - Jesteśmy sami? Słyszysz kogoś?

Z zajazdu dobiegały zwykłe wieczorne odgłosy - miękkie kroki pokojówek, roznoszących jedzenie i wodę, stukanie noża kucharki, krojącej coś w kuchni, przyciszona rozmowa strażników w przejściu na dziedziniec. W pobliżu słyszałem wyłącznie nasze oddechy.

- Nikogo nie ma.

- Zbliź się; kiedy znajdziemy się wśród Tohańczyków, nie będziemy już mieli okazji do rozmowy. Jest wiele rzeczy, które chcę ci powiedzieć, zanim... - tu uśmiechnął się do mnie, tym razem szczerze - ...zanim zdarzy się to, co ma się zdarzyć w Inuyamie! Długo się zastanawiałem - wyznał - czy cię nie odprawić. Kenji lęka się o twoje bezpieczeństwo i oczywiście jego obawy są uzasadnione. Ja muszę jechać do Inuyamy bez względu na wszystko. Przysługa, o którą chcę cię prosić, jest wręcz niepodobieństwem i tak dalece przerasta wszelkie zobowiązania, jakie masz wobec mnie, że powinienem dać ci możliwość wyboru. Wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia; jeżeli potem postanowisz wyjechać z Kenjim, zanim wkroczymy na terytorium Tohan, nie będę cię zatrzymywał.

Od odpowiedzi uratował mnie cichy dźwięk z korytarza.

- Ktoś jest przy drzwiach.

Obaj zamilkliśmy.

Do pokoju weszły służące, niosące tace z kolacją. Z powodu deszczu posiłek był skromny - jakaś duszona ryba, ryż, grzyby i kiszzone ogórki - lecz nie przypuszczam, byśmy w ogóle poczuli jego smak.

- Pewnie się zastanawiasz, skąd się wzięła moja nienawiść do lidy - ciągnął Shigeru. - Zawsze żywiłem do niego osobistą niechęć, gdyż był okrutny i podstępny. Po bitwie pod Yaegaharą, kiedy po śmierci mego ojca stryjowie objęli przywództwo klanu, wielu ludzi uważało, że powinienem być odebrać sobie życie. Byłoby to wyjście honorowe - ale też bardzo dla niektórych wygodne, bo w ten sposób pozbyliby się mojej irytującej obecności. Gdy jednak Tohańczycy zaczęli zajmować ziemie Otori, gdy ujrzałem, jak bezwzględne są ich rządy, uznałem, że godniejszym rozwiązaniem będzie życie i dążenie do zemsty. W moim przekonaniu sprawdzianem władzy jest zadowolenie ludu; jeżeli władca jest sprawiedliwy, jego ziemie otrzymują błogosławieństwo Niebios.

Na ziemiach Tohan ludzie głodują, popadają w długi, bez przerwy nękają ich urzędnicy lidy. Ukrytych się morduje - krzyżuje, wiesza głową w dół nad dołami na odpadki umieszcza w klatkach, aby rozdziobały ich wrony. Wieśniacy muszą wystawiać noworodki na zimno, by umarły, albo sprzedawać córki, gdyż nie mają ich czym nakarmić.

Wziął kawałek ryby i przeżuł ją starannie z kamienną twarzą.

- lida wyrósł na najpotężniejszego władcę w Trzech Krainach. Władza sama nadaje sobie wiarygodność; większość ludzi uważa, że w obrębie swego klanu i swego lenna każdy suweren ma prawo robić, co mu się podoba. Mnie również wychowano w takim przekonaniu. Ale lida zagrażał krainie mojej i mego ojca, toteż nie zamierzałem przyglądać się bez walki, jak ją dewastuje. Poświęciłem na to wiele lat. Gram rolę, która tylko częściowo mi odpowiada - zaczęto mnie wręcz nazywać Rolnik Shigeru. Zająłem się uprawą ziemi, rozmawiałem wyłącznie o porach roku, plonach i nawadnianiu. Te kwestie naprawdę mnie interesują, lecz dzięki nim zyskałem dodatkowy pretekst, by podróżować po swym lennie i dowiadywać się wielu rzeczy, o których inaczej bym nie usłyszał. Starałem się unikać bywania na terenach Tohan, z wyjątkiem dorocznych odwiedzin w Terayamie, gdzie pochowany jest mój ojciec i wielu przodków

- Po Yaegaharze tamtejsza świątynia została oddana Tohańczykom wraz z całym miastem Yamagata. Jednak kiedy okrucieństwo lidy dotknęło mnie osobiście, moja cierpliwość się wyczerpała.

W zeszłym roku, tuż po Świącie Gwiazdy Tkaczki, moja matka zapadła na gorączkę. Choroba była niesłychanie złośliwa; w ciągu tygodnia matka zmarła, a wraz z nią troje innych domowników, w tym jej pokojówka. Ja również się rozchorowałem - przez cztery tygodnie tkwiłem między życiem i śmiercią, majaczący, nieprzytomny. Nie spodziewano się, że wyzdrowieję, a kiedy tak się stało, żałowałem, że nie umarłem, gdyż wtedy się dowiedziałem, że w pierwszym

tygodniu mojej choroby został zabity mój brat.

Ponieważ była pełnia lata, pogrzeb już się odbył. Nikt nie umiał mi powiedzieć, co się stało. Nie znaleziono żadnych świadków; Takeshi niedawno wziął sobie nową kochankę, ale dziewczyna także zniknęła. Powiedziano nam jedynie, że jakiś kupiec z Tsuwano rozpoznał jego ciało, leżące na ulicy Yamagaty, i zarządził pogrzeb w Terayamie. Zrozpaczony, napisałem do Muto Kenjiego, którego znałem od czasów Yaegahary, mając nadzieję, że dzięki Plemieniu uzyskam jakieś wieści. Dwa tygodnie później przyszedł do mnie nocą posłaniec, wioząc list polecający z pieczęcią Kenjiego. W innych okolicznościach wziąłbym tego człowieka za stajennego lub prostego żołnierza, ale powiedział, że ma na imię Kuroda; imię to, jak wiedziałem, często spotyka się wśród członków Plemienia.

Takeshi i śpiewaczka, w której się zakochał, pojechali razem do Tsuwano na Święto Gwiazdy. Tyle już sam wiedziałem - gdy matka zachorowała, natychmiast wysłałem do niego wiadomość, by nie wracał do Hagi. Nie chciałem, by opuszczał Tsuwano, lecz dziewczyna namówiła go, aby ruszyli dalej, do Yamagaty, gdyż miała tam krewnych. Kuroda odkrył, że w zajeździe w Yamagacie, gdzie zatrzymał się Takeshi, doszło do przykrej sceny, podczas której obrażono ród Otori oraz mnie osobiście. Wywiązała się bójka; Takeshi, świetny szermierz, zabił dwóch ludzi oraz ranił kilku innych, którzy zdołali uciec. Na nocleg poszedł do krewnych dziewczyny, lecz ludzie Tohan podłożyli ogień pod ich dom - wszyscy domownicy spłonęli żywcem lub zostali zadźgani, gdy próbowali uciec z płomieni.

Na chwilę zamknąłem oczy. W myślach słyszałem krzyki.

- Tak, dokładnie tak, jak w Mino - rzekł gorzko Shigeru. - Tohańczycy twierdzili później, że rodzina dziewczyny należała do Ukrytych, chociaż to z pewnością nieprawda. Mój brat miał na sobie strój podróżny; nikt nie zorientował się, kim jest, a jego ciało przez dwa dni przeleżało na ulicy.

Westchnął głęboko.

- Kiedy indziej podniosłaby się wrzawa; o mniejsze rzeczy wybuchały wojny między klanami. Iida powinien był przynajmniej nas przeprosić, ukarać swoich ludzi i dać nam zadośćuczynienie. Lecz Kuroda doniósł mi, że Iida powitał nowinę słowami: „Jeden martwy dorobkiewicz Otori to o jeden kłopot mniej. Szkoda, że to nie jego brat zginął”. Zdaniem Kurody, nawet sprawcy zabójstwa byli zaskoczeni. Nie wiedzieli, kim był Takeshi, a gdy się dowiedzieli, myśleli, że przypłacą jego zabójstwo życiem. Lecz Iida nic nie zrobił - ani on, ani moi stryjowie. Oczywiście, powtórzyłem im na osobności, co mówił Kuroda, ale woleli w to nie wierzyć. Przypomnieli porywczość Takeshiego, bójki, w które się wdawał, ryzyko, jakie często podejmował. Zabronili mi wspominać publicznie o tej sprawie, podkreślali, że jeszcze nie wyzdrowiałem po chorobie. Doradzali mi wyjazd na rekonwalescencję, może w góry na Wschodzie, sugerowali, bym odwiedził gorące źródła albo pomodlił się w świątyniach. Postanowiłem, że istotnie wyjadę, ale cel mojej podróży był całkiem inny.

- Przyjechałeś do Mino, aby mnie odszukać - wyszeptalem.

Nie odpowiedział od razu. Na zewnątrz zapadła już ciemność, ale niebo na

zachodzie wciąż jaśniało. Chmury rozpraszały się z wolna, na przemian zasłaniając i odsłaniając księżyc. Po raz pierwszy dostrzegłem zarysy gór i sosen, czarne na tle nocnego firmamentu.

- Każ służbie przynieść światło - powiedział Shigeru. Zawołałem pokojówki. Zabrały tace, przyniosły herbatę i zapaliły lampy na stojakach. Po ich wyjściu w milczeniu wypiliśmy herbatę. Shigeru obrócił w dłoni szklwioną, ciemnoniebieską miseczkę, po czym zajrzał pod spód, by odczytać imię garncarza.

- Nie tak miła dla oka, jak ceramika barwy ziemi, stosowana w Hagi - powiedział - niemniej bardzo piękna.

- Mogę ci zadać pytanie? - zawahałem się, niepewny, czy chcę poznać odpowiedź.

- Słucham?

- Wszyscy myślą, że nasze spotkanie było przypadkowe, ale mam uczucie, że przybyłeś, by mnie odnaleźć. Szukałeś mnie.

Skinął głową.

- Owszem; zrozumiałem, kim jesteś, kiedy tylko ujrzałem cię na ścieżce. Przyjechałem do Mino po to, żeby cię poznać.

- Dlatego że mój ojciec był zabójcą?

- To główny powód, ale nie jedyny.

Miałem wrażenie, że z pokoju uszło powietrze, że brak mi tchu. Nie obchodziły mnie pozostałe powody, kierujące panem Shigeru. Musiałem się skupić na tym jednym.

- Ale skąd wiedziałeś, skoro ja sam o tym nie wiedziałem... skoro nie wiedziało nawet Plemię?

- Po Yaegaharze miałem dość czasu, by dowiedzieć się wielu rzeczy - odrzekł Shigeru jeszcze ciszej niż poprzednio. - W owym czasie byłem chłopcem, typowym rycerskim synem, dbającym jedynie o miecz i honor swego rodu. Lecz potem poznałem Muto Kenjiego, on zaś w ciągu kilku miesięcy stworzył mi oczy na władzę, która stanowi podstawę rządów klasy wojowników. Dowiedziałem się czegoś o siatkach, organizowanych przez Plemię, zrozumiałem, w jaki sposób kontrolują możnowładców oraz klany. Kenji został moim przyjacielem i zapoznał mnie z wieloma członkami Plemienia. Ciekawili mnie; zapewne wiem o nich więcej niż jakikolwiek inny człowiek z zewnątrz. Ale zachowałem tę wiedzę dla siebie, nigdy nic nikomu nie mówiąc. Jedynie Ichiro zna kilka szczegółów, no i teraz ty.

Na myśl przyszła mi czapla, błyskawicznie uderzająca dziobem w wodę.

- Kenji mylił się tamtego wieczora po przybyciu do Hagi. Wiedziałem doskonale, kogo wprowadzam do domu. Nie zdawałem sobie tylko sprawy, jak wielkie są twoje talenty. - Urwał, obdarzając mnie serdecznym uśmiechem, który tak przeobrażał jego twarz. - To był niespodziewany dar.

Najwyraźniej znów utraciłem zdolność mówienia. Wiedziałem, że należy wspomnieć o celu, w jakim Shigeru mnie odszukał i ocalił mi życie, ale nie potrafiłem się zmusić, by mówić wprost. Poczułem, że wzbiera we mnie mroczna fala mej plemiennej natury. Milczałem i czekałem.

- Wiedziałem, że nie spocznę, póki żyją mordercy mego brata - ciągnął Shigeru. - Uważałem, że za ten postępek odpowiedzialny jest ich pan. Ponadto zmieniły się okoliczności; kłótnia Araiego z Noguchim oznaczała, że Seishuu znów mogą być zainteresowani sojuszem z Otori, wymierzonym przeciwko lidzie. Wszystko zdawało się prowadzić do jednego wniosku - że przyszła pora, by go zgładzić.

Te słowa roznieciły we mnie powolny płomień podniecenia. Przypomniałem sobie chwilę w wiosce, kiedy postanowiłem, że nie umrę, lecz będę żył i szukał zemsty, oraz noc w Hagi pod zimowym księżycem, gdy uświadomiłem sobie, że posiadam wolę i umiejętności, by dokonać zabójstwa. Poczułem drgnienie dumy, że pan Shigeru uznał za słuszne wyszukać mnie w tym celu - celu, do którego zdawały się prowadzić wszystkie nici mego życia.

- Moje życie należy do ciebie - odparłem. - Zrobię, cokolwiek sobie życzysz.

- Proszę cię o coś, co jest bardzo niebezpieczne i prawie niemożliwe. Jeżeli odmówisz, możesz jutro wyjechać z Kenjim. Wszelkie zobowiązania między nami są nieaktualne. Nikt nie będzie o tobie źle myślał.

- Proszę, nie obrażaj mnie - powiedziałem, na co się tylko roześmiał.

Usłyszałem kroki na dziedzińcu i głosy na werandzie.

- Kenji wrócił.

Kilka chwil później zjawił się w pokoju, a w ślad za nim pokojówka ze świeżą herbatą. Przyjrzał się nam uważnie, gdy ją nalewała, a po jej odejściu zagadnął:

- Wyglądacie jak spiskowcy. Knuliście coś?

- Jedziemy do Inuyamy - odparł Shigeru. - Wyjawiłem Takeo swoje zamiary. Postanowił ze mną zostać.

Kenji zmienił się na twarzy.

- Na śmierć - mruknął.

- Może i nie - rzekłem lekko. - Nie chcę się chwalić, ale jeśli ktokolwiek może się zbliżyć do pana lidy, to wyłącznie ja.

- Jesteś tylko chłopcem - sarknął mój nauczyciel. - Już to mówiłem panu Shigeru. Zna moje zastrzeżenia do tego pochopnego planu. Teraz wyłuszcze je tobie. Naprawdę sądzisz, że zdołasz zgładzić lide? Przeżył więcej zamachów niż ja miałem dziewczyn. A ty zabicie człowieka masz dopiero przed sobą! Co więcej, są spore szanse, że ktoś cię rozpozna albo w samej stolicy, albo w drodze. Sądzę, że twój handlarz jednak komuś o tobie opowiedział. Ando nie zjawił się w Hagi przypadkowo. Przyjechał sprawdzić niepewną pogłoskę, a zobaczył ciebie i Shigeru. Jestem pewien, że lida od dawna wie, kim jesteś i gdzie przebywasz. Najprawdopodobniej zostaniesz aresztowany od razu, gdy znajdziesz się na terytorium Tohan.

- Nie, jeżeli będzie ze mną, panem Otori, przybywającym, aby zawrzeć układ pokojowy - rzekł Shigeru. - Ponadto uświadomiłem mu, że mógłby z tobą wyjechać, gdyby zechciał. Zostaje ze mną z własnego wyboru.

Wydało mi się, że słyszę w jego głosie ton dumy.

- W żadnym wypadku nie wyjadę - oświadczyłem Kenjiemu. - Chcę jechać do

Inuyamy. Mam własne rachunki do wyrównania.

Kenji westchnął ciężko.

- Cóż, w takim razie będę musiał jechać z wami.

- Pogoda się poprawiła. Jutro możemy ruszać - rzekł Shigeru.

- Shigeru, muszę ci powiedzieć jeszcze jedno - przypomniał sobie Kenji. - Pamiętasz moje zaskoczenie, że tak długo udało ci się utrzymać w sekrecie romans z panią Maruyama? Słyszałem w łaźni żart, który każe mi sądzić, że wasz związek już nie jest tajemnicą.

- Co takiego?

- Jakiś mężczyzna, któremu łaźniana szorowała plecy, powiedział: „Pan Otori przyjechał do miasta ze swoją przyszłą żoną”, na co ona odparła: „A także z obecną”. To wzbudziło ogólny śmiech, jakby większość obecnych pojmowała, o co chodzi, po czym zaczęto rozmawiać o pani Maruyama i o tym, że Iida jej pożąda. Oczywiście, nadal znajdujemy się w kraju Otori; miejscowi żywią dla ciebie wyłącznie podziw, toteż ta plotka bardzo im się spodobała, bo poprawia reputację Otori, dla Tohan zaś stanowi cios w ambicję. Będą ją zatem powtarzać coraz częściej, aż w końcu dotrze do uszu Iidy.

Widziałem twarz Shigeru w świetle lampy. Malował się na niej dziwny wyraz, jakby duma pomieszana z żalem.

- Być może Iida mnie zabije - powiedział - ale nie zmieni faktu, że ona woli mnie od niego.

- Jesteś zakochany w śmierci, jak wszyscy ludzie z twojej klasy. - W głosie Kenjiego zabrzmiał gniew, jakiego dotąd u niego nie słyszałem.

- Nie czuję lęku przed śmiercią - odparł Shigeru - ale mylisz się, sądząc, że ją kocham. Wręcz przeciwnie, chyba udowodniłem, jak bardzo kocham życie. Jednak lepiej jest umrzeć niż żyć w hańbie, a przed takim właśnie wyborem stanąłem.

Dobiegł mnie odgłos zbliżających się kroków. Odwróciłem głowę niczym pies; obaj mężczyźni zamilkli. Rozległo się pukanie do drzwi, które odsunęły się, ukazując klęczącą Sachie. Shigeru natychmiast wstał i podszedł do niej. Coś szepnęła, po czym oddaliła się bezszelestnie, on zaś zwrócił się do nas:

- Pani Maruyama życzy sobie omówić przygotowania do jutrzejszej podróży. Pójdę na chwilę do jej pokoju.

Kenji w milczeniu pochylił głowę.

- To mogą być ostatnie chwile, jakie spędzimy razem - rzekł cicho Shigeru i zamknął za sobą drzwi.

- Och, Takeo, czemuż nie dotarłem do ciebie pierwszy! - westchnął Kenji. - Nie zostałbyś panem i nie związałbyś się z Shigeru węzłem lojalności. Należałbyś do Plemienia ciałem i duszą; nawet byś się nie zastanawiał, tylko wyjechałbyś ze mną dzisiaj, natychmiast.

- Gdyby pan Otori nie dotarł do mnie pierwszy, już bym nie żył! - zawołałem z wściekłością. - Gdzie było Plemię, kiedy ludzie Tohan mordowali mój lud i palili dom? On ocalił mi życie, dlatego nie mogę go opuścić! Już nigdy mnie o to nie proś!

Oczy Kenjiego stały się matowe.

- Tak, panie Takeo - odparł ironicznie.

Pokojówki przyszły przygotować posłania i nie rozmawialiśmy więcej.

Następnego ranka na wszystkich drogach prowadzących z Tsuwano panował tłok; wielu podróżnych wykorzystało poprawę pogody, aby ruszyć w dalszą drogę. Niebo okrywał czysty, ciemny błękit, ziemia parowała w promieniach słońca. Kamienny most na rzece nie został uszkodzony, lecz spiętrzona woda płynęła wartko i dziko, ciskając o jego filary gałęzie drzew, deski, ciała martwych zwierząt - a zapewne także i ludzi. Poruszony, wspomniałem, jak pierwszy raz przekraczałem most w Hagi, lecz wtém dostrzegłem we wzburzonym nurcie martwą czapłę - przemoczone, białe-siwe pióra oraz wdzięczną sylwetkę, obecnie połamaną i rozbitą. Widok ten zmroził mnie do szpiku kości. To okropna wróżba - pomyślałem.

Wypoczęte konie ochoczo szły przed siebie. Także Shigeru, który nie miał powodów do radości, a nawet podzielał moje złe przeczucia, nie dawał nic po sobie poznać - przeciwnie, jego twarz była pogodna, oczy błyszczały, wręcz tryskał energią i żywotnością. Serce mi się ścisnęło, gdy nań patrzyłem, świadomy, że jego życie i przyszłość spoczywają w moich rękach - rękach skrytobójcy. Zerknąłem na swoje dłonie na tle czarnej grzywy Raku i zadałem sobie pytanie, co będzie, jeśli mnie zawiodą.

Kaede widziałem tylko przez chwilę, kiedy wsiadała przed gospodą do lektyki. Nie spojrzała na mnie. Pani Maruyama milcząco powitała nas lekkim skinieniem głowy. Miała bladą twarz oraz podbite oczy, ale promieniował od niej spokój i opanowanie.

Z trudem posuwaliśmy się naprzód. Łańcuchy górskie uchroniły Tsuwano przed największym naporem burzy, lecz zjeżdżając w dolinę, coraz wyraźniej dostrzegaliśmy ogrom klęski - zmyte przez powódź domy i mosty, wyrwane z korzeniami drzewa, zalane pola. Wieśniacy ponuro, niekiedy z jawną złością obserwowali nasz przejazd między zrujnowanymi domostwami, a na domiar złego często powiększaliśmy ich niedolę, rekwirując siano dla koni lub zabierając łodzie, by się przedostać przez wzburzone rzeki. Byliśmy spóźnieni o wiele dni i musieliśmy za wszelką cenę posuwać się naprzód.

Droga do granicy lenna zajęła nam trzy dni, dwukrotnie więcej, niż przewidywaliśmy. Iida wysłał nam na spotkanie eskortę - zaufanego dworzanina Abe z grupą Tohańczyków, przewyższającą liczebnie dwudziestoosobową świtę pana Otori. Niestety, po spotkaniu w Tsuwano Sugita i pozostali ludzie Maruyama nas opuścili.

Abe oraz jego oddział czekali na nas już od tygodnia. Rozdrażnieni i niecierpliwi, niechętnie powitali pomysł, by chwilowo zaniechać podróży i zatrzymać się w Yamagacie zgodnie z wymogami nadchodzącego Święta Umarłych. Stosunki między członkami obu klanów, już i tak dalekie od serdeczności, zaostriżyły się ostatecznie. Tohańczycy nieustannie się przechwalali, arogancko dając nam do zrozumienia, że jesteśmy od nich gorsi, traktując nas jak petentów, nie zaś jak równych sobie. Krew we mnie wrzała w imieniu Shigeru, on jednak zachowywał niewzruszoną uprzejmość, aczkolwiek brakowało mu zwykłej pogody.

Ja milczałem, tak jak w czasach, kiedy nie mogłem mówić. Nasłuchiwałem strzępków rozmów, które, niczym źdźbła słomy, mogłyby nam pokazać, skąd wiatr wieje. Ale ludzie w kraju Tohan byli posępni i zamknięci w sobie, świadomi, że szpiegdy są wszędzie, a ściany mają uszy. Nawet upijając się wieczorami, robili to po cichu, zupełnie inaczej niż weseli, hałaśliwi Otori.

Od dnia masakry w Mino nie otarłem się tak blisko o godło potrójnego dębowego liścia, toteż na ogół chodziłem ze spuszczoną głową, odwracając wzrok w obawie, że zobaczę któregoś z ludzi, którzy spalili moją wioskę oraz zamordowali moją rodzinę - albo że sam zostanę rozpoznany. Odrzuciłem swoją prawdziwą naturę; wcieliłem się w postać artysty, ostentacyjnie obnosząc się z pędzelkami oraz blokiem tuszu, udając łagodnego, wrażliwego, nieśmiałego człowieka, który prawie się nie odzywał i niemal wtapiał się w tło. Jedyną osobą, z którą rozmawiałem, był mój nauczyciel, Kenji, równie skromny i bezbarwny jak ja. Od czasu do czasu wymienialiśmy półgłosem kilka uwag na temat kaligrafii bądź stylu malarstwa, uprawianego na głównym lądzie. Tohan gardzili nami i w swoich rachubach nie brali nas pod uwagę.

Pobył w Tsuвано z wolna nabierał dla mnie cech snu. Czy walka na miecze z Kaede naprawdę się odbyła? Czy naprawdę zostaliśmy pochwyceni w sidła miłości, sparzeni ogniem pożądania? W ciągu następnych dni prawie jej nie widywałem. Panie mieszkały i jadały oddzielnie, nietrudno było mi zatem zachowywać się tak, jak sam sobie nakazałem, jakby Kaede nie istniała; jednak dźwięk jej głosu sprawiał, że serce zaczynało mi bić szybciej, a w nocy pod powiekami widziałem jej płonący obraz. Czyżby to były czary?

Z początku Abe nie zwracał na mnie uwagi, lecz drugiego dnia po wieczornym posiłku pod wpływem wina stał się zaczepny. Najpierw długo się we mnie wpatrywał, po czym zapytał Shigeru:

- Ten chłopak to jakiś krewniak, jak sądzę?

- Syn dalekiej kuzynki mojej matki - odparł mój pan. - Drugi co do starszeństwa w dużej rodzinie, obecnie osieroconej. Matka zawsze chciała go adoptować, więc kiedy umarła, spełniłem jej życzenie.

- I wzięłeś sobie na głowę maminsynka - zaśmiał się Abe.

- Cóż, chyba tak - zgodził się Shigeru. - Ale Takeo ma inne pożyteczne talenty. Szybko rachuje i pisze, przejawia także zdolności artystyczne.

Mówił cierpliwym, lekko rozczarowanym tonem, jakbym stanowił dlań niepożądany ciężar, ale wiedziałem, że każda jego uwaga stanowi przyczynek do stworzenia mojej nowej postaci. Spuściłem oczy i nie odzywałem się.

Abe dolał sobie wina i wypił, gapiąc się na mnie znad krawędzi kubka. Miał małe oczka, głęboko osadzone w ospowatej twarzy o grubych rysach.

- Niezbyt to przydatne w takich czasach!

- Sądzę, że teraz, kiedy nasze klany skłonne są podpisać układ, możemy się spodziewać pokoju - rzekł spokojnie Shigeru. - Niewykluczone, że nastąpi rozkwit sztuk.

- Pokoju z Otori, być może. Poddadzą się bez walki. Ale mamy kłopoty z

Seishuu, których podburza ten zdrajca Arai.

- Arai? - zdziwił się pan Otori.

- Były wasal Noguchi. Z Kumamoto. Jego ziemie graniczą z dobrami rodziców twojej narzeczonej. Od roku werbuje wojowników. Musimy go pokonać przed nastaniem zimy. - Abe znów wypił, jego twarz przybrała złośliwy wyraz, a usta wygięły się w okrutnym grymasie. - Arai zabił człowieka, który rzekomo chciał zgwałcić panią Shirakawa, a potem obraził się, gdy Noguchi go wygnał. - Z pijacką intuicją nagle obrócił ku mnie głowę. - Założę się, że ty nigdy nikogo nie zabiłeś, co, chłopcze?

- Nie, panie Abe - odpowiedziałem.

Dostrzegłem, że tuż pod powierzchnią poprawności drzemie w nim brutal, i nie chciałem go prowokować.

- A ty, staruszkule? - zwrócił się do Kenjiego, który w roli niepozornego wychowawcy z rozkoszą opijał się winem, sprawiając wrażenie odurzonego, choć w rzeczywistości był najtrzeźwiejszy z nas.

- Aczkolwiek mędrcy uczą nas, że człowiek szlachetny może, a czasem wręcz powinien pomścić cudzą śmierć - odrzekł Kenji wysokim, świątobliwym głosem - nigdy nie dano mi powodu, by podjąć równie skrajne działania. Z drugiej strony, Oświecony zabrania swym wyznawcom odbierać życie czującym istotom, dlatego żywię się wyłącznie roślinami - tu wypił ze smakiem, po czym ponownie napełnił kubek. - Wino, napój pędzony z ryżu, szczęśliwie mieści się w powyższej kategorii.

- Panie Otori, czyżby w Hagi nie było wojowników, że podróżujesz w takim towarzystwie? - szyderczo wycedził Abe.

- Miałem wrażenie, że jadę, aby się ożenić - odciął się delikatnie Shigeru. - A może powinienem szykować się do walki?

- Mężczyzna zawsze musi być gotów do walki, zwłaszcza gdy jego narzeczona ma taką opinię, jak twoja. Przypuszczalnie wiesz o tym? - Abe potrząsnął wielką głową. - To jakby jeść rybę fugu - jeden niewłaściwy kęs może zabić. Nie przeraża cię to?

- A powinno? - Shigeru nalał sobie wina.

- Cóż, przyznaję, że jest prześliczna. Warto zaryzykować!

- Pani Shirakawa nie stanowi dla mnie zagrożenia - powiedział Shigeru i zręcznie skierował rozmowę na wyczyny Abe podczas kampanii na Wschodzie. Słuchałem owych przechwałek, próbując rozpoznać słabe strony przeciwnika. Postanowiłem już, że go zabiję.

Następnego dnia dotarliśmy do Yamagaty. Tajfun wyrządził tu ogromne zniszczenia, pozostawiając po sobie wiele ofiar oraz ogromne straty w zbiorach. Yamagata, niemal tak duża jak Hagi, była niegdyś drugim ośrodkiem lenna Otori, przynajmniej dopóki nie przejęli jej Tohan. po wojnie miejscowa warownia została odbudowana i przekazana jednemu z wasali Iidy, jednak mieszkańcy miasta wciąż uważali się za Otori, a przybycie pana Shigeru podgrzało nastroje, i tak już niespokojne. Abe, który miał nadzieję dotrzeć do Inuyamy przed początkiem Święta Umarłych, ze złością zgodził się na przymusowy postój. Nie mógł jednak postąpić

inaczej - w czasie świąt wolno było podróżować wyłącznie do świątyń i miejsc kultu, wszelkie inne wędrówki uważano za naznaczone nieszczęściem.

Shigeru ogarnął przemożny smutek - po raz pierwszy odwiedzał miejsce, gdzie umarł jego brat.

- Na widok każdego Tohańczyka pytam się w duchu, czy nie jest jednym z zabójców Takeshiego - wyznał mi późnym wieczorem w dniu przybycia. - Myślę, że oni również zadają sobie pytanie, dlaczego wciąż pozostają bezkarni. Na pewno gardzą mną za to, że pozwoliłem im żyć. Jakże chciałbym pościnać im głowy!

Po raz pierwszy słyszałem, by wyrażał się o wrogach bez swej zwykłej cierpliwości.

- Wtedy nie udałooby się nam dotrzeć do Iidy - zauważyłem. - Jego śmierć będzie najlepszą zemstą za obelgi, którymi teraz raczą nas ludzie Tohan!

- W swej uczoności stałeś się bardzo mądry, Takeo - odparł Shigeru nieco pogodniejszym tonem. - Mądry i opanowany.

Następnego dnia mój pan udał się z Abe na zamek, aby złożyć uszanowanie miejscowemu władcy. Wrócił smutniejszy i jeszcze bardziej zaniepokojony niż poprzednio.

- Tohan, chcąc uniknąć zamieszek, postanowili obwinić Ukrytych za klęskę tajfunu - wyjaśnił krótko. - Aresztowano garstkę nieszczęsnych kupców oraz rolników, na których ktoś zgłosił donos. Kilku zmarło w czasie tortur, a czterech powieszono w wiklinowych klatkach na murach zamku. Wiszą już od trzech dni.

- Wciąż żyją? - szepnąłem, przeszyty dreszczem.

- Mogą wytrzymać tydzień albo i dłużej. Tymczasem wrony rozdziobują ich żywcem.

Dowiedziawszy się o męce tych ludzi, nie potrafiłem już ich nie słyszeć; czasem dobiegały mnie ciche jęki, innym razem przenikliwe krzyki, które w ciągu dnia zagłuszało nieustanne krakanie i trzepot skrzydeł. Dźwięki te dręczyły mnie przez całą noc i cały następny dzień, aż nastał pierwszy wieczór obchodów Święta Umarłych.

Tohan wprowadzili godzinę policyjną we wszystkich podległych sobie miastach, ale święto rządziło się bardziej odwiecznymi prawami i mieszkańcom zezwolono przebywać poza domem do północy. O zmierzchu opuściliśmy zajazd, by przyłączyć się do pochodu, zmierzającego tłumnie do świątyń, a potem nad rzekę. Przy ścieżkach wiodących do miejsc kultu zapalono kamienne latarnie, na płytach nagrobnych ustawiono świeczki. Rzucały dziwne cienie, zamieniające głowy w czaszki, ciała zaś w żylaste sylwetki; ciżba ludzka przemieszczała się wśród nich cicho i równomiernie, jakby sami zmarli powstałi z ziemi. Łatwo było się w niej zgubić, umknąć uwadze naszych czujnych strażników.

Noc była spokojna i ciepła. Zeszliśmy z Shigeru nad rzekę, aby puścić na wodę świeczki w kruchych łódeczkach, niosących dary dla umarłych. Biły świątynne dzwony, śpiew i deklamacje mnichów niosły się nad powolnym, brunatnym nurtem. Długo patrzyliśmy, jak światełka oddalają się po wodzie, przepełnieni nadzieją, że dzięki nim zmarli doznają pociechy i przestaną nękać żywych.

Jednak w moim sercu nie zapanował spokój. Dręczyły mnie wspomnienia matki, ojczyma oraz siostrzyczek, a także dawno zmarłego ojca i zamordowanych mieszkańców Mino; pan Shigeru niewątpliwie wspominał ojca i brata. Najwyraźniej duchy nie zamierzały nas opuścić, dopóki nie zostaną pomszczone. Wszędzie wokół nas ludzie puszczali na wodę swoje małe, pływające światełka, łkali i zawodzili, aż serce ścisnęło mi się ze smutku, że świat jest taki, jaki jest. Przemknęły mi przez myśl fragmenty nauki Ukrytych, lecz zaraz uświadomiłem sobie, że tych, którzy mnie uczyli, nie ma już przy życiu.

Świeczki paliły się długo, malejąc coraz bardziej i powoli zamieniając się w świetliki, potem w isierki, a w końcu w widmowe światełka, które zostają nam pod powiekami, gdy za długo wpatrujemy się w płomień. Pełny księżyc miał pomarańczową barwę lata. Z niechęcią myślałem o powrocie do dusznego pokoju w zajeździe; przez całą noc przewracałbym się tylko z boku na bok, słuchając skarg Ukrytych konających na murach zamku.

Nad brzegiem rzeki rozpalono ogniska, po czym zgromadzeni ruszyli w ów niesamowity taniec, który z jednej strony wita zmarłych i pozwala im odejść, z drugiej zaś stanowi pociechę dla żyjących. Dudniły bębny, grała muzyka. Nieco podniesiony na duchu wstałem, by przyjrzeć się tańczącym. Wtedy ujrzałem Kaede.

Stała wśród wierzb w towarzystwie pani Maruyama, Sachie i Mizuki. Widząc, że Shigeru się zbliża, pani Maruyama wyszła mu na spotkanie, lecz zamieniła z nim kilka obojętnych, oficjalnych słów, wyrazów współczucia z okazji śmierci bliskich oraz nic nieznaczących uwag o podróży. Następnie - rzecz całkowicie naturalna w tych okolicznościach - oboje stanęli obok siebie, aby popatrzeć na tańce, ja jednak odniosłem wrażenie, że w ich głosach słyszę tęsknotę, że dostrzegam ją w ich pozach. Przejął mnie strach. Wiedziałem, że umieją udawać - mieli wieloletnią wprawę - lecz oto rozpoczynali desperacką grę końcową i obawiałem się, że porzucą wszelką ostrożność, zanim zdążą wykonać ostatni ruch.

Kaede została na brzegu sama, jedynie w towarzystwie Shizuki. Sam nie wiem, kiedy znalazłem się u jej boku - zda się, duchy uniosły mnie i postawiły tam, gdzie chciałem się znaleźć. Wykrztusiłem powitanie, grzeczne, aczkolwiek nieśmiałe, myśląc jednocześnie, że gdyby Abe teraz mnie zobaczył, zapewne uznałby, że zadurzyłem się jak ciele w narzeczonej Shigeru. Bąknąłem coś na temat upału, ale Kaede zadrżała, jakby przejęta chłodem, po czym zapytała cicho:

- Kogo oplakujesz, panie Takeo?

- Matkę, ojca... - urwałem, po czym dodałem: - Tylu ludzi umarło...

- Moja matka umiera - powiedziała Kaede. - Miałam nadzieję, że jeszcze ją zobaczę, ale podróż bardzo się przeciąga i obawiam się, że przybędę za późno. Wzięto mnie jako zakładniczkę w wieku siedmiu lat. Nie widziałam matki ani sióstr przez ponad pół życia.

- A ojciec?

- Jest mi obcy.

- Będzie na twoim... - zaschło mi w gardle. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłem, że nie mogę wykrztusić tego słowa.

- Na moim ślubie? - dokończyła cierpko. - Nie, nie przyjedzie.

Jej spojrzenie, do tej pory skupione na rozświetlonej rzece, przeniosło się ponad moje ramię na tancerzy i obserwujący ich tłum.

- Oni się kochają - mruknęła, jakby do siebie. - Dlatego ona mnie nienawidzi.

Wiedziałem, że nie powinienem tu stać, nie powinienem w ogóle z nią rozmawiać, ale nie byłem w stanie odejść. Próbując nadal grać rolę łagodnego, nieśmiałego, dobrze wychowanego chłopca, powiedziałem:

- Małżeństwa zawierane są z obowiązku lub w celach politycznych. To nie oznacza, że muszą być nieszczęśliwe. Pan Otori jest dobrym człowiekiem.

- Mam dosyć słuchania, że jest dobry! Wiem o tym! Mówię tylko, że nigdy mnie nie pokocha.

Poczułem jej wzrok na swojej twarzy.

- I wiem również - ciągnęła - że ludzie z naszej klasy nie mają prawa do miłości.

Teraz ja zadrżałem. Uniosłem głowę i spojrzałem jej w oczy.

- Więc dlaczego ją czuję? - szepnęła.

Nie śmiałem się odezwać. Słowa, które chciałem wypowiedzieć, urosły mi w ustach do ogromnych rozmiarów, smakowałem ich słodycz i moc. Znow ogarnęło mnie uczucie, że umrę, jeśli jej nie posiadę.

Dudniły bębny. Ogniska płonęły coraz żywiej. Z ciemności dobiegł głos Shizuki:

- Robi się późno, pani Shirakawa.

- Już idę - odparła Kaede. - Dobranoc, panie Takeo.

Pozwoliłem sobie tylko na jedno - na wymówienie jej imienia, tak jak ona wymówiła moje.

- Dobranoc, pani Kaede.

Zanim odeszła, przez chwilę ujrzałem, jak jej twarz się rozpromienia, staje się jaśniejsza niż płomień, jaśniejsza niż księżyc na wodzie.



Rozdział ósmy

Powoli ruszyliśmy do miasta za paniami, które oddaliły się w końcu, by wrócić na swoje kwatery. W drodze dogonili nas żołnierze Tohan, którzy towarzyszyli nam aż pod bramę zajazdu. Tu stanęli na warcie, a jeden z naszych ludzi podjął służbę w środku, na korytarzu.

- Jutro pojedziemy do Terayamy - oznajmił Shigeru, gdy szykowaliśmy się do snu. - Muszę odwiedzić grób Takeshiego i złożyć wyrazy uszanowania opatowi, który był przyjacielem mego ojca. Mam dla niego podarunki z Hagi.

Wieźliśmy wiele podarunków. Konie były nimi objuczone, oprócz tego niosły też bagaż, stroje weselne oraz żywność na drogę. Nie poświęciłem dużo uwagi drewnianej skrzynce, którą mieliśmy zabrać do Terayamy, ani jej zawartości. Dręczyły mnie inne tęsknoty i inne pragnienia.

Tak jak się obawiałem, w pokoju było duszno. Nie mogłem zasnąć. O północy usłyszałem dźwięk świątynnych dzwonów, lecz po godzinie policyjnej wszystkie odgłosy zamilkły, z wyjątkiem żałosnego zawodzenia umierających na murach zamku.

W końcu wstałem. Właściwie nie miałem planu, po prostu bezsenność zmuszała mnie do działania. Kenji i Shigeru mocno spali, ponadto wyczułem, że strażnik przy drzwiach również zapadł w drzemkę. Wziąłem wodoszczelne pudełko, w którym Kenji trzymał kapsułki z trucizną, i ukryłem je pod spodnią odzieżą. Na wierzch naciągnąłem ciemny podróżny strój, po czym wydobyłem ze skrytki w kufrze krótki miecz, cienkie garoty, kilka haków i zwój sznura. Każda z tych czynności trwała bardzo długo, gdyż musiałem je wykonywać w absolutnej ciszy; jednakże dla Plemienia czas płynie inaczej i możemy go przyspieszać lub spowalniać wedle woli. Nie śpieszyłem się - byłem pewien, że moi współtowarzysze się nie obudzą.

Kiedy mijałem strażnika, ocknął się, poszedłem więc do ustępu, po czym odesłałem swoje drugie ja, aby przeszło obok niego w drodze do pokoju. Zaczekałem w ciemnościach, aż ponownie zaśnie, a następnie wymknąłem się na wewnętrzny dziedziniec i przeskoczyłem przez mur.

Znalazłem się na ulicy. Od bramy zajazdu dobiegały postękiwania strażników Tohan, wiedziałem też, że ulice są pełne patroli. W głębi duszy czułem, że to, co robię, graniczy z szaleństwem, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Po części, chciałem sprawdzić umiejętności, których nauczył mnie Kenji, przed wyruszeniem do Inuyamy, lecz przede wszystkim pragnąłem uciszyć jęki więźniów, aby móc wreszcie zasnąć.

Posuwałem się zygzakiem, zmierzając wąskimi uliczkami w stronę zamku. Tu

i ówdzie za zamkniętymi okiennicami paliło się jeszcze światło, ale większość domów pogrążona była w ciemnościach. Docierały do mnie urywki rozmów - głos mężczyzny, pocieszającego płaczącą kobietę, dziecko mającące w gorączce, kołysanka, pijacka sprzeczka. W końcu wyszedłem na główną drogę, prowadzącą wprost do zwodzonego mostu i fosy. Płynął tu kanał pełen karpi, wyhodowanych na wypadek oblężenia, które spały teraz, połyskując srebrną łuską w świetle księżyca. Czasami tylko któryś z nich się budził, z nagłą pluskającą płetwą. Byłem ciekaw, czy śnią.

Przeskakiwałem z bramy do bramy, czujnie nasłuchując stuku kroków i brzęku stali. Jednak, prawdę mówiąc, niezbyt przejmowałem się strażnikami - wiedziałem, że usłyszę ich dużo wcześniej niż oni mnie, ponadto posiadałem zdolność stawania się niewidzialnym i rozdzielania się na dwoje - a kiedy dotarłem do końca ulicy i w księżycowym blasku ujrzałem powierzchnię fosy, w ogóle przestałem myśleć. Ogarnęło mnie głębokie zadowolenie, że jestem Kikuta, że robię to, do czego się urodziłem. Tylko członkowie Plemienia znają to uczucie.

Po miejskiej stronie fosy rośla kępa wierzb, nurzających w wodzie ciężkie, letnie listowie. Z punktu widzenia obronności powinny były zostać wycięte, możliwe jednak, że jakiś mieszkaniec rezydencji, matka władcy lub jego żona, zbyt ukochał ich piękno. W księżycowej poświacie ich gałęzie wyglądały jak zamrożone, nie poruszało ich najmniejsze tchnienie wiatru. Przekradłem się między drzewa, przykucnąłem, po czym znieruchomiałem, wpatrzony w zamek.

Był większy od warowni w Tsuwano czy w Hagi, lecz skonstruowano go na identycznym planie. Na tle białych ścian wieży za drugą południową bramą dostrzegłem nikielne zarysy wiklinowych klatek. Aby do nich dotrzeć, musiałem przepłynąć fosę, wspiąć się na kamienny mur, pokonać pierwszą bramę i południową basztę, następnie sforsować drugą bramę, wejść na ścianę wieży i dostać się do koszy od góry.

Odgłos kroków sprawił, że niemal wtopiłem się w ziemię - do mostu zbliżał się oddział strażników. Na jego spotkanie z zamku wyszedł inny patrol. Żołnierze zamienili kilka słów:

- Jakież kłopoty?
- Tylko kilku spóźnialskich, jak zwykle.
- Straszny smród!
- Jutro będzie jeszcze gorzej. Upał jest coraz większy.

Jeden oddział oddalił się w stronę miasta, drugi przekroczył most i pomaszerował po stopniach w stronę wieży. Usłyszałem hasło, a potem odzew. Rozległ się zgrzyt rygli i skrzypnięcie otwieranej bramy, która następnie zatrzasnęła się z hukiem. Kroki powoli ucichły.

Z miejsca, gdzie siedziałem pod wierzbami, czułem stęchły zapach fosy, zmieszany z inną, odleglejszą wonią. Był to odór rozkładu, zapach ludzkiego ciała, powoli gnijącego za życia.

Nad samą wodą kwitły trawy i kilka późnych irysów. Skrzeczały ropuchy, grały świerszcze, ciepłe nocne powietrze pieściło moją twarz. Na ścieżkę księżyca

wypłynęły dwa niewiarygodnie białe łabędzie.

Nabrałem powietrza w płuca, wśliznąłem się do wody i płynąc z prądem, blisko dna, wynurzyłem się pod osłoną mostu. Ogromne głazy okalające fosę stanowiły dogodne chwyt; przede wszystkim starałem się, by nikt mnie nie dostrzegł na tle kamieni, gdyż potrafiłem zachować niewidzialność jedynie przez kilka minut. Czas, który przedtem biegł tak wolno, teraz przyspieszył. Szybko niby małpa wdrapałem się na ścianę fosy, a gdy znalazłem się przy pierwszej bramie, dobiegły mnie głosy strażników, wracających z obchodu. Przywarłem do rynny i korzystając z łoskotu ich kroków, zarzuciłem hak na potężny nawis zadaszzonego muru.

Podciągnąłem się na mur i pobiegłem do południowej baszty. Kosze z umierającymi w nich ludźmi znalazły się bezpośrednio nad moją głową. Jeden z więźniów bez przerwy błagał o wodę, drugi jęczał bez słów, trzeci bezustannie powtarzał imię tajemnego boga, aż jego monotonny głos zjeżył mi włos na karku. Czwarty milczał. Odór krwi, moczu i kału wprost mnie dławiał. Próbowałem zamknąć nań nozdrza, nie dopuszczać do uszu odgłosów. Spojrzałem na swoje dłonie w świetle księżyca.

Nad wartownią usłyszałem odgłosy krzątania strażników, parzenia herbaty, rozmowy. Kiedy czajnik zabrzęczał na żelaznym łańcuchu, znów zarzuciłem hak na parapet, z którego zwieszały się klatki.

Wisiały na sznurach około czterdziestu stóp nad ziemią i każda z nich mieściła klęczącego człowieka z przygiętą głową oraz związanymi na plecach rękami. Sznurowy, na których je przymocowano, wydały mi się dostatecznie mocne by utrzymać dodatkowy ciężar, lecz gdy stojąc na parapecie, dotknąłem jednego z nich, kosz zakołysał się i uwięziony w środku mężczyzna krzyknął głośno ze strachu. Noc, zda się, pękła na kawałki. Zamarłem. Nieszczęśnik szlochał przez kilka minut, po czym znów jął szeptać:

- Wody! Wody!

Nikt nie odpowiedział, tylko gdzieś daleko zaszczekał pies. Księżyc wisiął nisko, gotów lada chwila zapaść za góry. Podo mną leżało miasto, uśpione i ciche.

Księżyc wreszcie zaszedł. Sprawdziłem, czy hak trzyma, po czym wydobylem z zapałki kapsułkę z trucizną i ukryłem ją w ustach. Następnie umocowałem linę i zapierając się stopami o kamienie, zszedłem na dół.

Przy pierwszym koszu zdjąłem z głowy opaskę, nadal mokrą po kąpieli w rzece, i z trudem przepchnąwszy dłoń przez wiklinowe oka, zbliżyłem ją do twarzy mężczyzny. Usłyszałem, że ssie, mamrocąc coś niezrozumiale.

- Nie mogę cię uratować - szepnąłem - ale mam truciznę, która przyniesie ci szybką śmierć.

W odpowiedzi przycisnął twarz do prętów i otworzył usta.

Następny człowiek już mnie nie słyszał, lecz gdy bezwładnie oparł głowę o ściankę kosza, zdołałem dosięgnąć jego tętnicy szyjnej. Uciszyłem jego jęki, nie sprawiając mu bólu.

Aby dostać się do pozostałych klatek, musiałem znów wejść na parapet i

przesunąć hak. Bolały mnie ramiona, dojmująco uświadamiałem sobie twardość kamieni na dziedzińcu poniżej. Gdy dotarłem do trzeciego człowieka - tego, który się modlił - odkryłem, że jest przytomny i patrzy na mnie pociemniałymi z bólu oczami. Wyszeptałem modlitwę Ukrytych, po czym podałem mu trującą kapsułkę.

- To zakazane - szepnął.

- Niech wszelki grzech spadnie na mnie - odparłem. - Jesteś niewinny. Będzie ci wybaczone.

Gdy wpychałem mu kapsułkę do ust, poczułem, że jego język kreśli na mojej dłoni znak Ukrytych. Wymówił kilka słów modlitwy, a potem umilkł na zawsze.

Na szyi czwartego mężczyzny nie wyczułem tętna; uznałem, że nie żyje, lecz na wszelki wypadek zacisnąłem garotę na jego szyi i policzyłem w myślach minuty.

Rozległo się pierwsze pianie koguta. Wróciłem na parapet. Wtedy uderzyła mnie głęboka cisza nocy - jęki i krzyki umilkły. Byłem pewien, że milczenie, które teraz nastąpiło, jest tak donośne, że musi obudzić strażników. Wyraźnie słyszałem huk własnego serca, walącego mi w piersi niczym bęben.

Wróciłem tą samą drogą, poruszając się jeszcze szybciej niż przedtem, skacząc z murów bezpośrednio na ziemię. Rozległo się pianie kolejnego koguta, a później odpowiedź trzeciego. Miasto zaczynało się budzić. Byłem zgrzany, wręcz ociekałem potem; woda w fosie wydała mi się lodowata. Z trudem zaczerpnąłem tchu, żeby zanurkować, jednak mimo starań wynurzyłem się w sporej odległości od kępy wierzb. Spłoszone łabędzie patrzyły w zdumieniu, jak głęboko oddycham, po czym znów znikam pod wodą.

Wyczołgałem się na brzeg kompletnie wyczerpany. Pomyślałem, że odpocznę chwilę pod drzewami i uspokoję oddech. Niebo jaśniało. Czułem, że ze zmęczenia tracę zdolność koncentracji oraz ostrość widzenia. Sam nie mogłem uwierzyć w swój czyn.

Wtem ku swemu przerażeniu pojąłem, że pod drzewami ktoś jest - nie żołnierz, lecz jakiś wyrzutek, sądząc po zapachu garbarni, który roztaczał wokół siebie. Nie miałem dość siły, aby stać się niewidzialnym. Nieznajomy zobaczył mnie, a jego wstrząśnięte spojrzenie powiedziało mi, że wie, co zrobiłem.

Znów będę musiał zabić - pomyślałem ze wstrętem; wiedziałem, że tym razem nie byłoby to wyzwolenie, ale morderstwo. Nadal czułem zapach krwi i śmierci na rękach. Postanowiłem, że pozwolę temu człowiekowi żyć. Zostawiłem pod drzewami swoje drugie ja, sam zaś w okamgnieniu znalazłem się na drugiej stronie ulicy.

Po chwili dosłyszałem, jak mężczyzna nieśmiało przemawia do mojego sobowtóra:

- Panie, wybacz mi. Trzy dni musiałem słuchać, jak mój brat cierpi. Dziękuję. Niech Tajemny będzie z tobą i ześle ci pomyślność.

Lecz wówczas moje drugie ja zbladło i zniknęło, a nieznajomy ze zdumieniem wykrzyknął:

- Anioł!

Przemykając się od bramy do bramy, wciąż słyszałem jego chrapliwy oddech,

niemal łkanie. Miałem nadzieję, że nie przyłapie go patrol i że biedak nikomu nie opowie, co widział; ufałem, że jest jednym z Ukrytych, którzy zabierają swe sekrety do grobu.

Dotarwszy do zajazdu, przeskoczyłem niski mur, wypłułem w ustępie resztę kapsulek, po czym podszedłem do zbiornika i obmyłem twarz, jakbym właśnie wstał. Kiedy mijałem strażnika, wymamrotałem sennie:

- Już świta?

- Dopiero za godzinę - odparłem.

- Jesteś błądy, panie Takeo. Źle się czujesz?

- Mała kolka.

- Cholerne tohańskie żarcie - mruknął i obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

- Napijesz się herbaty? - zaproponował. - Obudzę służbę.

- Później. Spróbuję trochę się przespać. Odsunąłem drzwi i wśliznąłem się do pokoju. Mrok zaczął ustępować szarości. Po oddechu Kenjiego poznałem, że nie śpi.

- Gdzie byłeś? - szepnął.

- W ustępie. Nie czuję się najlepiej.

- Od północy? - zapytał z niedowierzaniem. Pośpiesznie ściągałem mokre ubranie, jednocześnie usiłując schować broń pod matą.

- Wcale nie. Skąd wiesz? Przecież spałeś.

Wyciągnął rękę i pomacał moją koszulę. - Jesteś przemoczony! Kapałeś się w rzece?

- Mówię ci, że niedobrze się czuję. Może nie udało mi się dotrzeć w porę do ustępu?

Kenji z całych sił trzepnął mnie w ramię. Usłyszałem, że Shigeru się budzi.

- Co się dzieje? - wyszeptał.

- Takeo wyszedł gdzieś na całą noc. Martwiłem się o niego.

- Nie mogłem spać - powiedziałem. - Po prostu wyszedłem na jakiś czas. Robiłem to już wcześniej, w Hagi i w Tsuwano.

- Wiem o tym - odparł Kenji. - Ale to były ziemie Otori. Tutaj jest znacznie bardziej niebezpiecznie.

- Przecież już wróciłem - mruknąłem, naciągając kołdrę na głowę, po czym natychmiast zapadłem w sen głęboki i pozbawiony marzeń jak śmierć.

Obudziło mnie krakanie wron. Spałem zaledwie trzy godziny, ale czułem się wypoczęty i spokojny. Nie myślałem o minionej nocy; prawdę mówiąc, prawie jej nie pamiętałem, jakbym działał w transie. Za oknem jaśniał jeden z owych rzadkich dni późnego lata, kiedy niebo jest błękitne, powietrze zaś ciepłe i miękkie, bez śladu lepkości. Służąca przyniosła mi tacę z jedzeniem oraz piciem, skłoniła się nisko i nalewając herbatę, powiedziała:

- Pan Otori czeka na ciebie w stajni. Prosi, byś przyszedł jak najszybciej. A twój nauczyciel życzy sobie, byś zabrał przybory rysunkowe.

Skinąłem głową z pełnymi ustami.

- Wysuszę twoje ubranie - zaproponowała.

- Zabierzesz je później - odparłem, nie chcąc, by odkryła broń.

Kiedy wyszła, wskoczyłem z łóżka, narzuciłem ubranie, po czym szybko ukryłem haki i garoty w podwójnym dnie podróżnego kufra, gdzie Kenji pierwotnie je zapakował. Zawinałem w płachtę podróżną futerał z pędzlami oraz lakowe pudełko z tuszem w kamieniu, wsadziłem miecz za pas, i wprawiając się w stan ducha Takeo, pilnego artysty, udałem się do stajni.

Mijając kuchnię, usłyszałem szept pokojówki:

- Wszyscy umarli w nocy. Ludzie mówią, że przyszedł Anioł Śmierci...

Szedłem ze spuszczoną głową, zmieniając krok, aby wydawał się trochę niezdarny. Panie siedziały już w siodłach, a Shigeru rozmawiał z Abe, który najwyraźniej miał nam towarzyszyć. Obok niego stał młody Tohańczyk, trzymający za uzdę dwa konie. Inny stajenny prowadził wierzchowca Shigeru, Kyu, oraz mojego Raku.

- No, chodź, chodź! - wykrzyknął Abe na mój widok. - Mamy czekać cały dzień, aż ty skończysz się wylegiwać?

- Przeprós pana Abe - westchnął Shigeru.

- Bardzo przepraszam, nie ma dla mnie usprawiedliwienia - wybełkotałem, kłaniając się nisko Abe oraz paniom, usiłując przy tym nie patrzeć na Kaede. - Uczyłem się do późna.

Następnie zwróciłem się do Kenjiego i powiedziałem uniżenie:

- Panie, przyniosłem materiały rysunkowe.

- Doskonale. W Terayamie zobaczysz świetne dzieła sztuki. Może nawet skopiujesz niektóre z nich, jeżeli starczy nam czasu.

Shigeru i Abe dosiedli wierzchowców, a stajenny podprowadził mi Raku. Koń trącił mnie nosem w ramię, ciesząc się z mej obecności. Celowo się zachwiałem, a nawet lekko potknąłem. Obszedłem Raku w koło, a następnie udałem, że mam trudności z wsiadaniem.

- Miejmy nadzieję, że lepszy z niego rysownik niż jeździec - rzekł drwiąco Abe.

- Niestety, jego zdolności nie wykraczają ponad przeciętność - odpowiedział mu Kenji, rozzłoszczony nie na żarty.

Nie zareagowałem na zaczepki; zadowolilem się widokiem tłustego karku jadącego przede mną Abe, wyobrażając sobie, jak to będzie, gdy zaciągnę na nim garotę lub wbiję nóż w jego masywne ciało.

Owe ponure myśli zajmowały mnie do chwili, gdy przekroczyliśmy most i wyjechaliśmy z miasta. Wówczas nareszcie odczułem magiczne piękno dnia. Ziemia już zaczęła się goić po najgorszych zniszczeniach burzy. Wszędzie kwitły jasnoniebieskie kwiaty powoju, nawet tam, gdzie zerwane pnącza leżały w błocie. Nad rzeką śmigwały zimorodki, w rozlewiskach brodziły białe i siwe czaple. Przed nami unosiły się tuziny rozmaitych ważek, a spod końskich kopyt wzbijały się żółte i ciemnopomarańczowe motyle.

Jechaliśmy wśród pól ryżowych płaską doliną rzeki. Jaskrawozielone uprawy, wygniecione przez deszcz, już się prostowały. Dokoła wrzała praca; pomimo poniesionych strat nawet chłopcy wydawali się pogodni. Przypominali ludzi z mojej

wioski - w obliczu nieszczęść zachowywali podobną niezłomność ducha, niewzruszoną wiarę, że bez względu na to, co ich spotyka, życie jest zasadniczo dobre, a świat życzliwy. Zastanawiałem się, ile jeszcze lat muszą trwać rządy Tohan, by wykorzenić to przekonanie z ich serc.

Pola ryżowe ustąpiły terasom i ogrodom warzywnym, a potem, gdy ścieżka zaczęła się pięć pod górę, bambusowym gajom, które okryły nas srebrnozielonym półmrokiem. Jeszcze wyżej rosły sosny i cedry. Ziemia, usłana grubą warstwą igieł, tłumiała stąpanie koni.

Wokół rozpościerał się nieprzebyty las. Czasem mijaliśmy na ścieżce pielgrzymów, którzy podjęli żmudną wędrówkę na świętą górę. Jazda gęsiego uniemożliwiała rozmowę; wiedziałem, że Kenjiego aż świerzbi, aby wypytać I mnie o minioną noc, ja jednak nie chciałem o niej mówić ani nawet myśleć. Po niespełna trzech godzinach dotarliśmy do niewielkiej grupy budynków, skupionych przy zewnętrznej bramie świątyni. Służący zabrali konie, aby je napoić i nakarmić, a nas zaproszono na południowy posiłek, proste warzywne dania, przyrządzone przez mnichów. - Jestem trochę zmęczona - rzekła pani Maruyama, gdy skończyliśmy jeść. - Panie Abe, czy zechcesz dotrzymać towarzystwa mnie i pani Shirakawa podczas odpoczynku?

Nie mógł odmówić, choć widziałem, że niechętnie spuszcza Shigeru z oka.

Mój pan wręczył mi drewnianą skrzynkę, abym zaniósł ją na świątynne wzgórze, wziąłem także zawiniątko z pędzlami i tuszem. Młody Tohańczyk podążył za nami z ponurą miną; najwyraźniej cała wyprawa budziła jego nieufność, choć musiała wydawać się całkiem nieszkodliwa nawet dla podejrzliwych oczu. Będąc tak blisko Terayamy, Shigeru nie mógł przecież zrezygnować z odwiedzenia grobu brata, zwłaszcza w Święto Umarłych i rocznicę jego śmierci.

Długimi, stromymi schodami dotarliśmy do świątyni, zbudowanej na szczycie góry obok starożytnej kapliczki. Drzewa w świętym gaju miały po czterysta lub pięćset lat; ich potężne pnie rozgałęziały się, tworząc liściaste sklepienie, a skręcone korzenie wczepiały się w mech poszycia niczym leśne duchy. Z oddali dobiegał śpiew mnichów, bicie dzwonów oraz niski ton wielkiego gongu, w tle zaś słyszałem głos lasu, wołanie ptaków min-min, plusk wodospadu i szum wiatru w koronach cedrów. Zachwyt pięknem dnia ustąpił innemu, głębszemu uczuciu uroczystego oczekiwania, jakbym miał dostąpić jakiejś wielkiej, cudownej tajemnicy.

Wreszcie dotarliśmy do drugiej bramy, za którą znajdowała się następna grupa budynków, gdzie mieszkali pielgrzymi oraz inni goście. Tu poczęstowano nas herbatą i poproszono, byśmy zaczekali. Po chwili zjawili się dwaj mnisi - jeden stary, niski i drobny, o jasnych oczach i pogodnej twarzy, drugi znacznie młodszy, muskularny, z surową miną.

- Jesteś tu nader mile widziany, panie Otori - rzekł starszy kapłan.

Młody Tohańczyk sposepniał jeszcze bardziej.

- Z wielkim żalem pochowaliśmy pana Takeshi - ciągnął mnich. - Rzecz jasna, przybyłeś odwiedzić jego grób.

- Zostaniesz z Muto Kenjim - polecił Shigeru naszemu strażnikowi, po czym

we dwóch ruszyliśmy za starym kapłanem na cmentarz.

Ktoś palił drewno i w cieniu wielkich drzew między szeregami nagrobków snuły się pasma dymu, rozdzielające światło słońca na pojedyncze smugi błękitu. Uklękliśmy w milczeniu. Po chwili młodszy mnich przyniósł Shigeru kadzidła oraz świece, które ten zapalił u stóp nagrobnej płyty. Owionął nas słodki zapach; nie było wiatru i płomyki paliły się równo, ledwie widoczne w promieniach słońca. Potem Shigeru wyjął z rękawa dwa przedmioty - czarny kamień, jakich mnóstwo leżało na wybrzeżu Hagi, oraz dziecięcą zabawkę, słomianego konika - i umieścił je na mogile.

Wspominałem łzy, które uronił pierwszej nocy po naszym spotkaniu. Teraz zrozumiałem jego smutek. Jednak żaden z nas nie płakał.

W końcu kapłan dotknął ramienia Shigeru, gestem zapraszając nas do głównej świątyni. Samotny budynek, zbudowany z cyprysowych oraz cedrowych belek, z wiekiem wyblakłych do srebrnoszarej barwy, sprawiał wrażenie niewielkiego, lecz jego doskonale proporcje dawały patrzącemu wrażenie przestrzeni i wyciszenia, prowadząc spojrzenie w głąb, do miejsca, gdzie złocista figura Oświeconego unosiła się wśród płomieni świec niczym anioł w raju.

Zsunąwszy z nóg sandały, weszliśmy do sali. Młody mnich ponownie przyniósł kadzidło, które zapaliliśmy u złotych stóp posagu, po czym ukląkł i jął deklamować sutrę za zmarłych.

Panujący tu półmrok sprawił, że światło świec zrazu mnie oślepiło, ale z głębi świątyni, zza ołtarza, dobiegły mnie ludzkie oddechy, a gdy oswoilem się z ciemnością, dostrzegłem sylwetki mnichów skupionych na cichej medytacji. Zdałem sobie sprawę, że sala jest o wiele większa, niż mi się początkowo zdawało, i że przebywa tu wielu mnichów, być może nawet stu.

Aczkolwiek wychowali mnie Ukryci, matka często zabierała mnie do świątyni Oświeconego w naszej okolicy, znałem więc trochę jego nauki. Teraz, jak wielokroć przedtem, pomyślałem, że wszyscy modlący się ludzie wyglądają i zachowują się tak samo. Moja dusza zadrżała, poruszona spokojem tego miejsca. Co tutaj robi ktoś taki jak ja, zabójca, noszący w sercu zemstę?

Po nabożeństwie wróciliśmy z mnichem do Kenjiego, który prowadził z Tohańczykiem raczej jednostronną rozmowę na temat religii i sztuki.

- Mamy dar dla jego dostojności opata - rzekł Shigeru, unosząc skrzynkę, zostawioną pod opieką Kenjiego.

W oku kapłana zabłysła iskierka.

- Zaprowadzę cię do niego.

- A młodzież pewnie chciałaby obejrzeć obrazy - dodał Kenji.

- Makoto wam pokaże. Proszę za mną, panie Otori.

Młody żołnierz Tohan, zaskoczony, odprowadził wzrokiem Shigeru, oddalającego się za starym kapłanem. Zrobił nawet ruch, jakby chciał za nim gonić, lecz Makoto w przedziwny sposób zagroził mu drogę, choć go nie dotknął i niczym mu nie zagroził.

- Nie tędy, młodzieńcze! - rzucił stanowczo, po czym wyprowadził nas z terenu świątyni i powiodł drewnianym chodnikiem do mniejszego budynku.

- Przez wiele lat mieszkał tutaj wielki malarz, Sesshu - wyjaśnił. - Zaprojektował ogród, malował pejzaże, zwierzęta i ptaki. Te parawany to jego dzieło.

- Oto, co znaczy być artystą - rzekł do mnie Kenji drżącym głosem nauczyciela.

- Tak, panie - odparłem.

Nie musiałem udawać pokory - prace, które ujrzałem, naprawdę mnie zachwyciły. Czarny koń i białe żurawie sprawiały wrażenie zastygłych w pędzie, schwytych przez niedościgły kunszt artysty. Miałem uczucie, że lada chwila zakłęcie pryśnie, koń tupnie i stanie dęba, żurawie spłoszą się i odlecą w niebo. Malarz osiągnął to, czego wszyscy pragniemy - pochwyił czas i zatrzymał go w miejscu.

Parawan przy drzwiach był pusty. Podszedłem doń bliżej, sądząc, że kolory wyblakły.

- Przedstawiał ptaki - odezwał się Makoto - lecz legenda głosi, że przypominały żywe do tego stopnia, iż odleciały.

- Widzisz, ile musisz się nauczyć - pouczył mnie Kenji.

Uznałem, że trochę przesadza, jednak Tohańczyk obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem, pobieżnie zerknął na obrazy, po czym wyszedł do ogrodu i wyciągnął się pod drzewem.

Wyjąłem tusz w kamieniu, a Makoto przyniósł mi odrobinę wody. Przygotowałem pędzle oraz zwój papieru; chciałem sprawdzić, czy podążając za ręką mistrza, potrafię przenieść jego wizję przez otchłań lat na koniuszek swego pędzla.

Na dworze gęstniał migotliwy popołudniowy upał Chrypliwe granie cykad wydawało się jeszcze wzmacniać uczucie gorąca, drzewa rzucały wielkie plamy atramentowego cienia. W sali panował półmrok i było trochę chłodniej. Czas zwolnił. Słyszałem oddech Tohańczyka, zapadającego w drzemkę.

- Ogrody również są dziełem Sesshu - rzekł Makoto do Kenjiego, sadowiąc się przy nim na macie, plecami do mnie i obrazów. Przed nim rozpościerał się widok na skały i drzewa, z lasu dobiegał szum odległego wodospadu oraz gruchanie dwóch dzikich gołębi. Od czasu do czasu Kenji wygłaszał jakąś uwagę lub pytał o ogród, Makoto zaś mu odpowiadał, jednakże rozmowa nie kleiła się, aż w końcu i oni zasnęli.

Pozostawiony sam na sam z pędzlem, papierem oraz niezrównanymi obrazami Sesshu poczułem podobny przypływ skupienia i ostrości widzenia, jakiego doznałem poprzedniej nocy, kiedy wprawiłem się w trans. Na myśl, że kunszty Plemienia są tak podobne do kunsztów artysty, ogarnął mnie smutek; nagle zapragnąłem pozostać tutaj przez dziesięć lat i niczym wielki Sesshu co dzień oddawać się rysowaniu oraz malowaniu, aż moje dzieła ożyją i odlecą.

Skopiowałem - niezadowolająco - wizerunek konia i żurawi, po czym namalowałem małego ptaszka z moich gór w chwili, gdy spłoszony zrywa się do lotu, błyskając białą skrzydeł.

Praca pochłonięła mnie całkowicie. W oddali słyszałem głos Shigeru, gawędzącego ze starym kapłanem, ale właściwie go nie słuchałem; przypuszczałem, że szuka u niego porady w jakiejś prywatnej sprawie. Lecząc po chwili wpadły mi w ucho pewne słowa i z wolna uświadomiłem sobie, że rozmowa dotyczy czegoś całkiem innego - nowych uciążliwych podatków, ograniczeń wolności, dążenia lidy, by zniszczyć wszystkie świątynie, oraz nastrojów kilku tysięcy mnichów szkolonych w sztukach walki w odosobnionych klasztorach, którzy pałają żądzą obalenia Tohan i przywrócenia rządów Otori.

Uśmiechnąłem się smutno do siebie - moja koncepcja świątyni jako miejsca pokoju, azylu z dala od wojny, okazała się nieporozumieniem. Kapłani i mnisi byli równie rozgniewani jak my i tak samo łaknęli zemsty.

Kolejna kopia wizerunku konia wreszcie mnie zadowoliła. Wydawało mi się, że w pewnym stopniu zdołałem uchwycić ognistą siłę zwierzęcia; odniosłem wręcz wrażenie, że mimo upływu czasu duch Sesshu naprawdę mnie dotknął, być może przypominając mi, że talent uwalnia się, gdy złudzenia pryskają w obliczu prawdy.

Wtem z dołu doleciał inny dźwięk, od którego załomotało mi serce - głos Kaede. Kobiety i Abe zbliżali się po schodach do drugiej bramy.

- Nadchodzą pozostali - zawołałem cicho do Kenjiego. Makoto poderwał się na równe nogi i szybko podreptał w stronę świątyni. Kiedy do sali wszedł stary kapłan, a za nim Shigeru, właśnie kończyłem kreślić obraz konia.

- Ach, Sesshu do ciebie przemówił! - pochwalił staruszek z uśmiechem.

Wręczyłem obraz Shigeru; panie oraz Abe zastali go w chwili, gdy uważnie mu się przyglądał. Również młody Tohańczyk wreszcie się ocknął, bardzo się starając, by nie wydało się, że zasnął. Zawiązała się ogólna rozmowa o malarstwie i ogrodach, podczas której pani Maruyama poświęcała Abe szczególnie wiele uwagi, zasięgając jego opinii i schlebając mu dopóty, dopóki nie zainteresował się tematem.

Kaede zerknęła na szkic ptaka.

- Czy mogłabym go zatrzymać?

- Proszę, pani Shirakawa. Jeśli sprawi ci przyjemność - odparłem. - Obawiam się, że jest bardzo marny.

- Spraw mi przyjemność - powiedziała cicho. - Dzięki niemu będę myśleć o wolności.

W gorącym powietrzu tusz szybko wysechł. Zwinąłem papier i wręczyłem go Kaede, lekko muskając palcami jej dłoń. Po raz pierwszy jej dotknąłem. Żadne z nas nie powiedziało nic więcej. Upał wydawał się coraz silniejszy, granie świerszczy bardziej natarczywe. Zalała mnie fala znużenia, z emocji i niewyspania zakręciło mi się w głowie. Niepewnymi, drżącymi dłońmi z trudem spakowałem przybory malarskie.

- Przejdźmy się po ogrodzie - zaproponował Shigeru i powiódł panie na zewnątrz. Poczułem na sobie wzrok starego mnicha.

- Wróć do nas - rzekł - kiedy to wszystko się skończy. Zawsze znajdzie się tutaj miejsce dla ciebie.

Pomyślałem o zamęcie, o zmianach, jakich świadkiem był klasztor, o walkach,

które szalały wokół niego. Wydawał się taki spokojny - drzewa stały tu niezmiennie od setek lat,

Oświecony zasiadał wśród świateł z błogim uśmiechem na ustach. A jednak nawet w owym miejscu pokoju ludzie planowali wojnę. Dopóki Iida pozostawał przy życiu, nie mogłem poświęcić się malowaniu i projektowaniu ogrodów.

- Czy kiedykolwiek się skończy?

- Co ma początek, ma również i koniec - odparł kapłan. Skłoniłem się przed nim do ziemi, on zaś złożył dłonie w geście błogosławieństwa.

Makoto wyszedł ze mną do ogrodu i przyjrzał mi się pytająco.

- Jak wiele słyszysz? - zagadnął cicho.

Rozejrzałem się. Tohańczycy stali z Shigeru u szczytu schodów.

- Usłyszałybyś, co mówią? - zapytałem. Zmierzył wzrokiem odległość.

- Tylko gdyby krzyczeli - odparł.

- Ja słyszę każde słowo. Słyszę rozmowy w sali jadalnej na dole. Mógłbym ci powiedzieć, ilu ludzi się tam zebrało.

Wówczas uderzyło mnie, że sądząc po dźwiękach, jest ich bardzo wielu.

Makoto zaśmiał się krótko, zdumiony i pełen uznania.

- Jak pies?

- Tak, całkiem jak pies - odpowiedziałem.

- Twoi panowie mają z ciebie pożytek.

Jego słowa utkwily mi w pamięci. Owszem, byłem użyteczny dla swoich panów - dla pana Shigeru, dla Kenjiego, dla Plemienia. Miałem wrodzone, mroczne talenty, o które nie prosiłem, których doskonaleniu i sprawdzaniu nie potrafiłem jednak się oprzeć. Dzięki nim znalazłem się w obecnym położeniu - bez nich z pewnością już bym nie żył - niemniej pojmowałem, że co dzień wciągają mnie coraz głębiej w świat kłamstw, tajemnic oraz odwetu. Zastanawiałem się, co z tego wszystkiego zrozumiałby Makoto, i ogarnął mnie żal, że nie mogę podzielić się z nim myślami. Czułem do niego instynktowną sympatię, więcej - zaufanie. Ale cienie robiły się coraz dłuższe. Zbliżała się godzina Koguta; jeśli chcieliśmy dotrzeć do Yamagaty przed zapadnięciem zmroku, musieliśmy zaraz wyruszać. Nie było już czasu na rozmowy.

Kiedy zeszliśmy ze schodów, okazało się, że przed domami gościnnymi istotnie zebrał się spory tłum.

- Czy przybyli tu na Święto? - zapytałem, zwracając się do Makoto.

- Częściowo - odparł, lecz zaraz dodał, dla bezpieczeństwa biorąc mnie na stronę: - Są tu przede wszystkim dlatego, że dowiedzieli się, iż przyjechał pan Otori. Nie zapomnieli dotąd czasów sprzed Yaegahary. My zresztą też nie.

- Żegnaj - powiedział, gdy dosiadałem Raku. - Jeszcze się spotkamy.

Wszędzie, na górskiej ścieżce i na drodze, stały grupki osób, pragnących na własne oczy obejrzeć Shigeru. Było coś niesamowitego w widoku tych ludzi, którzy w milczeniu padali na twarz, kiedy przejeżdżaliśmy, po czym wstawali, patrząc za nami z zaciętymi minami i ogniem w oczach.

Tohańczycy bardzo się złościли, lecz niewiele mogli na to poradzić. Choć

znacznie mnie wyprzedzali, słyszałem ich rozmowę tak wyraźnie, jakby szeptali mi wprost do ucha.

- Co Shigeru robił w świątyni? - zapytał Abe.

- Modlił się, rozmawiał z kapłanem. Pokazali nam prace Sesshu, chłopak trochę malował.

- Nie obchodzi mnie, co robił chłopak! Shigeru został sam na sam z mnichem?

- Tylko na kilka chwil - odparł młodszy mężczyzna. Koń Abe szarpnął się, zapewne gniewnie ściągnięty wędzidłem.

- On niczego nie knuje - ciągnął młodzieniec beztrąsko. - Jest taki, jakim się wydaje; po prostu jedzie wziąć ślub. Nie rozumiem, czym się tak niepokoisz. Wszyscy trzej są całkowicie niegroźni. Głupi, może tchórzliwi, ale nieszkodliwi.

- Sam jesteś głupi, skoro tak myślisz - warknął Abe. - Shigeru jest o wiele bardziej niebezpieczny, niż na pozór wygląda. Po pierwsze, w żadnym wypadku nie można go nazwać tchórzem. Po drugie, odznacza się wielką cierpliwością. A w dodatku nikt inny w Trzech Krainach nie wywiera na ludzi takiego wpływu!

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym Abe mruknął:

- Jedna oznaka zdrady, a będzie po nim.

Słowa te przyłożyły się ku mnie przez nieskazitelną szafir letniego wieczoru.

Kiedy dotarliśmy do rzeki, zapadł już fioletowy zmierzch, rozjaśniony ognikami świetlików w sitowiu. Na brzegu strzelały w górę płomienie ognisk, rozpalonych dla uczczenia drugiej nocy Święta. W porównaniu z wczorajszym nastrojem, żałobnym i powściągliwym, dzisiaj w atmosferze dawała się odczuć pewna dzikość, wyczuwalna nuta niepokoju i przemocy. Ulicami przewalał się tłum, który wyraźnie gęstniał nad fosą, gdzie zgromadzeni uporczywie wpatrywali się w pierwszą bramę zamku.

Mijając ich, dostrześliśmy cztery głowy, zatknięte powyżej bramy. Najwyraźniej kosze usunięto już z murów.

- Szybko umarli - zwrócił się do mnie Shigeru. - Mieli szczęście.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na panią Maruyama, która pośpiesznie zerknęła na obcięte głowy, po czym odwróciła twarz, blada, lecz opanowana. Zastanawiałem się, co myśli i czy się modli.

Tłum pomrukiwał i falował niczym owe żalosne zwierzęta, które idą na rzeź, przerażone odorem krwi i śmierci.

- Nie zatrzymujcie się - powiedział Kenji. - Ja przejdę się tu i ówdzie posłuchać plotek. Spotkamy się w zajeździe, nigdzie nie wychodźcie.

Zawołał stajennego, zsunął się z konia, wręczył chłopakowi wodze i zniknął w tłumie.

Tuż przed zajazdem, na prostym odcinku ulicy, którą biegłem wczorajszej nocy, natknęliśmy się na konny oddział Tohańczyków, zbliżający się ku nam z obnażonymi mieczami.

- Panie Abe! - zawołał dowódca. - Mamy opróżnić ulice! W mieście wrze! Zabierz swoich gości do zajazdu i wystaw strażę przy bramie!

- Co się tu dzieje? - zapytał gniewnie Abe.

- Wszyscy przestępcy zostali w nocy zabici. Jakiś człowiek twierdzi, że z nieba zstąpił anioł, aby ich wyzwolić!

- Obecność pana Otori tylko zaostrza sytuację - rzekł Abe z rozdrażnieniem, poganiając nas ku bramie. - Jutro wyjeżdżamy.

- Święto jeszcze się nie skończyło - zaprotestował Shigeru. - Podróż trzeciego dnia przyniesie nam wyłącznie pecha.

- Trudno! Jeśli tu zostaniemy, może być jeszcze gorzej! Abe dobył miecza i jął ze świstem wymachiwać nim nad głowami tłumu.

- Rozejść się! - ryknął.

Przestraszony hałasem Raku skoczył do przodu, zrównując się z wierzchowcem Kaede. Konie zwróciły ku sobie głowy, czerpiąc odwagę z wzajemnej bliskości, i ruszyły ulicą bok w bok.

Patrząc przed siebie, Kaede powiedziała głosem tak cichym, że w rozgardiaszu nikt oprócz mnie jej nie słyszał:

- Chciałabym, żebyśmy mogli zostać sami. Jest tyle rzeczy, których pragnę się o tobie dowiedzieć. Nie wiem nawet, kim naprawdę jesteś. Dlaczego udajesz gorszego? Dlaczego skrywasz swoją zřęczność?

Z radością jechałbym obok niej w nieskończoność, ale ulica była krótka, a ponadto bałem się odpowiedzieć. Popędziłem konia, udając obojętność na jej słowa, lecz serce rozsadzało mi pierś. Nade wszystko tego właśnie pragnąłem - zostać z nią sam na sam, ujawnić swoje ukryte ja, zrezygnować z kłamstw i kręctw, leżeć z nią, skóra przy skórze.

Czy to życzenie mogło kiedykolwiek się spełnić?

Tylko gdyby umarł Iida.

Po powrocie poszedłem dopilnować obrządzania koni, witany z ulgą przez ludzi Otori, którzy zostali w zajeździe i niepokoiili się o nasze bezpieczeństwo.

- W mieście się gotuje - rzekł jeden z nich. - Wystarczy jeden fałszywy ruch, a dojdzie do zamieszek.

- Słyszeliście coś? - zapytałem.

- Chodzi o Ukrytych, których torturowały te sukinsyny. Ktoś dostał się do nich i skrócił ich męczarnie. Nie do wiary! I jeszcze jakiś człowiek mówi, że widział anioła!

- Ludzie wiedzą, że jest tu pan Otori - wtrącił drugi. - Nadal uważają się za jego poddanych. Chyba mają dosyć rządów Tohan.

- W stu ludzi moglibyśmy wziąć to miasto - dodał pierwszy.

- Nie wolno wam mówić takich rzeczy nawet między sobą, nawet przy mnie - ostrzegłem. - Nie mamy stu ludzi i jesteśmy na łasce Tohan. Naszym zadaniem jest umocnienie sojuszu; takie musimy robić wrażenie. Od tego zależy życie pana Shigeru.

Nie przestając sarkać, rozsiodłali konie i nakarmili je. Czułem, jak rozpala się w nich ogień, chęć odegrania się za dawne urazy, wyrównania starych rachunków.

- Jeśli któryś z was wyciągnie miecz przeciwko Tohan, zapłaci mi za to życiem! - oznajmiłem gniewnie.

Moja groźba nie zrobiła na nich wrażenia; znali mnie trochę lepiej niż Abe i jego ludzie, jednak wciąż uważali mnie za Takeo, mola książkowego, niedoszłego artystę, który nieźle włada mieczem, ale jest za miękki, za łagodny. Pomysł, że mogłbym zabić któregoś z nich, wywołał jedynie uśmiešky.

Obawiałem się ich popędliwości; bez wątpienia, gdyby wywiązała się walka, Tohan natychmiast wykorzystaliby szansę, aby oskarżyć Shigeru o zdradę. Nie mogłem pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło nam w dotarciu do Inuyamy bez wzbudzania podejrzeń.

W stajni wściekle rozboleła mnie głowa. Czułem się, jakbym nie spał od tygodni. Poszedłem do łaźni; dziewczyna, która rano podała mi herbatę oraz wysuszyła ubranie, teraz wyszorowała mi plecy i wymasowała skronie. Z pewnością zrobiłaby dla mnie znacznie więcej, gdybym nie był taki zmęczony i nie myślał nieustannie o Kaede. Zostawiła mnie zatem, abym wymoczył się w gorącej wodzie, lecz na odchodnym szepnęła:

- Dobra robota.

Drzemałem, jednak te słowa sprawiły, że się ocknąłem.

- Jaka robota? - zawołałem, ale już jej nie było.

Wyszedłem z wanny i nieswój udałem się do pokoju, nadal czując tępy ból w skroniach.

Wrócił Kenji. Słyszałem, jak przyciszonym głosem mówił coś do Shigeru, ale na mój widok gwałtownie urwał. Po ich minach domyśliłem się, że wiedzą o wszystkim.

- Jak? - zapytał Kenji.

Nadstawiłem ucha. W zajeździe było cicho; nasi Tohańczycy nadal patrolowali ulice.

- Dwóch za pomocą trucizny - szepnąłem - jednego garotą, jednego gołymi rękami.

Pokręcił głową.

- Aż trudno uwierzyć. Na zamku? Sam?

- Nie pamiętam zbyt dobrze - odparłem. - Myślałem że będziesz na mnie zły.

- Ależ jestem zły - rzekł z naciskiem. - Więcej, jestem wściekły. Co za głupota! Prawdę mówiąc, dzisiaj powinien odbyć się twój pogrzeb.

Przygotowałem się na to, że jak zwykle mnie uderzy, ale zamiast tego wziął mnie w objęcia.

- Chyba zaczynam cię lubić - powiedział. - Nie chciałbym cię utracić.

- Nie sądziłem, że coś takiego jest w ogóle możliwe - wtrącił Shigeru, wyraźnie nie umiejąc powstrzymać uśmiechu. - Być może jednak nasz plan się uda!

- Ulica mówi, że to sprawka Shintaro - zauważył Kenji - choć nikt nie wie, kto go wynajął i dlaczego.

- Przecież Shintaro nie żyje - zdziwiłem się.

- Niewielu ludzi o tym słyszało. Prawdę mówiąc, powszechna opinia głosi, że zabójca to anioł z nieba.

- Zauważył mnie jakiś człowiek, brat jednego z zabitych. Ukazałem mu swoje

drugie ja; kiedy nagle zniknęło, uznał, że widział anioła.

- O ile mi wiadomo, nie ma pojęcia, kim jesteś. Było ciemno, nie widział cię wyraźnie. Naprawdę sądzi, że jesteś aniołem.

- Ale po co tak ryzykowałeś, Takeo? - zapytał Shigeru.

- Po co takie ryzyko, właśnie teraz?

Znów wyteżyłem pamięć.

- Nie wiem, nie mogłem spać...

- Wszystkiemu winna ta jego miękkość - orzekł Kenji. - Działa pod wpływem współczucia, nawet kiedy zabija.

- Pracuje tutaj pewna dziewczyna - wtrąciłem. - Ona czegoś się domyśla. Dziś rano zabrała moje mokre ubranie, a teraz powiedziała...

- To jedna z naszych - przerwał mi Kenji, ja zaś, słysząc te słowa, zdałem sobie sprawę, że odgadłem to już wcześniej. - Oczywiście, Plemię domyśliło się natychmiast. Wiedzą, w jaki sposób zginął Shintaro, wiedzą, że przybyłeś tu z panem Shigeru. Nikt nie daje wiary, że udało ci się niepostrzeżenie zrobić coś takiego, lecz wszyscy są również świadomi, że nie mógł tego dokonać nikt inny.

- Ale jak to zachować w tajemnicy? - zaniepokoił się Shigeru.

- Nikt nie wyda Takeo ludziom Tohan, jeśli to masz na myśli, ci zaś niczego nie podejrzewają. Grasz swoją rolę coraz lepiej - rzekł, zwracając się do mnie. - Nawet ja dałem się nabrać, że jesteś jedynie pocziwym niezgula.

Shigeru uśmiechnął się.

- Rzecz jednak w tym, Shigeru - ciągnął Kenji nienaturalnie beztróskim tonem - że chociaż znam twoje plany i wiem, że Takeo obiecał ci pomoc w ich realizacji, nie sądzę, aby po wczorajszym zdarzeniu Plemię pozwoliło ci zatrzymać go przy sobie zbyt długo. Z pewnością niebawem zgłoszą się po niego.

- Potrzebujemy tylko tygodnia - szepnął Shigeru. Poczułem, jak ciemność wzbiera mi w żyłach niczym atrament. Podniosłem oczy i spojrzałem Shigeru prosto w twarz - coś, co nadal rzadko ośmielałem się robić. Uśmiechnęliśmy się do siebie; nigdy jeszcze nie byliśmy sobie tak bliscy jak teraz, po uzgodnieniu zabójstwa.

Z ulicy dobiegły pojedyncze wrzaski, wołania, tupot biegnących ludzi, trzask płomieni oraz nasilające się zawrodożenia i krzyki - to Tohan oczyszczali ulice, wcielając w życie godzinę policyjną. Po pewnym czasie hałasy ucichły. Powrócił spokój letniej nocy, miasto zalał delikatny blask wschodzącego księżyca. Usłyszałem stąpanie koni na dziedzińcu, a potem głos Abe. Rozległo się ciche pukanie do drzwi; pokojówki wniosły tace z jedzeniem, ja zaś rozpoznałem wśród nich dziewczynę, z którą rozmawiałem przedtem. Obsłużwszy nas, nie wyszła z innymi, lecz została, by szepnąć Kenjiemu:

- Pan Abe wrócił. Dziś wystawi przed pokojami dodatkowe strażę. Tohańczycy mają zastąpić ludzi pana Otori.

- Nasi nie będą zadowoleni - powiedziałem, wspominając rozmowę w stajni.

- To mi wygląda na prowokację - mruknął Shigeru. - Podejrzewają nas o coś?

- Pan Abe jest rozgniewany i zaniepokojony nastrojami w mieście. Powiada, że to dla twojej ochrony.

- Zechcesz poprosić pana Abe, aby był łaskaw tutaj przyjść?

Dziewczyna skłoniła się i wyszła. Posiłek spożyliśmy w milczeniu, dopiero pod koniec Shigeru zaczął mówić o Sesshu i jego obrazach. Wyciągnął mój rysunek, przedstawiający konia, i rozwijając go, rzekł:

- Całkiem przyjemny. Wierna kopia, ale jest w niej coś z ciebie. Mógłbyś zostać niezłym artystą...

Nie dokończył, lecz pomyślałem to samo: W innym świecie, w innym życiu, w kraju nierozdartym wojną.

- Tamtejszy ogród jest bardzo piękny - zauważył Kenji. - Chociaż mały, wydaje mi się bardziej wyrafinowany od większych projektów Sesshu.

- Zgadza się - powiedział Shigeru. - Oczywiście, położenie Terayamy jest niezrównane...

Usłyszałem ciężkie kroki zbliżającego się Abe. Kiedy odsuwał drzwi, właśnie pytałem pokornie Kenjiego:

- Panie, czy mógłbyś mi wytłumaczyć ułożenie kamieni?

- Panie Abe, wejdź, proszę - powitał gościa Shigeru. - Przynieś nam świeżą herbatę i wino - dodał, zwracając się do dziewczyny.

Abe skłonił się niedbale, po czym rozsiadł się na poduszkach.

- Nie zabawię długo - oznajmił. - Jeszcze nie jadłem, a o świcie musimy być w drodze.

- Rozmawialiśmy o Sesshu - wyjaśnił uprzejmie Shigeru, nalewając Abe trunku.

- To wielki artysta - przytaknął gość, mocno pociągając z kubka. - Żałuję, że w tych niespokojnych czasach malarza ceni się niżej od wojownika. - Tu obrzucił mnie wzgardliwym spojrzeniem, tym samym potwierdzając, że moje przebranie jest skuteczne. - Miasto się uspokaja, ale sytuacja wciąż jest poważna. Uważam, że moi ludzie zapewnią ci lepszą ochronę.

- Wojownik bywa niezbędny - odparł Shigeru. - Dlatego wolę mieć przy sobie własnych ludzi.

W ciszy, która teraz nastąpiła, wyraźnie dostrzegłem różnicę między nimi. Abe był jedynie wyniesionym do zaszczytów szlachetką, Shigeru - dziedzicem starożytnego rodu. Pomimo niechęci Abe musiał ustąpić. Wydał dolną wargę udając namysł, aż w końcu rzekł:

- Jeśli takie jest życzenie pana Otori...

- Owszem - uśmiechnął się lekko Shigeru i dolał mu wina.

Po wyjściu Abe mój pan powiedział:

- Takeo, dzisiaj w nocy miej oko na straże. Wytłumacz im dobitnie, że w razie jakichkolwiek kłopotów nie zawaham się przekazać ich panu Abe, aby wymierzył im karę. Obawiam się przedwczesnego buntu. Jesteśmy tak blisko celu...

Cel ten owładnął mną bez reszty. Nie zastanawiałem się nad ostrzeżeniem Kenjiego, że Plemię się po mnie zgłosi; skupiłem się wyłącznie na lidzie Sadamu, przyczajonym w twierdzy Inuyama. Miałem zamiar przedostać się doń po słowiczej podłodze, miałem zamiar go zabić, a wspomnienie Kaede tylko umacniało mnie w

tym postanowieniu. Nie trzeba było przebiegłości Ichiro, aby wydedukować, że gdyby Iida zmarł przed jej zamążpójściem, byłaby wolna i mogłaby poślubić mnie.



Rozdział dziewiąty

Obudzono nas wcześniej i przed świtem ruszyliśmy w drogę. Znikła przejrzystość wczorajszego dnia, pogoda zrobiła się parna i duszna. W nocy napłynęły chmury, zanosiło się na deszcz.

Ludziom zakazano gromadzić się na ulicy. Tohańczycy zaprowadzali swój ład za pomocą miecza; ścięli czyściciela ulic za to tylko, że ośmielił się zatrzymać, aby spojrzeć na nasz orszak, oraz zatłukli staruszkę, która nie zdążyła w porę usunąć się z drogi.

Wędrówka w trzeci dzień Święta Umarłych i tak zapowiadała się niepomyślnie; owe niepotrzebnie okrutne, krwawe czyny wróżyły nam jak najgorzej.

Panie podróżowały w lektykach, więc ujrzałem Kaede dopiero przy południowym posiłku. Nie udało mi się z nią porozmawiać, jednak wstrząsnął mną jej wygląd; była blada, niemal przezroczysta, i miała sine kręgi pod oczami. Serce mi się ścisnęło - im węższa się wydawała, tym bardziej beznadziejnie ją kochałem.

Zaniepokojony bladością narzeczonej Shigeru zapytał Shizukę o jej samopoczucie. Odparła, że ruch lektyki nie służy Kaede - nic poważnego - lecz błysk spojrzenia w moją stronę sprawił, że pojąłem, co chciała powiedzieć.

Jechaliśmy w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Eskorta robiła wrażenie napiętej i rozdrażnionej. Panował nieznośny upał. Jedynie Shigeru zachowywał się swobodnie, rozmawiając lekko, wręcz beztrosko, jakby rzeczywiście zmierzał na dawno wytęsknioną uroczystość ślubną. Widziałem, że Tohańczycy gardzą nim z tego powodu, ja jednak uznałem to za dowód największej odwagi, jaką zdarzyło mi się w życiu spotkać.

Im dalej wędrowaliśmy na wschód, tym mniejsze były zniszczenia po burzy. W miarę zbliżania się do stolicy drogi stawały się coraz lepsze i co dzień pokonywaliśmy coraz więcej mil. Piątego dnia po południu wkroczyliśmy do Inuyamy.

Po bitwie pod Yaegaharą Iida przeniósł stolicę do tego wschodniego miasta, wtedy też rozpoczął budowę potężnego zamku. Jego czarne mury i białe blanki wznosiły się teraz złowieszczo nad podgrodziem, dachy zaś wyglądały, jakby ktoś rzucił je w niebo na podobieństwo szmat. Jadąc w jego stronę, przyłapałem się na tym, że uważnie przyglądam się fortyfikacjom, oceniam wysokość bram i murów, wypatruję chwyków i stopni... tutaj zrobię się niewidzialny, tu przydadzą się haki...

Nie przypuszczałem jedynie, że miasto jest aż tak duże, że tylu żołnierzy stoi na straży zamku i koszaruje wokół niego.

Abe ściągnął wodze i znalazł się przy mnie. Stanowiłem ulubiony cel jego dowcipów oraz grubiańskiego humoru.

- Tak właśnie wygląda władza, chłopcze. Zdobywa się ją, będąc wojownikiem. Twoja robota pędzłem wygląda przy tym dość marnie, co?

Nie obchodziło mnie, co Abe o mnie myśli, dopóki nie podejrzewał prawdy.

- To najpotężniejsza forteca, jaką kiedykolwiek widziałem. Bardzo chciałbym przyjrzeć się jej z bliska, podziwiać architekturę i dzieła sztuki...

- Z pewnością da się to załatwić - odparł, gotów traktować mnie protekcyjnie teraz, gdy znalazł się na swoim terenie, w swoim mieście.

- Imię Sesshu wciąż żyje wśród nas - bąknąłem - chociaż rycerze z jego epoki dawno zostali zapomniani.

Wybuchnął śmiechem.

- Ale tobie daleko do Sesshu, prawda?

Jego wzgarda wzburzyła we mnie krew; oblałem się rumieńcem, ale skwapliwie przyznałem mu rację. Nic o mnie nie wiedział - to była moja jedyna pociecha.

Zaprowadzono nas do pięknego, przestronnego domu gościnnego w pobliżu zamkowej fosy. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że Iida szczerze popiera małżeństwo Shigeru oraz sojusz z Otori; uwagi i honorom, z jakimi nas przyjmowano, nie sposób było nic zarzucić. Panie skierowano do zamku, gdzie miały zamieszkać w pomieszczeniach kobiet na terenie osobistej rezydencji Iidy. Przebywała tam również córka pani Maruyama.

Nie widziałem twarzy Kaede, lecz gdy lektyka się oddalała, zza zasłony na chwilę ukazała się jej dłoń. Trzymała w niej mój podarunek, zwój z wizerunkiem małego górskiego ptaszka, który, jak powiedziała, przywodził jej na myśl wolność.

Zaczął padać drobny, wieczorny deszcz, zamazując kontury zamku, połyskując na dachówkach i bruku. Górą, równomiernie bijąc skrzydłami, przeleciała para gęsi. Wkrótce zginęły mi z oczu, ale jeszcze długo słyszałem ich przeciągły, smutny krzyk.

Po pewnym czasie do naszej kwatery przybył Abe, przynosząc podarunki od pana Iidy oraz wylewne słowa powitania. Przypomniałem mu o obietnicy pokazania mi zamku i dotąd go nagabywałem, cierpliwie znosząc jego drwiny, aż zgodził się umówić ze mną na następny dzień.

A zatem rano udaliśmy się z Kenjim na zwiedzanie; najpierw Abe oprowadzał nas osobiście, potem, kiedy się znudził, zastąpił go jeden z podwładnych. Przez cały czas pilnie słuchałem i rysowałem, jednak kiedy moja ręka kreśliła drzewa, ogrody i widoki, oczami i mózgiem chłonałem i zapamiętywałem rozplanowanie fortecy, odległość od głównego wejścia do drugiej bramy (którą zwano Diamentową), od niej do wewnętrznej baszty, i od baszty do rezydencji. Od wschodu dostępu do zamku broniła rzeka, a z pozostałych stron był otoczony fosą. Szczególnie baczna uwagę zwróciłem na rozmieszczenie straży, zarówno widocznych, jak i niewidocznych, oraz dokładnie policzyłem żołnierzy.

Aż roilo się tu od ludzi - konnych i pieszych, kowali, grotników i płatnerzy, stajennych, pokojówek oraz wszelkiego typu służących. Zastanawiałem się, gdzie oni wszyscy podziewają się w nocy, a także, czy kiedykolwiek bywa tu cicho.

Podwładny Abe, bardziej gadatliwy niż jego pan, chętnie wychwalał Iidę i wyrażał naiwny podziw dla moich rysunków. Szybko nakreśliłem jego podobiznę, po czym wręczyłem mu ją w podarunku; w owych czasach malowano niewiele portretów, więc przyjął ją z zachwytem, jakby miał do czynienia z magicznym talizmanem. Dzięki temu pokazał nam więcej, niż powinien, między innymi tajemne komnaty, w których nieustannie czuwali wartownicy, a także fałszywe okna wież strażniczych oraz trasy nocnych patroli.

Kenji mówił niewiele, czasem tylko oceniał moje rysunki, tu i ówdzie nanosząc poprawki. Ciekaw byłem, czy zamierza mi towarzyszyć, kiedy wybiorę się nocą do zamku. Nie mogłem się zdecydować - raz myślałem, że bez jego pomocy niczego nie dokonam, a zaraz potem ogarniała mnie pewność, że muszę być sam.

Wreszcie dotarliśmy do głównej wieży. Tu wprowadzono nas do środka, przedstawiono kapitanowi straży i pozwolono wejść po drewnianych schodach na najwyższe piętro. Potężne kolumny, podtrzymujące konstrukcję, miały co najmniej siedemdziesiąt stóp wysokości. Wyobraziłem je sobie jako drzewa w lesie; jakże ogromne musiały być ich korony, jak gęsty i mroczny ich cień. Krokwie wciąż zachowały ślady załamania; zda się, pragnęły wystrzelić w górę i znów stać się żywymi konarami. Poczułem moc zamku, jakby był czującą istotą, prężącą się przeciwko mnie.

Z górnego pomostu, pod baczynym okiem południowej straży, ujrzałem jak na dłoni całe miasto. Na północy wznosiły się góry, które niegdyś przekroczyłem z Shigeru, za nimi zaś rozciągała się równina Yaegahary. Na południowym zachodzie leżała moja rodzinna wioska, Mino. Nieruchomym, parnym powietrzem nie poruszał najmniejszy wietrzyk; pomimo grubych kamiennych murów i chłodnego, ciemnego drewna, w wieży panował dławiący upał, a twarze strażników, odzianych w ciężkie, niewygodne zbroje, lśniły od potu.

Południowe okna wychodziły na drugi, mniejszy bastion, który Iida przekształcił w swoją rezydencję. Została zbudowana ponad olbrzymim fortecznym murem, który wyrastał wprost z fosy. Za nią od wschodniej strony ciągnął się pas bagien, szeroki na około trzysta stóp, dalej zaś płynęła rzeka, głęboka i wartka, wezbrana po niedawnych deszczach. Nad blankami muru widniał rząd niewielkich okien, lecz wszystkie wejścia do rezydencji znajdowały się od zachodu. Przylegające do nich werandy, kryte wdzięcznymi, spadzistymi dachami, wychodziły na niewielki otoczony murami ogród, który z poziomego gruntu zapewne byłby niewidoczny, lecz stąd, niczym orły, mogliśmy doń zajrzeć z lotu ptaka.

Wieża po przeciwnej, północno-zachodniej stronie mieściła pokoje urzędników, kuchnię i inne pomieszczenia gospodarcze.

Przenosiłem wzrok z jednego końca pałacu Iidy na drugi. Od zachodu był przepiękny, wręcz łagodny, od wschodu sprawiał wrażenie srogie i potężne, zgoła okrutne, spotęgowane jeszcze przez żelazne pierścienie, osadzone w fortecznym murze poniżej okien obserwacyjnych. Strażnicy powiedzieli nam, że Iida wiesza na nich swoich wrogów, albowiem odgłosy cierpienia ofiar potęgują i uświetniają radość, jaką czerpie z własnej mocy i splendoru.

Schodząc na dół, słyszałem, jak z nas szydzą, powtarzając żarty, które, jak się przekonałem, Tohańczycy zawsze stroili sobie z Otori - że w łóżku wolą mieć chłopców niż dziewczęta, że przedkładają dobry posiłek nad porządną walkę, że ich siłę poważnie osłabia upodobanie do gorących źródeł, do których ponadto zawsze sikają. Donośny rechot długo niósł się za nami, aż nasz przewodnik, zażenowany, wymamrotał pod nosem przeprosiny.

Upewniłem go, że nie czujemy urazy, po czym udając, że podziwiam piękne kwiaty powoju, pnące się po kamiennym ogrodzeniu kuchni, zatrzymałem się na chwilę przy wejściu do wewnętrznej baszty. Dobiegały stamtąd zwykle kuchenne odgłosy - syk wrzącej wody, szcęk stalowych noży, miarowe ugniatanie ciastek ryżowych, pokrzykiwania kuchcików i piskliwe trajkotanie służących. Lecz spoza tych hałasów, z przeciwnego kierunku, zza ogrodowego muru, do moich uszu dotarł całkiem inny dźwięk.

Po chwili zdałem sobie sprawę, co to takiego - były to kroki osób przechodzących tam i z powrotem po słowiczej podłodze lidy.

- Słyszysz ten dziwny hałas? - zapytałem Kenjiego z niewinną miną.

Zmarszczył brew.

- Cóż to może być?

- To słowicza podłoga - zaśmiał się nasz towarzysz.

- Słowicza podłoga? - zdziwiliśmy się obaj.

- Podłoga, która śpiewa. Nic się po niej nie prześliznie, nawet kot, bo zaraz zaczyna ćwierkać niczym ptak.

- To jakieś czary - powiedziałem.

- Możliwe - odparł mężczyzna, śmiejąc się z mojej łatwowierności. - Jednak bez względu na zasadę działania, jego dostojność lepiej sypia pod jej opieką.

- Jakież to cudowne! Mógłbym ją zobaczyć? - poprosiłem.

Przewodnik, nadal uśmiechnięty, poprowadził nas wokół baszty do otwartej ogrodowej furtki. Nie była wysoka, lecz wieńczył ją spory gzyms, a prowadzące do niej schody zbudowano ukośnie, aby mógł ich bronić jeden człowiek. Przez drzwi ujrzelśmy stojący w głębi budynek; wszystkie okiennice były otwarte na oścież i wyraźnie dostrzegłem ogromną połąć lśniącej podłogi, biegnącej przez całą jego długość.

Zza węgła wyszła procesja służących, niosących tace z jedzeniem - dobiegało południe - którzy zsunęli sandały, a następnie wkroczyli na podłogę. Posłuchałem jej śpiewu i serce we mnie zamarło. Przypomniałem sobie, jak lekko i cicho przebiegłem po podłodze okalającej dom w Hagi; podłoga przede mną była cztery razy większa, a jej pieśń nieskończenie bardziej skomplikowana. Żadne próby nie wchodziły w grę - miałem tylko jedną, jedyną szansę, aby ją przechytrzyć.

Stałem tam tak długo, jak mogłem bez wzbudzania podejrzeń, wydając okrzyki podziwu i równocześnie usiłując zapamiętać każdy dźwięk; a gdy przypomniałem sobie, że Kaede również przebywa w tym budynku, natężyłem słuch, aby usłyszeć jej głos, lecz daremnie.

W końcu Kenji ponaglił:

- No chodź już, chodź! Burczy mi w brzuchu. Pan Takeo może obejrzeć sobie tę podłogę jutro, gdy przyjdzie tu z panem Otori.

- A więc jutro wrócimy do zamku?

- Pan Otori po południu złoży uszanowanie panu lidzie - odparł Kenji - a pan Takeo, oczywiście, będzie mu towarzyszył.

- Jakie to podniecające - mruknąłem, lecz serce zaciążyło mi niby kamień.

Po powrocie do domu zastaliśmy Shigeru oglądającego ślubne szaty. Rozpostarte na matach wyglądały wspaniale z barwnym haftem, przedstawiającym wszystkie symbole powodzenia oraz długowieczności - kwiecie śliwy, białe żurawie, żółwie.

- Przysłali mi je stryjowie - rzekł do mnie Shigeru. - Co sądzisz o ich łaskawości, Takeo?

- Jest wręcz nadmierna - odpowiedziałem, czując mdłości wobec takiej obfudy.

- Którą mam włożyć, twoim zdaniem?

Wziął szatę haftowaną w kwiaty śliwy, człowiek zaś, który ją dostarczył, pomógł mu się w nią ubrać.

- Ta będzie świetna - zniecierpliwił się Kenji. - Chodźmy jeść.

Jednak pan Shigeru ociągał się, przesuwając dłońmi po delikatnej tkaninie, podziwiając subtelne zawiłości wzoru. Choć nic nie mówił, odniosłem wrażenie, że dostrzegam w jego twarzy smutek - być może żal za zaślubinami, które nigdy nie miały się odbyć, a może, jak mi się teraz wydaje, także przeczucie czekającego go losu.

- Włożę tę - oświadczył, zdejmując szatę i wręczając ją służącemu.

- W rzeczy samej, bardzo stosowna - przyznał mężczyzna. - Lecz rzadko kto jest tak przystojny jak pan Otori.

Shigeru obdarzył go swoim szczerym uśmiechem, ale nic więcej nie powiedział, nie mówił też wiele podczas posiłku. Wszyscy milczeliśmy, zbyt napięci, by poruszać błahe tematy, i zbyt świadomi możliwej obecności szpiegów, by zajmować się czymkolwiek innym.

Byłem zmęczony, ale niespokojny. Popołudniowy upał zmusił mnie do pozostania w domu; choć otworzyliśmy wszystkie drzwi, do pokoiów nie docierało najmniejsze tchnienie świeżego powietrza. Zapadłem w drzemkę, usiłując przypomnieć sobie pieśń słowiczej podłogi. Obok mnie przepływały odgłosy ogrodu, brzęczenie owadów, plusk wodospadu, które nie pozwalały mi zasnąć i sprawiały, że wydawało mi się, iż znowu jestem w domu, w Hagi.

Pod wieczór zaczął padać deszcz i trochę się ochłodziło. Kenji i Shigeru pochłonęła partia go; Kenji grał czarnymi. Musiałem zapaść w sen, gdyż obudziło mnie stukanie do drzwi i głos jednej z pokojówek, która zawiadamiała Kenjie-go, że przyszedł do niego posłaniec.

Skinął głową, wykonał ruch i wyszedł z pokoju. Shigeru obejrzał się za nim, po czym zaczął studiować planszę, jakby absorbowały go wyłącznie problemy gry. Ja również się zbliżyłem, aby spojrzeć na układ pionów. Wielokrotnie obserwowałem grę obu przeciwników; dotychczas Shigeru zawsze zwyciężał, jednak tym razem

widać było, że białe pionys są zagrożone.

Poszedłem do zbiornika, aby opłukać twarz i ręce. Czułem, że się duszę w pułapce domu, przeszedłem więc przez dziedziniec i otworzywszy główną bramę, wyjrzałem na zewnątrz.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem Kenjiego, który rozmawiał z młodym człowiekiem w stroju posłańca. Nim zdążyłem się połapać, o czym mówią, zauważył mnie, klepnął młodzieńca po ramieniu i szybko się pożegnał. Idąc ku mnie przez ulicę, znów przyjął rolę starego, nieszkodliwego nauczyciela, lecz unikał mojego wzroku, w owej zaś chwili, zanim mnie zobaczył, ujrzałem, jak niegdyś, prawdziwego Muto Kenji - człowieka bez maski, bezwzględnego niczym Jato.

Grali w go do późnej nocy. Nie mogłem już patrzeć na powolną zagładę białych, ale spać również nie mogłem; umysł przepełniały mi myśli o tym, co mnie czeka, oraz dręczące podejrzenia wobec Kenjiego.

Następnego ranka wyszedł wcześniej. Pod jego nieobecność zjawiała się Shizuka, przynosząc podarki ślubne od pani Maruyama. W zawiniątku ukryte były dwa zwitki papieru, z których jeden Shizuka wręczyła panu Shigeru.

Przeczytał go z twarzą zamkniętą i przeoraną zmęczeniem. Nie powiedział nam, co zawiera, lecz złożył go i wsunął w rękaw szaty. Następnie wziął drugi zwitek i zerknąwszy nań pobieżnie, podał go mnie. Znaki, które ujrzałem, zrazu wydały mi się tajemnicze, jednak po chwili pojąłem ich znaczenie - był to opis wnętrza rezydencji, z wyraźnym zaznaczeniem pokoju, gdzie sypia Iida.

- Lepiej to spalić, panie Otori - szepnęła Shizuka.

- Tak uczynię. Wiadomo coś jeszcze?

- Mogę podejść?

Zbliżyła się i mruknęła mu do ucha tak cicho, że słyszeliśmy ją tylko my:

- Arai idzie jak burza przez południowy zachód. Pokonał klan Noguchi i zbliża się do Inuyamy.

- Iida wie o tym?

- Jeżeli jeszcze nie wie, to wkrótce się dowie. Ma więcej szpiegów niż my.

- A Terayama? Słyszeliście, co się tam dzieje?

- Są pewni, że Yamagata padnie bez walki, kiedy Iida... Shigeru podniósł ostrzegawczo rękę, lecz Shizuka już urwała.

- A więc dzisiaj - rzekł krótko.

- Tak, panie Otori - skłoniła się Shizuka.

- Pani Shirakawa dobrze się czuje? - zapytał normalnym głosem, odsuwając się od niej.

- Ach, jakżebym tego chciała - westchnęła Shizuka. - Nie śpi i nie je.

Na dźwięk słowa „dzisiaj” serce przestało mi bić, a następnie podjęło pracę w szybkim, miarowym rytmie, potężnymi uderzeniami pompując krew w żyły. Jeszcze raz zerknąłem na plan, trzymany w dłoni, utrwalając w mózgu jego szczegóły. Jednak wzmianka o Kaede, wspomnienie jej bladej twarzy, kruchych wątlých przegubów, masy czarnych włosów, sprawiły, że znów poczułem ucisk w piersi. Wstałem i podeszedłem do drzwi, aby ukryć wzruszenie.

- Głęboko żałuję, że wyrządzam jej taką krzywdę - rzekł Shigeru.

- Obawia się, że sprowadzi na ciebie nieszczęście - odpowiedziała Shizuka, dodając szeptem - a to nie jedyna z jej obaw. Muszę wracać. Boję się zostawić ją samą.

- Jak to? - wykrzyknąłem, ściągając na siebie ich spojrzenia.

Shizuka zawahała się.

- Często mówi o śmierci - odparła w końcu. Zapraǳiałem przesłać Kaede jakąś wiadomość, chciałem iść i natychmiast wydostać ją z zamku, wywieźć gdzieś, gdzie oboje bylibyśmy bezpieczni. Ale wiedziałem, że takie miejsce nie istnieje i istnieć nie będzie, dopóki to wszystko się nie skończy...

Chciałem też zapytać Shizukę o Kenjiego - co zamierza, jakie są plany Plemienia - ale pokojówki przyniosły południowy posiłek i nie mieliśmy już okazji porozmawiać na osobności.

Przy jedzeniu pobieżnie omówiliśmy przygotowania na popołudnie. Potem Shigeru zasiadł do pisania listów, podczas gdy ja studiowałem zrobione w zamku szkice. Często czułem na sobie jego spojrzenie, świadom, że jest wiele rzeczy, o których chciałby ze mną porozmawiać, ale nie odezwał się. Siedziałem na podłodze, wpatrując się w ogród spowalniając oddech, wycofując się w głąb siebie, do mrocznej, milczącej jaźni, którą stopniowo uwalniałem, pozwalając, by przejęła władanie nad każdym mięśniem, ścięgnem i nerwem. Słuch wyostrzył mi się jak nigdy dotąd; słyszałem dźwięki całego miasta, kakofoniczny jazgot ludzkiego i zwierzęcego życia, radości, żądz, bólu i żalu. Tęskniłem za ciszą, pragnałem wyzwolić się od tego wszystkiego. Pragnałem, aby wreszcie nadeszła noc.

Wrócił Kenji. Nie powiedział nam, gdzie był, lecz w milczeniu patrzył, jak wkładamy oficjalne szaty z godłem Otori na plecach. Przemówił tylko raz, sugerując, że przezorniej byłoby, gdybym nie szedł do zamku, lecz Shigeru odparł, że moja nieobecność tym bardziej zwróciłaby uwagę. Nie musiał mi mówić, że należało jeszcze raz obejrzeć zamek, pojmowałem także, iż powinienem znów zobaczyć Iidę. Widziałem go tylko raz, rok temu w Mino, jako postać w czarnej zbroi i rogatym hełmie, trzymającą miecz, który niemal przeciął moje życie. Obraz ten urósł w mojej wyobraźni do tak potężnych rozmiarów, że myśl, iż ujrzę go żywego i bez broni, głęboko mną wstrząsnęła.

Wyruszyliśmy z eskortą całej dwudziestki ludzi Otori, którzy zostali z końmi przy pierwszej baszcie, podczas gdy my poszliśmy dalej z Abe. Zsuwając sandały przed wstąpieniem na słowicza podłogę, wstrzymałem oddech - pragnałem jak najdokładniej wysłuchać ptasiego śpiewu pod stopami.

Rezydencję zdobiły olśniewające ozdoby utrzymane w nowoczesnym stylu, malowidła tak cudowne, że niemal odwiodły mnie od mojego mrocznego zamiaru. Nie były spokojne i powściągliwe, jak obrazy Sesshu w Terayamie, lecz zamaszyste, złocone, promieniejące siłą i życiem. W przedpokoju, gdzie czekaliśmy ponad pół godziny, ściany i drzwi udekorowano wizerunkami żurawi wśród ośnieżonych wierzb, które wzbudziły podziw Shigeru. Pod sarkastycznym spojrzeniem Abe cicho zamieniliśmy kilka zdań na ich temat.

- Moim zdaniem, znacznie przewyższają obrazy Sesshu - nie wytrzymał w końcu Tohańczyk. - Ich barwy są bogatsze i bardziej jaskrawe, jest w nich więcej rozmachu.

Shigeru mruknął coś niezobowiązująco. Milczałem. Niebawem pojawił się starszy mężczyzna, skłonił uniżenie, po czym zwrócił się do Abe:

- Pan Iida jest gotów na powitanie gości.

Wstaliśmy i ponownie ruszyliśmy za Abe po słowiczej podłodze. Przy wejściu do wielkiej sali audiencyjnej Shigeru klęknął, ja zaś poszedłem w jego ślady. Abe dał nam znak; weszliśmy do środka i znów uklękliśmy, bijąc czołem o ziemię.

Iida Sadamu siedział na podwyższeniu w głębi sali, rozpostarłszy wokół siebie kremowe i czerwone szaty. W prawej dłoni miał czerwono-złoty wachlarz, na głowie zaś małą, galową czapeczkę. Był drobniejszy, niż go zapamiętałem, lecz nie mniej imponujący, choć wyglądał na znacznie niższego od Shigeru, a także starszego o osiem do dziesięciu lat.

Miał pospolite rysy, z wyjątkiem pięknie wykrojonych oczu, z których biła inteligencja i bezwzględność. Nikt nie nazwałby go przystojnym, ale jego postać emanowała przykuwającą uwagę potęgą, budzącą we mnie dawno zapomniane uczucie grozy.

W sali przebywało mniej więcej dwudziestu dworzan, z których wszyscy, z wyjątkiem małego pazia po lewej ręce Iidy, zamarli w pokornym ukłonie. Zapadła długa cisza. Zbliżała się godzina Małpy; pozamykano drzwi i upał stał się nieznośny. Pod perfumowanymi szatami obecnych wyczuwałem stęchły odór męskiego potu. Kątem oka dostrzegłem rząd ukrytych szafek, z których dobiegały mnie oddechy tajnej straży oraz lekkie skrzypnięcia, kiedy wartownicy zmieniali pozycję. Poczułem suchość w ustach.

Wreszcie Iida przemówił:

- Witaj, panie Otori. To szczęśliwa okazja, zaślubiny i sojusz.

Jego ton był szorstki, lekceważący; grzecznościowe formułki brzmiały w jego ustach wręcz nedorzecznie.

Shigeru podniósł głowę, po czym niespiesznie i równie oficjalnie przekazał pozdrowienia od swoich stryjów oraz całego klanu Otori.

- Z radością oddaję przysługę obu naszym wielkim rodom - zakończył, delikatnie przypominając Iidzie, że dorównuje mu rangą i pochodzeniem.

- Tak, między nami musi zapanować pokój - uśmiechnął się Iida drapieżnie. - Nie chcemy przecież, by powtórzyła się Yaegahara.

Shigeru skłonił głowę.

- Co było, to było.

Z podłogi widziałem jego profil. Jego spojrzenie było jasne i bezpośrednie, twarz tchnęła niezmaconą pogodą. Nikt by nie odgadł, że nie jest tym, kim się wydaje - narzeczonym, wdzięcznym za przychyłność starszego władcy.

Przez chwilę wymieniali uprzejmości, po czym podano herbatę.

- Doszły mnie słuchy, że ten młody człowiek jest twym przybranym synem - powiedział Iida, kiedy nalewano napój. - Niech się z nami napije.

Chcąc nie chcąc, usiadłem prosto, choć wolałbym tego nie robić. Ponownie złożyłem pokłon, po czym przybliżyłem się do Iidy na kolanach. Unosząc miseczkę do ust, z trudem powstrzymywałem drżenie palców; czułem na sobie jego spojrzenie, nie śmiałem jednak podnieść nań oczu i nie umiałem stwierdzić, czy rozpoznał we mnie chłopca, który w Mino przypalił bok jego konia i zrzucił go na ziemię.

Wlepiłem wzrok w miseczkę. Połyskliwa metalicznoszara glazura, jakiej nigdy przedtem nie widziałem, gdzieś tam przeblaskiwała czerwienią.

- To daleki krewny mojej matki - wyjaśniał pan Shigeru. - Pragnęła, aby przyjęto go do naszej rodziny, więc po jej śmierci spełniłem jej życzenie.

- Jego imię? - zapytał Iida, hałaśliwie siorbiąc herbatę i nie przestając się we mnie wpatrywać.

- Przyjął imię powszechne w naszej rodzinie - odparł Shigeru. - Zwiemy go Takeo.

Nie dodał: ku pamięci mego brata, lecz poczułem, że imię Takeshiego zawisło w powietrzu, jakby w sali unosił się jego duch.

Iida chrząknął. Pomimo upału atmosfera w sali stała się chłodniejsza, bardziej namacalnie groźna. Zauważyłem, że Shigeru odczuł zmianę nastroju; napiął mięśnie, choć na jego twarzy nadal gościł uśmiech. Mimo pozornej uprzejmości, rozmówców różniło wiele lat wzajemnej niechęci, dodatkowo zaognionej przez dziedzictwo Yaegahary, zazdrość Iidy o panią Maruyama, a także żałoba Shigeru i jego żądza zemsty.

Usilnie próbowałem stać się Takeo, pilnym rysownikiem, niezgrabnym i zamyślonym, który ze zmieszania wlepił wzrok w ziemię.

- Od jak dawna jest z tobą?

- Od mniej więcej roku - odrzekł Shigeru.

- Dostrzegam pewne rodzinne podobieństwo - powiedział Iida. - Zgodzisz się ze mną, Ando? - zwrócił się do dworzanina, klęczącego do nas bokiem.

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na mnie. Nasze oczy się spotkały. Natychmiast zrozumiałem, kogo mam przed sobą, poznałem podłużną, wilczą twarz o wysokim, bladym czole i głęboko osadzonych oczach. Nie widziałem jego prawego boku, ale nie musiałem - byłem pewien, że brak mu prawego ramienia, które obciął miecz Jato, prowadzony ręką Otori Shigeru.

- Istotnie, podobieństwo jest bardzo duże - odparł człowiek wilk. - Tak sobie pomyślałem już za pierwszym razem, kiedy zobaczyłem młodego pana - urwał, po czym dodał: -W Hagi.

Ukloniłem się pokornie.

- Wybacz, panie Ando, ale chyba nie miałem przyjemności cię poznać.

- Nie poznaliśmy się osobiście - przyznał. - Po prostu ujrzałem cię z panem Otori i zdumiałem się, jak bardzo przypominasz... rodzinę.

- W końcu jest naszym krewnym - wtrącił Shigeru, w najmniejszym stopniu niespeszony tą zabawą w kotka i myszkę. Nie miałem żadnych wątpliwości - Iida oraz Ando dokładnie wiedzieli, kim jestem, wiedzieli też, że Shigeru mnie ocalił.

Spodziewałem się, że lada chwila rozkażą strażnikom nas aresztować, lub nawet zabić tutaj, na miejscu, nad przyborami do herbaty.

Shigeru poruszył się lekko; pojąłem, że gdyby doszło do ostateczności, gotów jest poderwać się do walki z mieczem w dłoni, nie zamierzał jednak lekkomyślnie zmarnować wielomiesięcznych przygotowań. Napięcie w sali rosło w miarę, jak przedłużało się milczenie.

Wargi lidy wygięły się w cierpkim uśmiechu. Wyczuwałem, że czerpie z sytuacji wielką przyjemność - nie zamierzał na razie niczego rozstrzygać, chciał się jeszcze nami pobawić. Gdzież moglibyśmy uciec, znajdując się w głębi terytorium Tohan, nieustannie obserwowani, mając do dyspozycji zaledwie dwudziestu ludzi? Nie wątpiłem, że zamierza zlikwidować nas obu, lecz chce do woli nacieszyć się świadomością, że odwieczny wróg jest całkowicie zdany na jego łaskę.

Zaczął omawiać zaślubiny, nie tając wzgardy i zazdrości, ledwie skrywanych pod zdawkową uprzejmością.

- Pani Shirakawa jest wychowanką pana Noguchi, mojego najstarszego, najbardziej zaufanego sojusznika.

Ani słowem nie wspomniał o klęsce, jaką poniósł Noguchi z rąk Araiego; czyżby o niej nie wiedział, a może sądził, że my o niej nie wiemy?

- Pan Iida wyświadcza mi wielki zaszczyt - odparł Shigeru.

- Cóż, pora, byśmy zawarli pokój z Otori - Iida urwał na chwilę. - To piękna dziewczyna - dodał - lecz ma niezbyt fortunną reputację. Spodziewam się, że to cię nie przestraszy.

Wśród dworzan nastąpiło lekkie poruszenie - nie całkiem chichot, lecz delikatne odprężenie mięśni twarzy, na których pojawiły się porozumiewawcze uśmieški.

- Uważam, że owa reputacja nie jest uzasadniona - rzekł Shigeru spokojnie. - Dopóki pozostaję gościem pana lidy, chyba nie mam się czego obawiać.

Z twarzy lidy zniknął uśmiech, zastąpiony grymasem niechęci. Wyraźnie zżerała go zazdrość; z pewnością grzeczność oraz szacunek dla samego siebie powinny były go powstrzymać przed następną uwagą:

- Krążą pogłoski na twój temat.

Shigeru uniósł brwi, lecz nic nie powiedział.

- O długotrwałym związku, potajemnym małżeństwie! - niemal krzyknął Iida.

- Pan Iida mnie zdumiewa - odparł chłodno Shigeru. - Nie jestem już młody. To naturalne, że znałem wiele kobiet.

Iida opanował się i burknął coś w odpowiedzi, lecz w jego oczach zabłyśła złość. Odprawił nas, ledwie zachowując pozory uprzejmości:

- Zobaczymy się za trzy dni, na uroczystości zaślubin.

Zastaliśmy naszych ludzi zdenerwowanych i rozeźlonych nieustannymi zaczepkami i pogroźkami Tohańczyków. Zjeżdżając po brukowanych stopniach ku głównej bramie, żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Ze wszystkich sił próbowałem zapamiętać układ zamku; płonąłem szczerą nienawiścią do lidy i zamierzałem go zabić nie tylko z zemsty za przeszłość, lecz także za obelżycie

potraktowanie pana Otori. Wiedziałem, że jeżeli nie zabiję go tej nocy, on z pewnością zgładzi nas obu.

Kiedy wróciliśmy do domu gościnnego, wodnisty krąg słońca obniżał się już ku zachodowi. Czekał na nas Kenji, a w pokoju unosił się nieznaczny zapach spalenizny - pod naszą nieobecność przesyłki pani Maruyama zostały zniszczone.

- Rozpoznali Takeo? - rzekł, przyglądając się nam uważnie.

- Muszę się wykąpać - westchnął Shigeru, zdejmując oficjalne szaty, po czym uśmiechnął się, nieznacznie rozluźniając żelazną samokontrolę, jaką wykazywał do tej pory.

- Takeo, możemy swobodnie rozmawiać?

Z kuchni dobiegały odgłosy przygotowań do wieczornego posiłku. Od czasu do czasu na ścieżce rozlegały się kroki, lecz ogród był pusty. Słyszałem głosy wartowników przy głównej bramie, żartujących z dziewczyną, która zaniósła im ryż i zupę.

- Jeżeli będziemy szeptać - odparłem.

- Musimy mówić szybko. Kenji, podejdź bliżej. Owszem, rozpoznali go. Iida nas podejrzewa i bardzo się boi. Może uderzyć w każdej chwili.

- Natychmiast zabiorę Takeo - rzekł Kenji. - Ukryję go gdzieś w mieście.

- Nie! - zawołałem. - Dziś w nocy idę do zamku.

- To nasza jedyna szansa - szepnął Shigeru. - Musimy pierwsi zadać cios.

Kenji popatrzył na nas i odetchnął głęboko.

- W takim razie idę z wami.

- Byłeś dobrym przyjacielem - powiedział cicho Shigeru.

- Nie musisz ryzykować dla mnie życia.

- Nie robię tego dla ciebie, Shigeru. Chcę mieć oko na Takeo - odpowiedział Kenji, po czym zwrócił się do mnie:

- Lepiej, żebyś przed godziną policyjną jeszcze raz obejrzał fosę i mury. Przejdę się z tobą. Zabierz materiały rysunkowe, będą ciekawe odbłaski na wodzie.

Wziąłem przybory, po czym ruszyłem za nim. Przy drzwiach, tuż przed wyjściem, ku memu zaskoczeniu Kenji odwrócił się do Shigeru i nisko się skłonił:

- Panie Otori.

Sądziłem, że ironizuje; dopiero później zdałem sobie sprawę, że w ten sposób się żegnał. Ja złożyłem zwykły ukłon, który Shigeru odwzajemnił. Stał tyłem do światła, padającego z ogrodu, i nie widziałem jego twarzy.

Chmury zgęstniały. Deszcz co prawda nie padał, lecz w powietrzu unosiła się wilgoć; choć o zmierzchu zrobiło się chłodniej, nadal było bardzo duszno. Na ulicach panował ścisk - ludzie szukali wytchnienia, korzystając z krótkiego czasu między zachodem słońca a godziną policyjną. Nieustannie z kimś się zderzałem, czułem się niepewnie, nieswojo, wszędzie widziałem złodziei albo zabójców. Spotkanie z Iidą wytrąciło mnie z równowagi; znowu stałem się Tomasu, przerażonym chłopcem, uciekającym ze zgłiszcz Mino. Czy naprawdę sądziłem, że uda mi się wejść do zamku w Inuyamie i zgładzić potężnego pana, od którego właśnie wyszedłem, który wiedział, że należę do Ukrytych, któremu już raz ledwie się wymknąłem? Mogłem

do woli grać rolę Otori Takeo albo członka Plemienia z rodu Kikuta, lecz w rzeczywistości nie byłem ani jednym, ani drugim. Byłem jednym z Ukrytych - czyli ściganym.

Szliśmy na zachód wzdłuż południowej ściany zamku. Ściemniało się; dziękowałem losowi, że dziś nie będzie księżyca ani gwiazd. Nad bramą zamku zapalono pochodnie, w sklepach paliły się kaganki oraz świece. Pachniało sezamem i soją, ryżowym winem i smażoną rybą. Mimo napięcia poczułem głód. Chciałem się zatrzymać, żeby kupić sobie coś do zjedzenia, ale Kenji nakłonił mnie, byśmy poszli dalej. Wkrótce ulica zrobiła się ciemniejsza, bardziej wyludniona. Z oddali dobiegł mnie turkot kół na bruku, a następnie granie fletu. Ów dźwięk miał w sobie coś niewymownie dziwnego, wręcz niesamowitego. Włosy na karku zjeżyły mi się ostrzegawczo.

- Wracajmy - powiedziałem, lecz w tym momencie z zaułka przed nami wynurzyła się mała procesja. Początkowo sądziłem, że to trupa kuglarzy - stary człowiek ciągnął wózek z dekoracjami i obrazami, towarzyszyła mu dziewczyna, grająca na flecie, a z cienia wyłonili się dwaj młodzieńcy z bąkami, które, wirując, aż unosiły się w powietrze. W półmroku wszyscy ci ludzie wyglądali jak zaczarowani, opętani przez duchy. Zatrzymałem się, mając za plecami Kenjiego. Na nasz widok flecistka opuściła instrument, a druga dziewczyna podeszła do nas i powiedziała:

- Chodź i popatrz, panie.

Jej głos wydał mi się znajomy, lecz dopiero po chwili przypomniałem sobie, gdzie go przedtem słyszałem. Wyminąłem Kenjiego i zostawiając przy wózku swoje drugie ja, rzuciłem się w bok - rozpoznałem dziewczynę z zajazdu w Yamagacie, tę samą, o której Kenji powiedział: „To jedna z nas”.

Ku memu zaskoczeniu pierwszy młodzieniec rzucił się za mną, nie zwracając uwagi na mój wizerunek. Stałem się niewidzialny, lecz on natychmiast odgadł, gdzie się znajduję. Wówczas zyskałem pewność - Plemię zgłosiło się po mnie, dokładnie tak, jak przewidział Kenji. Padłem na ziemię i przetoczyłem się pod wózkiem. Na próżno - po drugiej stronie czekał już mój nauczyciel. Próbowałem ugryźć go w dłoń, ale chwycił mnie za szczękę i siłą odwrócił mi głowę. Kopałem go, udawałem bezwładnego, usiłowałem wysliznąć się z jego uchwytu, niestety, wszystkich sztuczek, jakie znałem, nauczyłem się właśnie od niego.

- Uspokój się, Takeo - syknął. - Przestań się wyrywać. Nikt ci nic nie robi.

- Dobrze - ustąpiłem, przestając się szarpać.

Zwolnił uścisk. Natychmiast się wysliznąłem i wyciągnąłem zza pasa nóż, jednak cała piątka walczyła już na serio. Jeden z młodych ludzi zamachnął się w moim kierunku, przypierając mnie do wózka. Ciałem na oślep i poczułem, że nóż ześlizguje się po czyjejś kości, dźgnąłem też jedną z dziewcząt; niestety druga, niewidzialna, zdążyła się wdrapać na dach wózka i spadła na mnie niczym małpa, jedną ręką zatykając mi usta, drugą zaś łapiąc za szyję. Rzecz jasna, wiedziałem, jaki punkt chce ucisnąć; szarpnąłem się gwałtownie, lecz straciłem równowagę, a chłopak, którego zraniłem, chwycił mnie za nadgarstek i wygiął mi dłoń do tyłu. Puściłem nóż. Kiedy padałem na ziemię z dziewczyną na karku, nadal zaciskała

dłonie na moim gardle.

Zanim straciłem przytomność, wyraźnie ujrzałem Shige-ru, siedzącego w ciemnym pokoju, czekającego na nasz powrót. Chciałem wykrzyczeć swą wściekłość na ogrom zdrady, jaka nas spotkała, lecz zakryto mi usta i nawet moje uszy już niczego nie słyszały.



Rozdział dziesiąty

Był wczesny wieczór. Minęły trzy dni od chwili, gdy Kaede wysiadła z rozkołysanej lektyki na zamkowym dziedzińcu i od tamtej pory coraz bardziej upadała na duchu. Inuyama przytłaczała ją i przerażała nawet bardziej niż zamek Noguchi. Kobiety w tym domu, przygaszone, pełne żalości, wciąż opłakiwały swoją panią, żonę Iidy, zmarłą na początku lata. Ich pan i władca ukazał się Kaede tylko przelotnie, lecz niepodobna było nie wyczuć jego przytłaczającej obecności. Wszyscy poruszali się w rytmie jego kaprysów i napadów szału, nikt nie mówił niczego otwarcie; kobiety, które składały jej półgębkiem życzenia, miały zmęczone głosy oraz puste oczy, a jej szaty przygotowywały drżącymi rękami. Wręcz namacalnie czuła osaczające ją nieszczęście.

Gdy minęła żywiołowa radość ze spotkania z córką, także pani Maruyama udzielił się ogólny niepokój. Kilkakrotnie Kaede miała wrażenie, że dama pragnie jej się zwierzyć, lecz rzadko widywały się na osobności. Kaede całymi godzinami wspominała wydarzenia podróży, usiłując ułożyć w sensowną całość kłębiące się wokół niej podskórne napięcia, jednak wkrótce zdała sobie sprawę, że właściwie nic nie wie. Nic nie było takie, jak się wydawało, w dodatku nikomu nie mogła zaufać, nawet Shizuce, mimo tego, co od niej usłyszała. Dla dobra rodziny musiała mężnie znieść małżeństwo z panem Otori, jednak choć nie miała powodu sądzić, że ślub się nie odbędzie, jakoś weń nie wierzyła, wydawał się jej odległy jak księżyc. Z drugiej strony, wiedziała, że gdyby doń nie doszło - gdyby, co gorsza, z jej powodu zmarł kolejny mężczyzna - jedynym wyjściem byłaby dla niej śmierć.

Próbowała stawić jej odważnie czoło, ale przed sobą nie potrafiła udawać - miała zaledwie piętnaście lat, nie chciała umierać, chciała żyć i być z Takeo.

Duszny dzień powoli dobiegał końca, a wodniste słońce zalewało miasto osobliwą czerwoną poświatą. Kaede odczuwała przemożne znużenie, a zarazem niepokój; marzyła, by pozbyć się wielowarstwowej szaty, tęskniła za chłodem i ciemnością nocy, a przecież obawiała się dnia jutrzejszego oraz wszystkich następnych.

- Panowie Otori byli dzisiaj na zamku, prawda? - zapytała, usiłując nie okazywać uczuć.

- Tak, zostali przyjęci przez pana Iidę - odparła Shizuka z wahaniem, a Kaede poczuła na sobie jej pełne litości spojrzenie. - Panienko...

Shizuka urwała.

- O co chodzi?

Podłoga zaśpiewała - obok drzwi przeszły dwie pokojówki, toteż Shizuka z ożywieniem zaczęła trajkotać o sukniach ślubnych. Gdy dźwięki wreszcie ucichły,

Kaede zapytała:

- Co chciałaś mi powiedzieć?

- Pamiętasz moją obietnicę, że ci pokażę, jak można zabić kogoś igłą? Chcę jej teraz dotrzymać. Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się przyda.

Wyjęła igłę, na pozór zwyczajną, jednak wzięwszy ją do ręki, Kaede ujrzała, że jest grubsza i mocniejsza od tych, których używała na co dzień, i przypomina miniaturową broń. Następnie Shizuka pokazała jej, w jaki sposób wbić ją komuś w oko albo w szyję.

- Teraz ukryj ją w mankiecie rękawa - powiedziała. - Uważaj, tylko się nie ukłuj.

Kaede zadrżała, na poły wstrząśnięta, na poły zafascynowana.

- Nie wiem, czy umiałabym to zrobić.

- Już raz w gniewie zabiłaś człowieka - rzekła Shizuka.

- Wiesz o tym?

- Arai mi powiedział. Ludzie nie mają pojęcia, do czego są zdolni pod wpływem gniewu albo strachu. Zawsze noś przy sobie nóż. Niestety, nie możemy mieć mieczy; zbyt trudno byłoby nam je ukryć. Ale jeżeli dojdzie do walki, najlepiej czym prędzej zabić mężczyznę i zabrać jego miecz.

- Co tu się dzieje? - wyszeptała Kaede.

- Żałuję, że nie mogę ci wszystkiego opowiedzieć, ale to byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne. Po prostu chcę, abyś była przygotowana.

Kaede otworzyła usta, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Shizuka uprzedziła ją - Musisz milczeć; o nic nie pytaj i nikomu nic nie mów. Im mniej wiesz, tym mniej ci zagraża.

Kaede otrzymała mały pokój, przylegający do większych pomieszczeń, gdzie mieszkały kobiety z domu Iidy oraz pani Maruyama z córką. Wszystkie pokoje wychodziły na ogród, ciągnący się wzdłuż południowej strony rezydencji, skąd dobiegał cichy szum drzew i plusk wody. Przez całą noc Kaede miała świadomość, że Shizuka nad nią czuwa, raz nawet dostrzegła sylwetkę dziewczyny, siedzącej ze skrzyżowanymi nogami w drzwiach do ogrodu, prawie niewidocznej na tle bezgwiezdnego nieba. W ciemności pohukiwały sowy, a o świcie znad rzeki doleciał krzyk wodnego ptactwa. Zaczęło padać. Przy wtórze spadających kropel Kaede zapadła w drzemkę.

Obudziło ją przeraźliwe krakanie wron. Deszcz ustał, zaczynał się upał. Shizuka była całkowicie ubrana. Ujrzawszy, że Kaede nie śpi, przyklękła obok niej i szepnęła:

- Panienko, muszę porozmawiać z panem Otori. Czy mogłabyś napisać do niego kilka słów, może wiersz albo coś w tym rodzaju? Chcę mieć pretekst, żeby go odwiedzić.

- Co się stało? - zapytała Kaede, wystraszona widokiem ściągniętej twarzy dziewczyny.

- Nie wiem. Oczekiwałam, że wczorajszej nocy coś się wydarzy... ale się nie wydarzyło. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

I już głośniej dodała:

- Przygotuję atrament, lecz panienka nie powinna tak się niecierpliwić. Masz cały dzień na pisanie odpowiednich wierszy.

- Co mam napisać? - wyszeptała Kaede. - Nie umiem pisać poezji. Nigdy się tego nie uczyłam.

- Wszystko jedno, cokolwiek o miłości małżeńskiej, kaczkach mandaryńskich i klematisach, pnących się po murze.

Gdyby nie śmiertelnie poważna mina Shizuki, Kaede byłaby przekonana, że dziewczyna z niej kpi.

- Pomóż mi się ubrać - zażądała głośno. - Tak, wiem, że jest wcześnie, ale przestań marudzić. Muszę natychmiast napisać do pana Otori.

Shizuka, aby dodać jej otuchy, z wysiłkiem przywołała uśmiech na bladą twarz.

Kaede zasiadła do pracy, nie bardzo wiedząc, co właściwie pisze, po czym najgłośniej, jak umiała, nakazała Shizuce pośpieszyć z listem do domu pana Otori. Dziewczyna wreszcie odeszła, udając, że się ociąga; Kaede usłyszała jeszcze, jak skarżyła się wartownikom, ci zaś głośno się rozśmiali.

Wezwwała pokojówkę i poprosiła o herbatę. Wypiwszy, długo wpatrywała się w ogród, usiłując usmierzyć obawy, próbując być równie dzielną jak Shizuka. Raz po raz jej palce wędrowały do igły ukrytej w rękawie, do gładkiej, chłodnej rękojeści schowanego pod szatą noża. Przypomniła sobie, jak Shizuka i pani Maruyama uczyły ją walczyć. Czego się spodziewały? Nadal czuła, że jest tylko pionkiem w grze toczącej się wokół niej, ale przynajmniej ktoś próbował ją przygotować oraz wyposażył w broń.

Po niespełna godzinie Shizuka wróciła, przynosząc list od pana Otori - wiersz napisany lekko i z talentem. Kaede wlepiła węń wzrok.

- Co to ma znaczyć?

- To tylko pretekst - szepnęła Shizuka. - Musiał napisać coś w odpowiedzi.

- Czy pan Otori dobrze się czuje? - zapytała Kaede oficjalnym tonem.

- Tak, owszem, i całym sercem za tobą tęskni.

- Powiedz mi prawdę - wyszeptała Kaede, dostrzegając niepewność w oczach Shizuki. - Pan Takeo... czy żyje?

- Nie wiemy - tchnęła Shizuka. - Musiałam ci to powiedzieć! Zniknął razem z Kenjim. Pan Otori uważa, że zabrało go Plemię.

- Co to znaczy?

Kaede poczuła, że herbata, którą wcześniej wypila, wzbiera jej w żołądku i że zaraz zwymiotuje.

- Przejdźmy się po ogrodzie, póki jest jeszcze chłodno - zaproponowała spokojnie Shizuka.

Kaede wstała, ale miała wrażenie, że mdleje. Na jej czole pojawiły się zimne, lepkie krople potu. Shizuka chwyciła ją pod łokieć, wyprowadziła na ganek, po czym uklękła i pomogła jej włożyć sandały.

Ruszyły powoli ścieżką wśród drzew i zarośli, gdzie bulgot strumienia

zagłuszał ich głosy. Shizuka pośpiesznie wyszeptała Kaede do ucha:

- Wczoraj miał odbyć się zamach na życie Iidy. Arai z wielką armią stoi zaledwie trzydzieści mil stąd. Mnisi wojownicy z Terayamy gotowi są opanować Yamagatę. Obalenie klanu Tohan jest możliwe.

- Co to ma wspólnego z panem Takeo?

- On miał dokonać zamachu. Wczoraj wieczorem powinien był przyjść do zamku. Ale pojmało go Plemię.

- Takeo jest skrytobójcą?

Owa myśl była tak nieprawdopodobna, że Kaede niemal się roześmiała. Lecz wówczas przypomniała sobie, jak zawsze krył się w mroku, jak taił przed światem swoją zręczność. Uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, co skrywał pod pozorami łagodności, choć domyślała się, że jest w nim coś więcej. Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić.

- Co to jest Plemię?

- Z Plemienia pochodził ojciec Takeo, po którym ten odziedziczył niezwykle talenty.

- Jak ty - rzekła bezbarwnie Kaede. - I twój stryj.

- Takeo jest znacznie zdolniejszy niż którekolwiek z nas. Ale masz rację; my także pochodzimy z Plemienia.

- Jesteś szpiegiem? Zabójczynią? Dlatego udajesz moją służącą?

- Nie udaję przyjaźni - rzekła dobitnie Shizuka. - Już ci mówiłam, że możesz mi zaufać. Sam pan Arai powierzył cię mojej opiece.

- Jak mam ci wierzyć, skoro usłyszałam już tyle kłamstw? - zapytała Kaede, czując pieczenie pod powiekami.

- Teraz mówię prawdę - odparła surowo Shizuka. Wstrząśnięta Kaede odniosła wrażenie, że zalewa ją fala słabości, która następnie cofa się, pozostawiając jej umysł chłodnym i jasnym.

- A moje małżeństwo z panem Otori... zaaranżowano je tylko po to, by dać mu powód przyjazdu do Inuyamy?

- Nie pan Otori je zaaranżował; małżeństwo stanowiło warunek adopcji Takeo. Ale pojął, że jeżeli się na nie zgodzi, zyska sposobność, by przywieźć Takeo do głównej twierdzy Tohan.

Shizuka urwała, po czym bardzo cicho dodała:

- Iida oraz stryjowie pana Shigeru chcą wykorzystać jego ożenek z tobą jako pretekst, aby go zgładzić. Częściowo jestem tu po to, by chronić was oboje.

- Moja reputacja zawsze będzie dla kogoś przydatna - powiedziała gorzko Kaede, aż nazbyt świadoma władzy, jaką mieli nad nią mężczyźni, oraz bezwzględności, z jaką jej używali. Znowu ogarnęła ją słabość.

- Usiądźmy na chwilę - doradziła Shizuka.

Krzewy rozstąpiły się, ukazując fragment ogrodu z widokiem na otwartą przestrzeń - fosę, rzekę i leżące za nią góry. Na pomoście w poprzek strumienia stał pawilon, pomyślany tak, by docierał doń nawet najmniejszy powiew. Ostrożnie stąpając po kamieniach, przedostały się na miejsce i usiadły na rozrzuconych na

podłodze poduszkach. Płynąca woda dawała złudzenie chłodu, zimorodki i jaskółki śmigały przez pawilon w nagłych błyskach koloru. Na wodzie wznosiły ciężkie głowy fioletoworóżowe kwiaty lotosu, na brzegu kwitły ostatnie ciemnoniebieskie irysy, prawie takiej samej barwy jak poduszki.

- Co to znaczy, że Takeo został pojmany przez Plemię? - zapytała Kaede, pocierając nerwowo tkaninę siedziska.

- Ród Kikuta, do którego należy Takeo, uważał, że zamach nie może się udać. Nie chcieli utracić Takeo, więc wkroczyli, aby temu zapobiec. Mój stryj odegrał w tym dużą rolę.

- A ty?

- Ja nie; ja sędzę, że należało podjąć próbę. Moim zdaniem Takeo miał wszelkie szanse powodzenia. Póki Iida żyje, nikt nie powstanie przeciwko Tohan.

Nie wierzę własnym uszom - myślała oszołomiona Kaede. Zostałam wpłątana w zdradę. Ona mówi o zabiciu Iidy tak lekko, jakby to był jakiś chłop albo wyrzutek. Gdyby ktoś nas usłyszał, zamęczono by nas na śmierć.

Zadrżała mimo rosnącego upału.

- Co z nim zrobią?

- Stanie się jednym z nich, a jego życie będzie dla nas tajemnicą.

A więc już nigdy go nie zobaczę - pomyślała.

Na ścieżce wiodącej do pawilonu rozległy się głosy i po chwili nad strumieniem pojawiła się pani Maruyama ze swoją córką Mariko oraz damą do towarzystwa, Sachie. Pani Maruyama była równie blada, jak wcześniej Shizuka, ponadto w jej zachowaniu zaszła nieokreślona, ale wyraźna zmiana, jakby opuściło ją poprzednie, niezłomne opanowanie. Odesłała Mariko i Sachie, aby pobawiły się lotką, po czym usiadła obok Kaede.

- Panienska Mariko to śliczne dziecko - powiedziała Kaede, usiłując nawiązać banalną rozmowę.

- Nie posiada wielkiej urody, ale jest inteligentna i miła - odparła jej matka. - Pod tym względem wdała się w ojca.

Być może to dobrze. Nawet piękność bywa niebezpieczna dla kobiety. Lepiej nie wzbudzać pożądania mężczyzn. - Uśmiechnęła się gorzko, po czym zwróciła się do Shizuki: - Nie zostało nam wiele czasu. Mam nadzieję, że możemy ufać pani Shirakawa.

- Nie powiem nic, co mogłoby was zdradzić - szepnęła Kaede.

- Shizuka, powiedz, co się stało?

- Plemię zabrało Takeo. Pan Shigeru nie wie nic więcej.

- Nigdy nie sądziłam, że Kenji go zdradzi. Cios musiał być dotkliwy!

- Powiedział, że to zawsze była straceńcza rozgrywka. Nikogo nie obwinia, a jego główną troską jest teraz twoje bezpieczeństwo. Twoje i dziecka.

W pierwszej chwili Kaede uznała, że Shizuka chodzi o córkę pani Maruyama, Mariko, lecz wtem zobaczyła, że na twarz damy wykwitła lekki rumieniec. Zaciśnęła wargi i nic nie powiedziała.

- Co powinnyśmy zrobić? Uciekać? - Białe palce pani Maruyama machinalnie

mięły rękaw szaty.

- Nie wolno nam uczynić nic, co wzbudziłoby podejrzenia Iidy.

- Shigeru nie ucieknie?

Głos damy był wątki jak trzcina.

- Podsunęłam mu ten pomysł, ale mówi, że nie chce. Dobrze go pilnują, poza tym uważa, że przeżyje, tylko jeżeli nie okaże lęku. Musi postępować tak, jakby miał bezwzględne zaufanie do Tohańczyków i planowanego sojuszu.

- Chce wziąć ten ślub? - pani Maruyama aż podniosła głos.

- Chce postępować, jakby miał taki zamiar - odparła ostrożnie Shizuka. - I my musimy zachowywać się odpowiednio, jeśli chcemy ocalić mu życie.

- Iida śle do mnie listy, naciskając, bym przyjęła jego oświadczenia. Do tej pory, ze względu na Shigeru, zawsze mu odmawiałam - rzekła pani Maruyama, wlepiając w Shizukę zrozpaczony wzrok.

- Pani - powiedziała dziewczyna. - Nie mów o takich rzeczach. Bądź cierpliwa i odważna. Możemy jedynie czekać, udawać, że nie stało się nic niezwykłego, oraz czynić przygotowania do zaślubin panienki Kaede.

- Wykorzystają ją, żeby go zabić - jęknęła pani Maruyama. - Jest piękna, ale przynosi śmierć.

- Nie chcę być przyczyną niczyjej śmierci - zawołała Kaede - a już na pewno nie pana Otori!

Odwróciła głowę, gdyż nagle łzy nabiegły jej do oczu. - Jaka szkoda, że nie możesz poślubić pana Iidy i sprowadzić śmierci na niego! - wykrzyknęła pani Maruyama. Kaede drgnęła, jakby ktoś ją spoliczkował.

- Wybacz! - wyszeptała pani Maruyama. - Nie jestem sobą. Prawie nie śpię. Szaleję z obawy - o niego, o moją córkę, o siebie, o nasze dziecko. Nie zasłużyłaś na moje grubiaństwo. Nie ze swojej winy zostałam wpłątana w nasze sprawy. Mam nadzieję, że nie osądzasz mnie źle. - Ujęła dłoń Kaede i ścisnęła ją mocno. - Gdybyśmy obie z córką umarły, ty będziesz naszą spadkobierczynią. Powierzam ci moje ziemie oraz mój lud. Dbaj o nie. - Spojrzała za rzekę oczyma błyszczącymi od łez. - Niechby się z tobą ożenił, jeśli to jedyny sposób, aby uratować mu życie. Ale oni i tak go zabiją!

Na końcu ogrodu wykute w skale schodki prowadziły do fosy, gdzie stały przycumowane dwie spacerowe łodzie.

- Dzisiaj na wodzie byłoby chłodniej - rzekła pani Maruyama. - Można przekupić załogę...

- Nie radzę, pani - powiedziała dobitnie Shizuka. - Próba ucieczki tylko podsyci podejrzenia Iidy. Nasza jedyna szansa to ułagodzić go, dopóki Arai nie podejdzie bliżej.

- Arai nie weźmie Inuyamy, póki żyje Iida. Nie zdecyduje się na długotrwałe oblężenie. Zawsze byliśmy zdania, że tutejszy zamek jest nie do zdobycia. Jego upadek można spowodować tylko od wewnątrz. - Spojrzała w stronę fortecy. - Jakże ona nas więzi, jak trzyma w swym uścisku! A jednak muszę się stąd wyrwać...

- Proszę, nie rób nic pochopnie - nalegała Shizuka. Mariko przybiegła do nich,

narzekając, że jest za gorąco, by się bawić. W ślad za nią do siedzących podeszła Sachie.

- Zabiorę ją do środka - westchnęła pani Maruyama. - W końcu ma lekcje... - Głos jej zamarł i z oczu popłynęły łzy. - Moje biedne dziecko - wyszeptała. - Moje biedne dzieci - powtórzyła, obejmując dłońmi brzuch.

- Chodź, pani - powiedziała Sachie. - Musisz się położyć

Kaede poczuła, że w jej oczach również stają łzy współczucia. Miała wrażenie, że kamienne ściany warowni i otaczających ją murów napierają na nią; świerszcze grały coraz przenikliwiej, wręcz ogłuszająco, rozgrzane powietrze zdawało się odbijać od ziemi. Pani Maruyama miała racje - wszyscy zostali schwytani bez najmniejszej szansy na ucieczkę.

- Chcesz wrócić do rezydencji? - usłyszała pytanie Shizuki.

- Zostańmy jeszcze chwilę.

Uświadomiła sobie, że jest coś, o czym muszą porozmawiać.

- Shizuka, ty najwyraźniej możesz wychodzić i wchodzić, kiedy zechcesz. Wartownicy ci ufają.

- Mam pod tym względem trochę umiejętności Plemienia - przytaknęła Shizuka.

- Ze wszystkich obecnych tu kobiet ty jedna mogłabyś uciec. - Kaede zawahała się, niepewna, jak ująć to, co musiała powiedzieć. W końcu rzekła krótko: - Jeżeli pragniesz odejść, idź. Nie chcę, żebyś została tu z mojego powodu.

Zagryzła wargi i prędko odwróciła głowę; nie wiedziała, jak zdoła przetrwać bez tej dziewczyny, na której tak bardzo zaczęła polegać.

- Jesteśmy najbezpieczniejsze, gdy żadna z nas nie próbuje się stąd wydostać - szepnęła Shizuka. - A poza tym, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Nie opuszczę cię, chyba że mi rozkażesz. Póki żyjemy, jesteśmy ze sobą związane. - I dodała jakby do siebie: - Nie tylko mężczyźni mają honor.

- Przysłał cię do mnie pan Arai, ponadto twierdzisz, że pochodzisz z Plemienia, które przecież wykorzystało swoją władzę nad Takeo. Naprawdę możesz swobodnie podejmować decyzje? Naprawdę możesz wybrać honor?

- Jak na kogoś, kogo niczego nie nauczono, pani Shirakawa sporo rozumie - rzekła z uśmiechem Shizuka, a Kaede przez chwilę zrobiło się lżej na sercu.

Pozostały nad wodą przez większość dnia, prawie nic nie jedząc. Na kilka godzin dołączyły do nich damy dworu, z którymi Kaede rozmawiała o urodzie ogrodu oraz przygotowaniach do ślubu. Jedna z nich, która była niegdyś w Hagi, z podziwem opisywała miasto, a przy okazji opowiedziała Kaede kilka legend klanu Otori, szeptem relacjonując dzieje jego wieloletniej waśni z Tohańczykami. Wszystkie damy wyrażały radość, że zamążpójście Kaede położy kres niesnaskom, i podkreślały, że pan Iida jest zachwycony tym związkiem.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, świadoma zdradzieckich planów, uknutych pod przykrywką małżeństwa, Kaede uciekła się do pozorowania nieśmiałości; niewiele mówiła, lecz uśmiechała się tak długo, aż rozbolą ją twarz.

W pewnej chwili, zerkając w głąb ogrodu, ujrzała, że do pawilonu zbliża się

pan Iida we własnej osobie oraz czterej jego dworzanie.

Panie natychmiast zamilkły. Kaede przywołała Shizukę.

- Chyba już wróć do środka, boli mnie głowa.

- Rozczeszę ci włosy i wymasuję skronie - zgodziła się natychmiast służąca; rzeczywiście, ciężar włosów wydał się Kaede nieznośny, a jej ciało pod szatami było lepkie i pocierane. Marzyła o chłodzie, o nocy.

Kiedy jednak wyszły z pawilonu, od grupy mężczyzn odłączył się Abe, który ruszył w ich kierunku. Shizuka natychmiast padła na kolana, Kaede także się ukloniła.

- Pani Shirakawa - rzekł Abe - pan Iida życzy sobie z tobą mówić.

Z trudem skrywając niechęć, Kaede wróciła do pawilonu, gdzie Iida już rozsiadł się na poduszkach. Kobiety usunęły się nad rzekę pod pretekstem podziwiania widoku.

Kaede przypadła do drewnianej podłogi, świadoma ciężkiego spojrzenia władcy, które padało na nią niczym roztopione żelazo.

- Możesz usiąść prosto - rzekł Iida lakonicznie.

Miał chropawy głos, a uprzejme formułki brzmiały sztucznie w jego ustach. Kaede poczuła na sobie wzrok pozostałych mężczyzn, duszne milczenie, które już poznała, mieszaninę żądz i podziwu.

- Shigeru ma szczęście - powiedział Iida, a w śmiechu mężczyzn Kaede usłyszała zarówno złośliwość, jak i groźbę. Myślała, że władca chce z nią rozmawiać o ślubie lub o jej ojcu, który przysłał wiadomość, że z powodu choroby żony nie będzie mógł przybyć na uroczystości. Słowa Iidy zaskoczyły ją:

- Odnoszę wrażenie, że Arai to twój stary znajomy?

- Poznałam go, gdy służył u pana Noguchi - odparła ostrożnie.

- Noguchi wygnał go z twojego powodu - rzekł Iida. - Popełnił wielki błąd i drogo zań zapłacił. A teraz okazuje się, że będę musiał uporać się z Araim na własnym terenie.

Westchnął głęboko.

- Twój ślub z panem Otori odbywa się w samą porę.

Jestem tylko nieuczoną dziewczyną - pomyślała Kaede - wychowanką Noguchi, lojalną i głupią, która nic nie wie o intrygach klanów.

Zrobiła minę lalki, po czym przemówiła dziecinnym głosem:

- Chcę tylko uczynić to, czego pragną dla mnie pan Iida i mój ojciec.

- W podróży nie słyszałaś nic o poruszeniach Araiego? Shigeru o nim nie wspominał?

- Nie miałam żadnych wieści o panu Arai od czasu, gdy opuścił pana Noguchi.

- A jednak powiadają, że był twoim wielbicielem - rzekł Iida z przekąsem.

Ośmieliła się spojrzeć nań przez rzęsy.

- Panie, nie mogę odpowiadać za to, co mężczyźni do mnie czują.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Miał przenikliwe, drapieżne spojrzenie; poczuła, że tak jak wszyscy pożąda jej, pobudzony i zaintrygowany myślą, że

znajomość z nią grozi śmiercią.

Wstręt wezbrał jej w gardle. Wspomniała igłę, ukrytą w rękawie, wyobrażając sobie, jak gładko wchodzi w jego ciało.

- Nie - zgodził się Iida - podobnie jak nie możemy mieć pretensji do mężczyzn o to, że cię podziwiają. Istotnie, jest prześliczna - rzucił do Abe przez ramię, jakby mówił o nieożywionym dziele sztuki. - Chcesz wrócić do rezydencji? Nie będę cię zatrzymywał. Podobno jesteś delikatnego zdrowia.

- Panie Iida - skłoniła się do ziemi i na kolanach wycofała do wyjścia, gdzie Shizuka pomogła jej wstać.

Milczały, dopóki nie znalazły się w pokoju. Wówczas Kaede szepnęła:

- On wie o wszystkim.

- Nie - odparła Shizuka, biorąc grzebień i unosząc włosy dziewczyny. - Nie ma pewności. Nie ma żadnych dowodów. Dobrze się spisałaś.

Zaczęła miarowo masować czoło oraz skronie Kaede. Napięcie powoli ustępowało. Kaede rozluźniła się i wsparła plecami o dziewczynę.

- Chciałabym kiedyś odwiedzić Hagi. Pojechałabyś ze mną?

- Jeżeli do tego dojdzie, nie będę ci już potrzebna - odparła Shizuka z uśmiechem.

- Chyba zawsze będziesz mi potrzebna - rzekła Kaede głosem, do którego zakradł się ton smutku. - Być może mogłabym być szczęśliwa z panem Shigeru... Gdybym nie poznała Takeo, gdyby on nie pokochał...

- Cicho, cicho - szepnęła Shizuka, nie przestając uciskać i gładzić jej czoła.

- Moglibyśmy mieć dzieci - ciągnęła Kaede sennie. - Wiem, że nic takiego się nie zdarzy, a jednak muszę udawać, że tak będzie.

- Jesteśmy w przededniu wojny - mruknęła Shizuka. - Nie wiemy nawet, co się stanie za dwa dni, a cóż dopiero mówić o dalszej przyszłości?

- Gdzie może być teraz pan Takeo? Domyślasz się?

- W jednym z tajnych domów Plemienia, oczywiście, jeżeli wciąż przebywa w stolicy. Ale mogli go już wywieźć poza granicę lenna.

- Czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę? - zapytała Kaede, nie spodziewając się odpowiedzi. Shizuka milczała, jej palce nie przestawały się poruszać. W ogrodzie za otwartymi drzwiami powietrze drgało od żaru, świerszcze grały przenikliwiej niż zwykle.

Dzień gaś powoli, a cienie stawały się coraz dłuższe.



Rozdział jedenasty

Ocknąłem się w ciemności. Straciłem przytomność zaledwie na moment i od razu pojąłem, że znajduję się w wozie. Poza mną były tu jeszcze dwie osoby, które mocno przytrzymały mnie za ramiona. Po oddechu odgadłem, że jedna z nich to Kenji; drugą, wnosząc z zapachu perfum, była jedna z dziewcząt.

Miałem okropne mdłości, jakbym oberwał w głowę, a ruch pojazdu pogarszał jeszcze moje samopoczucie.

- Będę wymiotował - jęknąłem.

Kenji zwolnił uścisk. Usiadłem, czując, że żółć podchodzi mi do gardła, lecz równocześnie zdałem sobie sprawę, że dziewczyna już mnie nie trzyma. W okamgnieniu zapomniałem o nudnościach i rozpaczliwie skoczyłem ku klapie z tyłu wozu, osłaniając głowę rękami.

Klapa była mocno zamknięta od zewnątrz. Gwóźdź rozdarł mi skórę na dłoni; Kenji i dziewczyna pochwycili mnie i przycisnęli do ziemi, mimo że ze wszystkich sił się wyrywałem. Ktoś na zewnątrz krzyknął ostrzegawczo, ostro i gniewnie. Kenji zaklął.

- Zamknij się! Leż spokojnie! Jeśli Tohan cię znajda, zginiesz!

Ale nie słuchałem głosu rozsądku. W dzieciństwie często przynosiłem do domu dzikie zwierzęta, lisiątka, gronostaje, małe króliczki, lecz nigdy nie udało mi się ich oswoić. Jedynym ich dążeniem było wydostanie się na wolność, do czego parły irracjonalnie i ślepo. Teraz przypominał mi się ów bezrozumny pęd - mnie również nic nie obchodziło, poza tym, że nie mogę dopuścić, by Shigeru uwierzył, że go zdradziłem. Nie zostanę z Plemieniem, myślałem. Nie zdołają mnie zatrzymać.

- Ucisz go - szepnął Kenji do dziewczyny, usiłując mnie obezwładnić, i pod jej dotknięciem świat znów zrobił się mdlący i czarny.

Kiedy ponownie się ocknąłem, miałem wrażenie, że nie żyję i przeniosłem się do świata podziemi. Nic nie widziałem ani nie słyszałem; wokół panowała całkowita ciemność, nie docierały do mnie żadne dźwięki. Jednak z chwilą, gdy zaczęło mi wracać czucie, pojąłem, że jak na kogoś, kto umarł, jestem za bardzo obolały - piekło mnie w gardle, w ramieniu pulsował ból, nadgarstek rwał w miejscu, gdzie został wykrecony. Próbowałem usiąść, ale okazało się, że jestem związany i że więzy, wprawdzie miękkie i luźne, są dość skuteczne, by ograniczyć mi ruchy. Potrząsnąwszy kilkakrotnie głową, odkryłem, że mam związane oczy, jednak najbardziej przerażał mnie brak słuchu. Dopiero po kilku chwilach zorientowałem się, że również moje uszy zostały zatkane. Ogarnęła mnie przemożna ulga, że nie ogłuchłem.

Wzdrygnąłem się, czując na czole dotknięcie czyjejś ręki. Po chwili zdjęto mi

opaskę. Przy mnie klęczał Kenji, a widok jego twarzy w świetle stojącego na podłodze kaganka uświadomił mi, że mam do czynienia z kimś niezwykle niebezpiecznym. Przypomniałem sobie, jak przysięgał, że odda życie, aby mnie chronić. Obecnie ochrona z jego strony była ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem.

Zobaczyłem, że porusza ustami.

- Nic nie słyszę - powiedziałem. - Musisz mi wyjąć zatyczki.

Spełnił moją prośbę. Świat powrócił, ja zaś w milczeniu czekałem, by znów się w nim odnaleźć. Z oddali dobiegł mnie szum rzeki, z czego wywnioskowałem, że wciąż przebywam w Inuyamie. W domu wokół mnie panowała cisza; z wyjątkiem szepczących przy bramie strażników wszyscy spali. Odgadłem, że pora jest późna, i w tej samej chwili usłyszałem dźwięk świątynnego dzwonu, bijącego północ.

Powinienem być teraz na zamku.

- Przykro mi, że sprawiliśmy ci ból - rzekł Kenji. - Nie musiałeś aż tak się wyrywać.

Czułem, że lada chwila znowu wybuchnę wściekłością. Próbuąc nad sobą zapanować, zapytałem:

- Gdzie jestem?

- W jednym z domów Plemienia. Za parę dni wywieziemy cię ze stolicy.

Jego chłodny, rzeczowy ton jeszcze bardziej mnie rozgniewał.

- Owego wieczora, po mojej adopcji, powiedziałeś, że nigdy go nie zdradzisz.

Pamiętasz?

Kenji westchnął.

- Obaj mówiliśmy wówczas o sprzecznych zobowiązaniach. Shigeru wie, że przede wszystkim służę Plemieniu. Ostrzegałem go zarówno wtedy, jak i wiele razy później, że Plemię rości sobie do ciebie prawa i że prędzej czy później zechce je wyegzekwować.

- Dlaczego dzisiaj? - zapytałem z goryczą. - Nie mogliście poczekać jeden dzień?

- Niewykluczone, że dałbym ci tę szansę, gdyby to zależało ode mnie. Ale incydent w Yamagacie spowodował, że sprawa wymknęła mi się z rąk. A poza tym, zapewne byłbyś już martwy i nikomu byś się nie przydał.

- Ale najpierw zabiłbym Iidę - warknąłem.

- Rozważano tę możliwość - odparł Kenji - i uznano, że nie leży ona w interesie Plemienia.

- Ach, tak? Pewnie większość z was pracuje dla niego?

- Pracujemy dla tego, kto najlepiej płaci. Lubimy spokój społeczny, gdyż otwarta wojna utrudnia nam działanie. Rządy Iidy, choć bezwzględne, zapewniają spokój. To nam odpowiada.

- A więc przez cały czas zwodziłeś Shigeru?

- Podobnie jak on bez wątpienia wielokrotnie zwodził mnie. - Zamilkł. - Shigeru od początku był skazany na klęskę - powiedział wreszcie. - Zbyt wielu potężnych ludzi chce się go pozbyć. I tak świetnie manewrował, skoro udało mu się przetrwać aż tak długo.

Przeszył mnie dreszcz.

- On nie może umrzeć - szepnąłem.

- Iida z pewnością zabije go pod byle pretekstem - rzekł miękko Kenji. - Stał się zbyt niebezpieczny, aby pozwolono mu żyć. Poza tym, że obraził Iidę osobiście - mówię o romansie z panią Maruyama i adoptowaniu ciebie - klan Tohan głęboko zaniepokoił się zajściami w Yamagacie.

Lampa zafilowała i zaczęła kopcić.

- Problem z Shigeru polega na tym, że ludzie go kochają.

- Nie możemy go opuścić! Wracajmy!

- Decyzja nie należy do mnie. A nawet gdyby było inaczej, nie mógłbym już nic zrobić. Iida wie, że jesteś jednym z Ukrytych. Przekazałby cię Ando, tak jak obiecał. Shigeru czeka śmierć wojownika, szybka, honorowa; ty byłbyś poddany torturom. A wiesz, jak oni postępują.

Milczałem. Bolała mnie głowa, owładnęło mną nieznośne poczucie klęski. Dotychczas każda cząstka mej istoty wymierzona była niczym włócznia w jeden cel. Teraz, kiedy zniknęła podtrzymująca tę włócznię dłoń, stałem się bezużyteczny.

- Daj spokój, Takeo - rzekł Kenji, patrząc na mnie uważnie. - Już po wszystkim.

Powoli skinałem głową. Lepiej było udawać, że przyznaję mu rację.

- Strasznie chce mi się pić.

- Zrobię herbaty. Łatwiej zaśniesz. Masz ochotę coś zjeść?

- Nie. Mógłbyś mnie rozwiązać?

- Nie dzisiaj - odparł.

Rozmyślałem o jego słowach, zapadając w drzemkę i ponownie się budząc, usiłując znaleźć wygodną pozycję pomimo więzów na rękach i nogach. W końcu uznałem, że Kenji obawia się, iż rozwiązany mógłbym uciec, a skoro tak sądził mój nauczyciel, zapewne była to prawda. Owa świadomość była mi jedyną pociechą, ale nie na długo.

Przed świtem zaczęło padać. Usłyszałem, jak wypełniają się rynsztoki, a z dachów zaczyna się lać woda. Potem zapiąły koguty; miasto budziło się ze snu. Dobiegły mnie rozmowy krzątającej się służby oraz zapach dymu z rozpalonego w kuchni ognia. Słuchałem głosów i kroków, nieustannie je licząc, wnioskując z nich o rozkładzie domu, o jego położeniu na ulicy i w najbliższym sąsiedztwie. Zapachy i dźwięki wkrótce powiedziały mi, że zostałem ukryty w browarze, w jednym z wielkich kupieckich domostw na skraju miasta. Okna pomieszczenia, gdzie przebywałem, wąskiego niczym legowisko węgorza, wychodziły na sąsiedni pokój, toteż mrok zalegał w nim długo po wschodzie słońca.

Nieustannie dręczyły mnie pytania. Pojutrze miał się odbyć ślub Shigeru. Czy on przeżyje do tego czasu? A jeśli zostanie zabity wcześniej, jaki los czeka Kaede? Jak Shigeru spędzi najbliższe dwa dni? Co robi teraz? Czy myśli o mnie? Sama myśl, że mógłby uznać, iż uciekłem odepchnięty z własnej woli, była dla mnie torturą. A co powiedzą ludzie Otori? Po prostu zaczną mną gardzić.

Zawołałem do Kenjiego, że muszę iść do ustępu. Rozwiązał mi nogi, po czym

wyprowadził do zewnętrznego pokoju i powiódł schodami w dół na podwórko od tyłu. Kiedy służąca przyniosła mi wodę w misce do mycia rąk, dostrzegłem, że jestem pokryty krwią. Niemożliwe, abym tak krwawił po jednym zadrapaniu gwoździem - musiałem kogoś nieźle zranić. Ciekawe - pomyślałem - gdzie teraz jest mój nóż.

Po powrocie do sekretnego pokoju Kenji nie skrępował mi nóg.

- Co teraz? - zapytałem.

- Spróbuj znowu zasnąć. Dzisiaj nic więcej się nie zdarzy.

- Mam spać? Chyba już nigdy nie zasnę!

Kenji przyjrzał mi się uważnie, po czym rzucił krótko:

- To minie.

Gdybym miał wolne ręce, byłbym go chyba zabił. Rzuciłem się nań tak jak stałem, z rozmachem uderzając go w bok związanymi rękami. Mój atak go zaskoczył. Obydwaj padliśmy na ziemię, lecz Kenji, zwinny niczym wąż, natychmiast obrócił się pode mną i przygwoździł mnie do podłogi. Tym razem i jego ogarnęła furia. Widywałem go już rozdrażnionego, lecz nigdy tak wściekłego jak teraz. Dwukrotnie uderzył mnie w twarz, zadając mi prawdziwe ciosy, od których dzwoniły zęby oraz kręciło się w głowie.

- Przestań! - wrzasnął. - Wybiję ci to z głowy siłą, jeśli będę musiał! Chcesz tego?

- Tak! - odwrzasnąłem. - Proszę bardzo, zabij mnie! Tylko w ten sposób mnie powstrzymasz!

Wygiąłem się w kabłąk i przetoczyłem na bok, zrzucając go z siebie, kopiąc i gryząc. Znow się zamachnął, lecz udało mi się uchylić przed ciosem. Rzuciłem się do walki, ciskając przekleństwami.

Za drzwiami rozległy się szybkie kroki. Do pokoju wpadła dziewczyna z Yamagaty oraz jeden z młodzieńców. We trójkę w końcu mnie obezwładnili, lecz byłem tak wściekły, na pół oszalały z gniewu, że ponowne spętanie mi nóg zajęło im sporo czasu.

Młodzi ludzie ze zdumieniem patrzyli to na mnie, to na kipiącego złością Kenjiego.

- Mistrzu - powiedziała w końcu dziewczyna - zostaw go nam. Przypilnujemy go. Ty powinieneś odpocząć.

Byli wyraźnie zdziwieni i poruszeni faktem, że stracił panowanie nad sobą.

Przez wiele miesięcy przebywałem z nim jako uczeń. Nauczył mnie niemal wszystkiego, co umiałem; byłem mu bezwarunkowo posłuszny, znosiłem jego zrzęcenie, drwiny, nagany. Postanowiłem odsunąć na bok początkowe podejrzenia i obdarzyć go zaufaniem. Wszystko to legło teraz w gruzach - jeśli o mnie chodzi, nieodwracalnie.

Uklęknął przede mną, chwycił mnie za głowę i zmusił, bym na niego spojrzał.

- Próbuję uratować ci życie! To nie dociera do twojej zakutej pały?

Plunałem mu w twarz, oczekując kolejnego uderzenia, lecz młody człowiek powstrzymał jego rękę.

- Odejdź, mistrzu - powtórzył. Kenji wstał.

- Co za upór, co za szaleństwo płynie w twoich żyłach! Odziedziczyłeś je po matce? - zawołał.

Przy drzwiach odwrócił się jeszcze.

- Bądźcie czujni - ostrzegł. - Nie rozwiązujcie go.

Po jego odejściu chciałem krzyczeć i płakać, niczym dziecko w napadzie szału. Pod powiekami czułem łzy gniewu i rozpacz. W końcu padłem na materac, odwracając twarz do ściany.

Niebawem dziewczyna opuściła pokój, po czym wróciła, niosąc zimną wodę oraz ręcznik. Zmusiła mnie, bym usiadł, i obmyła mi twarz. Miałem pękniętą wargę, czułem także, że puchnie mi policzek oraz podbite oko. Choć moja strażniczka nic nie mówiła, z delikatności jej ruchów wywnioskowałem, że mi współczuje.

Młody człowiek patrzył na mnie i również milczał.

Dużo później przyniesiono mi herbatę oraz coś do zjedzenia. Napilem się, ale jeść nie chciałem.

- Gdzie jest mój nóż? - zapytałem.

- My go mamy - odparła dziewczyna.

- Zraniłem cię?

- Nie, to Keiko. Ona i Akio są ranni w ręce, niezbyt poważnie.

- Żałuję, że nie zabiłem was wszystkich.

- Wiem - odpowiedziała. - Nie można powiedzieć, że poddałeś się bez walki. Miałeś przeciwko sobie pięcioro członków Plemienia. To żadna hańba.

Ja czułem jednak, że hańba przenika mnie na wskroś, jakby barwiła na czarno moje białe kości.

Duszny, ponury dzień powoli mijał. Gdy w świątyni na końcu ulicy przebrzmiało bicie wieczornego dzwonu, do drzwi pomieszczenia podeszła Keiko i jęła szeptać z moimi strażnikami. Doskonale słyszałem, co mówią, aczkolwiek z przyzwyczajenia nie dałem nic po sobie poznać. Ktoś chciał się ze mną widzieć, ktoś imieniem Kikuta.

Po chwili do pokoju wszedł szczupły mężczyzna średniego wzrostu, a za nim Kenji. Podobieństwo między nimi rzucało się w oczy - cechowała ich ta sama płynna zmienność wyglądu, sprawiająca, że nigdy nie rzucali się w oczy. Skóra nowo przybyłego była ciemna, o barwie zbliżonej do mojej, zachował także czarne włosy, choć zapewne dobiegał już czterdziestki.

Przez pewien czas przypatrywał mi się, po czym ukląkł przy mnie i tak samo jak Kenji podczas pierwszego spotkania, ujął moje dłonie, obracając je wnętrzem do góry.

- Dlaczego jest związany?

Jego głos również nie przykuwał uwagi, jednak intonacja wskazywała, że pochodzi z Północy.

- Próbował uciec, mistrzu - odparła dziewczyna. - Teraz jest spokojniejszy, ale przedtem dziko się szarpał.

- Dlaczego chcesz uciec? - zwrócił się do mnie nieznajomy. - Przecież jesteś

tam, gdzie twoje miejsce.

- To nie jest moje miejsce - warknąłem. - Przysięgłem wierność panu Otori, zanim w ogóle dowiedziałem się o Plemieniu. Klan Otori prawnie mnie adoptował.

- Hmm - chrząknął. - Słyszałem, że Otori mówią na ciebie Takeo. Jak masz naprawdę na imię? Nie odpowiedziałem.

- Wychował się wśród Ukrytych - powiedział cicho Kenji. - Przy narodzinach nadano mu imię Tomasu.

Kikuta syknął przez zęby.

- Lepiej o tym zapomnieć - rzekł w końcu. - Na razie możesz nazywać się Takeo, chociaż w Plemieniu nie używamy tego imienia. Wiesz, kim jestem?

- Nie - odparłem, chociaż już się domyślałem.

- Nie, mistrzu. - Młody strażnik nie umiał powstrzymać szeptu nagany.

Kikuta uśmiechnął się.

- Kenji, nie nauczyłeś go manier?

- Uprzejmość jest dla tych, którzy na nią zasługują - mruknąłem.

- Jeszcze zrozumiesz, że i ja na nią zasługuję. Jestem Kikuta Kotaro, głowa twego rodu, brat stryjeczny twego ojca.

- Nie znałem ojca i nigdy nie używałem jego imienia.

- Ale masz wszystkie cechy rodu Kikuta; ostrość słuchu, zdolności artystyczne oraz wiele innych znanych nam talentów, a poza tym te linie na dłoniach. Temu nie możesz zaprzeczyć.

Z oddali dobiegł mnie słaby odgłos, pukanie do drzwi warsztatu na dole. Usłyszałem, że ktoś je odsuwa i wszczyna bląhą rozmowę o winie. Kikuta również nieznacznie odwrócił głowę. Coś poczułem - coś, co było mi bliskie.

- Słyszysz wszystko? - zapytałem.

- Nie tyle, co ty. Ta zdolność z wiekiem zanika. Ale prawie wszystko.

- Pewien młody człowiek, mnich w Terayamie, powiedział kiedyś: „Jak pies”.

- W moim głosie zabrzmiała gorycz. - „Użyteczny dla swoich panów”, oto jego słowa. Dlatego mnie porwaliście? Będę dla was użyteczny?

- Nie chodzi o użyteczność - przerwał mi. - Chodzi o to, że urodziłeś się członkiem Plemienia. Należysz do nas. Należałbyś do nas, nawet gdybyś nie miał żadnych zdolności, i odwrotnie, nawet gdybyś był najzdolniejszy na świecie, a nie pochodził z Plemienia, nie mógłbyś do nas należeć i nikt by się tobą nie interesował. Ale twój ojciec był Kikuta, więc i ty jesteś Kikuta.

- Nie mam wyboru?

Znow się uśmiechnął.

- To nie jest coś, co można wybrać. Nie masz przecież wpływu na to, że tak dobrze słyszysz.

Ten człowiek uspokajał mnie tak samo, jak ja uspokajałem konie - dzięki zrozumieniu mojej natury. Nigdy przedtem nie znałem nikogo, kto wiedziałby, co to znaczy być Kikuta. Ta świadomość była dla mnie ogromnie pociągająca.

- Przypuśćmy, że się zgodzę; co zamierzacie ze mną zrobić?

- Znaleźć ci bezpieczne miejsce w innym lennie, z dala od Tohan, żebyś mógł

dokończyć nauki.

- Mam dość nauk! Skończyłem z nauczycielami!

- Muto Kenji został wysłany do Hagi dzięki długotrwałej przyjaźni, łączącej go z Shigeru. Wiele cię nauczył, ale Kikuta powinien pobierać nauki od Kikuty.

Lecz ja już go nie słuchałem.

- Przyjaźni? On go oszukał i zdradził!

- Jesteś bardzo zdolny, Takeo - głos Kikuty zabrzmiał ciszej - nikt też nie wątpi w twoją odwagę i wielkie serce. Niestety, głowa wymaga uporządkowania. Musisz nauczyć się panować nad emocjami.

- Żebym mógł zdradzać starych przyjaciół z taką łatwością, jak Muto Kenji?

Krótką chwilą spokoju minęła. Czułem, że znów wzbiera we mnie furia; chciałem się jej poddać, albowiem tylko furia mogła zatrzeć hańbę. Młodzi ludzie zrobili krok naprzód, gotowi rzucić się na pomoc, lecz Kikuta powstrzymał ich gestem. Chwycił mnie za ramiona, po czym mocno je ścisnął.

- Popatrz na mnie - rozkazał.

Wbrew woli podniosłem wzrok. Doznałem uczucia, że wciąga mnie wir własnych uczuć i tylko oczy Kikuty nie pozwalają mi utonąć. Powoli wściekłość zniknęła, zastąpiona przez niezmierne znużenie. Nie potrafiłem walczyć ze snem, który nadciągał nieubłagane niczym chmury nad górski łańcuch. Kikuta przytrzymał mnie spojrzeniem, aż moje oczy same się zamknęły. Pochłonęła mnie mgła.

Kiedy się obudziłem, był dzień. Ukośne promienie słońca wpadały do pokoju sąsiadującego z moim sekretnym więzieniem, rzucając na posłanie mętne pomarańczowe światło. Nie mogłem uwierzyć, że znowu jest popołudnie - musiałem przespać prawie całą dobę. Dziewczyna siedziała na podłodze nieopodal mnie, zdałem sobie także sprawę, że ktoś - zapewne drugi strażnik - właśnie wyszedł, a tym, co mnie obudziło, był odgłos zamykanych drzwi.

- Jak ci na imię? - zapytałem.

Nadal chrypiałem i nadal bolało mnie gardło.

- Yuki.

- A ten, co wyszedł?

- Akio.

Człowiek, którego podobno zraniłem.

- Co mi zrobili?

- Mistrz Kikuta? Po prostu cię uśpił. To coś, co Kikuta umieją robić.

Przypomniały mi się psy w Hagi. Coś, co Kikuta umieją robić...

- Która godzina?

- Pierwsza połowa godziny Koguta.

- Są jakieś wieści?

- O panu Otori? Nie ma.

Zbliżyła się i wyszeptała:

- Chcesz, to zaniosę mu wiadomość...

Spojrzałem na nią zdumiony.

- A możesz?

- Pracowałam jako pokojówka na jego kwaterze, i tu, i w Yamagacie. - Zerknęła na mnie znacząco. - Mogłabym spróbować porozmawiać z nim dziś wieczorem albo jutro rano.

- Powiedz mu, że nie opuściłem go z własnej woli. Zapytaj, czy mi przebaczy...

Zbyt wiele było rzeczy, których nie dało się ująć w słowa. Urwałem.

- Dlaczego to dla mnie robisz?

Potrząsnęła z uśmiechem głową, dając znak, że nie powinniśmy dłużej rozmawiać. Do pokoju wszedł Akio. Miał opatrunek na rękę i odnosił się do mnie chłodno.

Później rozwiązano mi nogi, zabrano do łaźni, rozebrano i pozwolono wejść do gorącej wody. Ruszałem się jak kaleka; bolały mnie wszystkie mięśnie.

- Tak właśnie jest, kiedy ktoś dostaje ataku furii - powiedziała Yuki. - Nie masz pojęcia, jak wielką krzywdę może ci wyrządzić twoja własna siła.

- Dlatego trzeba się nauczyć panowania nad sobą - dodał Akio. - Inaczej stanowi się zagrożenie dla innych i dla samego siebie.

- Przez swoje nieposłuszeństwo złamałeś wszystkie reguły Plemienia - oznajmił, gdy wróciliśmy do pokoju. - Niech to będzie dla ciebie karą.

Zdałem sobie sprawę, że nie chodzi mu tylko o to, iż go zraniłem - oprócz urazy targała nim niechęć i zazdrość. Niewiele mnie to jednak obchodziło. Miałem straszliwy ból głowy; choć wściekłość już mi przeszła, zastąpił ją bezdenne smutek.

Moi strażnicy wyraźnie uznali, że nastąpiło coś w rodzaju zawieszenia broni, gdyż nie nałożyli mi więzów. I tak nie byłbym w stanie nigdzie pójść; ledwie mogłem poruszać nogami, a cóż dopiero wyjść przez okno i wspiąć się na dach. Z trudem przełknąłem kilka kęsów posiłku, pierwszego od dwóch dni. Akio i Yuki wyszli, a ich miejsce zajęła Keiko - również z zabandażowaną ręką - oraz drugi młodzieniec, noszący imię Yoshinori. Oboje zachowywali się wobec mnie równie wrogo jak Akio, więc nie zamieniliśmy ani słowa.

Rozmyślałem o Shigeru, zanosząc modły, by Yuki udało się z nim porozmawiać. Wtem uświadomiłem sobie, że modłę się na sposób Ukrytych, a słowa same spływają mi na język, jakbym mimo wszystko wyssał je z mlekiem matki. Szeptalem je pod nosem niby dziecko; najwyraźniej przyniosły mi pociechę, gdyż po pewnym czasie zapadłem w głęboki sen.

Obudziłem się odświeżony. Był ranek, a mój stan musiał się trochę poprawić, albowiem poruszenia już nie sprawiały mi bólu. Wróciła Yuki i widząc, że nie śpię, pod jakimś pretekstem odprawiła Akio. Wyglądała na starszą od pozostałych, odniosłem też wrażenie, że ma nad nimi pewną władzę.

Natychmiast powiedziała mi to, co pragnąłem usłyszeć.

- Wczoraj wieczorem poszłam do domu gościnnego i udało mi się zobaczyć z panem Otori. Z wielką ulgą przyjął wiadomość, że nic ci się nie stało. Najbardziej się obawiał, że zostałeś pojmany lub zabity przez Tohan. Wczoraj nawet napisał do ciebie list, w nadziei, dość szaleńczej, że pewnego dnia uda ci się go odebrać.

- Przyniosłaś go?

Przytaknęła.

- Dał mi dla ciebie coś jeszcze. Ukryłam to w schowku.

Odsunęła drzwiczki schowka na pościel i spod sterty kołder wyciągnęła podłużne zawiniątko. Rozpoznałem tkaninę - była to stara szata podróżna Shigeru, być może nawet ta, którą miał na sobie, kiedy uratował mi życie w Mino. Yuki podała mi pakunek, a ja zaś uniosłem go do oczu. Od razu poznałem, jaki to sztywny przedmiot znajduje się w środku. Odwinąłem szatę i moim oczom ukazał się Jato.

Przez chwilę sądziłem, że umrę z żalu, po czym zalałem się niepowstrzymanymi łzami.

- Na ślub do zamku musi iść bez broni - rzekła łagodnie Yuki. - Nie chciał, aby miecz przepadł, gdyby nie udało mu się wrócić.

- Nie wróci - wykrztusiłem, a łzy strumieniem płynęły mi z oczu.

Yuki wyjęła mi z dłoni miecz i ponownie ukryła w schowku.

- Dlaczego to zrobiłaś? To chyba wbrew zakazom Plemienia?

- Pochodzę z Yamagaty - odparła. - Byłam tam, kiedy zamordowano Takeshiego. Rodzina, którą zabito razem z nim... Dorastałam z ich córką. Widziałeś, co się dzieje w Yamagacie, jak ludzie kochają Shigeru. Ja myślę podobnie. Uważam, że Kenji, mistrz Muto, skrzywdził was obu.

W jej głosie zabrzmiało wyzwanie; przypominała oburzone, krnąbrne dziecko. Nie miałem siły dłużej jej wypytывать, odczuwałem jedynie niezmierną wdzięczność za to, co dla mnie uczyniła.

- Daj mi list - szepnąłem po chwili.

Shigeru także wyszedł ze szkoły Ichiro, toteż jego pismo było śmiałe i płynne, takie, jakie moje być powinno, ale nigdy nie było.

Najpierw przeczytałem dzisiejszą notatkę:

Takeo, ogromnie się cieszę, że jesteś bezpieczny. Nie muszę niczego Ci wybaczać. Wiem, że nigdy byś mnie nie zdradził, zawsze też wiedziałem, że Plemię zechce Cię zabrać. Myśl o mnie jutro.

Po czym następował wcześniej napisany list:

Takeo, tak się stało, że nie możemy dalej ciągnąć naszej wojennej gry. Żałuję wielu rzeczy, ale przynajmniej został mi oszczędzony ból wystania Cię na śmierć. Jestem przekonany, że znajdujesz się w rękach Plemienia, toteż nie mam już wpływu na Twój los. Jednakże nadal jesteś moim adoptowanym synem, a także moim jedynym prawnym spadkobiercą, mam więc nadzieję, że kiedyś zdołasz objąć należne ci dziedzictwo Otori. Jeżeli zginę z rąk Iidy, żądam, byś mnie pomścił, łecz nie oplakiwał, sądzę bowiem, że osiągnę więcej po śmierci niż za życia. Bądź cierpliwy; proszę także, byś zaopiekował się panią Shirakawa.

Jestem przekonany, że w przeszłym życiu łączyła nas więź, która określiła siłę naszych wzajemnych uczuć. Cieszę się, że spotkaliśmy się w Mino. Ściskam Cię serdecznie,

Twój przybrany ojciec Shigeru.

Pod spodem widniała jego pieczęć.

- Ludzie Otori uważają, że ty i mistrz Muto zostaliście zamordowani - powiedziała Yuki. - Nikt nie wierzy, że mógłbyś odejść dobrowolnie. Sądziłam, że

zechcesz o tym wiedzieć.

Pomyślałem o tych wszystkich ludziach, którzy mi dokuczali, rozpieszczali mnie i uczyli, którzy cierpliwie znosili moją obecność, którzy byli ze mnie dumni i nadal myśleli o mnie jak najlepiej. Szli na pewną śmierć, a jednak zazdrościłem im, gdyż mogli umrzeć z Shigeru, podczas gdy ja zostałem skazany na życie - na dożywotni wyrok, który zaczynał się od tego straszliwego dnia.

Najśłabszy dźwięk z zewnątrz sprawiał, że zrywałem się na równe nogi. W pewnej chwili, około południa, wydało mi się, że z bardzo daleka dobiegają krzyki i szczęk broni, ale nikt nie przyszedł, by cokolwiek mi powiedzieć. Nad miastem zaległa ciężka, nienaturalna cisza.

Jedyną pociechą była dla mnie myśl o Jato, leżącym w ukryciu na wyciągnięcie ręki. Wielokrotnie niemal zań chwytałem, aby wywalczyć sobie wyjście z domu, lecz za każdym razem powstrzymywały mnie słowa Shigeru, nakazujące mi cierpliwość. Wściekłość w moim sercu ustąpiła miejsca żalości, teraz jednak, kiedy lży obeszły, uczucie to z wolna zamieniało się w determinację. Nie zamierzałem oddać życia na próżno, chyba że pociągnąłbym za sobą lidę.

Mniej więcej w godzinie Małpy w warsztacie na dole rozległy się głosy. Serce mi zamarło - pojąłem, że przyniesiono jakieś wieści. Dziesięć minut później zjawiała się Yuki i odprawiła moich strażników, Keiko i Yoshinoriego.

Uklękła, kładąc mi dłoń na ramieniu.

- Muto Shizuka przysłała z zamku wiadomość. Mistrzowie idą tutaj, żeby ci ją przekazać.

- On nie żyje?

- Gorzej; jest w niewoli. Wszystko ci opowiedzą.

- Ma się zabić?

Yuki zawahała się, po czym szybko odrzekła, nie patrząc mi w oczy:

- Iida oskarżył go, że dał schronienie jednemu z Ukrytych... że sam do nich należy. Ando, który ma z nim prywatny zatarg, zażądał surowej kary. Pan Otori został pozbawiony rycerskich przywilejów i będzie potraktowany jak pospolicity przestępca.

- Iida się nie ośmieli! - wykrzyknąłem.

- Już się ośmielił.

Oburzenie i szok wyzwoliły we mnie falę energii. Słyszając w sąsiednim pokoju zbliżające się kroki, skoczyłem do schowka i wydobyłem miecz. Jednym ruchem wyciągnąłem go z pochwy, czując, jak układa mi się w dłoniach, po czym uniosłem go nad głowę.

Do pomieszczenia weszli Kenji i Kikuta. Na widok miecza znieruchomieli. Kikuta sięgnął za pazuchę po nóż, ale Kenji nie poruszył się.

- Nie zaatakuję was - powiedziałem - choć zasłużyliście na śmierć. Ale zabiję siebie...

Kenji przewrócił oczami.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział łagodnie Kikuta.

Po chwili syknął i dodał zniecierpliwiony:

- Siadaj, Takeo. Udowodniłeś, na co cię stać.

Wszyscy ostrożnie osunęliśmy się na podłogę. Położyłem miecz na macie obok siebie.

- Widzę, że Jato cię odnalazł - rzekł Kenji. - Powinienem być to przewidzieć.

- Ja go przyniosłam, mistrzu - powiedziała Yuki.

- Nie, to miecz cię wykorzystał. Takim sposobem przechodzi z rąk do rąk. Sam wiem o tym najlepiej: użył mnie, by odnaleźć Shigeru po Yaegaharze.

- Gdzie jest Shizuka? - zapytałem.

- Wciąż na zamku. Nie mogła przyjść osobiście. Nawet przekazując wiadomość, wiele ryzykowała, chciała jednak byśmy wiedzieli, co się stało. Pyta też, co zamierzamy zrobić.

- Mówcie.

- Wczoraj pani Maruyama usiłowała wraz z córką uciec z zamku - głos Kikuty był równy, pozbawiony emocji. - Przekupiła wioślarzy, aby przewieźli ją przez rzekę, ale została zdradzona. Łódź przechwycono, a kobiety rzuciły się do wody. Pani wraz z córką utonęły, lecz służącą, Sachie, udało się uratować, choć byłoby dla niej lepiej, gdyby umarła. Na torturach wyjawiała wszystko, co wiedziała o romansie jej dostojności z Shigeru, o układzie z Araim oraz o powiązaniach Otorich z Ukrytymi.

- Do ostatniej chwili Iida stwarzał pozory, że ślub jednak się odbędzie - podjął opowiadanie Kenji. - Ale gdy Shigeru znalazł się na zamku, jego święte zgładzono, on zaś sam został oskarżony o zdradę. - Urwał, po czym dodał cicho: - Już wisi na zamkowym murze.

- Ukrzyżowany? - wyszeptalem.

- Powieszony za ręce.

Zacisnąłem powieki, wyobrażając sobie ból wyłamanych ramion, powolną śmierć przez uduszenie, uczucie straszliwego upokorzenia.

- Zginie jak wojownik, szybko i z honorem, tak? - warknąłem oskarżycielsko do Kenjiego.

Nie odpowiedział. Jego twarz, zwykle ruchliwa, zastygła i pobladła.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem Jato.

- Mam dla Plemienia propozycję - zwróciłem się do Kikuty. - Podobno służycie tym, którzy najwięcej płacą. Chcę kupić od was własne usługi za coś, co wyraźnie cenicie - to znaczy za swoje życie i posłuszeństwo. Pozwólcie mi dziś wieczorem go zdjąć. W zamian zrzeknę się imienia Otori i przyłączę się do Plemienia. Jeżeli się nie zgodzicie, zakończę swoje życie tu i teraz. Nigdy nie wyjdę z tego pomieszczenia.

Dwaj mistrzowie wymienili spojrzenia. Kenji niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Muszę pogodzić się z faktem, że okoliczności się zmieniły i znaleźliśmy się w sytuacji patowej - westchnął Kikuta.

Na ulicy wybuchło jakieś zamieszanie, rozległ się tupot i krzyki; zauważyłem, że obaj, nasłuchując, przyjeśliśmy taką samą pozę.

- Zgadzam się na twoją propozycję - oznajmił Kikuta, gdy dźwięki ucichły. - Pozwalam ci pójść dzisiaj do zamku.

- Pójdę z nim razem - rzekła Yuki - i przygotuję wszystko, co trzeba.

- Jeżeli mistrz Muto się zgodzi.

- Dobrze - przytaknął Kenji. - Ja też pójdę.

- Nie musisz - mruknąłem.

- Niemniej idę z tobą.

- Wiadomo, gdzie teraz znajduje się Arai? - zapytałem.

- Nawet gdyby maszerował całą noc, nie dotarłby tutaj przed świtem - odpowiedział Kenji.

- Ale jest w drodze?

- Shizuka uważa, że Arai nie ruszy na zamek. Jedyna nadzieja w tym, że uda mu się sprowokować Iidę do walk na granicy.

- A Terayama?

- Kiedy dowiedzą się o tej zbrodni, nastąpi wybuch - odparła Yuki. - W Yamagacie również.

- Póki Iida żyje, żaden bunt nie ma szans powodzenia, a poza tym, te ogólne sprawy nas nie dotyczą - przerwał gniewnie Kikuta. - Pozwalam ci znieść na dół ciało Shigeru, nasza umowa nie obejmuje nic więcej.

Nie odpowiedziałem. Póki Iida żyje... Znów zaczęło padać; łagodny szum otulił całe miasto, zmywając dachówki i bruki, odświeżając stojące powietrze.

- A pani Shirakawa? - zapytałem.

- Shizuka mówi, że jest wstrząśnięta, lecz spokojna. Najwyraźniej nie wzbudza podejrzeń, jeśli nie liczyć oskarżeń, związanych z jej niefortunną reputacją. Ludzie uważają, że ciąży na niej klątwa, ale nikt nie sądzi, że brała udział w spisku. Służąca Sachie okazała się słabsza, niż przypuszczali Tohańczycy; torturowana, uciekła w śmierć, nie zdążywszy obciążyć Shizuki.

- Ujawniła coś na mój temat?

Kenji westchnął.

- Nie miała o niczym pojęcia, wiedziała tylko, że należysz do Ukrytych i że Shigeru uratował ci życie, o czym Iida już wiedział. Obaj z Ando sądzą, że Shigeru zaadoptował cię wyłącznie po to, aby ich obrazić, ty zaś zniknąłeś, kiedy cię rozpoznano. Nie podejrzewają cię o związki z Plemieniem, nie wiedzą też nic o twoich umiejętnościach.

To był jeden z czynników, działających na moją korzyść. Drugim była pogoda oraz noc - deszcz zamienił się w mglistą mżawkę, a chmury snuły się nisko, całkowicie zasłaniając księżyc i gwiazdy. Trzecią korzystną okoliczność stanowiła zmiana, która we mnie zaszła. Coś w moim wnętrzu, dotąd uśpione i nieuformowane, nabrało ostatecznego kształtu. Szaleńczy wybuch wściekłości, a także późniejszy, głęboki sen Kikutów wypaliły z mojej natury wszystkie zbędne śmieci, pozostawiając rdzeń ze stali. Rozpoznałem w sobie cechy, niekiedy dostrzegane u Kenjiego, owe przebliski jego prawdziwej natury, dzięki którym odnosiłem wrażenie, że Jato nagle przybrał ludzką postać.

We trójkę przejrzelismy sprzęt i ubrania, następnie zaś poświęciłem godzinę na ćwiczenia. Mięśnie, choć nadal zesztyniałe, były już mniej bolesne. Najbardziej niepokoił mnie wykręcony prawy nadgarstek; kiedy uniosłem Jato, ból przeszył mi rękę aż do łokcia, aż w końcu Yuki musiała mi wzmocnić przegub skórzaną opaską.

Gdy minęła połowa godziny Psa, zjedliśmy lekki posiłek, po czym usiedliśmy w milczeniu, zwalniając oddech oraz tętno, a także zaciemniając pokój, by poprawić nocne widzenie. W mieście zarządzono wczesną godzinę policyjną, a gdy konni zapędzili ludzi do domów, na ulicach zapanowała zupełna cisza. Dom wokół nas rozbrzmiewał wieczorną pieśnią - sprzątano nakrycia, karmiono psy, wartownicy przygotowywali się na noc. Słyszałem kroki służby, rozkładającej posłania, oraz stukot liczydeł w pokoju od frontu, gdzie ktoś robił dzienne rachunki. Stopniowo pieśń ucichła, zredukowana do kilku podstawowych nut - głębokiego oddechu śpiących, sporadycznych chrapnięć, okrzyku mężczyzny u szczytu fizycznej namiętności. Te pospolite, przyziemne odgłosy poruszyły mnie do głębi; nawiedziła mnie myśl o ojcu i jego pragnieniu, by wieść zwyczajne, ludzkie życie. Czy on również krzyknął w chwili mojego poczęcia?

W końcu Kenji poprosił Yuki, by na chwilę zostawiła nas samych.

- Oskarżenie Shigeru o przynależność do Ukrytych ma jakieś podstawy? - zapytał, siadając obok mnie.

- Nigdy mi o tym nie wspominał, polecił mi tylko zmienić imię Tomasu na inne oraz ostrzegł, że powinienem przestać się modlić.

- Krążą pogłoski, że nie zaprzeczył temu zarzutowi i odmówił zbezczeszczenia obrazów - w głosie Kenjiego zabrzmiało zdziwienie, wręcz irytacja.

- Kiedy pierwszy raz spotkałem panią Maruyama, nakreśliła mi na dłoni znak Ukrytych - powiedziałem z wolna.

- Zataił przede mną tyle rzeczy - westchnął Kenji - a ja sądziłem, że go znam!

- Wie, że ona nie żyje?

- Podobno Iida z rozkoszą go poinformował. Zastanowiłem się przez chwilę. Byłem pewien, że Shigeru odmówiłby zaparcia się wiary, tak drogiej jego ukochanej. Nieważne, czy sam wierzył, czy nie - nigdy nie podporządkowałby się brutalnym naciskom Iidy. A teraz dotrzymywał obietnicy, którą złożył pani Maruyama w Chigawie - nie poślubił nikogo innego i nie zamierzał bez niej żyć.

- Nie mogłem wiedzieć, że Iida tak postąpi - powiedział Kenji.

Miałem uczucie, że chce się jakoś usprawiedliwić, lecz jego zdrada była zbyt wielka. Nie potrafiłem mu przebaczyć. Cieszyłem się, że pójdzie ze mną, z wdzięcznością przyjmowałem jego pomoc, ale po tej nocy nie chciałem go więcej widzieć.

- Chodźmy go zdjąć - rzekłem.

Wstałem i cicho wezwałem Yuki. Przywdzialiśmy ciemne, nocne stroje Plemienia, które okrywały twarze i dłonie, nie odsłaniając ani cala nagiej skóry, a ponadto uzbroiliśmy się w garoty, sznury, haki oraz długie i krótkie noże. Zabraliśmy także kapsułki z trucizną, które w razie potrzeby gwarantowały szybką śmierć.

Podniosłem Jato z podłogi.

- Zostaw go tutaj - powiedział Kenji. - Nie można się wspinać z długim mieczem.

Zignorowałem jego słowa. Wiedziałem, do czego Jato będzie mi potrzebny.

Dom, w którym mnie ukryto, znajdował się daleko w zachodniej części podgrodzia, na południowym brzegu rzeki, gdzie płatanina zaułków i wąskich uliczek pozwalała nam przemieszczać się niepostrzeżenie. W świątyni na rogu wciąż paliły się światła; mnisi przygotowywali się do północnego nabożeństwa. Kot, siedzący pod kamienną latarnią, nawet nie drgnął, gdy przemykaliśmy obok niego.

W pobliżu rzeki dobiegł nas szcęk stali oraz miarowy tupot nóg. Kenji natychmiast zniknął w bramie, a Yuki i ja bezszelestnie skoczyliśmy na pobliski mur, przywierając do dachówek.

Patrol składał się z jednego jeźdźcy i sześciu pieszych. Dwaj z nich nieśli pochodnie. Posuwali się ulicą wzdłuż rzeki, oświetlając każdą przecnicę po kolei i wpatrując się w ciemność. Robili mnóstwo hałasu, więc wcale się ich nie przestraszyłem.

Dachówki pod moim policzkiem były mokre i śliskie. Mżawka zawieszona w powietrzu dławiała wszystkie dźwięki.

Ten deszcz padał również na twarz Shigeru...

Zeskoczyłem z muru i ruszyłem ku rzece.

Idąc za Yuki, dotarliśmy do miejsca, gdzie wąski kanał biegnący zaułkiem ginął w otworze pod główną ulicą. Ku zdumieniu śpiących ryb przeczołgaliśmy się na drugą stronę, wynurzając się przy ujściu kanału do rzeki. Woda tłumiała kroki. Przed nami zamajaczył ciemny masyw zamku, ledwie widoczny pod niskim, zachmurzonym niebem. Aby dotrzeć do pierwszych fortyfikacji, musieliśmy najpierw pokonać rzekę, później zaś fosę.

- Gdzie on jest? - cicho zapytałem Kenjiego.

- Wisi na murze od wschodniej strony, poniżej rezydencji lidy. Tam, gdzie widzieliśmy żelazne pierścienie.

Żółć podeszła mi do gardła. Zmusiłem się, by ją przełknąć, po czym szepnąłem:

- A strażę?

- W korytarzu tuż nad nim, stały posterunek. Na dziedzińcu poniżej, ruchome patrole.

Podobnie jak w Yamagacie usiadłem i długo wpatrywałem się w zamek. Wszyscy troje milczeliśmy. Czułem, że wzbiera we mnie mroczna jaźń Kikuty, wnikając w moje żyły i mięśnie tak samo, jak ja zamierzałem wniknąć do fortecy i zmusić ją, by wydała mi swego więźnia.

Wyjąłem Jato zza pasa i ukryłem go w wysokiej trawie na brzegu.

- Zaczekaj tutaj - powiedziałem. - Sprowadzę ci twojego pana.

Po kolei bezszelestnie zanurzyliśmy się w rzece i popłynęliśmy pod wodą na drugi brzeg. Z ogrodów za fosą usłyszałem kroki patrolu. Przeczekaliśmy w szuwarach, aż przejdą wartownicy, po czym biegiem pokonaliśmy wąski pas bagien

i znów pod powierzchnią przedostaliśmy się przez fosę.

Pierwsza fortyfikacja wyrastała bezpośrednio z wody. Zwieńczał ją niski, zadaszony murek, który otaczał ogród od frontu rezydencji, oraz wąski pas ziemi, leżący między tylną ścianą pałacu a murem warownym. Kenji zeskoczył na ziemię, by wypatrywać patroli, a Yuki i ja poczołgaliśmy się po szczycie murku w stronę południowo-wschodniego narożnika. Dwukrotnie dobiegło nas ostrzegawcze świerkanie Kenjiego i dwukrotnie, niewidzialni, musieliśmy czekać, aż przejdzie patrol.

Wreszcie klęknąłem i spojrzałem w górę. Miałem przed sobą okna korytarza na tyłach rezydencji. Wszystkie były zamknięte i zaryglowane, z wyjątkiem jednego, położonego najbliżej żelaznych pierścieni, gdzie na linach przywiązanych do nadgarstków wisiał Shigeru. Głowa opadła mu na piersi, toteż zrazu pomyślałem, że już nie żyje, lecz wkrótce dostrzegłem, że jego stopy są zaparte o mur, aby choć trochę odciążyć ramiona. Usłyszałem powolny, chrapliwy oddech. Wciąż tliło się w nim życie.

Słowicza podłoga zaśpiewała. Przywarłem płasko do dachówek. Ktoś wychylił się z otwartego okna, po czym dał się słyszeć okrzyk bólu Shigeru - strażnik szarpnął linę, odrywając jego stopy od ściany. Rozległ się szyderczy okrzyk:

- Tańcz, Shigeru, to dzień twojego ślubu!

Ogarnął mnie lodowaty żar furii. Yuki położyła mi dłoń na ramieniu, ale nie zamierzałem wybuchnąć. Moja wściekłość była zimna, a przez to jeszcze potężniejsza.

Czekaliśmy długo. Na dole nie pojawił się już żaden patrol. Czyżby Kenji zdołał je wszystkie uciszyć? Lampa w otwartym oknie zafilowała i zaczęła kopcić. Mniej więcej co dziesięć minut ktoś się tam ukazywał - za każdym razem, gdy udręczony człowiek na murze znajdował oparcie dla stóp, podchodził strażnik i szarpał za linę. Za każdym razem okrzyk bólu brzmiał coraz słabiej i coraz dłużej trwał powrót do przytomności.

Okno wciąż było otwarte.

- Musimy się tam dostać - szepnąłem do Yuki. - Spróbuj zabijać ich po jednym, w miarę jak będą podchodzić, a ja zajmę się liną. Kiedy usłyszysz szczekanie jelenia, przetrnij sznury podtrzymujące Shigeru. Ja go zdejmę.

- Spotkamy się nad kanałem - wymówiła bezgłośnie.

Po kolejnej wizycie oprawców zeskoczyliśmy z murku, przebiegliśmy przez wąski pas ziemi i wspięliśmy się po ścianie rezydencji. Yuki wśliznęła się przez okno, ja zaś, przywarłszy do gzymsu poniżej, wyciągnąłem zza pasa linę i umocowałem ją do jednego z żelaznych pierścieni.

Słowiki zaśpiewały. Niewidzialny, rozpląsałem się na murze. Usłyszałem, że nade mną ktoś wychyla się z okna, po czym rozległ się cichy jęk, bezsilne dudnienie pięt podczas zaciskania garoty, a zaraz potem cisza.

Yuki szepnęła:

- Już!

Zsunąłem się po linie do Shigeru i byłem tuż ponad nim, kiedy zagrał

świerszcz. Znów stałem się niewidzialny, modląc się, by mgła skryła dodatkową, trzecią linę. Dołem przechodził patrol.

Wtem nad fosą rozległ się stuk i nagły plusk, który odwrócił uwagę wartowników. Jeden z nich podszedł do muru, unosząc pochodnię nad wodą. Jej światło odbiło się matowym blaskiem od białej mgielnej zasłony.

- Ee, tylko szczur wodny! - zawołał.

Powoli zniknęli mi z pola widzenia, usłyszałem jedynie ich oddalające się kroki.

Czas przyspieszył - wiedziałem, że wkrótce nade mną pojawi się kolejny strażnik. Jak długo jeszcze Yuki zdoła zabijać ich po jednym? Mur był śliski od wilgoci, lina także. Ostatni odcinek pokonałem zjeżdżając w dół, aż wreszcie znalazłem się na poziomie Shigeru.

Miał zamknięte oczy, jednak zdołał wyczuć albo usłyszeć moją obecność. Uniósł powieki i wymówił moje imię. Nie okazał najmniejszego zdziwienia. Usta wygiął mu cień dawnego, serdecznego uśmiechu, od którego pękło mi serce.

- To będzie bolało - powiedziałem. - Postaraj się nie krzyknąć.

Ponownie zamknął oczy i zaparł stopy o ścianę.

Przywiązałem go do siebie jak najmocniej, po czym szczeknąłem jak jelen. Yuki natychmiast przecięła sznury, podtrzymujące Shigeru. Nie mógł powstrzymać jęku; uwolnione ramiona musiały mu sprawiać ogromny ból.

Dodatkowy ciężar sprawił, że odpadłem od mokrej ściany. Lecąc w dół, modliłem się, by lina wytrzymała, na szczęście - choć ze straszhwym szarpnięciem - zatrzymaliśmy się cztery stopy nad ziemią.

Z ciemności wyłonił się Kenji, który pomógł mi odwiązać Shigeru. Wspólnymi siłami przenieśliśmy go pod mur fortyfikacyjny, gdzie zarzuciliśmy haki i jakoś wciągnęliśmy go na górę. Tam ponownie obwiązaliśmy go liną, po czym Kenji opuścił go na ziemię, ja zaś schodziłem tuż przy nim, starając się choć trochę ulżyć jego cierpieniu.

Nie było czasu na odpoczynek, musieliśmy natychmiast przepłynąć fosę, okrywshy głowę Shigeru czarnym kapturem. Wiedziałem, że gdyby nie mgła, natychmiast by nas zauważono; tym razem nie mogliśmy płynąć pod powierzchnią wody.

Pokonując ostatni skrawek zamkowego terenu, donieśliśmy go na brzeg rzeki. Był półprzytomny, pocił się z bólu, jego przygryzione wargi krwawiły, z trudem powstrzymywał krzyk. Tak jak się spodziewałem, miał wywichnięte barki i kaszlał krwią wskutek jakiegoś urazu wewnętrznego.

Mżawka była coraz gęstsza. Tuż obok szczeknął prawdziwy jelen, który uciekł spłoszony, jednak od strony zamku nie dobiegał żaden dźwięk. Powoli zanurzyliśmy Shigeru w rzece i delikatnie przeciągnęliśmy go na drugi brzeg. Błogosławiłem deszcz, który nas okrywał, tłumiąc każdy dźwięk, niestety, patrząc w stronę zamku, nie byłem w stanie dostrzec ani śladu Yuki.

Na drugim brzegu ułożyliśmy Shigeru w wysokiej, letniej trawie. Kenji uklęknął przy nim, zdjął mu kaptur i otarł wodę z twarzy.

- Wybacz mi, Shigeru - poprosił.

Shigeru uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Zebrał siły i wyszeptał moje imię.

- Jestem tutaj - odparłem cicho.

- Wziąłeś Jato?

- Tak, panie Shigeru.

- Użyj go teraz. Zabierz moją głowę do Terayamy i pochowaj ją przy Takeshim.

Urwał, przeszyty kolejnym skurczem bólu.

- I przynieś na mój grób głowę lidy.

Kiedy Kenji pomagał mu uklęknąć, szepnął:

- Takeo nigdy mnie nie zawiódł.

Dobylem Jato z pochwy. Shigeru wyciągnął szyję i mruknął kilka słów - najpierw modlitwę, którą Ukryci odmawiają w chwili śmierci, a potem imię Oświeconego. Ja również się modliłem, aby przynajmniej teraz go nie zawieść. Ciemność była głębsza niż wówczas, gdy on z Jato w dłoni ocalił mi życie.

Uniosłem miecz, czując w nadgarstku tępy ból, i poprosiłem Shigeru o wybaczenie. Miecz wąż skoczył i ukąsił; oddając swemu panu ostatnią przysługę, wyzwolił go i przeniósł do innego świata.

W nocnej ciszy, która wydawała się całkowita, strumień krwi trysnął upiornie głośno. Obmyliśmy głowę Shigeru i zawinęliśmy w kaptur. Obaj mieliśmy suche oczy; żal i poczucie winy zostały daleko za nami.

Pod powierzchnią wody ujrzałem jakiś ruch i po chwili z rzeki wynurzyła się Yuki, zwinna niczym wydra. Nawykłym do ciemności wzrokiem objęła całą scenę, uklękła przy umarłym i zmówiła krótką modlitwę. Podniosłem głowę - jakaż była ciężka! - i podałem jej.

- Zabierz go do Terayamy - powiedziałem. - Tam się zobaczymy.

Skinęła głową; dostrzegłem błysk jej uśmiechu.

- Musimy już iść - syknął Kenji. - Dobra robota, ale się skończyła.

- Najpierw muszę oddać rzece jego ciało.

Nie zniósłbym, aby zostało niepochowane na brzegu. Z obmurowania przy ujściu kanału wydobyłem kilka kamieni i przywiązałem je do opaski biodrowej Shigeru, która stanowiła jego jedyny przydziewek. Towarzysze pomogli mi zanieść go do wody.

Wypłynąłem na największą głębię i wypuściłem z rąk ciało, czując, jak ciągnie je wartki nurt. Na powierzchni ukazała się plama krwi, ciemna w mlecznobiałej mgle, która z wolna spływała z prądem.

Wspominałem dom w Hagi, gdzie rzeka płynęła tuż za progiem, oraz czapłę, co wieczór przylatującą do ogrodu. Otori Shigeru nie żył. Z oczu popłynęły mi łzy i rzeka je również zabrała.

Jednak praca tej nocy jeszcze się nie skończyła. Popłynąłem z powrotem do brzegu i chwyciłem Jato. Na klindze prawie nie było śladów krwi. Otarłem go starannie, po czym wsunąłem do pochwy. Kenji miał rację - Jato istotnie utrudniał

wspinaczkę, ale potrzebowałem go. Do Kenjiego nie odezwałem się ani słowem, do Yuki zaś rzekłem jedynie:

- Do zobaczenia w Terayamie.

- Takeo... - szepnął Kenji, lecz w jego głosie brakło przekonania.

Musiał pojąć, że nic mnie nie powstrzyma. Szybko uścisnął Yuki - dopiero wówczas zorientowałem się, że jest jego córką - i ruszył za mną do rzeki.



Rozdział dwunasty

Kaede czekała na nadejście nocy. Zdawała sobie sprawę, że nie ma wyjścia, że musi się zabić, więc rozmyślała o śmierci z tą samą intensywnością, z jaką oddawała się wszystkim zajęciom. Honor rodziny zależał od jej zamążpójścia - tak powiedział ojciec. Wśród zamętu i rwetesu, które otaczały ją przez cały dzień, rozpaczliwie trwała w przekonaniu, że zdoła ocalić dobre imię rodziny jedynie wówczas, jeżeli sama zachowa się z honorem.

Był wczesny wieczór; dzień, który powinien być dniem jej zaślubin, dobiegał końca. Nadal miała na sobie szaty, które przygotowały dla niej tohańskie damy dworu. Wyglądały daleko wspanialej i wytworniej niż cokolwiek, co do tej pory nosiła, ale czuła się w nich maleńka i krucha jak lalka. Po śmierci pani Maruyama kobiety miały oczy czerwone od płaczu, jednak Kaede powiedziano o tym wydarzeniu dopiero, gdy dokonała się masakra ludzi Otori. Ujawnione wówczas okropności wzbudziły w niej straszliwą żalść i wzburzenie, doprowadzając ją niemal do szaleństwa.

Eleganckie, pełne bezcennych dzieł sztuki pokoje rezydencji, jej piękne ogrody okazały się sceną gwałtów i tortur. Za murem, po drugiej stronie słowiczej podłogi, wisiał człowiek, którego miała poślubić. Przez całe popołudnie dobiegały ją wrzaski, szyderstwa i brutalny śmiech strażników. Myślała, że pęknie jej serce, wezbrane przerażeniem; nieustannie zanosila się płaczem. Czasem słyszała swoje imię i domyśliła się, że jej opinia ostatecznie legła w gruzach. Przekonana, że stała się przyczyną upadku pana Otori, płakała nad nim, nad jego całkowitym upokorzeniem z ręki lidy, nad swymi rodzicami oraz z powodu hańby, jaką na nich sprowadziła.

Kiedy myślała, że wypłakała już oczy, strumienie łez wzbierały i zaczynały płynąć od nowa. Pani Maruyama, Mariko, Sachie... wszystkie odeszły, porwane nurtem okrucieństwa Tohan. Wszyscy ludzie, na których jej zależało, zniknęli albo umarli.

Lecz przede wszystkim płakała nad sobą. Miała zaledwie piętnaście lat, a jej życie dobiegło końca, zanim jeszcze się zaczęło. Opłakiwała męża, którego nigdy nie miała poznać, dzieci, których nie miała urodzić, całą przyszłość, której sztylet miał położyć kres. Jediną pociechę znajdowała w obrazku, podarowanym jej przez Takeo. Trzymała go w ręku i nieustannie się weń wpatrywała. Wkrótce będę wolna - myślała - jak ten mały górski ptaszek.

Shizuka poszła do kuchni z prośbą, by przyniesiono im coś do jedzenia. W drodze, pozornie bezdusznie, zaczęła żartować z wartownikami, jednak gdy wróciła, maska opadła z jej ściągniętej bólem twarzy.

- Panienko - powiedziała jasnym głosem, który zdawał się przeczyć jej

uczuciom - muszę rozczesać ci włosy. Są zupełnie rozczochrane. I powinnaś się przebrać.

Pomogła Kaede zdjąć ciężkie ślubne szaty, po czym wezwała pokojówki, by je zabrały.

- Włożę nocną koszulę - szepnęła Kaede. - Nikogo nie chcę już dzisiaj widzieć.

Ubrana w lekką płócienną szatę usiadła na podłodze przy otwartym oknie. Padał lekki deszcz; trochę się ochłodziło. Ogród ociekał wilgocią, jakby on także pogrążył się w głębokim smutku.

Shizuka uklękła za plecami dziewczyny, uniosła bujne sploty jej włosów i przeczesała je palcami.

- Wysłałam wiadomość do siedziby Muto w mieście - tchnęła Kaede do ucha. - Właśnie dostałam odpowiedź. Tak jak sądziłam, tam został ukryty Takeo. Ale pozwolono mu zdjąć z murów ciało pana Otori.

- Pan Otori umarł?

- Nie, jeszcze nie - drżący głos Shizuki załamał się. - Co za zniewaga! - szepnęła wstrząśnięta. - Co za hańba! Nie można go zostawić. Takeo przyjdzie po niego.

- Więc i on dzisiaj umrze.

- Wyprawiłam posłańca, który spróbuje dotrzeć do pana Araiego. Ale nie wiem, czy jego wojsko zdąży nam pomóc.

- Nigdy nie wierzyłam, że ktoś może stawić czoło klanowi Tohan - powiedziała gorzko Kaede. - Pan Iida jest niezniszczalny. Okrucieństwo dodaje mu mocy.

Spojrzała przez okno na deszcz, na spowite szarą mgłą góry.

- Dlaczego ludzie uczynili świat tak srogim? - zapytała cicho.

Po niebie, zawodząc żałośnie, przeleciał klucz gęsi. Gdzieś daleko za murami zaszczeakał jeleni.

Kaede przeciągnęła dłonią po włosach. Były mokre od łez Shizuki.

- Kiedy przyjdzie Takeo?

- Późną nocą, jeżeli w ogóle przyjdzie - odparła Shizuka. - To beznadziejne zadanie.

Kaede nie odpowiedziała. Poczekam na niego - pomyślała. - Przynajmniej jeszcze raz go zobaczę.

Wymacała chłodną rękojeść noża, ukrytego w fałdach szaty. Shizuka spostrzegła ten ruch, przyciągnęła ją i przytuliła.

- Nie bój się. Cokolwiek zrobisz, zostanę z tobą. Pójdę za tobą na tamten świat.

Długo trzymały się w objęciach. W końcu Kaede, wyczerpana nadmiarem emocji, popadła w otępienie, jakie zwykle towarzyszy rozpacz. Miała wrażenie, że porusza się we śnie, że znajduje się w innej rzeczywistości, gdzie mogłaby bez lęku leżeć w ramionach Takeo. Przytapała się na tym, że myśli: Tylko on może mnie ocalić, tylko on zdoła przywrócić mi życie.

Wreszcie powiedziała Shizuce, że chciałaby wziąć kąpiel, a potem poprosiła, by służąca wyskubała jej brwi oraz wyszorowała szczotką nogi i stopy. Trochę zjadła,

po czym, pozornie spokojna, zasiadła do medytacji, tak jak nauczono ją w dzieciństwie, skupiona na wspomnieniu pogodnego oblicza Oświeconego w Terayamie.

- Okaż mi współczucie - modliła się. - Pomóż mi zachować odwagę.

Pokojówki przygotowały posłania. Kaede ułożyła się do snu, wsuwając nóg pod materac. Minęła już godzina Szczura; w rezydencji panowała cisza, przerywana jedynie dalekimi śmiechami strażników. Wtem podłoga zaćwierkała pod czyimiś krokami. Rozległo się pukanie do drzwi. Shizuka podbiegła, by je otworzyć, lecz na dźwięk głosu pana Abe natychmiast padła na podłogę.

Przyszedł ją aresztować - pomyślała Kaede z przerażeniem.

- Panie, jest bardzo późno - tłumaczyła Shizuka - pani Shirakawa jest wyczerpana.

Abe nalegał.

W końcu jego kroki oddaliły się. Jednak ledwie Shizuka zdążyła wyszeptać: - Pan Iida życzy sobie cię odwiedzić - znów odezwał się śpiew podłogi.

Iida wkroczył do pokoju, wiodąc ze sobą Abe i jednorękiego człowieka, którego imię, jak się Kaede dowiedziała, brzmiało Ando.

Zerknęła na twarze mężczyzn, czerwone od wina i triumfu zemsty, po czym padła na podłogę, przyciskając twarz do maty. Serce waliło jej jak młotem.

Iida siadł, krzyżując nogi.

- Wyprostuj się, pani Shirakawa.

Niechętnie uniosła głowę. Iida miał na sobie niedbały strój nocny, lecz za jego pasem tkwił miecz. Obaj dworzanie, klęczący za jego plecami, również byli uzbrojeni. Siedzieli prosto i z obelżywą ciekawością wpatrywali się w Kaede.

- Wybacz, proszę, że nachodzę cię tak późno - rzekł Iida. - Uważam jednak, że ten dzień nie powinien się zakończyć, zanim wyrażę ci ubolewanie z powodu niefortunnej sytuacji, w jakiej się znalazłaś. - Ukazując w uśmiechu duże zęby, rzucił przez ramię do Shizuki: - Wyjdź.

Kaede otworzyła szerzej oczy i gwałtownie wstrzymała oddech, ale nie ośmieliła się odwrócić, by spojrzeć na dziewczynę. Słyszając stuk zamykanych drzwi, domyśliła się, że służąca będzie czekać gdzieś w pobliżu. Siedziała bez ruchu, ze spuszczonego wzrokiem, czekając, co powie Iida.

- Twoje małżeństwo, które miało posłużyć wzmocnieniu sojuszu z Otori, najwyraźniej stało się pretekstem do ukąszenia żmii. Na szczęście, udało mi się zniszczyć całe gniazdo. - Nie odrywał oczu od jej twarzy. - Spędziłaś kilka tygodni w drodze z Otori Shigeru i Maruyama Naomi. Ani razu nie podejrzewałaś, że spiskują przeciwko mnie?

- Nic nie wiedziałam, panie - odparła, po czym cicho dodała: - Jeżeli istotnie knuli jakiś spisek, mogli osiągnąć cel, tylko ukrywając go przede mną.

- Umf - sapnął Iida, po czym zamilkł. - Gdzie jest ten młody człowiek? - zapytał wreszcie.

Nie sądziła, że serce może bić tak szybko; tętno tłukło się w jej skroniach, miała wrażenie, że zemdleje. - Jaki młody człowiek, panie?

- Ten niby przybrany syn, Takeo.
- Nic o nim nie wiem - odrzekła, jakby zdziwiona.
- Skąd miałabym wiedzieć?
- Co o nim sądzisz? Jaki on jest?
- Bardzo młody, bardzo cichy. Wygląda na mola książkowego, lubi malować i rysować. - Zmusiła się do uśmiechu. - Jest niezdarny i... chyba niezbyt odważny.
- Podobnie ocenia go pan Abe. Teraz wiemy, że należał do Ukrytych. Rok temu uniknął egzekucji. Po co Shigeru miałby nie tylko ukrywać, lecz wręcz adoptować przestępcę, jeśli nie po to, by mnie znieważać i obrazić?
Kaede nie umiała na to odpowiedzieć; sieci intryg wydały się jej niezgłębione.
- Pan Abe uważa, że smarkacz uciekł, kiedy Ando go rozpoznał. To najwyraźniej tchórz. Prędzej czy później go złapiemy, a wtedy zawisnie obok przybranego ojca. - Iida spojrzał na nią z błyskiem w oczach, lecz nie zareagowała.
- Wówczas moja zemsta na Shigeru będzie pełna. - Jego zęby zalsniły. - Lecz tymczasem istnieje pilniejszy problem. Co mam zrobić z tobą? Zbliź się.
Kaede skłoniła się i przysunęła bliżej. Tętno jej zwolniło, niemal ustało. Czas także zwolnił. Cisza nocy stała się głębsza. Deszcz cicho szemrał. Zagrał świerszcz.
Iida pochylił się ku niej i przyjrzał bacznie. Kiedy uniosła wzrok, ujrzała w świetle lampy, że jego drapieżne rysy rozmywają się od żądz.
- Jestem rozdarty, pani Shirakawa. Ostatnie wydarzenia nieodwracalnie cię splamiły, ale twój ojciec zawsze był wobec mnie lojalny, toteż czuję za ciebie pewną odpowiedzialność. Co ja mam z tobą zrobić?
- Moim jedynym życzeniem jest umrzeć - odpowiedziała. - Pozwól mi uczynić to z honorem. Mój ojciec będzie zadowolony.
- Pozostaje jeszcze kwestia schedy Maruyama - rzekł Iida. - Zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem sam pojąć cię za żonę. To rozwiązałoby problem dziedziczenia, równocześnie kładąc kres pogłoskom o twoim niebezpiecznym wpływie na mężczyzn.
- To dla mnie zbyt wielki zaszczyt.
Uśmiechnął się i przeciągnął długim paznokciem po przednich zębach.
- Wiem, że masz dwie siostry. Być może ożenie się ze starszą... Rzeczywiście, chyba najlepiej będzie, jak odbierzesz sobie życie.
- Panie Iida - skłoniła się do ziemi.
- Cudowna dziewczyna, nieprawdaż? - rzekł Iida przez ramię do towarzyszy.
- Piękna, inteligentna, odważna. I to wszystko się zmarnuje.
Wyprostowała się, odwracając twarz, zdecydowana nie dać niczego po sobie poznać.
- Pewnie jesteś dziewicą.
Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Uświadomiła sobie, że jest znacznie bardziej pijany, niż jej się zdawało. Poczuła jego cuchnący winem oddech i ku swej wściekłości zadrżała. Widząc to, zaśmiał się:
- Umrzeć jako dziewica, to dopiero tragedia! Powinnaś zaznać chociaż jednej nocy miłości!

Kaede spojrzała nań w osłupieniu. W owej chwili ujrzała w pełni jego znieprawienie, zrozumiała, jak dalece pogрузił się w otchłani lubieżności i okrucieństwa. Ogromna władza uczyniła go aroganckim i zepsutym. Miała wrażenie, że śni - doskonale wiedziała, co się wydarzy, lecz nie była w stanie temu zapobiec. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Iida mówi poważnie.

Ujął jej głowę w dłonie i pochylił się nad nią. Odwróciła twarz; jego usta musnęły jej szyję.

- Nie! - zawołała. - Nie, panie! Nie ściągać na mnie hańby! Po prostu pozwól mi umrzeć!

- Nie ma hańby w tym, że sprawisz mi przyjemność.

- Błagam cię, nie przy tych ludziach - jęknęła, rozluźniając mięśnie. Rozpuszczone włosy opadły do przodu, skrywając całą jej postać.

- Zostawcie nas - rzekł Iida krótko do swych ludzi. - Niech nikt nie przeszkadza mi przed świtem.

Usłyszała, jak wychodzą, dobiegł ją głos rozmawiającej z nimi Shizuki, chciała krzyknąć, lecz nie śmiała. Iida uklęknął przy niej, wziął ją na ręce i przeniósł na materac. Następnie rozwiązał jej szatę, jednocześnie rozluźniając na sobie ubranie. Kiedy leżał obok Kaede, od lęku i odrazy ścierpła jej skóra.

- Mamy całą noc - rzekł. To były ostatnie słowa, jakie wymówił.

Twardy nacisk jego ciała wyraźnie przywiódł Kaede na myśl wspomnienie strażnika w zamku Noguchi. Czując jego usta na swoich, niemal oszalała ze wstrętu. Sięgnęła za głowę.

Iida stęknął z aprobatą i przygniótł jej wygięte w łuk ciało. Lewą ręką odszukała igłę, wpiętą w prawy mankiet szaty, a kiedy Iida jął się wygodniej układać, z całej siły wbiła mu ją w oko.

Wydał cichy okrzyk, łudząco podobny do jęku namiętności. Wyszarpnęła nóż spod pościeli i pchnęła w górę. Iida, padając do przodu, własnym ciężarem wraził sobie ostrze prosto w serce.



Rozdział trzynasty

Po deszczu i kąpieli w rzece byłem przemoczony, woda kapłała mi z włosów i rzęs, ociekałem wilgocią podobnie jak sitowie, bambusy i wierzby. I chociaż na ciemnym ubraniu nie widniał żaden ślad, byłem również unurzany we krwi. Mgła gęstniała; Kenji i ja poruszaliśmy się w widmowym świetle, niematerialnym, niewidzialnym. Zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe, że umarłem, nic o tym nie wiedząc, i powróciłem jako anioł zemsty, a gdy dopełnię dzieła tej nocy, znowu zniknę w podziemnej krainie. W moim sercu nieustannie podnosił się straszliwy lament żalości, ale teraz nie miałem czasu go słuchać.

Na drugim brzegu fosy wspieiliśmy się na mur. Jato ciążył mi u boku, miałem wrażenie, że niosę ze sobą Shigeru - wydawało mi się, że jego duch wszedł we mnie i odcisnął się piętnem w moich kościach. Na szczycie muru usłyszałem, że nadchodzi patrol. Żołnierze byli zaniepokojeni; podejrzewali, że ktoś wtargnął do zamku, a gdy ujrzeli przecięte sznury, zatrzymali się z okrzykiem zdziwienia i jęli gapić się w górę, na żelazne pierścienie, na których przedtem wisiał mój pan.

Wykonując po dwa cięcia, unieszkodliwiliśmy wartowników, nim zdążyli opuścić głowy. Shigeru miał rację - miecz prężył się w moich rękach jakby kierowany własną wolą, jakby nadal władała nim cudza ręka. Tym razem nie hamowało go żadne współczucie czy miękkość z mojej strony.

Okno nad nami wciąż było otwarte i wciąż paliło się w nim przyćmione światło. Pałac wydawał się cichy, spowity głębokim snem godziny Wołu. Wchodząc, natknęliśmy się na ciała strażników, zabitych wcześniej przez Yuki. Kenji mruknął z uznaniem. Podszedłem do drzwi łączących wartownię z korytarzem, na który, jak wiedziałem, wychodziły cztery niewielkie pokoje. Drzwi pierwszego były otwarte i prowadziły do przedpokoju, gdzie kiedyś, czekając na audiencję, podziwialiśmy z Shigeru wizerunki żurawi. Inne pomieszczenia leżały ukryte za ścianami apartamentów lidy.

Słowicza podłoga okalała wszystkie pomieszczenia rezydencji, a ponadto biegła przez środek, oddzielając pokoje mężczyzn od komnat kobiecych. I oto leżała przede mną, milcząca, lekko połyskująca w świetle lampy.

Przyciąłem się w cieniu. Z daleka, prawie z końca budynku, dobiegły mnie głosy co najmniej dwóch mężczyzn oraz jednej kobiety.

Shizuka.

Po chwili rozpoznałem także mężczyzn - byli to Abe i Ando oraz nie wiadomo ilu strażników. Dwaj z nich zapewne towarzyszyli swym panom, w sekretnych komorach ukrywało się jeszcze dziesięciu. Umiejszcwiłem głosy - dobiegały z ostatniego pokoju, należącego do lidy. Zapewne panowie czekali tam na niego, lecz

gdzie w takim razie był on sam? I co robiła z nimi Shizuka?

Mówiła tonem beztroskim, niemal zalotnym; mężczyźni byli znudzeni, trochę pijani, ziewali.

- Przyniosę jeszcze wina - powiedziała Shizuka.

- Tak, to chyba będzie długa noc - odparł Abe.

- Ostatnia noc na tym świecie zawsze jest za krótka - rzekła Shizuka lekko łamiącym się głosem.

- Nie musi być ostatnia, jeśli ktoś odpowiednio się zachowa - powiedział Abe z nutą przyciężkiego podziwu. - Jesteś powabną i obrotną kobietą. Dopilnuję, żebyś znalazła odpowiedniego opiekuna.

- Panie Abe! - zaśmiała się cicho Shizuka. - Można ci zaufać?

- Przyniesę jeszcze wina, a pokażę ci, jak bardzo.

Rozległ się śpiew podłogi pod jej stopami, a następnie cięższe kroki.

- Popatrzę sobie, jak Shigeru tańczy. Od roku na to czekałem - odezwał się Ando.

Szli korytarzem przez środek rezydencji, ja tymczasem pobiegłem dookoła i zacząłem się przy drzwiach przedpokoju. Podłoga pod moimi stopami pozostała milcząca. Shizuka minęła mnie, lecz słysząc świerkanie Kenjiego, rozplynęła się w ciemnościach.

Niebawem do wartowni wkroczył Ando, gniewnie wzywając strażników, aby się obudzili. Kenji natychmiast pochwycił go w żelazny uścisk, ja zaś zbliżyłem się, ściągnąłem z głowy kaptur i uniosłem lampę. Chciałem, by zobaczył moją twarz.

- Widzisz mnie? - szepnąłem. - Pamiętasz? To ja, chłopiec z Mino. To za mój lud. I za pana Otori.

Jego oczy rozgorzały niedowierzaniem i wściekłością. Nie użyłem Jato; założyłem mu garotę i zacisnąłem ją, podczas gdy Kenji go trzymał.

- Gdzie jest Iida? - cicho zapytałem stojącą z boku Shizukę.

- U Kaede - odparła. - W najdalszym pokoju po stronie kobiet. Idź do niej, ja zajmę się panem Abe. Iida jest z nią sam na sam. Gdyby tu coś się działo, załatwimy to z Kenjim.

Ale jej słowa już do mnie nie docierały. Dotychczas sądziłem, że zachowuję zimną krew, lecz teraz w moich żyłach popłynął lód. Odetchnąłem głęboko, pozwalając, aby zalała mnie ciemność Kikuta, aby całkowicie nade mną zapanowała, po czym wybiegłem na słowicza podłogę.

W ogrodzie na zewnątrz cicho syczał deszcz. Ze stawów i bagien dobiegało skrzeczenie żab. Wokół rozlegały się miarowe oddechy śpiących kobiet. Poczułem woń kwiatów, cyprysowego drewna w łaźni, drażniący odór ustępów. Płynąłem nad podłogą nieważki niczym duch. Za mną wznosił się zamek, przede mną płynęła rzeka. Cekał na mnie Iida.

W ostatnim, niewielkim pokoiku paliła się lampa. Drewniane okiennice były odsunięte, lecz papierowe ekrany zamknięto. Na tle pomarańczowej poświaty ujrzałem nieruchomy cień siedzącej kobiety z rozpuszczonymi włosami.

Trzymając Jato w pogotowiu, otworzyłem drzwi i jednym susem znalazłem

się w środku.

Kaede poderwała się na równe nogi, trzymając w ręku miecz. Była zbryzgana krwią.

Na macie, twarzą w dół, leżał bezwładnie Iida.

- Najlepiej zabić mężczyznę i zabrać mu miecz - powiedziała. - Tak mówiła Shizuka.

Miała źrenice rozszerzone od szoku, dygotała na całym ciele. W tej scenie było coś nadprzyrodzonego - dziewczyna, młoda i krucha, oraz mężczyzna, masywny i potężny nawet po śmierci; szum deszczu; nieruchoma cisza nocy.

Odłożyłem Jato. Kaede upuściła miecz i podeszła do mnie.

- Takeo - wykrztusiła, jakby wracając do rzeczywistości. - On próbował... zabiłam go...

Po czym znalazła się w moich objęciach. Trzymałem ją, aż przestała drżeć.

- Przemokłeś cały - szepnęła. - Nie jest ci zimno?

Poprzednio nie czułem chłodu, ale teraz zacząłem drżeć prawie tak gwałtownie jak ona. Iida nie żył, lecz nie ja go zabiłem. Czułem się oszukany, wyzuty z zemsty, nie mogłem jednak spierać się z Losem, który kazał mu umrzeć z rąk Kaede. Byłem zawiedziony, a jednocześnie nieprzytomny z ulgi. I tuliłem w ramionach Kaede, o czym marzyłem od tygodni. Kiedy pomyślę o tym, co zaszło później, mogę jedynie powiedzieć, że opętały nas czarodziejskie moce, których władzę poczuliśmy już w Tsuwano.

- Spodziewałam się, że dzisiaj umrę - powiedziała Kaede.

- Pewnie umrzemy oboje.

- Ale będziemy razem - tchnęła mi do ucha. - Nikt nie przyjdzie tu przed świtem.

Jej głos, jej dotknięcie sprawiły, że się zachwiałem, chory z miłości i pożądania.

- Chcesz mnie? - zapytała.

- Przecież wiesz.

Padliśmy na kolana, nadal trzymając się w objęciach.

- Nie boisz się mnie? Tego, co spotyka mężczyzn z mojego powodu?

- Nie. Dla mnie nigdy nie będziesz niebezpieczna. A ty się boisz?

- Nie - odparła, jakby ze zdumieniem. - Chcę być z tobą, zanim umrę.

Jej usta odnalazły moje. Rozwiązała pasek i rozchyliła szatę. Ściągnąłem mokre ubranie i nareszcie poczułem wytęskniony dotyk jej skóry. Nasze ciała zwarły się niecierpliwie, w nagłym szaleństwie młodości.

Z radością byłbym potem umarł, lecz życie niby rzeka porwało nas ze sobą. Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, lecz wszystko nie mogło trwać dłużej niż kwadrans, gdyż wkrótce usłyszałem śpiew podłogi pod stopami Shizuki, wracającej do Abe. W sąsiednim pokoju jakaś kobieta powiedziała coś przez sen, po czym zaniósł się gorzkim śmiechem, od którego zjeżył mi się włos na karku.

- Co ten Ando tam robi? - zapytał Abe.

- Zasnął - zachichotała Shizuka. - Nie ma tak mocnej głowy, jak pan Abe.

Trunek z bulgotem popłynął z flaszki do kubka. Dobiegł mnie odgłos przełykania. Dotknąłem ustami włosów i powiek Kaede.

- Muszę wracać do Kenjiego - szepnąłem. - Nie mogę zostawić jego i Shizuki bez wsparcia.

- Dlaczego nie możemy teraz umrzeć? - zapytała. - Póki jesteśmy szczęśliwi?

- Znalazł się tutaj z mojego powodu - odrzekłem. - Skoro mogę ocalić mu życie, muszę to uczynić.

- Pójdę z tobą.

Wstała zwinnie, zawiązała szatę i podniosła miecz. Knot filował, lampa niemal dogasła. W oddali rozległo się pianie pierwszego miejskiego koguta.

- Nie. Zostań, a ja pójdę po Kenjiego. Spotkamy się w tym pokoju i uciekniemy przez ogród. Umiesz pływać?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie zdążyłam się nauczyć. Ale na fosie są łodzie. Możemy jedną ukraść.

Naciągnąłem mokre ubranie, dygocząc pod dotykiem lepkiej tkaniny na rozgrzanej skórze. Biorąc w dłoń Jato, poczułem tępy ból nadgarstka - jedno z cięć, jakie dziś zadałem, musiało go znów nadwerężyć. Musiałem jeszcze odciąć Iidzie głowę, więc poprosiłem Kaede, by przytrzymała go za włosy. Spełniła moją prośbę, lekko się wzdrygając.

- To za Shigeru - wyszeptałem, gdy Jato przecinał szyję Iidy.

Nie było krwotoku; zmarły zdążył się wykrwawić już przedtem. Oderwałem kawałek jego szaty i zawinałem w nią głowę, równie ciężką, jak głowa Shigeru, kiedy wręczałem ją Yuki. Nie mogłem uwierzyć, że wciąż trwa ta sama noc. Położyłem upiorne zawiniątko na podłodze, objąłem Kaede po raz ostatni, po czym wróciłem tam, skąd przyszedłem.

Kenji czekał na wartowni, słyszałem też, jak w sąsiednim pokoju Shizuka chichocze z Abe.

- Lada chwila zjawi się następny patrol - szepnął mój nauczyciel. - Znajdą ciała.

- Dokonało się - rzekłem. - Iida nie żyje.

- No, to chodźmy.

- Trzeba zająć się Abe.

- Zostaw go Shizuce.

- I musimy zabrać ze sobą Kaede.

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy w półmroku.

- Panią Shirakawa? Oszalałeś?

Zapewne tak było. Nie odpowiedziałem. Zamiast tego z rozmysłem nadepnąłem ciężko na słowicza podłogę. Zagrała natychmiast.

- Kto tam? - zawołał Abe, wypadając z pokoju w rozwiązanej szacie, z mieczem w dłoni. Za nim biegło dwóch strażników, jeden z pochodnią. W jej świetle Abe zobaczył mnie i natychmiast rozpoznał. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, lecz zaraz wykrzywił ją grymas pogardy. Ruszył ku mnie wielkimi krokami, pod którymi podłoga zaśpiewała głośno. Shizuka skoczyła na idącego za

nim strażnika i podcięła mu gardło; jego towarzysz, osłupiały, obrócił się ku niej, dobywając broni.

Abe wzywał pomocy, a jednocześnie nacierał na mnie, szaleńczo wymachując wielkim mieczem. Udało mi się odparować jego cięcie, lecz był niezwykle silny, a moje obolałe ramię osłabło. Uchyliłem się od następnego ciosu, po czym na chwilę stałem się niewidzialny. Zawziętość i umiejętności przeciwnika zaskoczyły mnie.

U mego boku stanął Kenji, ale pozostali strażnicy już wyroili się ze swych kryjówek. Shizuka uporała się z dwoma; Kenji zwiódł kolejnego za pomocą swego drugiego ja, po czym pchnął go nożem w plecy. Moją uwagę całkowicie pochłoniął Abe, który spychał mnie po słowiczej podłodze ku końcowi budynku. Wyrwane ze snu kobiety wybiegły z krzykiem ze swoich pomieszczeń, co na chwilę odwróciło jego uwagę i dało mi odrobinę wytchnienia. Zdążyłem jednak pojąć, iż jest znacznie lepszym i bardziej doświadczonym wojownikiem niż ja.

Zapędził mnie w kąt ostatniego pomieszczenia, gdzie nie było już miejsca na uniki. Znów stałem się niewidzialny, on jednak wiedział, że nie mam gdzie się podziać. Czy byłem niewidzialny czy nie - mógł bez trudu posiekać mnie na kawałki.

I wówczas, kiedy wydawało się, że to już koniec, nagle zachwiał się na nogach i szeroko otwierając usta, zapatrzył się na coś ponad moim ramieniem z wyrazem najwyższego przerażenia na twarzy.

Nie spojrzałem za siebie - przeciwnie, wykorzystałem ów moment nieuwagi, by zadać cios prosto w dół. Jato wypadł mi z dłoni, prawe ramię w końcu odmówiło posłuszeństwa. Abe zatoczył się do przodu, a z wielkiego pęknięcia w jego czaszce wylała się szara masa mózgu. Uskoczyłem i w półobrocie ujrzałem Kaede, stojącą w otwartych drzwiach na tle płonącej lampy. W jednej ręce trzymała miecz Iidy, w drugiej zaś - jego głowę.

Ramię przy ramieniu wywalczyliśmy sobie drogę powrotną po słowiczej podłodze. Przy każdym zamachu mieczem skręcałem się z bólu - bez Kaede u lewego boku z pewnością byłbym wówczas zginał. Wszystko stało się zamazane i niewyraźne, w pewnej chwili uznałem nawet, że do rezydencji przeniknęła nadrzeczna mgła, lecz wówczas usłyszałem trzeszczenie i poczułem zapach dymu. Od rzuconej przez wartownika pochodni zajęły się drewniane ścianki pomieszczeń.

Wokół rozległy się okrzyki przestrachu i zaskoczenia. Służba oraz uciekające przed pożarem kobiety wypadli z rezydencji, kierując się w stronę zamku i zderzając z wartownikami, którzy usiłowali się przedrzeć wąskim przejściem z zamku do pałacu. Korzystając z zamieszania, spotęgowanego jeszcze przez obłoki gryzącego dymu, we czworo przedostaliśmy się do ogrodu.

Pałac Iidy palił się na dobre. Nikt nie wiedział, gdzie jest władca - żyje czy umarł? Nikt nie wiedział, kto zaatakował jego warownię, rzekomo nie do zdobycia - ludzie czy demony? I kto porwał ciało Shigeru - ludzie czy anioły?

Deszcz zelżał, lecz z nadejściem świtu mgła zgęstniała. Shizuka powiodła nas przez ogród do furtki i stopni, prowadzących do fosy. Pilnujący ich strażnicy biegli już do rezydencji; wystraszeni i dezorientowani, nie stawiali wielkiego oporu. Z łatwością odryglowaliśmy bramkę od środka, wsiedliśmy do łodzi i rzuciliśmy

cumę.

Przez bagna, które przekroczyliśmy wcześniej, prowadził wąski kanał łączący fosę z rzeką. Za nami, na tle płomieni, czerniała posępna sylweta zamku. Z nieba sypał się popiół, srebrząc nasze włosy. Rzeką wezbrała; fale zakotływały płaskodenną spacerową łodzią, w gruncie rzeczy prawie czółnem, i poniosły ją z prądem, aż się przestraszyłem, że wartki nurt je wywróci. Przed nami zamajaczyły przesła mostu. Przez chwilę zdawało mi się, że się rozbijemy, lecz łódź przemknęła między nimi, obracając się dziobem do przodu. Rzeką niosła nas za miasto.

Nikt się nie odzywał. Wszyscy dyszeliliśmy ciężko, wstrząśnięci bliskim spotkaniem ze śmiercią, przygnębieni wspomnieniem tych, których wysłaliśmy na tamten świat, lecz przede wszystkim szczęśliwi, szczęśliwi aż do bólu, że nie znajdujemy się wśród nich. Przynajmniej ja tak się czułem.

Poszedłem na rufę i ująłem ster, jednak prąd był za silny, by z nim walczyć. Musieliśmy płynąć tam, gdzie nas poniesie. Wstawał dzień - mgła zbieleła, lecz była równie nieprzenikniona, jak przedtem ciemność. Wszystko znikło, z wyjątkiem poświaty od strony płonącego zamku.

Wtem uświadomiłem sobie, że ponad pieśnią rzeki słyszę inny, dziwny odgłos, podobny do brzęczenia, jakby nad miasto nadlatywał ogromny rój owadów.

- Słyszysz to? - zapytałem Shizukę. Zmarszczyła brew.

- Co to może być?

- Nie wiem.

Słońce wzeszło, opary znikwały. Brzęk i chrzęst na brzegu spotęgowały się, aż wreszcie rozłożyły na poszczególne dźwięki, które nagle rozpoznałem - tupot nóg ludzkich, kopyt końskich, podzwanianie uprzęży, szczęk broni. Spoza strzępów mgły błysnęły barwy, godła i proporce klanów Zachodu.

- Przybył Arai! - zawołała Shizuka.

Istnieje wiele kronikarskich relacji, poświęconych upadkowi Inuyamy, a ponadto nie brałem w nim udziału, nie ma więc potrzeby, bym się wgłębiał w jego opisy.

Nie spodziewałem się, że przeżyję tę noc. Nie miałem pojęcia, co robić dalej. Oddałem swoje życie Plemieniu - to było dla mnie jasne - ale nadal ciążyły na mnie powinności wobec Shigeru.

Kaede nie wiedziała nic o mojej umowie z Kikuta. Gdybym był Otori, dziedzicem Shigeru, moim obowiązkiem byłoby ją poślubić - w rzeczy samej, niczego bardziej nie pragnąłem - lecz gdybym został Kikuta, pani Shirakawa stałaby się dla mnie bardziej niedostępna niż księżyc. To, co wydarzyło się między nami, wydawało mi się snem. Starąłem się nad tym nie zastanawiać, gdyż wówczas zapewne musiałbym się wstydzić swego czynu, a zatem tchórzliwie wyparłem z myśli całe zdarzenie.

Najpierw poszliśmy się przebrać i coś zjeść do siedziby Muto, w której mnie uprzednio przetrzymywano. Shizuka, pozostawiwszy kobiety w gospodarstwie pod nadzorem Kaede, natychmiast pobięła zobaczyć się z Araim.

Nie chciałem rozmawiać z Kenjim; w ogóle nie chciałem z nikim rozmawiać,

pragnąłem jak najszybciej udać się do Terayamy i złożyć głowę lidy na grobie Shigeru. Wiedziałem, że muszę dokonać tego jak najszybciej, zanim Kikuta przejmą nade mną całkowitą kontrolę. Mój powrót do zamku po zniesieniu Shigeru na dół był aktem nieposłuszeństwa wobec mistrza mego rodu. Ponadto zdawałem sobie sprawę, że choć nie zabiłem lidy własnoręcznie, wszyscy i tak będą uważali, że to moje dzieło, że uczyniłem to wbrew wyraźnemu zakazowi Plemienia, ja zaś nie mogłem temu zaprzeczyć, nie wyrządzając przy tym Kaede ogromnej szkody. Nie zamierzałem bez przerwy być nieposłuszny, ale potrzebowałem więcej czasu.

W zamieszaniu owego dnia z łatwością wymknąłem się z domu i udałem na kwaterę, gdzie przedtem mieszkalem z Shigeru. Właściciele umknęli przed wojskiem Araiego, zabierając ze sobą większość dobytku, lecz nasze rzeczy wciąż znajdowały się w pokojach, między innymi szkice, które wykonałem w Terayamie, oraz skrzynka z przyborami piśmiennymi, za pomocą których Shigeru napisał ostatni list do mnie. Patrzyłem na nie ze smutkiem. Lament żalości w moim sercu stawał się coraz głośniejszy, domagając się uwagi. Niemal odczuwałem obecność Shigeru w pokoju - widziałem, jak siedzi przy otwartym oknie w zapadającym zmroku, a ja nie wracam.

Nie zabrałem wiele - zmianę ubrania, trochę pieniędzy, oraz mego konia Raku ze stajni. Kyu, kary wierzchowiec Shigeru, zniknął jak większość koni Otori, lecz Raku czekał na mnie, nieswój i zaniepokojony dobiegającą z miasta wonią dymu. Powitał mnie z ulgą. Osiodłałem go, przywiązałem do łęku siodła zawiniątko z głową lidy i wyjechałem z miasta, na gościńcu przyłączając się do cizby ludzi, uciekających przed zbliżającym się wojskiem.

Posuwałem się szybko, niewiele spijając w nocy. Pogoda się poprawiła, rześkie powietrze zapowiadało rychłe nadejście jesieni. Co dzień na tle ciemnobłękitnego nieba rysował się czysty kontur gór, tu i ówdzie na drzewach pojawiły się złote liście, kwitła lespedeza i ararut. Niewątpliwie, wszystko to było bardzo piękne - ja jednak nigdzie nie dostrzegałem piękna. Chociaż wiedziałem, że powinienem się zastanowić, co robić dalej, nie mogłem znieść wspomnienia tego, co zrobiłem. Ogarnęła mnie taka rozpacz, że nie byłem w stanie posuwać się naprzód, pragnąłem jedynie wrócić do domu w Hagi, do czasów, gdy Shigeru jeszcze żył, do dni poprzedzających nasz wyjazd do Inuyamy.

Kiedy po południu czwartego dnia minąłem Kushimoto, uświadomiłem sobie, że jadę pod prąd; strumień podróżnych na drodze zmierzał w przeciwnym kierunku niż dotychczas.

- Co się stało? - zawołałem do rolnika, który prowadził jucznego konia.

- Mnisi wojownicy! - odkrzyknął. - Wzięli Yamagatę! Tohańczycy uciekają! Powiadają, że pan Iida nie żyje!

Uśmiechnąłem się szeroko, ciekaw, co by powiedział, gdyby ujrzał ponurą zawartość mego bagażu. Byłem w stroju podróżnym, nieoznaczonym żadnym godłem. Nikt nie wiedział, kim jestem, ja zaś nie wiedziałem, że moje imię stało się sławne.

Niebawem usłyszałem na drodze zbrojny oddział. Zjechałem do lasu; nie chciałem utracić Raku ani wdawać się w potyczki z wycofującymi się Tohańczykami.

Żołnierze jechali szybko, najwyraźniej mając nadzieję dotrzeć do Inuyamy, zanim dogonią ich mnisi, przeczuwałem jednak, że zostaną powstrzymani na przełęczy Kushimoto, gdzie będą musieli się okopać.

Przez pozostałą część dnia przedzierałem się przez las ku północy, starając się wymijać małe grupki maruderów, choć dwukrotnie musiałem użyć Jato, aby bronić siebie i konia. Nadgarstek nadal mi dokuczał, a kiedy zaszło słońce, zacząłem się niepokoić - nie o swoje bezpieczeństwo, lecz o powodzenie całej wyprawy. Uznałem, że zatrzymanie się na nocleg jest zbyt niebezpieczne, jechałem więc dalej w jasnym świetle księżyca. Raku pode mną stapał lekko i niezmordowanie, postawiwszy swoim zwyczajem jedno ucho.

O pierwszym brzasku dostrzegłem w oddali szczyty, otaczające Terayamę, gdzie zamierzałem dotrzeć przed wieczorem. Zatrzymałem się, aby napić Raku w stawie poniżej drogi, lecz w ciepłe wschodzącego słońca ogarnęła mnie nagła senność. Przywiązałem konia do drzewa, podłożyłem siodło pod głowę i natychmiast usnąłem.

Obudziło mnie drżenie ziemi. Przez chwilę leżałem bez ruchu, patrząc na plamki światła na stawie, słuchając kapania wody i tupotu setek nóg. Wstałem, zamierzając ukryć Raku głębiej w lesie, lecz wtém dostrzegłem, że nie mam przed sobą maruderów Tohan. Nadciągający drogą ludzie nosili zbroje i broń, lecz powiewały nad nimi proporce Otori oraz sztandary świątyni w Terayamie. Głowy tych, którzy nie mieli hełmów, były ogolone, a w pierwszym szeregu rozpoznałem młodego człowieka, który kiedyś pokazywał mi obrazy Sesshu.

- Makoto! - zawołałem, wchodząc na drogę. Odwrócił się ku mnie z wyrazem zaskoczenia i radości.

- Pan Otori! To naprawdę ty? Obawialiśmy się, że również zginąłeś. Jedziemy pomścić pana Shigeru.

- Zmierzam do Terayamy. Wiozę mu głowę lidy, tak jak mi polecił.

Otworzył szerzej oczy.

- lida nie żyje?

- Tak. Inuyama została wzięta przez Araiego. Na pewno dogonicie Tohańczyków w Kushimoto.

- Nie jedziesz z nami?

Popatrzyłem nań, zdziwiony. Jego słowa nie miały dla mnie sensu. Moje zadanie było niemal skończone. Musiałem oddać Shigeru ostatnią przysługę, a potem zniknąć w tajemnym świecie Plemienia. Ale, rzecz jasna, Makoto nie mógł wiedzieć o moich życiowych wyborach.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Nie jesteś ranny?

Pokręciłem przecząco głową.

- Muszę złożyć tę głowę na mogile Shigeru.

Oczy Makoto zabłyśły:

- Pokaż!

Wyciągnąłem z juków kosz i ukazałem jego zawartość. Odór był coraz mocniejszy, a na skrzepach gromadziły się muchy. Skóra miała woskowoszarą

barwę, oczy zmatowiały i nabiegły krwią.

Makoto chwycił głowę za kok, skoczył na głaz na skraju drogi i unosząc ją wysoko, zawołał do otaczającym nas mnichów.

- Patrzcie, czego dokonał pan Otori! - krzyknął.

Odpowiedziało mu głośnie: „Hura!”. Przez tłum przebiegła fala podniecenia; usłyszałem swoje imię powtarzane bez końca; pojedyncze osoby, a potem już wszyscy uklękli przede mną w pyłe, jakby wiedzeni jedną myślą.

Kenji miał rację - lud, mnisi, chłopci, większość członków klanu kochali Shigeru, a ponieważ ja dokonałem zemsty, teraz swoją miłość przenieśli na mnie.

Brzemie, które dźwigałem, wydało mi się jeszcze cięższe. Nie chciałem uwielbienia. Nie zasłużyłem na nie i nie byłem w stanie mu sprostać. Pożegnałem się z mnichami, życząc im powodzenia, i schowawszy głowę z powrotem do kosza, ruszyłem w dalszą drogę.

Makoto nie chciał, bym podróżował sam, więc zawrócił ze mną. Opowiedział mi o Yuki, która zjawiała się w Terayamie z głową Shigeru, oraz o uroczystościach pogrzebowych. Musiała podróżować dzień i noc, aby dotrzeć tam tak prędko; myślałem o niej z ogromną wdzięcznością.

Wieczorem dotarliśmy do świątyni. Pozostali tam mnisi pod przewodnictwem starego kapłana intonowali sutry na cześć Shigeru; wmurowano też płytę w miejscu jego pochówku. Klęknąłem i umieściłem na niej głowę jego wroga. W nieziemskiej poświacie półpełnego księżyca kamienie w ogrodzie Sesshu wyglądały jak ludzie pogrążeni w modlitwie. Szum wodospadu był głośniejszy niż za dnia, nocny wiatr wzdychał w gałęziach cedrów; jak zwykle przeraźliwie grały świerszcze i żaby kumkały w stawie poniżej kaskady. Rozległ się łopot skrzydeł; nad cmentarzem nieśmiało poszybowała sowa, zbierająca się do odlotu. Lato dobiegało końca.

Pomyślałem, że to piękne miejsce spoczynku dla jego duszy. Długo klęczałem przy grobie, w milczeniu roniąc łzy. Powiedział mi kiedyś, że tylko dzieci płaczą, a mężczyźni muszą wytrwać, mnie jednak wydawało się niesłychane, że mam być mężczyzną, który zajmie jego miejsce. Prześladowało mnie przekonanie, że nie powinienem był zadać mu śmiertelnego ciosu. Ściąłem go jego własnym mieczem - nie byłem jego dziedzicem, ale mordercą.

Z tęsknotą wspominałem dom w Hagi, pieśni rzeki i świata. Chciałem, aby dom śpiewał tę pieśń moim dzieciom, chciałem, by dorastały w jego cichym schronieniu. Marzyłem, że Kaede poda mi herbatę w pawilonie, zbudowanym przez Shigeru, nasze dzieci będą próbowały przechytrzyć słowicza podłogę, a wieczorami będziemy patrzeć na czapkę w ogrodzie, na jej szarą sylwetkę tkwiącą cierpliwie pośrodku strumienia.

W głębi ogrodu ktoś grał na flecie. Jego płynne tony przeszły mi serce. Nie sądziłem, bym miał kiedykolwiek otrząsnąć się z żałoby.

Dni mijały, a ja nie byłem w stanie opuścić świątyni. Wiedziałem, że muszę podjąć decyzję o wyjeździe, lecz co dzień ją odkładałem. Zdawałem sobie sprawę, że stary kapłan i Makoto martwią się o mnie, jednak zostawiali mnie w spokoju, dbając

jedynie o sprawy praktyczne, napominając, bym coś zjadł, wykapał się i przespał.

Co dzień ktoś przychodził pomodlić się na grobie Shigeru. Pielgrzymki, z początku przybywające wąską stróżką, wkrótce zamieniły się w potop; powracający żołnierze, mnisi, rolnicy i chłopci ze czcią przechodzili obok kamienia nagrobnego, padając przed nim na twarze mokre od łez. Shigeru miał rację - po śmierci był jeszcze potężniejszy i bardziej kochany niż za życia.

- Stanie się bogiem - przewidywał stary kapłan. - Dołączy do innych w kaplicy.

Nocami śnił mi się taki, jakim widziałem go ostatni raz, zalany wodą i krwią, a kiedy się budziłem z sercem łomoczącym z przerażenia, dobiegało mnie granie fletu. Przylapałem się na tym, że leżąc bezsennie, wyczekuję jego żalosnych tonów; były bolesne, ale także dawały pociechę.

Księżyc zmierzał do nowiu, noce stawały się coraz ciemniejsze. Powracający mnisi opowiedzieli nam o zwycięstwie pod Kushimoto. Życie w świątyni powoli wracało do normy; stare rytuały niczym woda zamykały się nad głowami umarłych. Pewnego dnia otrzymaliśmy wiadomość, że pan Arai, który obecnie władał przeważającą częścią Trzech Krain, zamierza przybyć do Terayamy, aby pokłonić się grobowi Shigeru.

Owej nocy, usłyszawszy dźwięk fletu, poszedłem porozmawiać z grającym. Jak przypuszczałem, był to Makoto. Bardzo się wzruszyłem tym, że tak nade mną czuwał, towarzysząc mi w żałobie.

Siedział nad stawem, gdzie czasem widywałem go za dnia, karmiącego złote karpie. Na mój widok dokończył frazę i odłożył instrument.

- Kiedy zjawi się Arai, będziesz musiał podjąć decyzję - powiedział. - Co chcesz robić?

Usiadłem obok niego. Rosa opadła, kamienie okryła wilgoć.

- A co powinienem zrobić?

- Jesteś spadkobiercą Shigeru i musisz objąć jego dziedzictwo. - Urwał na chwilę. - Ale to nie takie proste, prawda? Wzywa cię coś innego.

- Nie wzywa, raczej rozkazuje. Mam zobowiązanie... Trudno to wyjaśnić...

- Spróbuj.

- Wiesz, że mam bardzo czuły słuch. Jak pies, sam kiedyś tak powiedziałeś.

- Nie powinienem był tak mówić. Sprawilem ci przykrość. Wybacz.

- Nie, miałeś rację. Pies, powiedziałeś, użyteczny dla swoich panów. Cóż, jestem użyteczny, ale moimi panami nie są Otori.

- Plemię?

- Słyszałeś o nich?

- Bardzo niewiele - odparł. - Opat o nich wspominał.

Przez chwilę miałem wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze, że czeka, abym zadał mu pytanie. Ale wówczas nie wiedziałem, o co go zapytać - zanadto pochłaniały mnie własne myśli i pragnienie, aby je wyjaśnić.

- Mój ojciec pochodził z Plemienia - ciągnąłem - po nim odziedziczyłem swoje zdolności. Rodzina upominała się o mnie, sądzą bowiem, że mają do mnie prawo.

Zawarłem z nimi układ, że pozwolą mi uratować pana Shigeru, a w zamian ja się do nich przyłączę.

- Nie mają prawa tego wymagać! Jesteś spadkobiercą Shigeru! - wykrzyknął Makoto oburzony.

- Jeżeli spróbuję uciec, zabiją mnie. Uważają, że racja jest po ich stronie; ja chyba też tak uważam, skoro zawarłem z nimi umowę. Moje życie należy do nich.

- Jestem pewien, że zgodziłeś się pod przymusem. Nikt nie oczekuje, że dotrzymasz takiej umowy. Jesteś Otori Takeo. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka sława cię otacza, jak wiele znaczy twoje imię.

- Zabiłem go - wykrztusiłem, ku swemu wstydtowi czując, że łzy znów płyną mi z oczu. - Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nie mogę przejąć po nim imienia ani schedy. Zginął z mojej ręki.

- Dzięki tobie umarł z honorem - szepnął Makoto, ujmując mnie za rękę. - Dopełniłeś wszystkich obowiązków syna wobec ojca. Wszędzie cię za to chwalą i podziwiają. I w dodatku zabiłeś Iidę! To czyny, jakie opiewa się w legendach!

- Nie ze wszystkich obowiązków się wywiązałem. Stryjowie Shigeru uknuli wraz z Iidą spisek na jego życie i dotąd nie zostali ukarani. Ponadto Shigeru zlecił mi opiekę nad panią Shirakawa, która bardzo ucierpiała nie ze swojej winy.

- To brzemię nie powinno być dla ciebie zbyt ciężarem - rzekł, patrząc na mnie z ironią, ja zaś poczułem, że krew nabiega mi do twarzy.

- Zauważyłem, jak wasze ręce się dotykają - dodał Makoto po chwili. - Zwracam uwagę na wszystko, co ciebie dotyczy.

- Pragnąłbym sprostać jego życzeniom, ale czuję się niegodny. A w dodatku wiąże mnie przysięga, złożona Plemieniu.

- Mógłbyś ją złamać, gdybyś zechciał.

Być może Makoto miał rację. Z drugiej strony, zapewne wówczas Plemię nie zostawiłoby mnie przy życiu. Co więcej, nie mogłem ukryć sam przed sobą, że coś mnie do nich ciągnie - pamiętałem, jak Kikuta natychmiast wniknął w moją naturę i jak owa natura przyjęła mroczne talenty Plemienia. Głębokie wewnętrzne rozdarcie dawało znać o sobie aż nazbyt boleśnie. Nade wszystko chciałem otworzyć serce przed Makoto, jednakże wtedy musiałbym wszystko mu opowiedzieć, a nie mogłem przecież rozmawiać o Ukrytych z mnichem, wyznawcą Oświeconego. Pomyślałem, że chyba złamałem już wszystkie ich przykazania. Wielokrotnie popełniłem zabójstwo.

Prowadzona szeptem rozmowa w pogrążonym w ciemności ogrodzie, którego ciszę przerywał jedynie nagły plusk ryb i dalekie pohukiwanie sów, zbliżyła nas jeszcze bardziej. Makoto objął mnie i mocno przytulił.

- Cokolwiek wybierzesz, pozwól, by żaloba odeszła - powiedział cicho. - Postąpiłeś najlepiej, jak umiałeś. Shigeru byłby z ciebie dumny. Teraz musisz odczuć tę dumę i wybaczyć sam sobie.

Jego serdeczne słowa, jego dotknięcie, ponownie pobudziły mnie do płaczu. Poczułem, że pod jego dłońmi moje ciało ożywa; odciągnął mnie znad przepaści i sprawił, że znowu zapragnąłem żyć. Potem zasnąłem i nie śniłem więcej.

Arai, który pozostawił większość wojsk na Wschodzie w celu utrzymania pokoju, przybył do Terayamy ze skromnym orszakiem kilku dworzan oraz dwudziestoosobowym oddziałem zbrojnych; zamierzał stąd wyjechać jeszcze przed nastaniem zimy, aby się zająć ustaleniem ostatecznych granic. Dwudziestosześcioletni, nieco młodszy od Shigeru, nigdy nie należał do cierpliwych, ale teraz robił wrażenie opętanego. Nie chciałem mieć wroga w tym dużym, porywczym mężczyźnie o żelaznej woli, on zaś nie taił, że pragnie widzieć we mnie sojusznika i gotów jest wesprzeć mnie przeciwko panom Otori. Postanowił już także, że powinienem poślubić Kaede.

Przywiózł ją ze sobą, gdyż zwyczaj wymagał, by odwiedziła grób Shigeru. Uważał, że na czas przygotowań do ślubu oboje powinniśmy zamieszkać w świątyni. Rzecz jasna, Kaede towarzyszyła Shizuka, która natychmiast znalazła sposobność, aby ze mną porozmawiać.

- Wiedzieliśmy, że tu będziesz - powiedziała. - Kikuta są wściekli, ale mój stryj przekonał ich, by dali ci trochę swobody. Niemniej, twój czas się kończy.

- Jestem gotów pójść z nimi - odparłem.

- Przyjdą po ciebie dziś wieczorem.

- Pani Shirakawa wie o tym?

- Próbowałam ją uprzedzić, podobnie jak próbowałam uprzedzić Araiego.

W głosie Shizuki zabrzmiało zniechęcenie. Istotnie, Arai miał dla mnie inne plany.

- Jesteś prawnym spadkobiercą pana Otori - oznajmił, gdy po oddaniu hołdu Shigeru zasiadł ze mną w sali gościnnej klasztoru. - To bardzo stosowne, byś poślubił panią Shirakawa. Zdobędziemy dla niej Maruyamę, a na wiosnę zajmiemy się klanem Otori. Potrzebny mi sojusznik w Hagi. Nie będę ukrywał, że dzięki swej reputacji stałeś się bardzo pożądanym pod tym względem.

- Pan Arai jest zbyt wielkoduszny - odparłem. - Niestety, istnieją pewne sprawy, które nie pozwalają mi postąpić zgodnie z twoim życzeniem.

- Nie bądź głupi - rzekł obcesowo. - Jestem przekonany, że moje i twoje życzenia są jak najbardziej zbieżne.

Mój umysł się opróżnił; wszystkie myśli uleciały zeń niczym ptaki z obrazu Sesshu. Wiedziałem, że na zewnątrz słucha nas Shizuka. Arai był sojusznikiem Shigeru, obronił Kaede, a teraz podbił większą część Trzech Krain. Jeżeli byłem komuś winien lojalność, to właśnie jemu. Uważałem, że nie mogę po prostu zniknąć bez podania wyjaśnień.

- Wszystko, co osiągnąłem, zdobyłem dzięki pomocy Plemienia - zacząłem ostrożnie.

Przez jego twarz przebiegł skurcz gniewu, ale nic nie powiedział.

- Zawarłem z nimi pakt; żeby się z niego wywiązać, muszę zrezygnować z miana Otori i odejść do nich.

- Co to jest, to Plemię? - wybuchnął. - Gdziekolwiek się obrócę, wszędzie się na nich natykam. Są jak szczury w stodole. Nawet osoby mi najbliższe...!

- Nie pokonalibyśmy lidy bez ich pomocy.

Westchnął i potrząsnął swą dużą głową.

- Nie chcę dłużej słuchać tych bzdur. Shigeru cię adoptował, jesteś Otori i poślubisz panią Shirakawa. Taki jest mój rozkaz.

- Panie Arai - skłoniłem się do ziemi, w pełni świadom, że nie mogę go usłuchać.

Odwiedziwszy grób Shigeru, Kaede poszła prosto do pomieszczeń kobiet, toteż nie miałem okazji się z nią zobaczyć. Tęskniłem za nią, lecz równocześnie obawiałem się tego spotkania. Bałem się jej władzy nade mną, ale również swojej władzy nad nią. Bałem się, że zadam jej ból, lecz, co gorsza, bałem się, że nie będę umiał zadać jej bólu.

Tej nocy, nie mogąc spać, znów poszedłem posiedzieć w ogrodzie. Marzyłem o ciszy, jednak bez przerwy nasłuchiwałem. Wiedziałem, że odejdę z Kikuta, jeżeli po mnie przyjdzie, ale nie mogłem opędzić się od wspomnień i obrazów Kaede - jej postaci nad trupem lidy, dotyku jej skóry, jej delikatności, kiedy w nią wchodziłem. Myśl, że nigdy już tego nie poczuję, była tak dotkliwa, że zaparła mi dech w piersiach.

Usłyszałem miękkie kobiece stąpanie. Po chwili Shizuka położyła mi na ramieniu dłonie - dłonie tak podobną do mojej z kształtu i linii.

- Pani Shirakawa chce z tobą rozmawiać - szepnęła.

- Nie wolno mi - odparłem.

- Będą tu przed świtem - powiedziała. - Ostrzegałem ją, że nigdy nie odstępiał od roszczeń wobec twojej osoby. Prawdę mówiąc, przez twoje nieposłuszeństwo w Inuyamie mistrz już postanowił cię zabić, jeżeli z nimi nie pójdziesz. Ona chce się z tobą pożegnać.

Poszedłem. Kaede siedziała na końcu werandy w bladym świetle zachodzącego księżyca. Pomyślałem, że wszędzie rozpoznam jej sylwetkę - kształt głowy, zarys ramion, charakterystyczny ruch, z jakim odwracała ku mnie twarz.

W jej oczach zalśnił księżycowy blask, zamieniając je w czarne górskie stawy w porze, kiedy ziemię okrywa śnieg, a świat staje się szary i biały. Padłem przed nią na kolana. Srebrzyste drewno podłogi pachniało lasem i świątynią, żywicą i kadzidłem.

- Shizuka mówi, że musisz mnie opuścić, że nie możemy się pobrać. - Jej głos brzmiał cicho i niepewnie.

- Plemię nie pozwoli mi wieść zwykłego życia. Nie jestem - teraz już nigdy nie będę - panem z klanu Otori.

- Arai cię obroni. On tego chce. Nic nie stoi nam na przeszkodzie.

- Zawarłem układ z człowiekiem, który jest mistrzem mego rodu - odparłem. - Moje życie nie należy do mnie.

W owym momencie, w ciszy nocy, wspomniałem mego ojca, który także chciał uciec od przeznaczenia, dyktatu więzów krwi, i został za to zamordowany. Nie sądziłem, że mój smutek może być jeszcze głębszy, lecz myśl ta dowiodła, że się myliłem.

Kaede powiedziała:

- Przez osiem lat, które spędziłam jako zakładniczka, nigdy nikogo o nic nie prosiłam. Iida Sadamu kazał mi się zabić - nie błagałam go o życie. Zamierzał mnie zgwałcić - nie zebrałam o litość. Ale teraz ciebie proszę - nie opuszczaj mnie. Błagam, żebyś się ze mną ożenił. Nigdy nie poproszę nikogo o nic więcej.

Rzuciła mi się do nóg, a jej włosy i szata dotknęły podłogi z jedwabistym szelestem. Poczułem zapach perfum; jej włosy były tak blisko, że musnęły mi rękę.

- Boję się - wyszeptała. - Boję się sama siebie. Tylko z tobą jestem bezpieczna.

To bolało bardziej, niż przewidywałem. A ból ten zwiększała jeszcze świadomość, że gdybyśmy mogli tylko położyć się obok siebie, skóra przy skórze, wszelkie cierpienie by ustało.

- Plemię mnie zabije - szepnąłem w końcu.

- Są rzeczy gorsze od śmierci! Jeśli cię zabiją, ja także odbiorę sobie życie i pójdę za tobą!

Chwyciła mnie za rękę i pochyliła się ku mnie. Jej oczy płonęły, dłonie miała suche i gorące, o kostkach kruchych jak u ptaka. Czułem krew, pulsującą pod jej skórą.

- Skoro nie możemy żyć razem, powinniśmy razem umrzeć!

Jej głos był napięty, podniecony. Nagle noc przeniknęła mnie chłodem. W pieśniach i romansach pary kochanków umierały razem z miłości. Przypomniałem sobie, co Kenji powiedział Shigeru: Jesteś zakochany w śmierci, jak cała twoja klasa. Kaede pochodziła z tej samej klasy i środowiska - ale ja nie. Nie chciałem umierać. Nie miałem jeszcze osiemnastu lat.

Moje milczenie było dla niej dostateczną odpowiedzią.

Ogarnęła wzrokiem moją twarz.

- Nigdy nie pokocham nikogo oprócz ciebie. Miałem wrażenie, że nigdy dotąd nie patrzyliśmy na siebie wprost, że nasze spojrzenia zawsze były ukradkowe, niejawne. Dopiero teraz, rozstając się na zawsze, popatrzyliśmy sobie w oczy bez skromności i wstydu. Czułem jej ból i rozpacz, chciałem ulżyć jej cierpieniu, jednak nie mogłem zrobić tego, o co prosiła. Lecz wtem, gdy się w nią wpatrywałem, trzymając ją za rękę, z mego zmieszania zrodziła się dziwna moc. Spojrzenie Kaede nabrało wymowy, stało się intensywne, jakby tonęła. Westchnęła cicho i zachwiała się; jej powieki opadły. Z mroku wybiegła Shizuka i pochwyciła ją. Ostrożnie ułożyliśmy ją na podłodze; spała tak mocno jak ja, uśpiony wzrokiem Kikuty w ukrytym pokoju. Zadrżałem, nagle straszliwie zziębnięty.

- Nie powinieneś być tego robić - szepnęła Shizuka. Wiedziałem, że kuzynka ma rację.

- Nie chciałem. Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego istocie ludzkiej. Tylko psom.

Trzepnęła mnie w ramię.

- Idź do Kikuty, i naucz się panować nad swymi zdolnościami! Może wreszcie wydorósłesz!

- Nic jej nie będzie?

- Nie znam się na sprawkach Kikutów - odparła.

- Ja spałem przez dwadzieścia cztery godziny.
- Ale ten, kto cię uspił, zapewne wiedział, co robi - sarknęła.

Daleko na górskiej ścieżce usłyszałem kroki. Do świątyni zbliżali się dwaj mężczyźni. Szli cicho, lecz, jak dla mnie, nie dość cicho.

- Idą - powiedziałem.

Shizuka uklękła przy Kaede i lekko wzięła ją na ręce.

- Zegnaj, kuzynie - rzekła, wciąż rozgniewana.

- Shizuka... - zacząłem, kiedy zmierzała do pokoju. Przystanęła na chwilę, nie odwracając głowy.

- Mój koń, Raku... dopilnujesz, aby pani Shirakawa go dostała?

Nie miałem nic więcej, co mógłbym jej dać.

Shizuka przytaknęła, po czym oddaliła się w mrok ze swym brzemieniem. Dobiegł mnie szmer odsuwanych drzwi, odgłos jej kroków na macie i ciche skrzypienie podłogi, kiedy kładła Kaede na posłaniu.

Wróciłem do siebie i pozbierałem swój skromny dobytek. Właściwie nic nie posiadałem - list od Shigeru, mój nóż i Jato. Następnie udałem się do świątyni, gdzie pogrążony w medytacji klęczał Makoto. Kiedy dotknąłem jego ramienia, wstał i wyszedł ze mną na zewnątrz.

- Wyjeżdżam - szepnąłem. - Do rana nic nikomu nie mów.

- Mógłbyś tu zostać.

- To niemożliwe.

- Wróć, kiedy tylko zdołasz. Ukryjemy cię tutaj. W górach jest mnóstwo kryjówek. Nikt cię nie znajdzie.

- Może pewnego dnia z nich skorzystam - odparłem. - Chciałbym, żebyś przechował dla mnie miecz.

Makoto przyjął Jato.

- Teraz wiem, że wrócisz - powiedział.

Wyciągnął rękę i musnął palcem moje usta, kość policzkową, kark.

Z niewyspania, żalu oraz pożądania zakręciło mi się w głowie. Chciałem, żeby ktoś się ze mną położył, żeby mnie przytulił, ale na żwirowej ścieżce zachrząściły już kroki.

- Kto to? - Makoto odwrócił się, unosząc miecz. - Mam obudzić świątynię?

- Nie. To są ludzie, z którymi muszę odejść. Pan Arai nie może się o tym dowiedzieć.

Czekali w świetle księżyca - mój były nauczyciel Muto Kenji oraz mistrz Kikuta. Byli w strojach podróżnych - dwaj niepozorni, skromni ludzie, uczeni albo niezbyt zamożni kupcy, być może bracia. Trzeba było ich znać, aby dostrzec czujną postawę, zarys twardych mięśni, świadczących o wielkiej sile fizycznej, oczy i uszy, które nie przepuściły żadnego szczegółu, oraz wysoką inteligencję, która sprawiała, że watażkowie tacy jak Iida czy Arai wydawali się przy nich brutalni i niezdarni.

Padłem na kolana przed mistrzem Kikuta i uderzyłem czołem w kurz ścieżki.

- Wstań, Takeo - powiedział.

Ku memu zdumieniu obaj z Kenjim mnie uściskali.

- Żegnaj - rzekł Makoto, ściskając mi dłonie. - Wiem, że się jeszcze spotkamy. Nasze losy są ze sobą związane.

- Pokaż mi grób pana Shigeru - rzekł Kikuta łagodnie, tak jak pamiętałem - jak ktoś, kto pojmuje moją prawdziwą naturę.

Nie leżałby w grobie, gdyby nie ty - pomyślałem, lecz nie odezwałem się. W spokoju i ciszy nocy zacząłem powoli godzić się z faktem, iż przeznaczeniem Shigeru było umrzeć tak, jak umarł; podobnie po śmierci sądzone mu było stać się bohaterem, wręcz bogiem dla tych wszystkich, którzy mieli przybywać do kaplicy, by się doń pomodlić i prosić go o pomoc przez następne setki lat, tak długo, jak trwałaby Terayama, być może zawsze.

Pochyliwszy głowy, długo staliśmy przed świeżo rzeźbionym nagrobkiem. Kto wie, co w głębi serca mówili Kenji i Kikuta? Ja poprosiłem Shigeru o wybaczenie, jeszcze raz mu podziękowałem za uratowanie życia w Mino, a gdy się z nim żegnałem, wydało mi się, że znów słyszę jego głos i widzę jego szczery, otwarty uśmiech.

Wiatr poruszał gałęziami odwiecznych cedrów, nocne owady grały swą natarczywą melodię. Zawsze tak będzie, pomyślałem, zima za zimą, lato za latem - księżyc będzie opadał ku zachodowi, oddając noc gwiazdom, one zaś za kilka godzin ustąpią jasnym promieniom słońca. Słońce wszędzie nad góry i pociągnie za sobą cienie cedrów, aż wreszcie znowu skryje się za krawędzią wzgórz.

Tak toczył się świat, a rodzaj ludzki żył dalej jak umiał, między ciemnością i światłem.

Podziękowania

Pomysł głównych postaci, Kaede i Takeo, przyszedł mi do głowy podczas pierwszej podróży do Japonii w 1993 roku. Wiele osób pomogło mi zdobyć informacje, pomocne w opisanu ich historii. Chciałabym podziękować Fundacji Asialink, która w 1999 roku przyznała mi stypendium na trzymiesięczny pobyt w Japonii, jak również Australia Council, Departamentowi Spraw Zagranicznych i Handlu Ambasady Australii w Tokio oraz Arts SA - Departamentowi ds. Sztuki Rządu Australii Południowej. W Japonii uzyskałam wsparcie Akiyoshidai Arts Village w prefekturze Ya-maguchi, której personel udzielił mi nieocenionej pomocy przy poznawaniu krajobrazów i historii zachodniego Honsiu. Na podziękowania zasługują zwłaszcza pan Kori Yoshinori, pani Matsunaga Yayoi oraz pani Matsubara Manami. Wyrazy szczególnej wdzięczności należą się pani Tokorigi Masako za pokazanie mi obrazów i ogrodów projektowanych przez Sesshu, a także jej mężowi, prof. Tokorigi Miki, za informacje o wykorzystaniu koni w wiekach średnich.

Wielu materiałów dostarczył mi pobyt z dwoma japońskimi zespołami teatralnymi - serdecznie dziękuję Kazenoko z Tokio i Gekidan Urinko z Nagoi oraz pani Kimura Miyo, cudownej towarzyszce podróży, która zabrała mnie do Kanazawy i Nakasendo, a także odpowiedziała na moje liczne pytania z zakresu języka i literatury japońskiej.

Dziękuję panu Mogi Masaru i pani Mogi Akiko za pomoc w poszukiwaniach, za sugestie w kwestii nazw oraz, nade wszystko, za ich niezawodną przyjaźń.

Chciałabym podziękować moim australijskim nauczycielkom języka japońskiego, paniom Thuy Coombs i Etsuko Wilson, Simonowi Higginsowi za jego bezcenne wskazówki oraz mojej agentce Jenny Darling. Dziękuję mojemu synowi Mattowi, pierwszemu czytelnikowi wszystkich trzech książek, oraz pozostałym członkom mojej rodziny, którzy nie tylko dzielnie znosili moją obsesję, lecz wręcz ją dzielali.

Chciałabym wyrazić uznanie dla rzetelnej informacji i głębokiej wiedzy, udostępnionej mi dzięki internetowemu archiwum historii samurajów i członkom grupy dyskusyjnej.

Znaki kaligraficzne kreśliły dla mnie panie Sugiyama Kazuko i Etsuko Wilson. Im także należą się wyrazy wdzięczności.

Lian Hearn